

**SŁODKA
JAK MIÓD**

Droga na szczyt
1980-1982

Rozdział pierwszy

Tamtej wiosny Honey co wieczór modliła się do Walta Disneya. W małej sypialni na tyłach starej zardzewiałej przyczepy kempingowej, ukrytej wśród sosen na wzgórzu za trzecim grzbietem kolejki górskiej Czarny Grom, modliła się do Pana Boga, do Walta, a czasami do Jezusa w nadziei, że chociaż jeden z niebieskich władców przychyli się do jej próśb. Opierała się łokciami na zniszczonym parapecie przy jedynym okienku w pokoju i spoglądała w gwiaździste niebo widoczne między wierzchołkami sosen.

- Szanowny panie Disney, to znowu ja, Honey. Wiem, że w obecnym stanie Park Rozrywki Silver Lake nie wygląda zbyt zachęcająco. Wiem, że woda opadła tak nisko, że widać połamane pale starego pomostu, a biedny „Bobby Lee” osiadł na mieliźnie. Nawet jeśli w zeszłym tygodniu odwiedziła nas ledwie setka gości, to nie znaczy, że tak ma być dalej.

Odkąd „Democrat”, dziennik Paxawatchie, wydrukował pogłoskę, że przedstawiciele Walta Disneya rozważali poważnie możliwość stworzenia w Silver Lake Karolinie Południowej wersji Disney World, Honey nie była w stanie myśleć o niczym innym. Miała szesnaście lat i doskonale wiedziała, jak dziecinnie postępuje, modląc się do pana Disneya (nie wspominając już o wątpliwej wartości teologicznej tej modlitwy w wykonaniu baptyстки z Południa), ale zmusiły ją do tego okoliczności.

Starannie wymieniała wszelkie zalety, które jej zdaniem pan Disney powinien wziąć pod uwagę:

- To tylko godzina jazdy od autostrady międzystanowej. Wystarczy dobre oznakowanie i wszyscy jadący do Myrtle Beach zatrzymają się u nas, żeby sprawić frajdę dzieciom. Klimat jest wspaniały, jeśli nie liczyć duchoty i komarów. Jezioro będzie naprawdę ładne, jeżeli tylko pańscy ludzie

zabronią fabryce farb wrzucać odpady do wody. I wie pan, moglibyście to kupić naprawdę za grosze. Może postara się pan wpłynąć na swoich zastępców? Niech pan im uświadomi, że Park Rozrywki Silver Lake jest dokładnie tym, czego szukają!

Wysoki, piskliwy głos ciotki przerwał Honey tę dziwną kombinację modlitwy i prezentacji handlowej.

- Z kim rozmawiasz, Honey? Chyba nie sprowadziłaś sobie chłopca?

- Oczywiście, ciociu Sophie. - Honey uśmiechnęła się krzywo. - I to od razu cały tuzin. A jeden zaraz mi pokaże swój interes.

- Mój Boże, Honey, nie powinnaś się tak wyrażać. To nieładnie.

- Przepraszam. - Honey lubiła drażnić się z ciotką. Lubiła, kiedy Sophie się nią przejmowała, a zdarzało się to nieczęsto. Przez chwilę mogła wówczas udawać, że to jej mama, nie tylko ciotka.

Z sąsiedniego pokoju dobiegła salwa śmiechu - publiczność programu *Tonight Show* powitała radośnie kolejny żart Johnny'ego Carsona o prezydencie Carterze i orzeszkach ziemnych. Sophie nigdy nie wyłączała telewizora. Twierdziła, że dzięki temu nie tęskni za głosem wujka Earla.

Earl Booker zmarł półtora roku temu i Sophie stała się właścicielką Parku Rozrywki Silver Lake. Nawet za jego życia nie była osobą szczególnie przedsiębiorczą; po jego śmierci sytuacja jeszcze się pogorszyła. Właściwie wszystkim zajmowała się Honey.

Odeszła od okna. Niedługo Sophie zaśnie. Rzadko kiedy udawało jej się doczekać północy, choć nigdy nie wstawała przed południem.

Honey poprawiła poduszki. W przyczepie było gorąco i duszno. Miała na sobie tylko pomarańczową koszulkę i majteczki, a i tak nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kiedyś mieli klimatyzator, ale popsuł się dwa lata temu i nie stać ich było na nowy.

Spojrzała na zegarek przy łóżku, które dzieliła z córką Sophie, Chantal. Przestraszyła się. Kuzynka od dawna powinna być w domu. W poniedziałkowy wieczór park rozrywki był nieczynny, nie było nic do roboty. Chantal stanowiła centralny element rezerwowego planu Honey, na wypadek gdyby ludzie Walta Disneya nie kupili jednak wesołego miasteczka. Nie mogła pozwolić, by kuzynka zaginęła, choćby na jeden wieczór.

Opuściła nogi na popękane linoleum i sięgnęła po wytarte czerwone szorty, które nosiła tego dnia. Była szczupła i drobna, miała zaledwie metr pięćdziesiąt, a spodenki stanowiły spadek po Chantal. Smętnie wisały na biodrach, sprawiały, że cienkie jak zapałki nóżki wydawały się jeszcze chudsze. Ale próżność była jedną z nielicznych wad, których Honey nie posiadała, więc nie zwracała uwagi na takie szczegóły.

Honey, choć nie wiedziała o tym, miała powody, by stać się próżna. Miała jasnoniebieskie oczy ocienione ciemnymi rzęsami, twarz w kształcie serca o wystającymi kośćmi policzkowych, zabawnie zadarty nos

i dodające jej uroku piegi. Szczególną niechęcią darzyła swoje usta, pełne i szerokie, które zawsze przywodziły jej na myśl starego żarłocznego karpia. Jak daleko sięgała pamięcią, nie znosiła swojego wyglądu, i to nie tylko dlatego, że ludzie brali ją za chłopca, dopóki nie pojawiły się nieśmiałe pączki piersi. Przede wszystkim dlatego, że nikt nie traktował poważnie kogoś o tak dziecinnym wyglądzie, a Honey bardzo chciała, by uważano ją za dorosłą. Robiła wszystko, co w jej mocy, by nie zwracano uwagi na jej dziecinnny wygląd, tylko na srogą minę i arogancki stosunek do świata.

Włożyła niebieskie klapki, które okres świetności miały już dawno za sobą, i przeczesała palcami krótkie, postrzępione włosy - nie po to jednak, żeby się uczesać, lecz by podrapać swędzące ukąszenie komara. Miała włosy tego koloru co imię, miodowe. Gdyby im pozwoliła, zwijałyby się w miękkie loki, ale rzadko miały ku temu okazję; obcinała je, gdy tylko uznała, że są za długie. Posługiwała się przy tym pierwszym lepszym ostrym narzędziem, które wpadło jej w ręce; scyzorykiem, sekatorem i, co się okazało nader niefortunne, nożem do patroszenia ryb.

Zamknęła drzwi i wymknęła się cichutko do wąskiego korytarzyka wyłożonego szczatkami żółtobrazowej wykładziny, która pokrywała także podłogę w mikroskopijnym saloniku i jadalni zarazem. Tak jak przypuszczała, ciotka chrapała w najlepsze na wypłowiejącej kanapie obitej tkaniną we flagi Południa i amerykańskie orły. Chantal zrobiła matce trwałą, ale nie za bardzo jej się to udało i siwo-czarne włosy ciotki wyglądały na zniszczone. Szydełkowa bluzeczka opinała gruby brzuch i ciężkie piersi, które opadały na boki jak balony z wodą.

Honey patrzyła na ciotkę z tą samą co zwykle mieszaniną miłości i politowania. To Sophie Moon Booker powinna się martwić, gdzie się podziewa jej córka, nie Honey. To ona powinna się głowić, z czego zapłacą rachunki piętrzące się na stole i jakim cudem zdołają się utrzymać, nie korzystając z litości instytucji dobroczynnych. Honey wiedziała jednak, że awantura z ciotką Sophie okaże się równie owocna jak z jej córką Chantal, czyli nie przyniesie żadnej zmiany.

- Wychodzę na chwilę - powiedziała.

Ciotka mruknęła coś przez sen.

Nocne powietrze dusiło wilgocią. Honey zbiegła po zmurszałych schodkach. Czas złagodził jadowicie błękitny kolor przyczepy; nie gryzła więc tak bardzo w oczy. Do niebieskich kłapek nasypał się żwir. Honey głęboko wciągnęła powietrze. Czerwcową noc pachniała sosnami, asfaltem i środkiem dezynfekującym, którego używali do czyszczenia toalet, przede wszystkim jednak nieruchome powietrze przesycał mdły zapach jeziora.

Mijając kolumny z jasnego sosnowego drewna, wsunęła ręce w kieszenie i postanowiła, że tym razem się nie zatrzyma. Nie będzie patrzyła.

Ilekroć patrzyła, zaczynała myśleć, a wówczas znacznie pogarszało się jej samopoczucie. Zrobiła jeszcze kilka kroków, ale i tak stanęła. Odwróciła się, zadarła głowę i podziwiała całą trasę Czarnego Gromu.

Masywna drewniana konstrukcja kolejki górskiej przypominała szkielet prehistorycznego gada. Honey powiodła wzrokiem wzdłuż wznoszących się torów, aż do zapierającego dech w piersiach zjazdu, pod szaleńczym kątem sześćdziesięciu stopni. Patrzyła na dwa kolejne wzniesienia, kończące się stromymi zjazdami, i na końcową spiralę, wirującą jak w koszmarnym śnie nad samym jeziorem. W jej sercu wezbrała tęsknota i gorzyc. Wszystko zaczęło iść gorzej tamtego lata, gdy Czarny Grom się zepsuł.

Wesołe miasteczko nad jeziorem Silver, choć małe i staroświeckie w porównaniu z nowszymi parkami rozrywki, w sąsiedniej Georgii, miało coś, o czym inne lunaparki mogły tylko marzyć. Szczyciło się ostatnią oryginalną drewnianą kolejką górską. Jej zwolennicy twierdzili, że jest lepsza niż legendarny Cyklon z Coney Island. Czarny Grom wybudowano w latach dwudziestych i od tego czasu ludzie spragnieni dreszczyku emocji zjeżdżali się z całego kraju. Dla miłośników górskich kolejek wyprawa do wesołego miasteczka Silver Lake nabrała statusu pielgrzymki.

Przed dwoma laty, w Święto Pracy w siedemdziesiątym ósmym roku, pękło łożysko kulkowe w ostatnim wagoniku. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale stan Karolina Południowa zarządził natychmiastowe zamknięcie kolejki. Żaden bank nie chciał udzielić kredytu na kosztowny remont, który umożliwiłby ponowne jej udostępnienie. Bez magnesu, jakim był Czarny Grom, wesołe miasteczko Silver Lake umierało, powoli i w męczarniach.

Honey poszła dalej. Po jej prawej stronie latarnia upstrzona owadami oświetlała opustoszały Świat Samochodzików, gdzie poobijane pojazdy spały bezgłośnie, czekając na rano i nielicznych klientów. Minęła Dziecięcy Świat pełen miniaturowych motocykli i ciężarówek, nieruchomych na martwej karuzeli. Nieco dalej dwie inne karuzele odpoczywały po dniu pracy. Zatrzymała się przed Domem Strachów. Nad wejściem przerażał śmiałków bezgłowy manekin. Z szyi tryskała fluorescencyjna krew.

- Chantal? - zawołała Honey.

Żadnej odpowiedzi.

Wyjęła latarkę ze schowka za budką, w której sprzedawano bilety, i śmiało weszła do Domu Strachów. Za dnia rampa dygotała niebezpiecznie, a z głośników dochodziły jęki i krzyki, ale teraz wszędzie panował spokój. Wkroczyła w Korytarz Śmierci i poświeciła na dwumetrowego kata z zakrwawionym toporem.

- Chantal, jesteś tu?

Odpowiedziała jej tylko cisza. Odgarnęła sztuczne pajęczyny, minęła katowski pieniek i weszła do Szczurzej Komory. Wewnątrz poświeciła

latarką dokoła. Zewsząd patrzyły na nią błyszczące czerwone ślepia stu sześciu szarych szczurów zawieszonych na niewidocznych żyłkach.

Honey przyglądała im się z zadowoleniem. Szczurza Komora to najlepsza część Domu Strachów, bo zwierzęta były prawdziwe. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku wypchał je pewien specjalista z Nowego Jorku dla wesołego miasteczka Palisades Park w Fort Lee. Wujek Earl kupił je pod koniec lat sześćdziesiątych, od faceta z Karoliny Północnej, którego park rozrywki koło Forest City splajtował.

- Chantal? - jeszcze raz zawołała kuzynkę, a gdy i to nie przyniosło rezultatu, wyszła z Domu Strachów tylnymi drzwiami.

Tylko nieliczne żarówki rozjaśniały mrok pod smętnie oklapłymi markizami. Powietrze wypełniał stęchły zapach prażonej kukurydzy, pizzy i starego tłuszczu do smażenia pączków.

Był to zapach szybko przemijającego dzieciństwa i Honey chciwie nabrała go w płuca. Jeśli ludzie Disneya przejmą wesołe miasteczko, wszystko zniknie bezpowrotnie: i zapach, i atrakcje, i Dom Strachów. Objęła się ramionami; podczas minionych lat nabrała tego odruchu, bo nie obejmował jej nikt inny.

Jej matka umarła, gdy miała sześć lat, był to więc jedyny dom, jaki znała, i kochała go całym sercem. Napisanie do ludzi Disneya kosztowało ją więcej niż cokolwiek innego. Zdecydowała się na to, bo pragnęła zdobyć pieniądze na życie, pieniądze, dzięki którym rodzina zostanie razem. Może nawet będzie je stać na mały, czysty domek na przedmieściu, na nowe meble i chociaż skrawek ogródka? Gdy tak stała pośrodku opustoszałego placu, żałowała, że nie jest starsza i mądrzejsza - wtedy może umiałyby inaczej rozwiązać ich problemy. Bo mimo wszystko nie mogła się pogodzić z perspektywą utraty Czarnego Gromu. Gdyby kolejka nadal działała, za żadne skarby świata nie zrezygnowałaby z wesołego miasteczka.

Nocna cisza i zapach prażonej kukurydzy przywróciły wspomnienie małej dziewczynki skulonej w kącie przyczepy. Podciągnęła podrapane kolana pod brodę, jasnoniebieskie oczy patrzyły ze zdumieniem. Gniewny głos z przeszłości odezwał się echem w jej myślach.

- Sophie, zabierz ją stąd, do cholery! Zaraz przez nią zwariuję! Odkąd ją tu wczoraj przyprowadziłaś, siedzi jak kukła. Siedzi i się gapi! - Potężna pięść wujka Earla trzasnęła w stół kuchenny.

Ciotka Sophie zapytała jękliwie:

- A co mam z nią zrobić, Earl?

- Nic mnie to nie obchodzi. To nie moja wina, że twoja siostra się utopiła. Cholerni urzędnicy z Alabamy nie mieli prawa cię wzywać i wciśkać ci dzieciaka. Chcę zjeść obiad w spokoju, bez żadnych cholernych bachorów wlepiających we mnie gały!

Sophie podeszła bliżej i delikatnie trąciła stópkę Honey w płóciennym buciku.

- Przestań, Honey. Idź na dwór, poszukaj Chantal. Jeszcze nie widziałś wesołego miasteczka. Ona ci wszystko pokaże.

- Chcę do mamy - szepnęła Honey.

- Do jasnej cholery! Zabierz ją stąd, Sophie!

- Widzisz, co narobiłaś? - westchnęła Sophie. - Zdenerwowałaś wujka Earla. - Złapała Honey za ramię, szarpnęła mocniej. - Chodź już, kupię ci watę cukrową.

Wywlokła Honey z przyczepy, na upalne słońce Karoliny Południowej. Honey ruszała się jak mały robocik. Nie chciała waty cukrowej. Na śniadanie Sophie wmusiła w nią płatki kukurydziane, ale zwymiotowała.

Sophie puściła jej ramię. Honey zauważyła już, że ciocia nie lubi dotykać innych, w przeciwieństwie do jej mamy, Carolann. Mama zawsze brała ją na ręce, ścisnęła, nazywała cukiereczkiem, nawet gdy była bardzo zmęczona po całym dniu pracy w pralni w Montgomery.

- Chcę do mamy - szepnęła Honey, gdy weszły między sosnowe słupy.

- Twoja mama nie żyje. Ona...

Dalsze słowa ciotki zagłuszył ryk potwora nad ich głowami.

Honey także zaczęła krzyczeć. Nieoczekiwany groźny hałas przebrał miarę, sprawił, że pękły tamy. Wyrzuciła z siebie smutek i strach, które w niej narastały, odkąd umarła mama i zabrano ją ze znanego świata. Wrzeszczała jak opętana.

Wiedziała mniej więcej, co to jest kolejka górską, nigdy jednak nie siedziała w czymś takim i nie pojmowała, że hałas ma coś wspólnego z kolejką. Słyszała potwora, tego samego, który kryje się w szafie i pod łóżkiem, który zabiera małym dziewczynkom ich mamy.

Darła się przeraźliwie. Po sześciodniowym odurzeniu, w które popadła po śmierci mamy, nagle nie mogła przestać krzyczeć, choć Sophie potrzasała nią gorączkowo.

- Przestań! Zamknij się, słyszysz?

Nie zamknęła się, tylko tak długo wrywała ciotce, aż się uwolniła. Pobiegła pod torami kolejki, wymachując ramionami, łapczywie czerpiąc powietrze, by raz po raz wykrzykiwać rozpacz i strach. Zatrzymała się w miejscu, gdzie tory opadały tak nisko, że nie mogła pod nimi przejść. Złapała się drewnianego słupa. Nie wiadomo skąd zrodziło się w niej przekonanie, że potwór nie pożre jej, jeśli wystarczająco silnie zaciśnie rączki. Poczwała drzazgi w dłoniach, ale nie puszczała.

Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu, słyszała tylko swój krzyk i ryk potwora nad głową, czuła tylko szorstkie drewno na delikatnej skórze, wiedziała tylko, że już nigdy więcej nie zobaczy mamy.

- Do cholery, zamknij się!

Sophie przyglądała się bezradnie, jak wujek Earl podszedł od tyłu i jedynym ruchem oderwał Honey od słupa.

- Co jej jest? Co ją, do cholery, ugryzło?

- Nie wiem - jęknęła Sophie. - Zaczęła się tak drzeć, kiedy usłyszała Czarny Grom. Chyba się przestraszyła.

- Co za cholerny pech. Nie będziemy jej tu rozpieszcząć, o nie.

Złapał Honey w pól i zataszczył na rampę, gdzie pasażerowie wsiadali do wagoników kolejki.

Pusty skład akurat czekał na nowych pasażerów. Nie zważając na protesty ludzi czekających w kolejce, wsadził Honey do pierwszej wagonika. Jej przeraźliwe krzyki niosły się echem pod drewnianym dachem. Rozpaczliwie usiłowała się wyswobodzić, ale wuj unieruchomił ją włochatym ramieniem.

- Earl, co ty wyprawiasz? - zainteresował się Chester, który obsługiwał urządzenie.

- Szykuję ją na przejażdżkę.

- Jest za mała, Earl. Sam widzisz, że jest za niska.

- Trudno. Przypnij ją.

- Ale Earl...

- Rób, co ci mówię, albo już tu nie pracujesz.

Jak przez mgłę docierały do niej gniewne głosy ludzi w kolejce. A potem wagoniki ruszyły i dotarło do Honey, co zgotował jej wujek Earl: oto zmierza w przepastne wnętrzości tego samego potwora, który pochłoniął jej mamę.

- Nie! - wrzasnęła. - Mamusiu!

Ledwie obejmowała rączkami metalową poręcz zabezpieczającą przed wypadnięciem. Wstrząsały nią spazmy.

-Mamusiu... mamusiu...

Rusztowanie skrzypiało i trzeszczało, wagoniki wspinały się coraz wyżej; ta wysokość stanowiła część legendy. Kolejka poruszała się koszmarnie powoli, tak że w dziecięcej wyobraźni zdążyły powstać przerażające wizje. Miała sześć lat, nikogo na świecie i śmierć u boku. Była całkowicie bezbronna: zbyt mała i słaba, by o siebie zadbać. Żaden dorosły się o nią nie zatroszczy.

Strach ścisnął ją za gardło, serduszko trzepotało w piersi, a wagonik osiągnął szczyt wzgórza. Była wyżej niż najwyższa góra na całym świecie, wyżej niż białe chmurki, wyżej niż rozpalone słońcem niebo. Była niedaleko przeraźliwej ciemności, gdzie czają się diabły.

Z jej ust wyrwał się ostatni krzyk, gdy wagonik minął szczyt. Kątem oka dostrzegła jeszcze straszliwy, stromy spadek i oto runęła w dół, w ciemność, we wnętrzości bestii, w najczarniejszą noc, jaka sobie może wyobrazić dziecinna duszyczka, po to tylko, by...

Wznieść się ponownie.

I znowu, na łeb, na szyję, do piekła.

I jeszcze raz do góry.

Trzy razy jeszcze wpadała w piekielne czeluście i wracała na górę, z nim wagoniki wyjechały na prostą nad jeziorem i wpadły w spiralę śmierci. Przywarła do drzwiczek, gdy mknęła tuż nad powierzchnią wody; wydawało się, że zaraz wpadnie do jeziora, ale niespełna metr nad wodą tory wznosiły się ponownie. Kolejka zwolniła i powoli podjechała do peronu. Koniec.

Honey już nie płakała.

Wagoniki się zatrzymały. Wujka Earla nigdzie nie było widać, ale Chester podbiegł do niej pospiesznie. Pokręciła przecząco głową. Nadal była błąda jak ściana, miała łzy w oczach.

- Jeszcze raz - szepnęła.

Była za mała, by ubrać w słowa przeżycia, których dostarczyła jej kolejka. Wiedziała tylko, że musi znowu poczuć, iż istnieje siła potężniejsza niż ona, siła zdolna karać, ale i nagradzać. Ta siła pozwoliła jej, w pewnym sensie, dotknąć matki.

Tamtego dnia jeździła jeszcze dwanaście razy, a przez całe dzieciństwo wsiadała do małego wagonika, ilekroć zapragnęła przypomnieć sobie, że czuwa nad nią wyższa siła. Kolejka zmuszała do konfrontacji z najgorszymi ludzkimi lękami, a potem bezpiecznie wiozła na stację.

Z czasem życie w rodzinie Bookerów jakoś się ułożyło. Wujek Earl nigdy nie polubił Honey, ale tolerował ją, bo była mu większą pomocą niż żona czy córka. Sophie, choć w głębi duszy dobra i uczciwa, koncentrowała się na sobie. Od Chantal i Honey wymagała niewiele: zależało jej właściwie tylko na tym, żeby przynajmniej raz w miesiącu uczęszczały do szkółki niedzielnej.

Stara drewniana kolejka górską więcej nauczyła Honey o Bogu niż kościół Baptistów, nie wspominając już o tym, że teologia kolejki była o wiele bardziej rozumiała. Dziewczynka czerpała otuchę z przeświadczenia, że istnieje wyższa siła, istota, która nad nią czuwa.

Dźwięk dobiegający gdzieś z podcieni wyrwał Honey z zadumy. Zganiła się za dumanie o niebieskich migdałach. Niedługo będzie taka sama jak kuzynka. Wyteńczyła wzrok i rzuciła pytanie w ciemność:

- Hej, Buck, widziałeś gdzieś Chantal?

Buck Ochs podniósł wzrok znad flippera. Naprawiał go, bo zagroziła, że jeśli nie uruchomi przynajmniej kilku automatów, wywali go z pracy, i niech taszczy swój tłusty tyłek z powrotem do Georgii. Gruby brzuch niebezpiecznie napaął na guziki koszuli, gdy Buck poruszył się niespokojnie i uśmiechnął zawadiacko.

- Jaką Chantal?

Roześmiał się głośno z własnego dowcipu. Najchętniej wywaliłaby go od razu, ale i tak straciła zbyt wielu pracowników, bo nie zawsze zdążyła z wypłatą na czas. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na utratę kolejnego. Zresztą Buck nie był złośliwy, tylko zwyczajnie głupi. Do tego miał obrzydliwy zwyczaj drapania się tam, gdzie nie powinien w obecności dam.

- Żartowniś z ciebie, co, Buck? Czy Chantal tu była?
- Nie, Honey. Tylko ja, ja i jeszcze raz ja.
- No dobrze, ale niech jeden z was zreperuje te cholerne flippery do rana.

Poszła dalej. Wśród drzew za polanką przycupnął budynek, w którym mieszkali robotnicy kawalerowie. Obecnie miał tylko trzech lokatorów, Bucka i dwóch jego kolegów. Honey widziała światło w oknach, ale nie podchodziła bliżej; nie przypuszczała, by Chantal złożyła wizytę Cliffowi albo Rusty'emu. Pogaduszki przy herbatce to nie w jej stylu.

Niepokoiliła się coraz bardziej. Jest już późno. Chantal nie powinna wymykać się z domu o tej porze. Na pewno dzieje się coś złego. Honey miała nieprzyjemne przeczucie, że doskonale wie co.

Zatoczyła koło, obrzuciła wzrokiem zniszczone przyczepy, zarośnięty placyk, martwe karuzele. Nad całym wesołym miasteczkiem górowały stemple kolejki, teraz już niezdolne zanieść małą dziewczynkę tam, gdzie miała nadzieję znaleźć wieczną ochronę. Po chwili namysłu Honey skręciła na zarośnięty chodnik wiodący nad jezioro.

Było cicho i ciemno. Stare sosny tworzyły gęste sklepienie nad jej głową, zasłoniły księżyc. Znowu pograżyła się we wspomnieniach, zdało jej się, że słyszy skoczne dźwięki „Dixie”. I słowa:

Panie i panowie, chłopcy i dziewczęta. Cofnijcie się teraz w czasie do epoki, gdy na Południu królowała bawełna. Zapraszamy na rejs statkiem „Robert E. Lee”, podczas którego zobaczycie na własne oczy, jak piękne jest Silver, największe jezioro w okręgu Paxawatchie, tu w Karolinie Południowej...

Sosny kończyły się przy starym moło. Zatrzymała się w pół kroku i zarżała. W oddali widniał widmowy kształt „Bobby'ego Lee”.

„Robert E. Lee” znajdował się dokładnie tam, gdzie rzucił kotwicę po raz ostatni, zanim zatopiła go zimowa burza. Stało się to kilka miesięcy po nieszczęściu z kolejką. Dzisiaj statek spoczywał na mulistym dnie Silver Lake. Dolny pokład był w całości pod wodą podobnie jak koło parowe. Nad powierzchnię wstawały tylko górny pokład i mostek kapitański. „Bobby Lee” spał przy doku, bezużyteczny, na wpół zatopiony, niesamowity w bladym świetle księżyca.

Honey zadygotała i otuliła się ramionami. Nikłe promienie kładły się na czarnych wodach jeziora jak upiorne palce. W nozdrza uderzył ją zapach gnijących roślin, martwych ryb i butwiejącego drewna. Choć nie była tchórzem, nie lubiła przebywać na „Bobbym Lee” w nocy. Przytrzymała klapki palcami u nóg i bezszelestnie weszła na molo. Między połamanymi deskami widziała stojące wody jeziora. Zrobiła jeszcze krok, zatrzymała się i otworzyła usta, żeby zawołać Chantal. Ale ze ściśniętego gardła nie wydostał się ani jeden dźwięk. Żałowała, że nie poprosiła Cliffa albo Rusty’ego, żeby jej towarzyszyli.

Denerwowało ją własne tchórzostwo. I tak z trudem udawało jej się utrzymywać wszystkich w ryzach. Mężczyźni zwykle nie szanują szefów w spółnicy. Gdyby się dowiedzieli, że tchórzy w takiej sytuacji, w ogóle by jej nie słuchali.

Gdzieś za plecami usłyszała trzepot skrzydeł i pohukiwanie sowy. Wstrzymała oddech. Nagle wydało jej się, że słyszy jakiś jęk.

Przez chwilę bała się, że to wampir albo zombie, ale zaraz odzyskała zdrowy rozsądek. Wiedziała doskonale, czyj to głos.

Zbiegła na dół, zwinnie przeskakując przegniłe belki pomost. Nabrała rozpędu i skoczyła. „Bobby Lee” zatonał dwa metry od pomostu, ale przy odpowiednim wybiściu jedna z desek mogła służyć jako trampolina.

Wylądowała na pokładzie. Przytrzymała się poręczy, aby nie stracić równowagi, i pobiegła do schodów. Nikły pod mętna wodą. Nawet po ciemku widziała biały brzuch martwej ryby przy drabince. Zwinnie zbiegła o pokład niżej, na mostek.

Prawie wpadła na parę splecioną w miłosnym uścisku. Byli tak zajęci sobą, że w ogóle nie usłyszeli nadejścia Honey.

- Puść ją, ty dupku! - wrzasnęła.

Odkoczyli od siebie. Gdzieś niedaleko zatrzepotał skrzydłami nietoperz.

- Honey! - krzyknęła Chantal. Miała rozpiętą bluzkę.

Młody mężczyzna zerwał się na równe nogi i pospiesznie zapiął rozporek w postrzępionych dżinsowych szortach. Miał koszulkę z logo uniwersytetu Karoliny Południowej i napisem Gamecocks. W pierwszej chwili był zdezorientowany, ale uspokoił się, dostrzegłszy Honey.

- Wynoś się stąd - warknął. - Nie masz tu nic do roboty.

Chantal wstała i zapięła bluzkę. Poruszała się powoli, leniwie, jak zwykle. Chłopak objął ją ramieniem. Zachowywał się, jakby Chantal należała do niego. Zdenerwowało to Honey. Chantal jest jej, tak samo jak ciotka Sophie i resztki Parku Rozrywki Silver Lake! Wymachując groźnie palcem, oznajmiła:

- Chantal Booker chodź tu w tej chwili.

Chantal posłuchała.

Chłopak złapał ją za ramię.

- Poczekaj. Kto to jest? Co ona tu robi?
- To moja kuzynka Honey - odparła Chantal. - Ona tu rządzi.
Honey znowu pogroziła palcem.
- Ażebyś wiedział, że tu rządzę. Wynoś się, i to już.
Chantal chciała podejść do Honey, ale chłopak jej nie puszczał.
- Przecież to jeszcze dzieciak. Nie musisz jej słuchać. - Spojrzał na brzeg. - Wracaj, skąd przyszedłaś, mała.
Honey zmrużyła oczy.
- Posłuchaj, studenciku. Jeśli masz choć trochę rozumu w głowie, zagnij rozporek, schowaj małego i zmykaj, zanim się zdenerwuję.
Z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Chyba zaraz wrzucę cię do wody, mała, rybom na pożarcie.
- Na twoim miejscu nie ryzykowałabym. - Honey wzięła się pod boki. Nie znosiła, gdy ktoś naigrywał się z jej wyglądu. - Powiem ci coś: w zeszłym tygodniu wysłałam z poprawczaka. Siedziałam za zadżganie faceta dużo większego od ciebie. Gdybym nie była nieletnia, dostałabym czapę.
- Naprawdę? Jakoś ci nie wierzę.
Chantal westchnęła.
- Honey, powiesz mamie?
Honey nie zwracała na nią uwagi. Skupiła się na chłopaku.
- Powiedziała ci, że ma osiemnaście lat?
- Nie twój interes.
Zerknęła na Chantal, po raz pierwszy zaniepokojony.
- Powinnaś była się domyślić - mruknęła Honey. - Ona ma dopiero piętnaście lat. Czyżby na uniwersytecie nie nauczyli cię, co to jest gwałt na nieletniej?
Chłopak puścił Chantal, jakby parzyła.
- To prawda? - spytał. - Nie wyglądasz na piętnastolatkę.
Honey nie dała jej dojść do słowa.
- Wcześniej dojrzała.
- Nie wygłupiaj się Honey - odezwała się Chantal.
Chłopak się wycofywał.
- Może się pożegnamy, Chantal. - Podeszedł do schodów. - Doskonale się bawiłem. Spotkamy się jeszcze... kiedyś, dobra?
- Jasne, Chris, bardzo chętnie.
Już go nie było.
Chantal z westchnieniem oparła się o przybudówkę.
- Masz papierosy?
Honey wyjęła pogniecioną paczkę salemów i przysiadła koło kuzynki.
Chantal zaciągnęła się głęboko.
- Dlaczego mu powiedziałaś, że mam piętnaście lat?
- Bo nie chciałam się z nim bić.

- Honey, nie miałabyś szans. Nie sięgasz mu nawet do brody. I wiesz, że mam osiemnaście lat. Jestem o dwa lata starsza od ciebie.

- Dałabym sobie radę. - Honey zapaliła papierosa. Od wielu miesięcy starała się nauczyć palić, ale jak na razie nic z tego nie wychodziło.

- I te bzdury o poprawczaku i zasztyletowaniu faceta - ciągnęła Chantal. - Przecież nikt w to nie uwierzy.

- Niektórzy tak.

- Nie powinnaś tyle kłamać.

- Tak trzeba w interesach. Inaczej oszukają cię i wykorzystają.

Chantal wyprostowała długie zgrabne nogi. Honey uważnie przyglądała się jej zadbanym paznokciom. Dla niej Chantal była najpiękniejszą kobietą na świecie. Trudno uwierzyć, że spłodzili ją Sophie i Earl Bookero-wie, z których żadne nie grzeszyło urodą. Chantal miała burzę ciemnych niesfornych loków, śniadą karnację, migdałowe oczy, kształtne czerwone usta i fantastyczną figurę. Wyglądała jak ognista Meksykanka, ale było to wrażenie nader mylące, bo Chantal miała w sobie mniej więcej tyle energii, ile stary pies myśliwski w upalne sierpniowe popołudnie. Honey kochała ją i tak.

Chantal wypuściła kształtne kółko dymu.

- Oddałabym wszystko, żeby wyjść za gwiazdora filmowego. Naprawdę, Honey. Oddałabym wszystko, żeby być panią Burtową Reynolds.

Zdaniem Honey Burt Reynolds był dla Chantal o dobre dwadzieścia lat za stary, ale wiedziała, że nie przekona kuzynki. - On pochodzi z południa - powiedziała - a tacy mężczyźni żenią się z dziewczynami.

- Właściwie nadal jestem dziewczyną - odparła Chantal.

- Dzięki mnie.

- Nie pozwoliłabym Chrisowi iść na całość.

- Chantal, przecież ty nie zdołałabyś go powstrzymać! Sama wiesz, że nie umiesz nikomu odmówić.

- Powiesz mamie?

- Jakby to coś dało. Zmieni kanał w telewizorze i znowu zaśnie. Już po raz trzeci przytapałam cię z chłopakami z college'u. Przytążył tu i kręcąc się koło ciebie, jakbyś wysyłała jakieś sygnały czy co. Co, zapomniałaś już tego, z którym się schowałeś w Domu Starców w zeszłym miesiącu? Gdy was znalazłam, trzymał rękę w twoich szortach.

- Kiedy to jest przyjemne. I był taki miły.

Honey zachnęła się z niesmakiem. Z Chantal nie ma rozmowy. Jest słodka, ale niezbyt inteligentna. Nie żeby Honey mogła ją otwarcie krytykować. Jakby nie było, Chantal przynajmniej skończyła szkołę, czego o niej nie można powiedzieć.

Nie rzuciła szkoły z głupoty - nie, pochłaniała książki jednym tchem i uczyła się znakomicie. Odeszła, bo miała ważniejsze rzeczy do roboty, niż

marnować czas w towarzystwie durnych wieśniaczek, które rozповідаły na prawo i lewo, że jest lesbijką.

Na samo wspomnienie robiło jej się niedobrze. Honey nie była jak inne dziewczęta. Nie nosiła grzecznych sukienek, nie chichotała głupio, ale to przecież nie znaczy, że jest lesbijką, prawda? Pytanie ją nurtowało, bo nie znała na nie odpowiedzi. Wiedziała tylko, że na pewno nie pozwoliłaby żadnemu chłopcu wsadzić sobie ręki w majtki, jak Chantal.

Kuzynka przerwała ciszę.

- Czy ty czasami myślisz o mamie?

- Już nie. - Honey bawiła się drzazgą z pokładu. - Ale skoro już o tym mowa, radzę ci przypomnieć sobie, co spotkało moją mamę, gdy była jeszcze młodsza od ciebie. Pozwoliła na zbyt wiele chłopakowi z college'u i zrujnowała sobie życie.

- Nie rozumiem cię. Gdyby z nim nie spała, nie przyszłabyś na świat. I gdzie byś teraz była, co?

- Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że... studenci z college'u chcą tylko jednego od dziewczyn takich jak ty czy moja mama. Chcą was wykorzystać. A kiedy już zaciągną taką dziewczynę do łóżka, znikają bez śladu. Chcesz zostać sama, z dzieciakiem na głowie, na łasce i niełasce opieki społecznej?

- Chris powiedział, że jestem ładniejsza niż wszystkie dziewczyny z jego wydziału.

To bez sensu. Chantal zawsze zręcznie zmieniała temat, gdy Honey chciała jej coś wytłumaczyć. W takich chwilach traciła do niej cierpliwość. Jakim cudem Chantal poradzi sobie w życiu, gdy Honey przy niej nie będzie? Co prawda Chantal jest starsza, ale Honey opiekowała się nią od lat, starała się nauczyć ją, co jest słuszne, a co nie. Dla Honey były to rzeczy naturalne, oczywiste, ale Chantal była podobna do ciotki Sophie. Nie interesowało ją nic, co wymaga wysiłku.

- Honey, dlaczego trochę o siebie nie zadbasz? Wtedy ty też miałabyś chłopaka!

Honey zerwała się na równe nogi.

- Nie jestem żadną lesbijką, jeśli o to ci chodzi!

- Wcale nie o to. - Chantal zapatrzyła się w kłęby dymu z papierosa. - Gdybyś była lesbijką, wiedziałabym o tym jako pierwsza. W końcu mieszkam z tobą w jednym pokoju od lat.

Honey, uspokojona, wróciła na miejsce.

- Ćwiczyłaś dzisiaj zonglowanie?

- Może... nie pamiętam.

- Nie ćwiczyłaś, tak?

- To trudne, Honey.

- Wcale nie. Musisz po prostu więcej ćwiczyć. Wiesz, że w przyszłym tygodniu zaczniemy z płonącymi przedmiotami?

- Dlaczego wymyśliłaś coś tak trudnego?
 - Nie śpiewasz, nie grasz na żadnym instrumencie, nie znasz tańców ludowych. Tylko to przyszło mi do głowy.
 - Nie pojmuję, dlaczego to takie ważne, żebyś została miss okręgu Paxawatchie. Jeśli ludzie Walta Disneya kupią park, nie mamy się o co martwić.
 - Nie wiemy wcale, czy go kupią, Chantal. To na razie tylko plotka. Napisałam do nich znowu, ale nie odpowiedzieli, a nie możemy po prostu czekać z założonymi rękami.
 - W zeszłym roku nie kazałaś mi uczestniczyć w konkursie. Dlaczego teraz?
 - Bo w zeszłym roku nagrodą były kosmetyki i ciuchy za sto dolarów w domu towarowym Dundee's. W tym roku to wycieczka do Charlestonu i casting do serialu *Dash Coogan Show*.
 - To kolejna sprawa, Honey - poskarżyła się Chantal. - Chyba za wiele sobie po tym obiecujesz. Nie wiem, jak się gra. Wolałabym być fryzjerką niż aktorką. Lubię czesać włosy.
 - Nie wiesz, jak to jest być aktorką. Potrzebują nowej twarzy. Tłumaczyłam ci to już setki razy.
- Honey sięgnęła do kieszeni i wyjęła pogniecioną ulotkę informacyjną o wyborach miss okręgu Paxawatchie. Zajrzała na ostatnią stronę. W świetle księżycy nie dałoby się odczytać drobnego druku, ale znała treść na pamięć, tyle razy już ją czytała.

Zwycięzcy otrzyma nagrodę w postaci dwudniowej wycieczki do Charlestonu, gdzie weźmie udział w castingu do *Dash Coogan Show*, gorąco oczekiwanego nowego serialu. Sponsorem wycieczki jest dom towarowy Dundee's.

Producenci *Dash Coogan Show* obejrzą piękne dziewczęta w siedmiu miastach. Szukają odtwórczyni roli Celeste, córki pana Coogana. Idealna kandydatka ma osiemnaście-dwadzieścia jeden lat, jest piękna i mówi z silnym południowym akcentem. Oprócz Charlestonu producenci odwiedzą także Atlantę, Nowy Orlean, Birmingham, Dallas, Houston i San Antonio.

Honey zmarszczyła brwi. Ta część niepokoiła ją najbardziej. Producenci pojedą aż do trzech miast w Teksasie, a w innych stanach - odwiedzą tylko po jednym. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że woleliby dziewczynę z Teksasu. Wcale jej to nie dziwiło - przecież Dash Coogan to król westernu. Pocieszała się jednak, że w całym Teksasie nie ma dziewczyny piękniejszej niż Chantal Booker.

Siedem finalistek poleci do Los Angeles na zdjęcia próbne z panem Cooganem. Kinomani zapewne pamiętają go z licznych westernów.

Dash Coogan Show będzie jego pierwszym serialem telewizyjnym. Wszyscy mamy nadzieję, że to właśnie miss okręgu Paxawatchie zagra jego córkę.

Chantal wyrwała Honey z zadumy.

- Widzisz, chodzi o to, że... Ja chcę wyjść za aktora, a nie zostać aktorką. Honey puściła to mimo uszu.

- W tej chwili to, czego chcesz, nie ma najmniejszego znaczenia. Jesteśmy na granicy bankructwa i musimy się chwytać każdej szansy. Lenistwo to początki równi pochyłej, która nas zaprowadzi na garnuszek opieki społecznej, jeśli nic z ty mnie zrobimy. - Oplotła kolana ramionami, zniżyła głos do szeptu. - Mam przeczucie, Chantal. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale po prostu wiem, że ci producenci tylko rzucą na ciebie okiem i dostaniesz tę rolę.

Chantal westchnęła głośno.

- Wiesz, Honey, czasami przez ciebie kręci mi się w głowie. Chyba jesteś podobna do twojego taty, tego studenta, bo nie masz tego po nas.

- Musimy utrzymać rodzinę razem - stwierdziła Honey. - Sophie się do niczego nie nadaje, a ja jestem za młoda, żeby znaleźć przyzwoitą pracę. Ty jesteś naszą jedyną nadzieją, Chantal. Odkąd pracujesz jako modelka w domu towarowym Dundee's, wiem, że jesteś naszą jedyną nadzieją. Jeśli ludzie Disneya nie kupią wesołego miasteczka, będziemy w kłopotcie, dlatego musimy mieć plan awaryjny. We trzy stanowimy rodzinę. Nie możemy pozwolić, by coś nam się stało.

Chantal nie słuchała. Wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo, marzyła o ślubie z gwiazdorem.

Rozdział drugi

Uwaga, uwaga! Miss okręgu Paxawatchie roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego została... panna Chantal Booker!

Honey zerwała się z miejsca z mrozącym krew w żyłach okrzykiem, który zagłuszył oklaski publiczności. Z głośników popłynęła piosenka „Give my regards to Broadway”, gdy Laura Liskey, zeszłoroczna miss, dekorowała swą następczynię, Chantal uśmiechnęła się niewyraźnie, jak zwykle. Korona przekrzywiła jej się, ale zdawała się tego nie zauważać.

Honey podskakiwała i biła brawo jak szalona. A więc jednak fatalny tydzień skończył się dobrze. Chantal wygrała, mimo że zonglowała fatalnie; nie widziano na wyborach miss nic równie żałostnego od trzech lat, gdy Mary Ellen Ballinger usiłowała stepować do piosenki z musicalu *Jesus Christ*

Superstar. Chantal upuszczała pałeczkę przy co drugim obrocie, ba! nie wykonała nawet wielkiego finału. Ale wyglądała tak ślicznie, że nikt nie zwracał na to uwagi. A podczas wywiadu poradziła sobie lepiej, niż Honey przypuszczała. Zapytana o plany na przyszłość, odparła, że waha się między karierą logopedy a misjonarki, czyli wypełniła co do joty polecenie kuzynki. Honey nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy nalegała, by Chantal skłamała. Nie mogła przecież oznajmić, że tak naprawdę chciałaby wyjść za Burtę Reynoldsa.

Honey biła brawo, a w myślach dziękowała Opatrzności, że Chantal miała dość rozumu i zrezygnowała z żonglowania płonąca pałeczką. Spustoszyła by całe hrabstwo bardziej niż armia Williama Tecumseha Shermana.

Dziesięć minut później, gdy przepychała się przez tłumy na tyły szkolnej sali gimnastycznej, starała się nie zwracać uwagi na rodziny dumne z dziewcząt w zwiewnych sukienkach, na pulchne matki i łysiejących ojców, na ciotki i wujków, babcie i dziadków. Nigdy nie patrzyła na rodziny. Nigdy. Niektóre rzeczy są zbyt bolesne, by zwracać sobie nimi głowę.

Dostrzegła szeryfa Shepa Watleya i jego córkę Amelię. Nie dalej jak wczoraj szeryf przybił nakaz do bram parku, tym samym zamykając go po wsze czasy. Honey nie zmrużyła oka przez całą noc, tak bardzo martwiła się o przyszłość. Teraz, gdy Chantal wygrała wybory Miss - wmawiała sobie - zamknięcie parku nie ma dla nich znaczenia, podobnie jak fakt, że ludzie od Disneya nie odpisali na żaden list. Kiedy agenci telewizyjni zobaczą Chantal, oszaleją na jej punkcie, zupełnie jak jurorzy w konkursie piękności. Chantal zarobi fortunę i wkrótce odkupią park.

W tym miejscu zawiodła ją wyobraźnia. Skoro Chantal będzie gwiazdą filmową w Kalifornii, jakim cudem mogliby nadal mieszkać wszyscy razem nad Silver Lake?

Ostatnio martwiła się zdecydowanie za dużo i robiła co w jej mocy, by to zmienić. Wręcz puchła z dumy, widząc, jak Chantal rozmawia z Monicą Waring, dyrektor konkursu. Chantal wyglądała prześlicznie w białej sukni, kupionej na bal absolwentów, i diademie wieńczącym czarne loki. Jak wdzięcznie przechyla głowę i potakuje wszystkiemu, co mówi pani Waring. Ludzie z telewizji nie zdołają się jej oprzeć.

- Doskonale, pani Waring - dobiegły Honey słowa kuzynki. - Nie mam nic przeciwko tej zmianie.

- Kochana z ciebie dziewczyna i bardzo wyrozumiała. - Na twarzy Moniki Waring, wysokiej, chudej, doskonale ubranej kobiety, malowała się tak wyraźna ulga, że Honey natychmiast nabrała podejrzeń.

- O co chodzi? - Podeszła bliżej. Zwietrzyła niebezpieczeństwo jak zając gończego psa.

Chantal wyraźnie onieśmielona dokonała prezentacji.

- Panno Waring, to moja kuzynka Honey Moon.

Sophie opowiadała, że gdy Honey przyszła na świat, akuszerka powiedziała Carolann, że ma córeczkę słodką jak miód. Carolann spodobało się to i nadała córce takie właśnie imię - Honey. Dopiero gdy dostała do ręki akt narodzin, dotarło do niej, że strzeliła gafę. Honey Moon oznacza miesiąc miodowy.

Honey, nie chcąc, by ktokolwiek uważał jej matkę za idiotkę, odpowiedziała jak zawsze w takiej sytuacji:

- To tradycja rodzinna. Imię Honey otrzymuje najstarsza córka najstarszej córki. Jedna Honey Moon po drugiej, od czasów wojny o niepodległość.

- Ach, tak. - Nawet jeśli Monice Waring wydało się nieco dziwne, że całe pokolenia kobiet nie zmieniały nazwiska, zanim wydały na świat dzieci, nie okazała tego po sobie. Poklepała Chantal po ramieniu. - Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, kochanie. Zajmę się wszystkimi zmianami w poniedziałek.

- Jakimi zmianami? - zainteresowała się Honey, zanim Monica Waring zdążyła odejść.

- Och... Ojej, wołają mnie Jimmy McCully i jego koledzy - Chantal kręciła się niespokojnie. - Lepiej pójde się z nimi przywitać.

Honey nie zdołała jej powstrzymać.

- Wytłumaczyłam Chantal, że nastąpiła mała zmiana planów - powiedziała panna Waring, nie patrząc Honey w oczy - ale chciałabym porozmawiać z panią Booker osobiście.

- Cioci Sophie tu nie ma. Jest chora, ma... eeee... atak woreczka żółciowego. Bardzo cierpi, więc musiała zostać w domu. Ja ją zastępuję, działam niejako *in loco parentis*, jeśli pani wie, co mam na myśli.

Starannie wyskubane brwi panny Waring niemal dotknęły włosów.

- Czy nie jesteś trochę za moda, by działać *in loco parentis*?

- Niedawno skończyłam dziewiętnaście lat - oznajmiła Honey.

Panna Waring nie wydawała się przekonana, ale wolała nie drażnić tematu.

- Wyjaśniłam Chantal - kontynuowała - że nastąpiła pewna zmiana i główna nagroda to co innego, niż początkowo planowaliśmy. Dwudniowa wycieczka do Charlestonu jest nadal aktualna, ale zamiast castingu do serialu oferujemy zwycięzcy i osobie towarzyszącej przejażdżkę limuzyną, zwiedzanie miasta i kolację w czterogwiazdkowej restauracji. I, oczywiście, Chantal otrzyma nową garderobę oraz zestaw kosmetyków od domu towarowego Dundee's.

W sali było gorąco, ale Honey przeszył lodowaty dreszcz.

- O, nie! Pierwsza nagroda to casting do serialu *Dash Coogan Show!*

- Niestety, to już nieaktualne, aczkolwiek nie z winy domu towarowego Dundee's. Podobno ludzie od castingu zredukowali liczbę przesłuchań,

o czym zresztą powinni byli poinformować mnie wcześniej niż wczoraj po południu. Nie przyjadą do Charlestonu we środę, jak planowano, od razu lecą do Los Angeles, gdzie odbędzie się ostateczny przegląd dotychczas zakwalifikowanych dziewcząt.

- Nie przyjadą do Charlestonu? To niemożliwe! Jak więc zobaczą Chantal?

- Przykro mi, ale w ogóle jej nie zobaczą. W Teksasie znaleźli tyle dziewcząt, że zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

- Pani chyba nie rozumie, panno Waring. Jestem przekonana, że wybrałby Chantal, gdyby tylko rzucili na nią okiem.

- Niestety, nie podzielam twego przekonania. Chantal jest śliczna, to prawda, ale o tę rolę ubiegało się bardzo wiele dziewcząt.

- Mówi tak pani dlatego, że upuściła kij, tak? To moja wina. Jest doskonałą aktorką, urodziła się z tym. Powinnam była pozwolić jej wygłosić monolog z *Kupca weneckiego*, ale ja się uparłam, żeby wywijała durną pałką. Chantal ma wielki talent, jej idolki to Katherine i Audrey Hepburn. Honey zdawała sobie sprawę, że w jej głosie słychać panikę, ale nie mogła się opanować. Denerwowała się coraz bardziej. Konkurs był ich ostatnią nadzieją na normalne życie. Nikt jej tego nie odbierze.

- Wielokrotnie rozmawiałam z szefem castingu - odparła Monica Waring. - Widzieli kilkadziesiąt dziewcząt i wybrali grupkę finalistek, spośród których w Los Angeles wyłonią tę, która zagra w serialu. Nie sądzę, aby Chantal znalazła się w grupce wybranych, a co dopiero dostała rolę.

Honey zadarła głowę i wspięła się na palce; teraz niemal dorównywała wzrostem Monice Waring.

- Proszę mnie posłuchać, panno Waring. W kieszeni mam ulotkę o konkursie piękności. Jest tam napisane czarno na białym, że miss okręgu Paxawatchie weźmie udział w przesłuchaniach do serialu *Dash Coogan Show*. Dopilnuję, żeby tak się stało. Ma pani czas do poniedziałku, żeby załatwić Chantal to przesłuchanie. W innym wypadku skontaktuję się z moim prawnikiem i sprawa trafi do sądu. Pozwę nie tylko panią, ale także dom towarowy Dundee's i każdego, kto mi wejdzie w drogę.

- Honey...

- Spotkamy się w sklepie, w poniedziałek o czwartej po południu. - Pogroziła jej palcem. - Lepiej, żeby miała pani dla mnie dobre wieści, jeśli nie chce pani, bym wróciła z najbardziej zajadłym prawnikiem w Karolinie Południowej.

W drodze do domu opadły z niej resztki odwagi. Nie ma pieniędzy na prawnika. Niemożliwe, żeby ktokolwiek wziął sobie jej groźby do serca. Jednak przez całą niedzielę i pół poniedziałku wmawiała sobie, że błąd się uda. Nie ma gorszej rzeczy niż widmo procesu cywilnego, a dom towarowy Dundee's nie chce negatywnego rozgłosu. Nieważne, jak rzeczowych argumentów

używała: wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej marzenia idą na dno jak stary „Bobby Lee”.

Nadeszło poniedziałkowe popołudnie. Mimo buńczucznych zapewnień, Honey umierała z niepokoju, gdy wchodziła do gabinetu Moniki Waring na trzecim piętrze domu towarowego Dundee's. Panna Waring siedziała za metalowym biurkiem zavalanym stertą dokumentów.

Honey chrząknęła i Monica Waring podniosła głowę.

- Proszę, kogo tu mamy - przesunęła okulary w czarnych oprawkach na czoło i wstała z za biurka.

Honey nie spodobała się pewność siebie w jej głosie. Szefowa konkursu piękności skrzyżowała ramiona na piersi.

- Wcale nie masz dziewiętnastu lat, Honey - wypaliła prosto z mostu. - Masz szesnaście lat, nie skończyłaś nawet szkoły średniej i wszędzie robisz zamieszanie. Jesteś niepełnoletnia, więc nie masz prawa podejmować decyzji za kuzynkę.

Honey wmawiała sobie, że konfrontacja z Moniką Waring nie może być gorsza niż awantura z wujkiem Earlem, gdy wlał w siebie kilka szklaneczek whisky. Podeszła do jedyne go okna i wyjrzała na zewnątrz z taką miną, jakby ją to wszystko w ogóle nie obchodziło.

- Najwyraźniej grzebała pani w mojej przeszłości, panno Waring - odezwała się, przesadnie przeciągając sylaby. - Czy natrafiła pani także na informację, że matka Chantal, a moja ciotka, pani Sophie Moon Booker, cierpi na poważną chorobę umysłową, wywołaną rozpaczą po śmierci jej męża, Earla Bookera? - Spojrzała na Monice. - I że od jego śmierci praktycznie to ja prowadzę rodzinne interesy? I że pani Booker, która jest pełnoletnia od, lekko licząc, dwudziestu pięciu lat, zrobi to, co jej powiem, nie wyłączając wytoczenia procesu lokalnemu domowi towarowemu?

Ku zdumieniu i radości Honey, ta przemowa sprawiła, że Monice Waring zamurowało. Powiedziała coś podniesionym głosem, Honey jednak widziała, że to tylko pozory. Najwyraźniej zwierzchnicy polecili jej zrobić wszystko, byle tylko nie narażać dobrego imienia firmy. Monica Waring poprosiła sekretarkę, żeby podała Honey colę, kazała jej poczekać i wyszła na pół godziny. Wróciła z teczką dokumentów.

- Producenci serialu *Dash Coogan Show* łaskawie zgodzili się obejrzeć Chantal, wraz z innymi dziewczętami, w czwartek w Los Angeles - oznajmiła. - Zapiisałam adres studia i wszelkie informacje, których udzieli-li mi przed kilkoma miesiącami. Chantal i jej opiekun muszą być w Los Angeles w czwartek rano o ósmej.

- A jak się tam dostanie?

- To już nie moja sprawa - odparła lodowato, podając Honey plik dokumentów. - Nie gwarantujemy transportu. Przyznasz chyba, że w zaistniałej sytuacji i tak zrobiliśmy więcej, niż powinniśmy. Życz Chantal szczęścia od nas wszystkich.

Honey wzięła dokumenty z taką miną, jakby robiła łaskę Monice Waring, i powoli wyszła z gabinetu. Na korytarzu jednak bezradnie opuściła ramiona. Nie ma pieniędzy na samolot. Jakim cudem dostarczy Chantal do Los Angeles na czwartek rano?

Wsiadając do windy, przypomniała sobie, jakiej lekcji udzielił jej Czarny Grom. Zawsze jest nadzieja.

- Honey Jane Moon, chyba postradałaś resztki rozumu - stwierdziła Chantal. - Ta ciężarówka nie dowiezie nas nawet do granicy stanu, a co dopiero do Kalifornii.

Poobijana półciężarówka stanowiła jedyny pojazd w zamkniętym parku. Karoseria, niegdyś czerwona, była pokryta szarymi łatami. Honey podzielała obawy kuzynki, ale nie dała tego po sobie poznać:

- Nigdy w życiu niczego nie osiągniesz, jeśli będziesz patrzeć na wszystko tak pesymistycznie - pouczała Chantal. Musisz odnosić się pozytywnie do świata i stawiać czoło wyzwaniom losu. Zresztą Buck dopiero co wymienił akumulator. No, dalej, rzuć walizkę na tył, a ją spróbuję jeszcze raz pogadać z cicią Sophie.

- Ale ja nie chcę jechać do Kalifornii - jęknęła Chantal.

Honey puściła mimo uszu słowa kuzynki.

- To się fatalnie składa, bo i tak tam pojedziesz. Wsiadaj i czekaj na mnie.

Sophie leżała na kanapie i oglądała telewizję. Honey uklękła i dotknęła dłoni ciotki. Przesunęła palcem wzdłuż napuchniętych kłykci. Wiedziała, że Sophie nie lubi, by ją dotykano, ale czasami nie mogła się powstrzymać.

- Sophie, musisz zmienić zdanie i z nami pojechać. Nie chcę zostawić cię tutaj samej. Poza tym, gdy Chantal dostanie rolę w *Dash Coogan Show*, jako jej matka będziesz musiała podpisać różne dokumenty.

Sophie nie odrywała wzroku od ekranu.

- Jestem zbyt zmęczona na taką podróż, Honey - odparła. - Poza tym, Cinnamon i Shade pobiorą się w tym tygodniu...

Honey z trudem opanowała gniew.

- Sophie, to prawdziwe życie, a nie głupi serial. Musimy pomyśleć o przyszłości. Bank przejął park, niedługo nie pozwolą ci tu mieszkać.

Po raz pierwszy Sophie przeniosła wzrok na Honey. Jej małe oczy nikły pod baldachimem ciężkich powiek. Jak zwykle Honey szukała na twarzy

ciotki oznak czułości, i jak zwykle widziała tylko zmęczenie i brak zainteresowania.

- Nic nie mówili, że mam się wyprowadzić, więc chyba tu zostanę - powiedziała Sophie.

Honey spróbowała jeszcze raz.

- Potrzebujemy cię, Sophie. Znasz Chantal, wiesz, jaka jest. Co będzie, jeśli jakiś chłopak zacznie się do niej dobieierać?

- Zajmiesz się nim - odparła Sophie. - Jak wszystkim. Jak zawsze.

W środę rano Honey ledwie patrzyła na oczy ze zmęczenia. Powieki same jej się zamykały, głowa raz po raz opadała na ramię. Usłyszała ostry dźwięk klaksonu. Gwałtownie uniosła głowę, otworzyła oczy i w ostatniej chwili zjechała na właściwą stronę jezdni.

Były w drodze od poniedziałkowego wieczora. Honey przez ten czas nie zmrzyła oka ani na chwilę, a nawet nie dojechały do Oklahoma City. Niedaleko Birmingham straciły tłumik. Wykryły przeciek w chłodnicy koło Shreveport, dwukrotnie łątały tę samą oponę. Honey nie pozwalała sobie na zwątpienie, ale zapas gotówki na czarną godzinę topniał w zastraszającym tempie. Poza tym stawało się oczywiste, że nie wytrzyma dłużej bez snu.

Na sąsiednim siedzeniu Chantal spała jak niemowlę, zarumieniona od upału. Czarne loki rozwiewał wiatr.

- Chantal, obudź się.

Dziewczyna wydeła usta jak naburmuszone dziecko. Przeciągnęła się leniwie.

- Co jest? - spytała.

- Musisz usiąść za kierownicą a ja się zdrzemnę.

- Nie lubię prowadzić, Honey. Zatrzymajmy się gdzieś na parkingu i tam się prześpisz.

- Nie zdążymy do Los Angeles, jeśli się zatrzymamy. I tak mamy duże opóźnienie.

- Nie chcę prowadzić, Honey. Boję się.

Honey uznała, że warto nalegać. Gdy ostatnio posadziła Chantal za kierownicą kuzynka cały czas narzekała i Honey nawet nie zmrzyła oka.

Po raz kolejny ciężarówka wjechała na niewłaściwy pas. Honey potrząsnęła głową. Nagle zahamowała gwałtownie, bo zobaczyła autostopowicza.

- Honey, co ty robisz? - spytała Chantall.

- Nie martw się, wszystko w porządku.

Zjechała na pobocze i wysiadła, nie gasząc silnika. Autostopowicz ruszył w jej stronę. Na ramieniu miał wytartą płócienną torbę.

Nie chciała ryzykować życia i cnoty Chantal, zabierając zboczeńca, więc z uwagą przyglądała się chłopakowi. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, miłą twarz, ciemne włosy, senne oczy i skąpy wąsik. Podbródek świadczył o słabości charakteru, ale uznała, że nie może go winić za, być może, wady przodków.

Na widok wytartych drelichów wstąpiła w nią nadzieja.

- Jesteś żołnierzem? - zapytała.

- Nie.

Zmarszczyła brwi.

- Studentem?

- Studiowałem przez jeden semestr w college'u w Iowa, ale mnie wylali. Skinęła głową.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Albuquerque.

Wydawał się niegroźny, ale czy tego samego nie dałoby się powiedzieć o wszystkich seryjnych mordercach, o których czytała w brukowcach Chantal?

- Prowadziłeś kiedyś półciężarówkę?

- Pewnie, nawet traktor. Moi starzy mają farmę niedaleko Dubuque.

- Nazywam się Honey Jane Moon.

- Śmiesznie.

- Tak? Cóż, nie ja wybierałam te imiona, więc byłabym rada, gdybyś zachował swoją opinię dla siebie.

- Zgoda. Gordon Delaweese.

Wiedziała, że musi zaraz podjąć decyzję, a nie mogła sobie pozwolić na błąd.

- Chodzisz do kościoła, Gordon?

- Nie, już nie, ale kiedyś byłem metodystą.

To nie to samo co baptysta, ale wystarczy. Wsunęła kciuki za szlufki dżinsów i posłała mu władcze spojrzenie, żeby od początku wiedział, kto tu rządzi.

- Moja kuzynka Chantal i ja jedziemy do Kalifornii. Chantal ma przesłuchanie w studiu telewizyjnym i zagra w serialu. Jedziemy bez żadnych postojów, bo musimy tam być jutro o ósmej rano. Inaczej Chantal straci szansę. Jedno głupstwo i wykopię cię na zbity pysk, jasne?

Gordon skinął głową tak niemrawo, że nabrała podejrzeń, iż jest równie tępy jak Chantal. Zaprowadziła go do samochodu i oznajmiła, że ma prowadzić.

Popatrzył na nią i podrapał się w pierś.

- Ile ty masz lat? - spytał.

- Prawie dwadzieścia. W zeszłym tygodniu wyszłam z więzienia, siedziałam za strzelenie pewnemu dupkowi w głowę. Więc jeśli masz trochę oleju w głowie, będziesz robił, co ci każę.

Nie odzywał się więcej. Cisnął torbę na platformę i tylko zamrugał na widok Chantal. Honey wsiadła od strony pasażera, spychając kuzynkę na środek. Zasnęła, zanim wrócili na autostradę.

Obudziła się kilka godzin później. Ledwie zobaczyła, jakim wzrokiem patrzą na siebie Gordon Delaweese i Chantal Booker, zrozumiała, że popełniła poważny błąd.

- Ładna jesteś - oznajmił Gordon, rumieniąc się pod spojrzeniem Chantal.

Położyła rękę na oparciu i pochyliła się ku niemu jak kwiat bawełny na wietrze.

- Podobają mi się mężczyźni z wąsami.

- Naprawdę? A już chciałem je zgolić.

- Och nie, nie rób tego. Z tymi wąsami wyglądasz jak Burt Reynolds.

Honey oprzytomniała w jednej chwili.

Chantal paplała jak zauroczona nastolatka:

- Podziwiam cię, że tak jeździsz po całym kraju i smakujesz życia.

- Moim zdaniem trzeba zasmakować wszystkiego, jeśli się chce być artystą - odparł Gordon. Zjechał na lewy pas, żeby wyprzedzić gruchota w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż ich pojazd.

- Dotychczas nie poznałam żadnego malarza.

Honey nie spodobał się miękki, uwodzicielski ton kuzynki. Nie czas na miłosne komplikacje. Dlaczego, do licha, Chantal zakochuje się w każdym napotkanym chłopaku? Uznała, że czas włączyć się do rozmowy.

- To nieprawda, Chantal. Zapomniałaś już, że pewien malarz malował fresk przed Domem Strachów?

- To nie to samo - skarciła ją Chantal. - Gordon jest prawdziwym artystą.

Honey podobał się fresk na Domu Strachów, ale miała chyba niezbyt wyrafinowany gust. Gordon posłał Chantal kolejne dumne spojrzenie i Honey uznała, że czas najwyższy sprowadzić go na ziemię.

- Ile obrazów namalowałeś, Gordon?

- Nie wiem.

- Ponad sto?

- Nie, na pewno nie.

- Ponad pięćdziesiąt?

- Nie.

Honey prychnęła pogardliwie.

- Nie pojmuję, jakim prawem nazywasz się malarzem, skoro nie namalowałeś nawet pięćdziesięciu obrazów.

- Liczy się jakość, nie ilość - odezwała się Chantal.

- A odkąd znasz się na sztuce, Chantal Booker? Wiem doskonale, że interesują cię jedynie rysunki nagich ludzi.

- Nie zwracaj uwagi na Honey, Gordonie. Czasami marudzi.

Honey najchętniej kazałaby mu zjechać na pobocze i wynosić się z jej samochodu. Wiedziała jednak, że bez niego nie zdąży na czas do Los Angeles, więc ugryzła się w język.

Nie miała ochoty patrzeć, jak robią do siebie maślane oczy, wyjęła więc dokumenty, które dostała od Moniki Waring. Były tam informacje, jak dojechać do studia, i krótkie streszczenie *Dash Coogan Show*. Zaczęła czytać.

Humor sytuacyjny: były jeździec rodeo Dash Jones (Dash Coogan) poślubia bogatą damę ze Wschodniego Wybrzeża Eleanor Chadwick (Liz Castleberry) i oboje doświadczają na własnej skórze, że ponowne małżeństwo to ubaw po pachy. On tęskni za życiem na wsi, ona uwielbia przyjęcia i blichtr. Sprawy się komplikują, gdy jego piękna nastoletnia córka Celeste (szukamy) i niemal dorosły syn Eleanor Blake (Eric Dillon) zakochują się w sobie.

Honey głowiła się, kto wymyśla takie scenariusze. *Dash Coogan Show* wcale nie wydał jej się zabawny. Cóż, tłumaczyła sobie, pan Coogan na pewno nie zgodziłby się zagrać w kiepskim serialu.

Nigdy nie kochała się w gwiazdorch filmowych, w przeciwieństwie do Chantal, ale zawsze darzyła sympatią Dasha Coogana i lubiła jego filmy. Dopiero teraz jednak dotarło do niej, że od dawna niczego nie nakręcił. Pewnie westerny wyszły z mody.

Przeszył ją dreszcz podniecenia. To by było coś, gdyby poznała samego Dasha Coogana. O tak, to by było coś.

Rozdział trzeci

Honey przepchnęła najlepszą sukienkę Chantal przez otwarte okienko damskiej toalety na stacji benzynowej Shella.

- Pospiesz się, Chantal. Dochodzi jedenasta. Przesłuchania zaczęły się trzy godziny temu.

Stara sprana koszulka z Myrtle Beach przywierała do jej ciała, tak bardzo spociła się ze zdenerwowania. Nerwowo wytarła mokre dłonie o spodniczki i zawołała:

- Szybciej, Chantal! - Jej żołądek fikał koziołki. A co, jeśli przesłuchanie już się skończyło? Ciężarówka zepsuła się na drodze do San Bernardino,

a Chantal i Gordon wdali się w kłótnię zakochanych. Honey miała wrażenie, że to nie rzeczywistość, ale sen, taki, z którego nie możesz się obudzić, choć bardzo chcesz. - Jeśli się nie pośpieszysz, spóźnimy się na przesłuchanie.

- Chyba dostanę okres - jęknęła Chantal za drzwiami.
- Jestem pewna, że tam, gdzie jedziemy, mają łazienki.
- A jeżeli nie mają automatów z tamponami? Co wtedy?
- Kupię ci te cholerne tampony! Jeśli zaraz stamtąd nie wyjdiesz...

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Chantal. Czysta i schludna w białej plażówce wyglądała, jakby wyszła z reklamy proszku do prania.

- Nie musisz tak wrzeszczeć - powiedziała.
- Przepraszam, denerwuję się. - Honey złapała kuzynkę za ramię i pociągnęła do ciężarówki.

Gordon posłusznie czekał w kabinie. Zgodnie z jej poleceniem nie wyłączył silnika. Honey zepchnęła go na bok i sama usiadła za kierownicą. Nigdy dotąd nie prowadziła samochodu w mieście większym od Charlestonu, więc zgiełk i ruch Los Angeles wprawiały ją w przerażenie, ale nie ma czasu na obawy. Minęło kolejne pół godziny, zanim znalazła studio. Spodziewała się zapierającej dech w piersiach budowli, tymczasem wysokie betonowe ściany przywodziły na myśl więzienie. Tracili dalsze bezcenne minuty, gdy strażnik słuchał jej wyjaśnień. W końcu pozwolił im wjechać.

Mając w pamięci jego wskazówki, Honey jechała wąskimi uliczkami, skręciła w lewo i zatrzymała się przed budynkiem z małymi okienkami przy wejściu. Pociła się tak bardzo, że wyglądała, jakby dopiero co wyszła spod prysznica. Liczyła, że pozbędą się Gordona na stacji Shella, ale nie było szans, by zostawił Chantal. Zarośnięty, w brudnych ciuchach, nie wyglądał zbyt apetycznie, więc Honey kazała mu czekać w samochodzie. Przywykł, jak Chantal, że to ona wydaje polecenia, i usłuchał bez protestów.

Kobieta przy wejściu poinformowała, że przesłuchania jeszcze trwają, ale wezwano już ostatnią kandydatkę. Przez jedną okropną chwilę Honey myślała, że zaraz usłyszą, iż przybył za późno, lecz kobieta zaprowadziła je do obskurnej poczekalni o szarych ścianach. Na podłodze walały się gazety i puszki po dietetycznych napojach.

Gdy zostały same, Chantal złapała kuzynkę za ramię.

- Boję się, Honey. Chodźmy stąd. Nie chcę...

W akcie desperacji Honey zaciągnęła ją przed wielkie lustro.

- Popatrz na siebie, Chantal Booker. Połowa gwiazd filmowych jest od ciebie brzydsza. Ściągnij ramiona, głowa do góry. Kto wie? Może za chwilę w tych drzwiach stanie sam Burt Reynolds?

- Nie mogę, Honey. Boję się. Poza tym, odkąd poznałam Gordona Delawese, właściwie już nie myślę o Burcie Reynoldsie.

- Na Boga, Chantal, Gordona znasz od niecałych dwudziestu czterech godzin, a w Burcie kochałaś się od dwóch lat. Nie powinnaś tak szybko

z niego rezygnować. Ani słowa więcej. Cała nasza przyszłość zależy od dzisiejszego dnia.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i męski głos oznajmił:

- Powiedz jej, że muszę się widzieć z Rossem, dobrze?

Honey odruchowo przygotowała się do walki z nowym wrogiem, kimkolwiek by był. Zaciśnęła zęby i odwróciła się na pięcie.

Zaparło jej dech w piersiach. Poczowała się, jakby rąbnęła w nią wielka ciężarówka bez hamulców, na stromym zboczu.

Facet, który wszedł do poczekalni, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, był wysoki, szczupły, ciemnowłosy. Spod gęstych brwi patrzyły oczy turkusowe jak siodła koników na karuzeli nad Silver Lake. Zdawały się przenikać do najtajniejszych zakamarków jej duszy. Gdy spotkała spojrzenie tych oczu, nieoczekiwanie poczuła się kobietą.

Niedostatki urody bolały teraz jak otwarte rany: piegowata chłopięca twarz, krzywo obcięte włosy, za duże usta. Na szortach miała smar samochodowy, na koszulce plamy z soku pomarańczowego, a plastikowe niebieskie sandały nie wiadomo kiedy straciły jeden pasek. Cierpiała męki piekielne na myśl, że jest niska i płaska, pozbawiona atrybutów kobiecości.

Mężczyzna spokojnie patrzył na Honey i Chantal, jakby stawianie twarzy w twarz z oszołomionymi kobietami stanowiło jego chleb powszedni. Honey nie udało się nawet wykrztusić zwykłego dzień dobry. Czekwała, aż Chantal się odezwie. Ale Chantal, zawsze taka śmiała wobec chłopców, schowała się za nią. Kiedy w końcu się odezwała, mówiła do Honey, a nie do pięknego nieznanego.

- To Jared Fairhaven - szepnęła.

- Dzie...dzień dobry, panie Fairhaven - wykrztusiła w końcu Honey cieniutkim głosem, w niczym nie przypominającym władczego tonu, którym dyrygowała robotnikami nad Silver Lake.

Oczy Jareda błędziły po tych częściach ciała Chantal, których nie zasłaniała drobna figurka Honey. Nie uśmiechał się, jego wąskie, poważne usta nie wyglądały na usta żartownisia.

- Nazywam się Eric Dillon. Jared Fairhaven to postać, która grałem w *Przeznaczeniu* - powiedział.

Honey przypomniała sobie jak przez mgłę, że *Przeznaczenie* to jedna z ulubionych oper mydlanych ciotki Sophie.

Poczowała bolesne ukłucie, widząc, jakim wzrokiem Eric pochłania jej kuzynkę. Ale czego niby miała się spodziewać? Że zwróci na nią uwagę w obecności Chantal?

Honey nie pojmowała, czemu kuzynka chowa się za nią, zamiast jak zwykle flirtować i kokietować. Nie zniesie tego dłużej, nie chce, by uznał, że jest nie tylko brzydka, ale i głupia. Przełknęła głośno ślinę.

- Nazywam się Honey Jane Moon. To moja kuzynka, Chantal Booker. Jesteśmy z Karoliny Południowej, z okręgu Paxawatchie, i przyjechałyśmy, żeby Chantal wzięła udział w przesłuchaniach do serialu *Dash Coogan Show*.

- Naprawdę? - miał niski, ciepły głos. Podszedł bliżej, pochłaniając przy tym Chantal wzrokiem i całkowicie ignorując Honey. - Witaj, Chantal Booker.

Mówił cicho, jedwabistym szeptem, aż Honey zrobiło się ciepło na sercu. Niespodziewanie Chantal pociągnęła ją w stronę drzwi.

- Chodźmy, Honey, chodźmy stąd jak najszybciej - powiedziała.

Honey chciała się sprzeciwić, ale Chantal była zdecydowana. Słodka, leniwa Chantal o sile woli komara ciągnęła ją do wyjścia!

Honey złapała się automatu z napojami.

- Co ci jest? Nigdzie nie idziemy!

- A właśnie że tak. Nie chcę tu być. Wychodzimy.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich młoda kobieta z notatnikiem w dłoni. Wydawało się, że widok Erica Dillona zbił ją z tropu, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą. Zwróciła się do Chantal.

- Czekamy, panno Booker.

Chantal puściła Honey i bezradnie zagryzła usta.

- Błagam, nie każ mi tego robić - zwróciła się do kuzynki.

Honey gryzło sumienie, ale nie uległa:

- Musisz - oznajmiła. - Nie mamy innego wyjścia.

-Ale...

Eric Dillon wziął Chantal za ramię.

- Pójdę z panią - powiedział.

Honey wydawało się, że kuzynka wzdrygnęła się, czując jego dotyk. Uznała jednak, że to wyobraźnia płata jej figle; wszak Chantal nie brzydziła się żadnego mężczyzny. Chantal opuściła głowę i zrezygnowana pozwoliła, by Eric Dillon wyprowadził ją z poczekalni.

Drzwi zamknęły się za nimi. Honey położyła rękę na piersi, chcąc uspokoić rozszalałe serce. Właśnie waży się ich przyszłość, a ona myśli tylko o Ericu Dillonie! Gdyby była ładniejsza, może poświęciłby jej chwilę uwagi. Nie można go jednak obwiniać, że zlekceważył brzydką wieśniaczkę, która zresztą wygląda jak chłopak.

Nerwowo podeszła do okna i wyjrzała na parking. Gdzieś w oddali słyszała syrenę ambulansu. Miała mokre dłonie. Policzyła do dziesięciu i wyjrzała na dwór. Niewiele było do oglądania: krzaki, ciężarówki dostawcze...

Drzwi otworzyły się ponownie i stanęła w nich Chantal, tym razem sama.

- Powiedzieli, że nie jestem w ich typie.

Honey zamrugała powiekami.

Nie minęło nawet pięć minut. Przejechały taki kawał drogi, a ci ludzie nie poświęcili Chantal nawet całych pięciu minut.

Marzenia Honey rozsypały się jak domek z kart. Pomyślała o z trudem zaoszczędzonych pieniądzach, które wydała na przyjazd tutaj. Pomyślała o swoich planach i marzeniach. Świat zawirował, niebezpieczny, nieprzewidywalny. Utraci dom i nie uda jej się utrzymać rodziny razem. A oni nie poświęcili Chantal nawet pięciu minut.

- Nie!

Wybiegła przez drzwi, w których ciągle stała kuzynka, i popędziła wzdłuż korytarza. Nie pozwoli się tak traktować! Nie po tym wszystkim, co przeszła. Ktoś jej za to zapłaci!

Chantal wołała coś za nią. Ale Honey już dostrzegła metalowe drzwi, nad którymi jaśniała czerwona żarówka. Głos kuzynki zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Z bijącym sercem podeszła do drzwi. Naparła na nie całym ciałem i wpadła prosto do studia.

- Wy sukinsyny! - krzyknęła.

Pół tuzina głów zwróciło się w jej stronę. Niewyraźne, rozmazane twarze kobiet i mężczyzn. Kilka osób stało, inni siedzieli na składanych krzesłach za stołem, na którym piętrzyły się papierowe kubeczki i papiery po hamburgerach. Eric Dillon opierał się o ścianę i palił papierosa, ale nawet jego urok nie powstrzymał Honey przed wykrzyknięciem okropnej niesprawiedliwości, która ją spotkała.

Wysoka kobieta podniosła się z krzesła.

- Chwileczkę, młoda damo - zaczęła, zbliżając się do Honey. - Nie masz tu czego szukać.

- Moja kuzynka i ja przejechałyśmy taki kawał drogi, aż z Karoliny Południowej, wy cholerne sukinsyny! - wrzasnęła Honey i odsunęła z drogi składane krzesło. - Trzy razy łapałyśmy gumę, wydałyśmy wszystkie nasze pieniądze, a wy nie poświęciliście jej nawet pięciu minut!

- Wezwijcie ochronę - poleciła wysoka kobieta.

Honey spojrzała na nią.

- Chantal jest ładna i słodka, a wy potraktowaliście ją, jakby była kawałkiem gówna...

Kobieta strzeliła palcami.

- Richard, zabierz ją stąd.

- Myślicie, że możecie ją traktować, jak wam się podoba, bo jesteście Bóg wie kim w Hollywood. Ale to wy jesteście niczym, rozumiecie? Pani i te inne dupki...

Teraz i pozostali zerwali się z krzesel. Patrzyła na nich płomiennym wzrokiem.

- Wszyscy będziecie się smażyć w piekle. Pochłoną was płomienie wiecznego ognia i...

- Richard! - wysoka kobieta nie tyle krzyknęła, co szczeknęła rozkazująco.

Tęgi rudowłosy mężczyzna w okularach złapał Honey za ramię.

- Wychodzisz stąd - syknął.

- Ani mi się śni. - Wzięła zamach i z całej siły kopnęła go w łydkę. Bose palce stóp napotkały twardą kość. Aż jęknęła z bólu.

Rudy skorzystał z okazji i pchnął ją w stronę drzwi.

- To prywatne spotkanie - powiedział. - Nie wolno tak po prostu wpaść i wszystkim ubliżać.

Walczyła z nim, daremnie usiłowała wyswobodzić ramię z żelaznego uścisku. - Puszczaj, ty chamie! Zabiłam człowieka! Trzech!

- Wezwaliście straż? - spytał siwowłosy mężczyzna w koszuli i krawacie.

- Tak, Ross - odpowiedział ktoś. - Już tu idą.

Rudy mężczyzna prawie dociągnął ją do drzwi. Był tłusty i ociężały, nie stanowiłby godnego przeciwnika dla kogoś o umiarkowanej nawet sile. Niestety, Honey była za słaba. Och, dlaczego nie jest większa, silniejsza, bardziej męska? Już ona by im wszystkim pokazała!

Uderzyła go pięścią, obsypywała wszystkich wszelkimi znanymi sobie przekleństwami. Byli tacy zadowoleni z siebie, tacy zadufani, cholerni bogacze. W domu czekają na nich rodziny...

- Puść ją - usłyszała za plecami męski głos.

Kobieta o surowej twarzy głośno zaczerpnęła tchu.

- Dopiero za drzwiami - rzekła.

I znowu męski głos:

- Powiedziałem, że masz ją puścić.

Siwy mężczyzna imieniem Ross przyszedł w sukurs kobiecie.

- To nie jest rozsądne posunięcie.

- Nie obchodzi mnie, czy to rozsądne czy nie. Richard, puść ją.

O dziwo, po chwili Honey była wolna.

- Podejź tu, mała - poprosił mężczyzna.

Odruchowo odwróciła się w jego stronę.

Miał głębokie bruzdy przy ustach i czoło opalone do połowy. - Dolna część twarzy miała ciepły brązowy odcień, a górna, tam, gdzie osłaniało ją rondo kapelusza, była zdecydowanie jaśniejsza. Był szczupły i muskularny; nie musiał nawet ruszać się z miejsca, by Honey odgadła, że chodzi rozkołysanym krokiem kowboja. Pomyślała, że najodpowiedniejszym dla niego miejscem byłaby reklama marlboro; wyobrażała go sobie na plakacie, w kapeluszu na głowie i z papierosem w kąciku ust. Ale nie, miał na to zbyt poważną twarz. Krótkie, gęste włosy lśniły złotem i miedzią. Wyglądał na niewiele więcej niż czterdzieści lat, ale piwne oczy mogłyby równie dobrze należeć do stułetniego starca.

- Nie jestem mała. Nazywam się Honey Jane Moon.

- Coś takiego.

Czekała, aż zdobędzie się na niewybredny żart na temat jej nazwiska, ale stał bez ruchu. O nic nie prosił, zdawał się czekać. Spodobało jej się jego ubranie; sprana dżinsowa koszula, spodnie nieokreślonego koloru, zniszczone buty - wszystko wygodne i stare.

- Miałaś ochotę chwilę ze mną porozmawiać? zaproponował. - Dzięki temu trochę ochłoniesz.

Zrobiło jej się słabo, bo mijało poprzednie napięcie. Bolał ją żołądek.

- Dobrze - odparła.

Wskazał dwa krzesła ustawione na niebieskim tle. Honey nie zwracała uwagi na ściszone głosy dokoła.

- Siadaj, Honey - polecił. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę, żeby włączono kamery podczas naszej pogawędki.

Mężczyzna imieniem Ross zbliżył się o krok.

- Nie widzę ku temu najmniejszego powodu - rzekł.

Wybawca Honey posłał mu lodowate spojrzenie.

- Ross, od miesiąca robimy to po twojemu - rzucił chłodno. - Mam tego dosyć.

Honey podejrzliwie zerknęła na kamery.

- Dlaczego mają być włączone? Chce mnie pan wpakować za kratki?

Roześmiał się.

Policja zainteresowałaby się raczej mną niż tobą.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Nie miałaś nic przeciwko temu, żebym to ja zadawał pytania? -

Wskazał głową krzesło; nie kazał usiąść, ale to zaproponował. Przycupnęła nieśmiało.

Była to bardzo mądra decyzja, bo jeszcze chwila, a nogi nie utrzymałyby jej ciężaru.

- Powiesz mi, ile masz lat?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Przyglądała mu się uważnie, usiłowała odgadnąć jego intencje, ale z nieruchomej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

- Szesnaście - odparła ku własnemu zdumieniu.

- Wyglądasz raczej na dwanaście, trzynaście.

- Wyglądam jak chłopak, a nim nie jestem.

- Wcale nie uważam, żebyś wyglądała jak chłopak.

- Nie?

- Nie. Szczerze mówiąc, uważam, że słodkie z siebie stworzenie.

Nie zdążyła zapytać, czy jest męską szowinistyczną świnia, bo już zadał kolejne pytanie:

- Skąd pochodzisz?

- Z okręgu Paxawatchie, z Karoliny Południowej, z Parku Rozrywki Silver Lake, ojczyzny Czarnego Gromu. Może pan o nim słyszał, to

najsłynniejsza kolejka górską na Południu. Zdaniem niektórych, nawet w całym kraju.

— Nie wiedziałem.

— Właściwie już nie mieszkam w parku, bo szeryf go zamknął w zeszłym tygodniu.

— Przykro mi.

Jego współczucie wydawało się szczere. Honey zaczęła opowiadać, co się stało. Był spokojny i niczego od niej nie wymagał, miała wrażenie, że za każdym razem zostawia jej wybór - że wcale nie musi odpowiadać na jego pytania. Nie wiadomo kiedy zapomniała o innych ludziach w studiu, o kamerach i o światłach. Założyła nogę na nogę, masowała bolące palce u stóp i opowiadała mu o wszystkim: o śmierci wujka Earla, o „Bobbym Lee”, o zawodzie, jaki sprawił jej pan Disney. Nie wspomniała tylko o psychicznym stanie ciotki Sophie; nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że ma wariatkę w rodzinie.

Po pewnym czasie palce przestały boleć, ale wtedy akurat doszła do opowieści o podróży przez cały kraj i żółdek ponownie fiknął koziołka.

— Widział pan moją kuzynkę? - zapytała.

Skinął głową.

— Dlaczego daliście jej niecałe pięć minut? Jak mogliście ją tak potraktować? Nie uważa pan, że jest piękna?

— Tak, jest bardzo ładna. Rozumiem, dlaczego jesteś z niej dumna.

— Pewnie, że jestem. Jest ładna i słodka i weszła tu, choć umierała ze strachu.

— Właściwie zachowywała się, jakby już umarła. Nie chciała nawet usiąść przed kamerą. Nie każdy ma do tego dryg.

— Ona ma - Honey obstawała przy swoim. - Jeśli się chce, można wszystko.

— Idziesz przez życie, wymachując pięściami, prawda?

— Robię, co muszę.

— Wygląda na to, że nikt się tobą nie opiekuje.

— Sama się o siebie troszczę. I o moją rodzinę. Znajdę nam dom, w którym będziemy zawsze razem. Nie pójdziemy na garnuszek opieki społecznej.

— To dobrze. Nikt nie lubi przyjmować jałmużny.

— Dla mnie najważniejsze jest utrzymanie rodziny razem.

Zapadła cisza. Poza światłami widziała ruch i ożywienie. Dziwnie się poczuła, mając świadomość, że wszyscy na nią patrzą, nic nie mówią i tylko obserwują, jak sępy.

— Płaczesz czasami, Honey?

— Ja? Nie, nigdy.

— Czemu?

— A co by mi z tego przyszło?

— Idę do zakładu, że płakałaś, kiedy byłaś malutka.

- Tylko po śmierci mamy. Potem, ilekroć było mi źle, wsiadałam na Czarny Grom.

- Dlaczego?

Nie, nie powie mu, że podczas jazdy odczuwała bliskość Boga.

- Kolejka górską daje nadzieję - odparła. - Podczas przejazdki można się uporać z każdą, najgorszą tragedią życiową, nawet ze śmiercią.

Nagły odgłos przykuł jej uwagę. Eric Dillon z całej siły pchnął metalowe drzwi i wyszedł.

Mężczyzna obok niej poruszył się nieznacznie.

- Chcę cię o coś prosić, Honey. To chyba nie będzie nic trudnego. O ile dobrze wszystko zrozumiałem, ci ludzie są ci coś winni. Przejechałyście taki kawał drogi, żeby się z nimi zobaczyć, więc powinni przynajmniej umieścić ciebie i kuzynkę w dobrym hotelu na kilka dni.

Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Ci ludzie uważają, że jestem gorsza niż larwa na zepsutym mięsie. Czemu mieliby płacić za mnie i Chantal?

- Bo ja im każę.

Jego pewność siebie wzbudziła w Honey mieszaninę podziwu i zazdrości. Chciałaby być taka jak on, chciałaby, by wszyscy robili, co im każe. Przemyślała jego propozycję i nie dostrzegła w niej żadnej pułapki. Zresztą i tak nie dałaby rady wrócić do Karoliny Południowej bez snu i jedzenia. Zwłaszcza że zostały bez grosza przy duszy.

- No dobrze. Zostaniemy, ale na krótko.

Skinął głową i nagle wszyscy poruszyli się jednocześnie. Asystentka, ta sama, która poprzednio przysłała po Chantal, zbliżyła się do Honey. Powiedziała, że ma na imię Maria i że pomoże im rozłokować się w hotelu. Wysoka kobieta o ponurej twarzy była szefową castingu i przełożoną Marii. Mężczyzna w koszuli i krawacie, ten siwy, nazywał się Ross Bachardy i był jednym z producentów.

Maria zaprowadziła Honey do drzwi.

- Wie pan, nie jestem głupia - rzekła Honey, zanim wyszła ze studia. Od pierwszej chwili wiedziałam, kim pan jest.

Dash Coogan skinął głową.

- Tak też myślałem.

Ledwie za Honey i Marią zamknęły się drzwi, Ross Bachardy rzucił plik kartek na ziemię i zerwał się na równe nogi.

- Musimy porozmawiać, Dash - powiedział.

Dash obmacywał kieszenie, aż znalazł całe opakowanie miętusów. Rozerwał foliową torebkę, wsunął do ust białą pastylkę i ruszył za Rossem do bocznych drzwi. Minęli parking, i po chwili weszli do niskiego niepozornego

budynku, mieszczącego biuro produkcji i sale montażowe. Ściany gabinetu Rossa zdobiły fotosy gwiazd z autografami i cytaty z filmów i seriali, które wyprodukował. Na środku biurka stał wielki pojemnik z okrągłymi żelkami.

- Przegiąłeś, Dash.

Dash wyjął kolejnego miętusa.

- Skoro serial i tak wyląduje w koszu, nie powinieneś zawracać sobie głowy takimi drobiazgami.

- Nie wyląduje w koszu.

- Ross, może nie jestem najinteligentniejszym człowiekiem na świecie, ale umiem czytać, a scenariusz odcinka pilotażowego, scenariusz, który, jak mnie zapewniałeś, będzie wspaniały i cholernie śmieszny, jest do kitu. Związek między Dashem i Eleanor to idiotyzm. Po cholere w ogóle się pobrali? A to nie jedyny problem. Papier toaletowy jest bardziej fascynujący niż moja córka, Celeste. Nie do wiary, że tak zwani pisarze wyprodukowali takiego gniotu.

- Pracujemy nad zmianami - obruszył się Ross. - Na początku zawsze jest trudno. Nowa wersja będzie o wiele lepsza.

Te zapewnienia nie przekonały nawet jego samego. Podszedł do barku i wyjął butelkę whisky. Zwykle nie pił dużo, a już nigdy tak rano, ale dzisiaj miał wszystkiego dosyć. Nalał sobie sporą porcję i dopiero wtedy dotarło do niego, kto jeszcze jest w gabinecie. Pospiesznie odstawił butelkę.

- Boże, Dash, przepraszam, nie pomyślałem.

Dash przez chwilę przyglądał się butelce whisky, po czym wyjął kolejnego miętusa.

- Możesz spokojnie pić w mojej obecności. Nie tknąłem alkoholu od sześciu lat. Nie rzucę się na butelkę, bez obaw.

Ross uniósł szklankę do ust, ale najwyraźniej czuł się nieswojo. Walka Dasha Coogana z alkoholizmem była powszechnie znana, podobnie jak jego trzy nieudane małżeństwa i ostatnie kłopoty z urzędem skarbowym.

Jeden z techników zajrzał przez uchylone drzwi.

- Co mam zrobić z taśmą? Tą z panem Cooganem i małą?

Dash stał bliżej drzwi i to on wyciągnął rękę po kasetę.

- Dać ją mnie.

Technik odszedł. Dash popatrzył na taśmę.

- Tutaj masz twój serial - oznajmił spokojnie - Tutaj. Mała i ja.

- To śmieszne. Gdybyśmy ją wzięli, serial byłby zupełnie inny.

- Na pewno. Może nie byłyby to taki stek bzdur jak obecnie. - 'Cisnął kasetę na biurko. - Mała jest dokładnie tym, czego szukaliśmy, stanowi brakujący element łańcuchówki. Dzięki niej serial będzie się trzymał kupy.

- Celeste ma osiemnaście lat i jest piękna. A ta mała wygląda na dwanaście i z całą pewnością nie jest piękna.

- Może nie jest piękna, ale za to ma charakter.

- Jej romans z Dillonem to spory kawał scenariusza. Dziewczyna nie pasuje do niego.

Coogan skrzywił się, słysząc nazwisko młodego aktora. Nie ukrywał swojej niechęci do Dillona. Ross pożałował, że poruszył ten temat.

- To kolejny punkt, w którym się różnimy - zauważył Dash. - Zamiast zatrudnić kogoś odpowiedzialnego, wzięłeś młodego piękniś znanego ze strojenia fochów.

Pierwszy raz tego dnia Ross poczuł się pewniej.

- Tak się składa, że ten piękniś uchodzi za najzdolniejszego młodego aktora, jakiego widziano w tym mieście od lat. *Przeznaczenie* miało fatalną oglądalność, ale w ciągu pół roku, odkąd się pojawił, wysunęło się na prowadzenie wśród oper mydlanych.

- Tak, widziałem. Przechadza się po ekranie bez koszuli. I to ma być gra?

W naszym serialu też będzie bez koszuli. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy nie wykorzystali jego urody i seksapilu. Ale nie myśl, że tylko do tego sprowadza się jego talent. Jest szalony, zapalczywy i jeszcze nie pokazał, na co go stać.

- Skoro jest taki zdolny, powinien dać sobie radę z bardziej skomplikowaną rolą niż uwodzenie południowej piękności, którą chcesz mi wciśnąć na córkę.

- Idea serialu...

- Idea serialu jest do kitu. Do kitu jest sam pomysł, bo publiczność za nic nie zrozumie, dlaczego dama z towarzystwa wyszła za nieokrzesanego kowboja. I nikt nie uwierzy, że jedna z tych ślicznotek to moja córka. Wiesz równie dobrze jak ja, że daleko mi do Lawrence'a Oliviera. Gram siebie samego, tego zresztą ludzie oczekują. Te dziewczyny do mnie nie pasują.

- Dash, ta mała nie zagrała nawet jednej sceny. Słuchaj, jeśli naprawdę myślisz o tym poważnie, ściągniemy ją tu jutro i zagracie pierwszą scenę Dasha i Celeste. Sam się wtedy przekonasz, że to bezsensowny pomysł.

- Nadal nie rozumiesz, co, Ross? Nie zagramy sceny początkowej, bo to chała. Ta mała nie zagra Celeste. Zagra siebie - Honey.

- To wywraca cały serial do góry nogami!

- Serial jest do chrzanu.

- Nie wiadomo, skąd się wzięła, nic o niej nie wiemy.

- Wiemy, że jest w połowie dzieciakiem, a w połowie generałem, że jest młodsza niż w rzeczywistości i zarazem dużo, dużo starsza.

- Nie jest aktorką, do licha.

- Może i nie, ale popatrz mi w oczy i powiedz z ręką na sercu, że nie spodobał cię sposób, w jaki ze mną rozmawiała.

Ross pokręcił głową.

- No dobra, przyznaję, ma charakterek. Ba! powiem nawet, że doskonale razem wyglądaliście. Ale w *Dash Coogan Show* nie o to chodzi. Ty

i Liz jesteście świeżo upieczonymi małżonkami z dorosłymi dziećmi. Słuchaj, Dash, obaj wiemy, że odcinek pilotażowy nie jest tak dobry, jak się tego spodziewaliśmy, ale to się zmieni. Zresztą nawet jeśli pierwszy odcinek będzie kiepski, serial chwyci, bo ludzie chcą cię oglądać. Amerykanie cię kochają, Dash. Byłeś i jesteś najlepszy, i nic tego nie zmieni.

- Taak, masz rację, nikt równie dobrze jak ja nie gra Dasha Coogana. A teraz przestań szczerzyć zęby i pokaż scenarzystom nagranie. Sądząc po ich dotychczasowych dokonaniach, nie są tak głupi, jakby się wydawało. Daj im czterdzieści osiem godzin na nowy pomysł.

- Za późno na tak drastyczne zmiany!

- Dlaczego? Zdjęcia zaczynamy dopiero za sześć tygodni. Dekoracje zostaną te same. Daj im szansę. Tylko spróbujmy, Ross. I niech tym razem zapomną o nagrany śmiechu.

- Przecież to serial komediowy!

- Więc niech będzie śmieszny.

- Jest śmieszny - upierał się Ross. - Wiele osób uważa, że jest cholernie śmieszny.

- Nie jest ani śmieszny, ani uczciwy. Niech więc będzie choć trochę uczciwy.

Ross odprowadził Dasha wzrokiem, gdy ten zmierzał do drzwi. Aktor miał opinię człowieka niezwracającego uwagi na szczegóły. Nigdy nie narzekał na scenariusz.

Ross wychylił drinka do dna. Może to nic dziwnego, że Dash poświęca akurat temu projektowi więcej uwagi niż innym. Ciężkie życie zostawiło piętno na jego twarzy, przez co wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Był ostatnim z plebienia ekranowych kowbojów, powołańców do życia na początku wieku przez Williama S. Harta i Toma Miksa. Plebienia, które przeżywało szczyt chwały w latach pięćdziesiątych, za czasów Duke'a i Coopa, a w latach siedemdziesiątych kpiło z siebie w osobie Eastwooda, a teraz Dash Coogan był reliktem przeszłości. Ostatni kowboj amerykańskiego kina szukał dla siebie miejsca na ekranie zbyt małym, by pomieścić legendę.

Nic dziwnego, że się bał.

Rozdział czwarty

Eric Dillon był ucieleśnieniem kobiecych marzeń. Ciemnowłosa, śniady, posępny, można by powiedzieć - Heathcliff. Ludzie odprowadzali go wzrokiem, gdy wraz z dwoma kaskaderami przeciskał się przez tłum w Auto Plant, nowym modnym nocnym klubie w Los Angeles.

Kaskaderzy, jasnowłosi i uśmiechnięci, zachowywali się jak lwy salonowe, a Eric był chłodny i daleki. Miał na sobie wytarte dżinsy, czarną koszulkę i sportową marynarkę. Ciemne włosy zaczesał do tyłu. Obserwował świat cynicznym spojrzeniem turkusowych oczu, spojrzeniem zbyt gorzkim jak na kogoś tak młodego.

Sliczna hostessa w sukience raczej odślaniającej niż maskującej jej wdzięki zaprowadziła ich do stolika. Widział po jej minie, że go rozpoznała, ale nie skojarzyła, gdzie występował. Zaskoczyła, dopiero gdy usiadł.

- *Przeznaczenie* to mój ukochany serial, a ty Ericu, jesteś najlepszy.

- Dzięki. - Cholera, czemu dał się namówić na to wyjście? Przecież nie przepadał za Scottym i Tommym.

- Studiuję - oznajmiła hostessa - ale tak sobie ułożyłam zajęcia, że nie opuściłam ani jednego odcinka.

- Coś takiego. - Słyszał to już setki razy. Czasami zastanawiał się, czemu Uniwersytet Kalifornijski w ogóle zawraca sobie głowę organizowaniem wykładów między pierwszą a drugą.

- Nie mieści mi się w głowie, że odchodzisz z *Przeznaczenia* - wydeła usta, przez co wyglądała jak mała dziewczynka, mimo grubej warstwy makijażu. - Wszystko zepsujesz.

- Serial ma doskonałą obsadę. Nawet nie zauważysz, że mnie nie ma.

Obsada była, delikatnie mówiąc, kiepska, w serialu grały głównie gwiazdy dawne albo przyszłe, do tego stopnia lekceważące operę mydlaną, w której przyszło im występować, że nie zawracali sobie nawet głowy porządnym opanowaniem tekstu.

Hostessa wyraźnie szukała pretekstu, by zostać przy nich na dłużej. Odwrócił się do niej tyłem i rzucił coś do Toma. Mimo wyzywającego stroju miała w sobie urzekającą niewinność. Wiedział więc, że nic z tego nie będzie. Nie podrywał niewinnych. Choć miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, przekonał się, że tylko krzywdzi niewinne stworzenia o dużych oczach i miękkich sercach, i trzymał się od nich z daleka.

Hostessa odeszła, jej miejsce zajęła ładniutka kelnerka.

- O, pan Dillon. Nie do wiary. Zaledwie tydzień temu miałam przy moim stoliku Sylvestra Stallone.

- Coś takiego.

- Jaki jest? - zainteresował się Scotty. Kolekcjonował plotki o gwiazdach jak inni autografy. Co więcej, od miesiący starał się o angaż w filmie ze Stallonem.

- Bardzo miły. I dał mi pięćdziesiąt dolarów napiwku.

Scotty parsknął śmiechem i potrząsnął blond głową.

- Pewnie go na to stać. Co za facet!

Eric zamówił piwo. Za bardzo dbał o siebie, by pozwalać sobie na więcej niż dwa drinki. Nie sięgał również po narkotyki. Jedynym jego

nałogiem były papierosy, a i tak obiecał sobie, że rzuci, gdy tylko wszystko się uspokoi.

Przez następnych kilka godzin starał się dobrze bawić. Większość dziewczyn w klubie chciała go poznać, ale był tak chłodny i niedostępny, że zbliżały się tylko te najbardziej agresywne. Facet o bujnej czuprynie proponował mu kokainę, czystą jak kryształ, jak zapewniał, lecz Eric kazał mu spieprzać.

Akurat grał z Tomem w bilard we wnęce pełnej metalowych szafek, gdy podeszła wyzywająca blondynka w błyszczącej niebieskiej sukience. Wystarczył jeden rzut oka, by się przekonał, że to kobieta dla niego - ładna, starsza o cztery, pięć lat, doświadczona. Niezniszczalna. Gdy podeszła, nagle sobie przypomniał, dlaczego dał się namówić na to wyjście. Miał ochotę na seks.

- Cześć. - Powiodła wzrokiem wzdłuż jego ciała, zatrzymała się na rozporzku. - Mam na imię Cindy. Jestem twoją fanką.

Wsunął papierosa w kącik ust i zaciągnął się głęboko.

- Tak?

- Wielką fanką. Założyłam się ze znajomymi, że zdobędę twój autograf.

Posmarował kij kredą.

- I nie dasz się spławić bez autografu, co?

- Absolutnie.

Odłożył kij i wziął od niej czarny gruby flamaster. Czekał, aż poda mu kartkę papieru, ona tymczasem podeszła bliżej powolnym, rozkołysanym krokiem, zsunęła ramiączko i nadstawiła nagie ramię.

Ledwie musnął flamastrem jej skórę.

- Jeśli już mam się podpisywać na skórze, wolałbym na czymś ciekawszym niż tylko ramię.

- Może jestem na to zbyt nieśmiała.

- Ciekawe, dlaczego ci nie wierzę.

Nie zwracała sobie głowy poprawianiem ramiączka. Przysiadła na stole bilardowym i sięgnęła po jego szklankę. Gdy przekonała się, że jest w niej sama lemoniada, bez alkoholu, skrzywiła się z niesmakiem.

- Znam jedną dziewczynę, która twierdzi, że z tobą spała.

- Możliwe. - Rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł obcasem.

- Miałeś wiele dziewczyn?

- To lepsze niż gapienie się w telewizor. - Przesunął wzrok na jej pierś. - Więc chcesz ten autograf czy nie?

Odstawiła szklankę z cichym brzękiem kostek lodu.

- Pewnie, czemu nie. - Z uśmiechem przewróciła się na brzuch i podsunęła mu pośladki. - Tu może być?

Scotty i Tom parsknęli śmiechem.

Eric wahał się tylko przez chwilę. Skoro jej nie zależy, czemu on miałby się przejmować?

- Jak najbardziej - odparł.

Odłożył kij bilardowy, zadarł jej spódnicę i odsłonił parę jasnych pośladków w przezroczystych niebieskich majteczkach. Jedną ręką zsunął figi i zdjął skuwkę z flamastra. Gracze przy sąsiednim stole zobaczyli, co się dzieje, i dali sobie spokój z bilardem. Zamaszyście podpisał się na jej pośladkach - Eric na jednym, Dillon na drugim.

- Szkoda, że nie masz drugiego imienia - zauważył Scotty z obleśnym uśmiechem.

Eric sięgnął po szklanekę i upił spory łyk. Dziewczyna nie ruszała się. Kilka kropel lemoniady spadło na jej nagą skórę. Zadrzała. Eric poczuł, że twardnieje.

Klepnął ją lekko w pośladki i z powrotem naciągnął majteczki.

- Może byśmy stąd wyszli? Co ty na to, Cindy?

Podał szklanekę Tomowi, rzucił Scotty'emu zwitek banknotów dwudziestodolarowych i ruszył do wyjścia. Nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, czy za nim idzie. Zawsze szły.

- Eric, proszę, pozwól mi iść z tobą.

- Daj spokój, mały.

- Ale Eric, ja bym chciał, tu jest strasznie nudno.

- Jeszcze przegapisz dobranockę.

- Ty świnió, dobranockę oglądałem, jak byłem dzieckiem.

- Czyli kiedy, Jase? Dwa tygodnie temu?

- Udajesz mądrą, bo masz piętnaście lat, a ja tylko dziesięć. Proszę cię, Eric. No, proszę.

Eric gwałtownie otworzył oczy. Poduszka była mokra od potu, serce jak szalone waliło mu w piersi. Nerwowo zaczerpnął powietrza.

Jason. O Boże, Jase, tak mi przykro.

Prześcieradło było wilgotne. Dobrze chociaż, że się obudził, zanim nadeszło najgorsze, zanim we śnie usłyszał tamten krzyk.

Usiadł na łóżku, zapalił boczną lampkę, sięgnął po papierosy. Kobieta śpiąca obok poruszyła się.

- Eric?

W pierwszej chwili nie pamiętał, kto to, ale zaraz wszystko wróciło. Dziewczyna z autografem na tyłku. Opuścił stopy na podłogę, zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Wynoś się - rzucił.

- Co?

- Powiedziałem: wynoś się.
- Jest trzecia w nocy.
- Masz samochód.
- Ale Eric...
- Wynoś się, do cholery!

Zerwała się z łóżka, podniosła ubrania. Pospiesznie wciągnęła sukienkę i podeszła do drzwi.

- Wiesz co? Dupek z ciebie. Nie jesteś nawet dobry w łóżku.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, a on ciężko opadł na posłanie. Gapił się w sufit, pałac papierosa. Gdyby Jason żył, miałby dzisiaj siedemnaście lat. Usiłował sobie wyobrazić, jak też wyglądałby jego pulchny, przemądrzały przybrany braciszek jako nastolatek. Niezdarny, śmieszny Jase o złotym sercu, dla którego świat zaczynał się i kończył na starszym bracie. Boże, jak on kochał tego dzieciaka. Bardziej niż kogokolwiek innego.

Powróciły głosy. Nigdy zresztą nie odchodziły daleko.

- Weźmiesz samochód taty, tak?
- Spadaj, gnoju.
- Nie powinienes, Eric. Jeśli się o tym dowie, nie pozwoli ci robić prawa jazdy.
- Nie dowie się, chyba że ktoś mu powie.
- Weź mnie ze sobą, a nie pisnę ani słówka, obiecuję.
- I tak nie powiesz, bo jeśli to zrobisz, spiorę cię na kwaśne jabłko.
- Nieprawda. Zawsze tak mówisz, ale nigdy tego nie robisz.

Eric mocno zacisnął powieki. Pamiętał, jak złapał brata za szyję i delikatnie, dla żartu, poklepał go po głowie. Zawsze uważał, żeby nie zrobić mu krzywdy, chciał tylko trochę go zahartować. Elaine, jego macocha, a matka Jasona, za bardzo go rozpieszczała, i dlatego Eric martwił się o szkraba. Jason był typem dzieciaka, którego rówieśnicy zawsze wybiorą jako obiekt kpín i żartów. Czasami Eric miał ochotę sprać ich wszystkich na kwaśne jabłko. Nie robił tego tylko dlatego, że wiedział, iż tym sposobem tylko zaszkodziłby Jasonowi.

- No dobra, mały. Zabiorę cię dzisiaj, ale pod warunkiem że nie poprosisz o to przez najbliższe dwa miesiące.
- Obiecuję, Eric, słowo honoru.

I go zabrał. Pozwolił, by Jason usadowił się na fotelu pasażera w por-sche 911 ich ojca, samochodzie, którym nie wolno mu było jeździć, bo miał tylko piętnaście lat. W samochodzie zbyt trudnym do prowadzenia dla nie-doświadczonego kierowcy.

Wyjechał z podjazdu na ekskluzywne przedmieście Filadelfii, beztrocki piętnastolatek za kierownicą fantastycznego wozu. Ojciec był tego wieczoru na Manhattanie w interesach, macocha grała w brydża u przyjaciół. Nie obawiał się, że któreś z nich się dowie o jego eskapadzie. Nie martwił się, że pada śnieg z deszczem i robi się coraz bardziej ślisko. Nie bał się śmierci. W wieku piętnastu lat był nieśmiertelny.

Ale dziesięcioletni kujon - nie.

Eric stracił panowanie nad samochodem na zakręcie, nad rzeką Schuylkill. Porsche kręciło się jak bąk, zanim wyrznął w betonowe ogrodzenie. Erica, zbyt beztroskiego, by zapinać pasy bezpieczeństwa, wyrzuciło na zewnątrz, ale mały, przezorny Jason tkwił uwięziony jak w pułapce. Umarł szybko, ale nie na tyle szybko, by nie zdążyć krzyknąć.

Spod zamkniętych powiek Erica spływały łzy. Jase, przepraszam. Żałuję, że nie byłem na twoim miejscu. Naprawdę.

Przymiarki kostiumów Liz Castleberry trwały dłużej, niż przypuszczała, i teraz nerwowo spoglądała na zegarek. Zamyślona, wpadła na wysoką postać.

- Przepraszam, ja... - Urwała, gdy podniosła wzrok na stojącego przed nią mężczyznę.

- Lizzie?

Jego głęboki, niski głos, leniwie przeciągający sylaby zdawał się zabierać ją w przeszłość. Hollywood, wbrew powszechnemu mniemaniu, wcale nie jest takie małe; od ich ostatniego spotkania minęło siedemnaście lat. Podniosła na niego wzrok i wydało jej się, że czas się cofnął, że znowu jest rok sześćdziesiąty drugi i pojawiła się w Hollywood z piękną buzią i dyplomem absolwentki Vassar. Nie pilnowała się, więc nie uważała na to, co mówi.

- Cześć, Randy.

Zachichotał.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś w Hollywood tak się do mnie zwrócił. Już nikt nie pamięta.

Przysłądali się sobie przez dłuższą chwilę. Niewiele zostało z Randolpha Dashwella Coogana, szalonego jeźdźca rodeo z Oklahomy. Gdy się poznali, był kaskaderem, niebezpiecznie atrakcyjnym dla młodej damy z Connecticut. Dzisiaj gęste złotorude włosy były krótsze niż wówczas. Choć ciało zachowało dawną szczupłość i sprężystość, twarz naznaczyły głębokie bruzdy.

Jego oczy błędziły po niej z dużo mniejszą dawką krytycyzmu.

- Jesteś piękna, Liz. Masz takie same zielone oczy jak dawniej. Bardzo się ucieszyłem, gdy Ross powiedział, że właśnie ty zagrasz Eleanor. Fajnie, że po tylu latach będziemy razem pracować.

Uniosła brwi.

- Czytałeś ten sam scenariusz, co ja?

- Stek bzdur, prawda? Ale wczoraj stało się coś interesującego. Może będą zmiany.

- Skłamałabym, twierdząc, że czekam z zapartym tchem.

- Dlaczego przyjąłeś tę rolę?

- Co za nietaktowne pytanie, skarbie. Nie jestem już najmłodsza, jak to się ładnie nazywa. O pracę coraz trudniej, a nadal gustuję w zbytku i luksusie.

- O ile pamiętam, jesteś mniej więcej w moim wieku?

- Czyli tym samym, co na przykład Nick Nolte i Jimmy Caan. Tylko że wy, panowie, mając czterdzieści lat, nadal możecie na ekranie uwodzić małolaty, a ja grywam tylko mamusie. Ostatnie słowa wypowiedziała z takim niesmakiem, że Dash parsknęła śmiechem.

- Nie wyglądasz na mamusię.

Liz uśmiechnęła się lekko. Mimo narzekania, że jako czterdziestolatka właściwie zakończyła już karierę, uważała, iż ten wiek ma pewne zalety. Jej długie włosy były równie miękkie i mahoniowe jak dawniej, zielone oczy, nie straciły blasku, a pierwsze zmarszczki dopiero co pojawiły się w kącikach oczu. Nie przytyła ani grama. Tak, czterdziestka ma swoje plusy. Wiedziała doskonale, czego chce od życia - dosyć pieniędzy, by utrzymać dom w Malibu, kupować drogie ubrania i wspomagać ulubione towarzystwo dobroczynne. Mitzi, złoty retriever, dotrzymywała jej towarzystwa za dnia, a nocami zabawiali ją mężczyźni tyleż przystojni, co dyskretni. Jej życie stanowiło pasmo przyjemności, czyli osiągnęła więcej niż niejeden z jej przyjaciół.

- Jak twoja rodzina? - zainteresowała się.

- Która?

Znowu się uśmiechnęła. Dash zawsze był cudownie skromny i umiał kpić z samego siebie.

- Która chcesz.

- Może czytałaś, że z ostatnią żoną, Barbarą, rozstałem się kilka lat temu. Doskonale sobie radzi, wyszła za bankiera z Denver. Nadal jesteśmy w kontakcie. Marietta otworzyła sieć fitness klubów w San Diego. Zawsze miała głowę do interesów.

- Chyba rzeczywiście coś o tym czytałam. Latami ciągała cię po sądach, prawda?

- Sądy nie przeszkadzały mi tak bardzo jak to, że pół roku temu nasłała na mnie urząd podatkowy. Sukinsyny nie mają za grosz poczucia humoru.

Upłynęło siedemnaście lat, odkąd zakochała się w nim bez pamięci. Tym razem nie nabierze się na bezpośredni urok kowboja. Dash Coogan to bardzo skomplikowany człowiek. Pamiętała go jako czułego, troskliwego kochanka, nader chętnego do obdzielania pieniędzmi, ale chytrego, jeśli chodziło o jego samego. Podobnie jak bohaterowie Dzikiego Zachodu, których grał, był samotnikiem, wznosił tyle zapór dzielących go od świata, że nie sposób było go dobrze poznać.

- Dzieciaki mają się dobrze - ciągnął. - John jest na drugim roku Uniwersytetu Oklahoma, a Meredith w tym roku wstąpi do Robert's.

- A Wanda? - Jeszcze teraz, po tylu latach, nie potrafiła zapanować nad drżeniem głosu. Była kochanką Dasha od kilku tygodni, zanim jej wyznał, że w Tulsie czeka na niego żona i dwoje dzieci. Nie chciała wiązać się z żonatym mężczyzną i tak skończył się ich romans. Dash Coogan nie był jednak człowiekiem, którego łatwo zapomnieć, i minęło kilka miesięcy, zanim ponownie wzięła się w garść. Nigdy mu tego do końca nie wybaczyła.

- U Wandy wszystko w porządku. Zawsze jest taka sama.

Liz była ciekawa, czy na horyzoncie pojawiła się już kandydatka na Żonę Numer Cztery. Intrygowało ją także, co Dash zrobi, jeśli serial okaże się kłapą. Wszyscy wiedzieli, że przyjął tę rolę tylko dlatego, że zawarł ugodę z urzędem skarbowym i miał spłacać długi. Gdyby mógł, bez wątpienia zostałyby na ranczu, z końmi.

Parę lat temu zadałaby te pytania na głos, ale dojrzała Liz nauczyła się cieszyć życiem bez zobowiązań, więc tylko teatralnie spojrzała na zegarek.

- Ojej, spóźnię się na masaż. Mój cellulitis bardzo, ale to bardzo tego nie lubi.

Zachichotał.

- Doskonale byś się rozumiała z drugą panią Coogan. Obie lubicie te wszystkie durne ćwiczenia i obie jesteście dużo mądrzejsze, niż dajecie poznać. Różnica polega tylko na tym, że Marietta uczyła się na ulicy, a ty w Harvardzie, tak?

- W Vassar, kochanie - poprawiła go ze śmiechem i odeszła.

Liz złapała się na rozmyślaniach o Dashu jeszcze kilka godzin później. Wyszła na taras swego domku nad morzem z talerzykiem sałatki w dłoni. Mitzi, dreptała za nią posłusznie, ułożyła się koło leżaka. Liz upiła łyk mrożonej herbaty ziołowej i zastanawiała się nad zaletami Dasha.

Stoczył długą, ciężką walkę z alkoholem i wyszedł z niej zwycięsko. Wydaje się jednak, że nie traktował tego zwycięstwa jako czegoś oczywistego; od wielu lat dobiegały ją opowieści, jak pomaga innym alkoholikom. Nadawałby się na bohatera romantycznej powieści, gdyby nie fakt, że był niepoprawnym kobieciarzem.

Podobno w tym względzie nie zmienił się ani na jotę. Nie, żeby zachowywał się obleśnie, nieprzyzwoicie. Wręcz przeciwnie, w towarzystwie kobiet był raczej nieśmiały, nigdy nie starał się ich uwodzić czy zwracać na siebie uwagę. Choć wolałaby o tym zapomnieć, musiała przyznać, że w ich związku to ona była zdobywcą; zapragnęła młodego przystojnego kowboja od pierwszego wejrzenia. Pociągała ją, podobnie jak wiele innych kobiet w następnych latach, jego męskość, zwłaszcza w połączeniu ze staroświecką kurtuazją i dziwną rezerwą.

Nie, nie wyuzdanie jest wadą Dasha, raczej słabość charakteru. Nie potrafi się oprzeć żadnej atrakcyjnej kobiecie; nie przeszkadzała mu nawet ślubna obrączka na palcu.

Południe było gorące, ale sytuację ratowała morska bryza, która niosła także stłumione dźwięki muzyki z sąsiedniej posiadłości. Liz spojrzała w tamtą stronę; Lilly Isabella siedziała na tarasie w otoczeniu grupki przyjaciół.

Lilly odwzajemniła jej spojrzenie, pomachała energicznie. Jej popielate włosy mieniły się srebrem w świetle słońca.

- Cześć, Liz! Czy muzyka jest za głośna?

- Nie, skądże! Bawcie się dobrze.

Ojcem Lilly był Guy Isabella; w latach siedemdziesiątych bardzo często partnerował Liz na ekranie. Kupił ten dom przed laty, ale jego dwudziestoletnia córka spędzała w nim zdecydowanie więcej czasu niż on. Czasami Liz zapraszała Lilly do siebie, jednak długa samotność nauczyła ją egoizmu i nie przepadała za długimi spotkaniami z młodymi ludźmi. Ich całkowite skupienie na sobie było zbyt męczące.

Popijając herbatę drobnymi łykami, uświadomiła sobie, że podczas najbliższych miesięcy będzie spędzać z młodymi bardzo dużo czasu, przede wszystkim z dziewczyną, którą w końcu Ross wybierze do roli Celeste, i z Erikiem Dillonem, ma się rozumieć. Fakt, że dwudziestotrzylatek ma grać jej syna, nie był miły; bólu nie łagodził fakt, że filmowa postać miała tylko osiemnaście lat. Bardziej jednak niż tym martwiła się, że przyjdzie jej pracować z kimś, kto uchodzi za trudnego. Jej fryzjerka pracowała także na planie *Przeznaczenia* i opowiadała, że Dillona uważano powszechnie za aktora trudnego i wymagającego.

Miał jednak prawdziwy talent; co do tego Liz zawsze ufała swojej intuicji, a myliła się bardzo rzadko. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że pewnego dnia Eric Dillon będzie gwiazdą pierwszej wielkości; niepokojące uroda w połączeniu z ogniem, który w nim płonął, ogniem, którego nie nauczą w żadnej szkole aktorskiej, wyniosą go na sam szczyt. Nie wiadomo tylko, czy zdoła udźwignąć ciężar sławy, czy też załamie się i wypali jak wielu przed nim.

Eric źle spał tej nocy, wstał dopiero o pierwszej po południu. Głowa mu pękała, czuł się fatalnie.

Gdy tylko opuścił nogi na ziemię, sięgnął po papierosy. Papieros, koktajl witaminowy na śniadanie i będzie w stanie pracować przez następnych kilka godzin.

Jego ubrania nadal poniewierały się na podłodze. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo lubi seks. W łóżku z dziewczyną nie myślał o niczym ani o nikim. Życie ograniczało się do akrobacji w pościeli. Kiedyś

słyszał, jak jakiś facet przechwalał się, że tak posuwał panienkę, że jej mózg uszami wyszedł. Eric wolałby, aby to jego mózg wyszedł uszami.

Kiedy wstał, dostrzegł czarne smugi na prześcieradle. Zaintrygowany, przyjrzał im się uważnie. Układały się w napis: ERIC, tyle że w lustrzanym odbiciu. Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie Cindy i swego autoportretu na jej tyłku. Jak znakowana jałówka.

Włożył podkoszulek i szorty i przeszedł do kuchni. Mieszkał w małym domku w kanionie Benedict. Było to wymarzone mieszkanie dla kawalera: mało mebli, za to telewizor z wielkim ekranem. Wrzucił do miksera kilka kostek lodu, wyjął z lodówki puszkę koktajlu energetycznego, wlał do miksera, dodał trochę mleka. Nocne koszmary były jednak zbyt świeże; warkot miksera do złudzenia przypominał wycie syreny. Odgłos wwiercał się w mózg, przywołał wspomnienie tamtej nocy, gdy ambulans zabierał martwe ciało Jasona. Jednym ruchem wyłączył mikser. Utkwił niewidzący wzrok w spienionej zawartości.

Twoja macocha uważa... Eric, musisz zrozumieć, że teraz, kiedy nie ma Jasona... Musisz zrozumieć, ile przykrości sprawia Elaine twoja obecność.

Dwa tygodnie po pogrzebie Jasona popatrzył w smutną, ściągniętą twarz ojca i zrozumiał, że także Lawrence Dillon nie może znieść jego obecności. Domyślał się, co go czeka.

Wyłądował w ekskluzywnej prywatnej szkole koło Princeton. Po kolei łamał wszelkie przepisy, więc wyrzucono go stamtąd po pół roku. Ojciec umieścił go w jeszcze dwóch innych, zanim Eric skończył szkołę, a i tak udało się to tylko dlatego, że odkrył dla siebie szkolne kółko teatralne. Przekonał się, że stając się kimś innym, zapomina o swoich problemach. Przez kilka lat nawet studiował w college'u, ale opuszczał tyle zajęć, chodząc na castingi, że w końcu wyleciał.

Dwa lata temu agent szukający nowych twarzy do *Przeznaczenia* wyprzążył go w teatrze off-Broadway i namówił do podpisania kontraktu. Początkowo miał grać postać, która znika z ekranu po sześciu tygodniach, ale publiczność przyjęła go tak entuzjastycznie, że został o wiele dłużej. A ostatnio zainteresowali się nim producenci serialu Dasha Coogana.

Agent chciał z niego zrobić gwiazdora, a Eric chciał być aktorem. Uwielbiał grać. Wystarczyło wślizgnąć się w cudzą skórę i ból zniknął. A czasami, przez kilka krótkich chwil, w jednej scenie, w krótkim dialogu, był dobry, naprawdę dobry.

Wypił koktajl prosto z miksera, zapalił papierosa i poszedł do salonu. Przez chwilę patrzył na swoje odbicie w lustrze. Żałował, że nie wygląda jak inni, że nie ma zadartego nosa i krzywych zębów.

Odrzucił się od widoku, którego nienawidził, nie mógł jednak odwrócić się od tego, co się działo w jego wnętrzu. A tego nienawidził jeszcze bardziej.

Rozdział piąty

Gdyby zapytać Honey, odpowiedziałyby, że hotel „Beverly Hills” to kawałek nieba na ziemi; co z z tego, że z różowego wapienia? Weszła do małego holu pełnego kwiatów i z miejsca uznała, że właśnie tu przychodzą po śmierci wszyscy dobrzy ludzie.

Sympatyczna Iranka za ladą recepcji wytłumaczyła, co się gdzie znajduje i wcale nie zadzierała przy tym nosa, choć nie sposób było się nie domyślić, że Honey i Chantal nigdy nie nocowały w czymś lepszym niż obskurny motel na dziesięć pokojów.

Honey z miejsca zachwyciła się tapetą w kiście bananów, pięknym tarasem i malutkim prywatnym dziedzińcem. Pracownicy hotelu to najfajniejsi ludzie pod słońcem, uznała, z wyjątkiem zadzierających nosa kelnerów z restauracji. Pokojówki i boje hotelowi witali się z nią uprzejmie, choć musieli się domyślać, że Gordon Delaweese nocuje w ich pokoju na waleta.

Gordon podniósł głowę, gdy wyszła z łazienki w sobotnie popołudnie. Był to ich drugi dzień w hotelu. Honey akurat założyła czerwony kostium kąpielowy, który przyniosła jej pokojówka. Wybierała się na basen. Gordon i Chantal wylegiwali się na kanapie i oglądali Koło Fortuny.

- Ej, Honey, zamówmy jeszcze coś do jedzenia! - zaproponował Gordon. Mówił niewyraźnie, bo cały czas opychał się chipsami. - Hamburgery były palce lizać.

- Przecież zjedliśmy zaledwie godzinę temu. - Honey nie była w stanie ukryć oburzenia i niesmaku. - Gordon, zapomniałam, co mówiłeś? Kiedy wyjeżdżasz? Wiesz, jako prawdziwy artysta musisz obserwować prawdziwe życie.

- Nie wyobrażam sobie, by mógł to robić w ciekawszym miejscu niż hotel Beverly Hills - odezwała się Chantal, sięgając po dietetyczną pepsi. - To dla niego wyjątkowa okazja.

Honey zastanawiała się, czy warto zaczynać kłótnię; w końcu dała spokój. Ilekroć poruszała temat ewentualnego odejścia Gordona, Chantal zalewała się łzami.

- Łazienka jest wolna, Chantal. Możesz iść się przebrać.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby pływać. Zostanę tu i pooglądam telewizję.

- Powiedziałaś, że ze mną pójdziesz! Ruszaj się, Chantal. Będzie fajnie, zobaczysz.

- Głowa mnie boli. Idź sama.

- I mam zostawić was samych w pokoju? Myślisz, że zwariowałam?

- Pół żartem, pół serio! - wrzasnął Gordon, wskazując palcem ekran telewizora.

Chantal spojrzała na niego z podziwem.

- Gordonie, jesteś taki mądry. Wiesz, Honey, odgadł wszystkie zagadki. Wszystkie, co do jednej.

Honey popatrzyła na parę na kanapie. Wylegiwali się beczynn timer, jak biała nędra. To pewnie ich ostatni dzień w hotelu „Beverly Hills”. Miała wielką ochotę na kąpiel w basenie.

Nagle przyszedł jej do głowy genialny pomysł. Pobiegła do małej komódki przy łóżku, gorączkowo wysuwała szuflady. Znalazła, czego szukała, porwała to i podbiegła do Chantal.

- Połóż rękę na Biblii i przysięgnij, że nie zrobisz z Gordonem Delaweese niczego nieprzyzwoitego.

Wyrzuty sumienia na twarzy Chantal powiedziały Honey wszystko, co musiała wiedzieć.

- Masz przysiąc, Chantal Booker.

Chantal z ociąganiem spełniła polecenie. Na wszelki wypadek Honey wydobyła też przysięgę od Gordona Delaweese, choć nie była pewna, czy miała ona jakąkolwiek wartość. Wychodząc z pokoju, obejrzała się jeszcze w progu - ich posępne miny znacznie poprawiły jej humor.

Basen hotelu Beverly Hills okazał się bardzo intrygującym miejscem. Po pierwsze, był większy niż chyba wszystkie domy mieszkalne, które Honey dotychczas widziała. Wchodząc przez małą furtkę, obserwowała kobiety o chudych, opalonych ciałach wyciągnięte na białych leżakach. Niektórzy mężczyźni wyglądali jak Tarzan w mikroskopijnych slipkach. Jeden, blondyn z długimi włosami, był albo zapaśnikiem, albo Norwegiem. Inni wyglądali jak typowi bogaci faceci - z łysinką i brzuszkiem, w śmiesznych płóciennych sandałach.

Honey im współczuła: czy oni nie wiedzą, jak się bawić w basenie? Co jakiś czas któryś z mężczyzn skakał na główkę i robił parę okrążeń. Kilka kobiet moczyło nogi w wodzie, ale nawet nie zamoczyły ramion, co dopiero włosów.

Co za frajda być bogatym, skoro nie można się dobrze bawić? Szybko zsunęła pantofle, rozpędziła się i skoczyła na bombę, wydając mrozący krew w żyłach okrzyk rebeliantów. Gdy się wynurzyła, przekonała się, że wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. Pomachała do dwóch najbliższych osób, kobiety i mężczyzny z telefonami komórkowymi przy uchu.

- Chodźcie do wody! Jest super!

Pospiesznie spojrzeli w inną stronę, nie przerywając rozmowy.

Zanurkowała do samego dna. Czerwony kostium był za luźny, wydymał się jak balon. Gdy otoczył ją spokojny podwodny świat, usiłowała wszystko przemyśleć jeszcze raz. Dlaczego Dash Coogan chciał filmować

rozmowę z nią? Zapewniał, że nie chce jej wpakować w kłopoty z policją, ale co, jeśli kłamał?

Wyptynęła na powierzchnię i przewróciła się na plecy. Woda nalała jej się do uszu, nierówno obcięte włosy unosiły się dokoła głowy jak aureola. Przypomniała sobie Erica Dillona. Czy jeszcze kiedyś go zobaczy? Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Co innego jednak nie dawało jej spokoju. Gdy wspomniała o nim w obecności Chantal, kuzynka naburmuszyła się i oznajmiła, że Eric Dillon jest niebezpieczny. Honey nigdy w życiu nie słyszała, by Chantal powiedziała coś takiego, i domyślała się, że Chantal utożsamia Erica Dillona z graną przez niego postacią.

Pół godziny później wygramoliła się z basenu, by ponownie skoczyć na bombę, ale w ostatniej chwili dostrzegła Rossa Bachardy'ego idącego w jej stronę. Uprzejmie skinęła mu głową, choć zbierało jej się na płacz. Wiedziała, że pobyt w rajku wkrótce dobiegnie końca, ale miała nadzieję, że los da im jeszcze jeden dzień. Podeszła do leżaka, podniosła ręcznik, owinęła się nim starannie.

- Cześć, Honey. Twoja kuzynka powiedziała mi, gdzie cię znajdę. Podo-
bna ci się tutaj?

- Nigdy w życiu nie było mi lepiej.

- To dobrze, cieszę się. Czy możemy porozmawiać? - Wskazał stolik
w cieniu palm.

Uznała, że to miłe z jego strony, że pofatygował się osobiście, by ich
stąd wyrzucić, ale wolałaby, by zrobił to prosto z mostu. Podeszła za nim
do stolika i usiadła, zakładając nogę na nogę. Ross, w garniturze i krawa-
cie, wyglądał, jakby było mu bardzo gorąco.

- Szkoda, że nie ma pan kąpielówek, wskoczylibyśmy do wody. Jest
super.

- Może innym razem - odparł z uśmiechem.

Podszedł kelner. Producent zamówił zagraniczne piwo dla siebie i sok
pomarańczowy dla Honey. A potem wypalił z grubej rury:

- Honey, chcemy, żebyś zagrała córkę w serialu *Dash Coogan Show*.

Uznała, że się przesłyszała, bo woda nalała jej się do uszu.

- Słucham?

- Chcemy, żebyś zagrała córkę Dasha Coogana.

Wybałuszyła oczy:

- Ja mam zagrać Celeste?

- Niezupełnie. Wprowadziliśmy pewne zmiany do scenariusza. Bar-
dzo nam się spodobało twoje nagranie z Dashem i wpadliśmy na kilka no-
wych pomysłów. Jeszcze pracujemy nad szczegółami.

- Ja mam grać?

- Tak jest. Zagraasz Janie, trzynastoletnią córkę Dasha. Dash i Eleanor
nie będą małżeństwem.

Streścił jej nowy scenariusz, ale Honey i tak nie mogła się skupić. Przerwała mu dziwnie piskliwym głosem:

- Proszę się nie gniewać, panie Bachardy, ale to najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałam. Nie mogę występować. Wcale nie jestem ładna. Widział pan moje usta? Jak u karpia. To Chantal powinna wystąpić, nie ja.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję.

Nagle dotarło do niej, co powiedział.

- Trzyście? Ale ja mam szesnaście lat.

- Jesteś drobna, Honey. Spokojnie możesz uchodzić za trzynastolatkę. W innej sytuacji uznałaby to za obelgę, ale teraz tylko skinęła głową.

Ross opowiadał dalej, o serialu, kontrakcie i agencie. Honey miała wrażenie, że jej głowa kręci się w kółko, jak u tej biednej dziewczynki w *Egzypcie*. Dostała gęziej skórki, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie, by to wszystko okazało się prawdą. Jest mądra i ambitna; oto jej szansa, by samej zaistnieć, a nie tylko popychać Chantal. Ale gwiazda telewizyjna? Nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie wyobrażała sobie czegoś takiego.

Ross mówił o pieniądzach, wymieniając przy tym sumy tak astronomiczne, że nie mieściły jej się w głowie. Kalkulowała szybko. Wszystko się zmieni.

Wyjął mały notesik z kieszeni marynarki.

- Jesteś niepełnoletnia, więc musimy się skontaktować z twoim opiekunem.

Honey pochyliła się nad szklanką z sokiem.

- Chyba masz opiekuna?

- Pewnie, ciotkę Sophie. Panią Earlową T. Booker.

- Musisz nam podać jej telefon, żebyśmy mogli ustalić termin spotkania. Najpóźniej w czwartek. Przyleci tu na nasz koszt, ma się rozumieć.

Usiłowała wyobrazić sobie ciotkę Sophie w samolocie, ale bez powodzenia. Nie mogła wyobrazić jej sobie nawet poza kanapą, a co dopiero w Kalifornii.

- Ostatnio chorowała. To... problemy kobiece. Chyba nie da rady przyjechać do Kalifornii. Boi się latać. I do tego te kłopoty zdrowotne.

- Więc mamy problem. Ale i tak musisz mieć agenta, wtedy on się wszystkim zajmie. Zaczynamy zdjęcia za sześć tygodni, więc do tego czasu wszystko musi być gotowe. - Zaciśnął usta w wąską kreskę. - Honey, muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem postąpiłaś bardzo nierozsądnie, wybierając się do Kalifornii bez nikogo dorosłego.

- Przyjechałam z dorosłym - zaprotestowała. - Chantal ma osiemnaście lat.

Nie zrobiło to na nim oczekiwanego wrażenia.

Po powrocie do pokoju powiedziała, co się stało, płacząc się i jękając, a Chantal i Gordon zaczęli bić brawo i wiwatować. Wkrótce wszyscy troje

zachowywali się jak wariaci. Gdy ochłonęli, przypomniała sobie, co pan Bachardy mówił o agencji, i wzięła listę nazwisk, którą od niego dostała. Sięgała już do telefonu, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Może i jest wieśniaczką z Karoliny Południowej, może i nie ma pojęcia o Hollywood i agentach filmowych, ale nie urodziła się wczoraj. Niby dlaczego ma zadzwonić do kogoś z listy pana Bachardy'ego?

Zastanawiała się nad tym, gdy zakładała sukienkę. Nie zna nikogo w Hollywood, więc do kogo mogłaby zwrócić się po radę? Po chwili z uśmiechem sięgnęła po telefon.

Hotel „Beverly Hills” szczeni się, że potrafi pomóc gościom w każdej sytuacji. Jak się okazało, wyszukiwanie agentów również wchodzi w zakres jego usług. W południe następnego dnia Honey zatrudniła Arthura Loockwooda, agresywnego młodego prawnika, pracownika dobrej agencji artystycznej. Obiecał polecieć do Karoliny Południowej i załatwić wszystko z ciotką Sophie.

Tej nocy, gdy zasypiała, słyszała ryk Czarnego Gromu. Uśmiechnęła się. Zawsze jest nadzieja.

Rozdział szósty

ODCINEK PIERWSZY DASH COOGAN SHOW

ZAKURZONA DROGA GDZIEŚ W TEKSASIE. PÓŹNE POPOŁUD-
NIE. W TLE TEMAT MUZYCZNY I NAPISY...

Poobijana półciężarówka zatrzymuje się gwałtownie, z chłodnicy unosi się para. Zbliżenie na parę kowbojskich butów wysuwających się z soferki. But kopie oponę, idzie na tył wozu, ściga siodło z platformy. Pojawia się druga para butów, tym razem małych. Obie pary wędrują teksaską drogą, wzniesając tumany kurzu. Mała para co jakiś czas robi dwa kroki, żeby dotrzymać tempa. Muzyka cichnie i słyszemy głosy:

GŁOS JANIE

Tatku, obiecaj, że tym razem się postarasz.. Obiecaj, że nie zrezygnujesz po dwóch dniach jak ostatnio. Potrzebny nam prawdziwy dom.

Obie pary butów stają przed bielonym ogrodzeniem.

GŁOS DASHA

Mężczyźni nie lubią kobiet, które narzekają, Janie. Kiedy to wreszcie zrozumiesz?

GŁOS JANIE

Nie jestem kobietą, mam dopiero trzynaście lat.

GŁOS DASHA

Jesteś mi cierniem w boku, wiesz o tym?

GŁOS JANIE

Naprawdę tak uważasz?

GŁOS DASHA

(miętko)

Nie.

Kamera na Dasha. Zbliżenie na pamiątkową klamrę u pasa, nagrodę z rodeo. Kamera na Dasha i Janie. Są zmęczeni, i spragnieni.

PRZED RANCZO

Dash otwiera bramę. Idą chodnikiem do zaniedbanego domu.

DASH

Janie, jestem jeźdźcem rodeo, nie zarządcą. Zobacz, to nawet nie jest ranczo z prawdziwego zdarzenia. To kiepska podróba. I tak złoży ci skórę za to, że podrobiłaś mój podpis na kontrakcie.

JANIE

Tatku, dawniej jeździłeś na rodeo, ale sam słyszałeś, co powiedział lekarz. Żadnych byków, chyba że chcesz spędzić resztę życia na wózku inwalidzkim.

DASH

Przynajmniej miałbym pod sobą coś, co się rusza.

JANIE

A ta kelnerka z El Paso?

DASH

Janie!

JANIE

Tak, tatku?

DASH

Przypomnij mi, że mam ci złoić skórę.

NA ZEWNĄTRZ. WERANDA

Eleanor Chadwick wychodzi na zewnątrz. Jest bardzo zde-nerwowana. Jest piękna, starannie uczesana, zbyt dobrze ubrana jak na tę okolicę. Odzywa się do kogoś w domu.

ELEANOR

Nie obchodzi mnie, że klacz się źrebi. Niech Dusty wezwie położną. Jadę do Goose Creek, może znajdę tam kogoś, kto umie położyć maseczkę ogórkową.

Zauważa Dasha i Janie.

O mój Boże, co znowu?

Dash i Janie stoją przy schodach. Dash rzuca na ziemię siodło. Mierzą się wzrokiem z Eleanor. Jest przystojny, Eleanor nie może temu zaprzeczyć. Z drugiej strony, nienawidzi wszystkiego, co ma związek z Dzikim Zachodem, w tym także kowbojów.

ELEANOR

Kogo tu mamy? Wyatt Earp i Billy the Kid?

Dash niedobrze przyjmuje jej sarkazm. Ma słabość do pięknych kobiet, ale jej pogardliwa odzywka działa mu na nerwy. Janie zna go dobrze i włącza się do akcji.

JANIE

Dzień dobry, szanowna pani. Nazywam się Janie Jones. A to mój tatko, pan Dash Jones. Jest nowym zarządcą pani rancza.

DASH

Umiem mówić za siebie, Janie Marie.

ELEANOR

(obserwując Dasha)

Tu, na Zachodzie, rosną duzi i silni, to fakt. To pewnie od jedzenia mięsa. A tak przy okazji, spóźnił się pan. Miał pan tu być wczoraj. Jeśli chce pan dla mnie pracować, musi pan nauczyć się punktualności.

DASH

(z jedną nogą na stopniu)

Właśnie o to chodzi, szanowna pani. Nie będę tu pracował. Przypomniałem sobie, że dostałem lepszą ofertę od tego gościa, co ma farmę grzechotników tuż przy autostradzie. Mam karmić jego pieszczoszki gołymi rękami. Chyba tam będzie miłsze towarzystwo.

ELEANOR

(pogardliwie)

Coś takiego! Jest pan zwolniony, jasne? Nie zgodziłabym się, żeby pan dla mnie pracował, nawet gdyby był pan ostatnim zarządzającym w Teksasie!

DASH

To bardzo dobrze, szanowna pani, bo sądząc po wyglądzie tego miejsca, niedługo wypadnie pani z interesu.

Janie wodzi wzrokiem od jednego do drugiego. Widzi, że musi coś zrobić. Łapie się za brzuch i osuwa na ziemię, jęcząc głośno. Eleanor podbiega do niej z zatroskaną miną.

ELEANOR

Co się stało? Co jej jest?

DASH

(nie zwracając uwagi na rozpaczliwe jęki Janie)

Na pani miejscu uważałbym. Często wymiotuje, a nie wiem, czy kolor pasuje do pani kreacji.

Janie jęczy coraz głośniej. Eleanor wpada w panikę. Cały czas klęczy nad Janie.

ELEANOR

Niech pan coś zrobi! Co z pana za ojciec, że pozwala pan jej tak cierpieć?

DASH

To pewnie znowu zapalenie wyrostka. Ciągłe to ma. Na pani miejscu nie zwracałbym sobie nią głowy.

Podnosi Janie i zarzuca sobie na ramię.

KAMERA NA STODOŁĘ W TLE

Blake Chadwick zbliża się biegiem. Przystojny, w dżinsach i koszuli, jedno i drugie zupełnie nowe. Choć Blake pochodzi z miasta, lubi ranczo i chciałby tu zostać.

Janie przestaje wrzeszczeć na jego widok. Gapi się na niego z otwartymi ustami. Jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Zakochuje się w nim od pierwszego wejścia.

BLAKE

Mamo, Dusty mówi, że żretek jest źle ułożony. Stracimy i kłacz, i małego, jeśli weterynarz tu zaraz nie przyjedzie.

ELEANOR

Więc gdzie ten weterynarz? Jak on mógł mi to zrobić? Doprawdy, gdyby twój ojciec jeszcze żył, zabiłabym go własnymi rękami, że zostawił mi to ranczo w spadku! Daję słowo, sprzedam je pierwszemu lepszemu, który zaproponuje mi godziwą sumę. Gdyby nie to zakichane miejsce, siedziałabym w rosyjskiej herbaciarni na ploteczkach z Cissy, Pat i Caroline!

Eleanor zakasuje rękawy eleganckiego kostiumu i z dumnie podniesioną głową idzie do stajni. Obcasy szpilek grzęzną w piachu.

Dash odprowadza ją wzrokiem. Janie, ciągle przerzucona przez jego ramię, gapi się na Blake'a. Blake zauważa ich i podchodzi z wyciągniętą ręką.

BLAKE

Witam. Nazywam się Blake Chadwick. Witam na ranczu PDQ.

DASH

Dash Jones.

BLAKE

Nowy zarządca? Jak się cieszę, że pana widzę!

DASH

Były zarządca. Niestety, nie dogadujemy się z pana mamą.

JANIE

(ciągle na ramieniu ojca)

Mogę coś powiedzieć?

DASH

Nie.

Patrzy z namysłem na stajnię.

Pańska mama chyba nie zna się na koniach.

BLAKE

(z czułością)

Nie przepada za zwierzętami, z których nie da się uszyć futer. Stara się, ale nie bardzo jej to wychodzi.

W drzwiach stajni widać piękna dziewczyna o bujnych pierśsiach. Ma na sobie dżinsy i obcisłą bluzeczkę. Woła Blake'a po imieniu.

BLAKE

Zaraz będę, Dusty.

Blake zwraca się do Dasha, który już podniósł siodło.

Na pewno nie zmieni pan zdania, panie Jones? Potrzebna nam pomoc.

DASH

Niestety nie, chłopcze.

BLAKE

(zrezygnowany)

Wygląda pan na rozsądnego faceta.

Blake oddala się, nawet nie zauważywszy Janie.

Dash odprowadza go wzrokiem i powoli stawia Janie na ziemię. Jeszcze wolniej odkłada siodło.

DASH

Janie?

JANIE

Tak, tatku?

DASH

Przypomnij mi, żebym ci złoł skórę.

Powoli odchodzi w kierunku stajni.

-I cięcie! - wrzasnął reżyser. - Koniec! Doskonale, moi drodzy! Robimy przerwę na lunch.

Był to ostatni tydzień lipca i zarazem ostatni dzień zdjęciowy odcinka pilotażowego. Nie filmowali po kolei i teraz, na samym końcu, robili sceny początkowe. Zdaniem Honey było to niepotrzebne komplikowanie sobie życia, tyle że nikt jej o zdanie nie pytał. Nie pytali jej o nic, dokładnie rzecz biorąc, tylko mówili, co ma robić.

Rozejrzała się dokoła. Byli na planie zdjęciowym, na serialowym ranchu PDQ, czyli dawnej kurzej fermie niedaleko Tajunga Wash, w górach San Gabriel w pobliżu Pasadeny. Zbocza gór zieleniły się sosnami i świerkami. Nie dalej jak tego ranka dostrzegła kozicę górską i orła szybującego nad szczytami. Jak się dowiedziała, większość seriali komediowych kręci się techniką wideo, ale ponieważ w *Dash Coogan Show* znaczna część akcji dzieje się w plenerze, ich serial filmowano tradycyjnie, jak film pełnometrażowy.

- Doskonale, Honey! - reżyser Jack Swackhammer poklepał ją po głowie, jakby była cholernym pudłem. Był chudy i kościsty, ciągle podskakiwał i wyglądał, jakby lada chwila miał się załamać.

Oddalił się w kierunku swoich asystentów, a Honey odprowadzała go wzrokiem pełnym obrzydzenia. Wszyscy traktowali ją jak trzynastolatkę. Właściwie nie powinno jej to dziwić, przyznała, zwłaszcza że ci cholerni scenarzyści ciągle zapraszali ją na pogawędki do sali konferencyjnej.

Gdy zaprosili ją po raz pierwszy, byli bardzo mili, tłumaczyli, na czym polegają główne zmiany w scenariuszu i pomyśle serialu, pytali o zdanie na każdy możliwy temat. A że niczego nie lubiła tak bardzo jak mówienia, złapała się na haczyk. Siedziała tam, popijała oranżadę i paplała, paplała, paplała... zbyt głupia, by się zorientować, że jej uczucia staną się uczuciami Janie, jej poglądy - poglądami Janie.

Uchwycili w scenariuszu jej tęsknotę za domem, podobnie jak potajemne zadurzenie w Ericu Dillonie, choć nie miała pojęcia, jak się tego domyślili, bo z całą pewnością nie pisnęła na ten temat ani słóweczka. To wszystko nie byłoby tak upokarzające, gdyby zrobili z Janie dojrzałą, samodzielną szesnastolatkę, taką jak ona, oni tymczasem stworzyli trzynastoletniego przygłupa. Denerwowała się, ilekroć sobie to przypomniała.

Reżyser skończył rozmawiać z asystentem, więc podeszła do niego z wahaniem.

- Panie Swackhammer...

- Honey, proszę, mów mi Jack. Jesteśmy jedną wielką rodziną.

Może i tak, ale nie jej rodziną. Myślała, że przeżyje największą przygodę swego życia, ale nic z tego nie wyszło: ciotka Sophie nie chciała się ruszyć z Karoliny Południowej, w nowym mieszkaniu, do którego przeprowadziła się z Chantal, bezustannie przybywał Gordon Delaweese. Chantal zajmowała się tylko Gordonem, ciotka Sophie była daleko, a Honey czuła się rozdarta i zagubiona, bo nikomu na niej nie zależało.

Również praca w serialu telewizyjnym okazała się inna, niż sobie to wyobrażała. Dash Coogan, który był taki miły podczas ich pierwszego spotkania, stopniowo się zmieniał. Początkowo służył jej pomocą, ale potem wydawało się, że im jest dla niego milsza, tym bardziej on się wycofuje. Teraz rzadko kiedy się do niej odzywał, chyba że akurat byli przed kamerą. A Eric Dillon rozmawiał z nią jeden jedyny raz - zapytał, czy Chantal przyjdzie na plan.

Reżyser pochylił się nad notatkami. Honey nie dawała za wygraną.

- Muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o moją fryzurę.

-Wal.

- Jest okropna.

- Dlaczego?

- Przecież wyglądam, jakby ktoś mi włożył miskę na głowę i ostrzygł pod garnek. Po bokach włosy były zdecydowanie dłuższe niż z tyłu, grzywka wpadała do oczu.

- Fryzura jest super, Honey, doskonale pasuje do postaci.

- W grudniu skończę siedemnaście lat. Przecież to koszmarna fryzura dla siedemnastolatki.

- Janie ma trzynaście lat. Musisz nauczyć się myśleć jak ona.

- To kolejna sprawa. Widziałam notatkę, którą posłaliście do prasy.

Podaliście, że naprawdę mam trzynaście lat.

- To pomysł Rossa. Publiczność nie lubi, gdy okazuje się, że aktorzy grający dzieci są w rzeczywistości dużo starsi. Jesteś drobna, nikt cię tu nie zna. Ross wolałby trzymać cię z dala od dziennikarzy przez pewien czas, więc to właściwie nie ma znaczenia, prawda?

Może nie dla niego, bo dla niej ma, i to duże.

- Jacko! Honey! Doskonale ci idzie, skarbie!

W ich stronę szedł jeden z szefów wytwórni, wiecznie podenerwowany mężczyzna po pięćdziesiątce. Wsunął do ust małą białą pastylkę. Honey cofnęła się w ostatniej chwili, tak że nie zdążył połaskotać jej pod brodą, jak to zrobił tego ranka.

- Widać, że kręcimy przebój sezonu - oznajmił z przesadnym optymizmem.

Nawet jeśli nie mrugnął przy tym okiem, Honey wiedziała, że sam nie wierzył w to, co mówi. Wytwórnia była niespokojna: twierdzili, że nowy koncept *Dash Coogan Show* jest niejasny - ni to serial komediowy, ni dramatyczny. Obawiali się, że publiczność tego nie zrozumie.

Honey nie widziała żadnego problemu. Serial jest momentami śmieszny, momentami smutny, cały czas bardzo sentymentalny. Co w tym skomplikowanego? Fakt, Amerykanie niedługo po raz kolejny wybiorą republikanina na prezydenta, ale to nie znaczy, że nie znają się na niczym.

Uśmiechnął się, demonstrując zęby, zbyt białe i równe, by były prawdziwe.

- Widać na pierwszy rzut oka, że będzie z niej gwiazda, co, Jacko? Jest doskonała, prawda?

- Eee... dziękuję, panie Evans.

- Mów mi Jeffrey, skarbie. Poważnie. Będziesz gwiazdą.

Zaczął się rozwodzić nad jej wrodzonym talentem, jakby była co najmniej nowym wcieleniem Shirley Temple. Zbierało jej się na mdłości. Wmawiała sobie, iż to dlatego, że połowę dnia spędziła przerzucona przez ramię pana Coogana. Ale tak naprawdę nie wierzyła w ani jedno słowo Evansa. Wszyscy wiedzieli, że nie ma pojęcia o aktorstwie. Jest wieśniaczką z Karoliny Południowej, która z głupim optymizmem skoczyła na zdecydowanie zbyt głęboką wodę.

Evans pożegnał się z nimi i podszedł do Rossa. Honey szykowała się do kolejnej rundy z Jackiem w kwestii fryzury, gdy zbliżył się Eric Dillon.

- Jack, musimy porozmawiać.

Honey nie słyszała, jak się zbliża, i na dźwięk jego głosu ogarnęła ją dziwna tęsknota. Wstydziła się swojego wyglądu: te okropne włosy i sprane dzinsy. Szkoda, że nie jest piękna i wyrafinowana jak Liz Castleberry.

Oczy Erica pociemniały, gdy spojrział na Jacka. Jego intensywne spojrzenie przyprawiało Honey o dreszcz.

- Jack, nie podoba mi się tempo. Za bardzo mnie poganiaasz w scenach, w których muszę mieć chwilę czasu. Nie jestem koniem wyścigowym, do cholery.

Honey patrzyła na niego z podziwem. Eric to aktor z prawdziwego zdarzenia, nie żaden amator jak ona. Miał swojego nauczyciela gry aktorskiej, ciągle opowiadał o ćwiczeniach i metodach. A ona tylko robiła to, co jej kazano.

Jack obrzucił Honey nerwowym spojrzeniem.

- Może porozmawiamy o tym na osobności, Eric? Wiesz co? Spotkajmy się przy przyczepie producenta za pięć minut.

Eric skinął głową. Jack odszedł, a Honey gorączkowo usiłowała wymyślić coś inteligentnego do powiedzenia, zanim i Eric się oddali. Najbardziej miała za złe scenarzystom, że we wszystkich ich wspólnych scenach zachowywała się jak durna zakochana nastolatka, przez co nie wiedziała, jak się do niego odnosić w rzeczywistości.

Wyjął papierosa z kieszeni koszuli, zapalił i utkwiał wzrok gdzieś nad jej głową.

Ona także zapatrzyła się dal.

- Ty...eee... poważnie podchodzisz do aktorstwa, prawda?

- Tak - burknął, nawet nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem. - Bardzo poważnie.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z Liz o technikach i metodach. Może mógłbyś mi co nieco wytłumaczyć.

- Może - rzucił niedbale i odszedł.

Odprowadzała go wzrokiem. Całkowicie popsuł jej humor. Doszła do wniosku, że zachowała się jak rozpuszczony dzieciak. W niecały miesiąc zarobi więcej niż Park Rozrywki Silver Lake zarobił podczas całej zimy. Nie powinna marudzić. Mimo wszystko nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszystko idzie na opak.

Gdy skończono zdjęcia, była ósma wieczorem. Honey zdjęła dzinsy Janie i wciągnęła własne. Wskoczyła do czerwonego sportowego trans ama, na którego kupno namówił ją jej agent, i pognęła do domu. Oczy zamykały jej się ze zmęczenia.

Wynajmowała dla siebie i Chantal mieszkanie w najpiękniejszym domu na świecie. Po ścianach pięło się dzikie wino, czerwone dachówki kontrastowały z białym tynkiem, małe patio kusiło chłodem i cieniem. Miała wszystko, czego pragnęła, z wyjątkiem ciotki Sophie. Miała także kogoś, kogo wcale nie chciała - Gordona Delaweese.

Ledwie otworzyła drzwi i weszła do holu, zorientowała się, że coś się stało. Zazwyczaj Chantal i Gordon siedzieli na kanapie przed telewizorem i zjadali gotowe mrożone obiady. Dzisiaj wszędzie było ciemno.

Wpadła w panikę. Po omacku znalazła kontakt, wbiegła do salonu. Wszędzie poniewierały się opakowania po batonikach i chipsach. Poczwała, jak cała krew odpływa z jej twarzy. Pobiegnęła na górę, do sypialni Chantal. Drżącą ręką znalazła kontakt. Chantal przeciągnęła się i zamrugała oczami. Usiadła gwałtownie, podciągając kołdrę wysoko pod brodę.

- Ach, to ty - mruknęła.

- Zdrajczyńni! -jęknęła Honey.

Gordon budził się powoli. Miał wąską, bladą klatkę piersiową. Niepokojnie wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej.

Honey z najwyższym trudem zmuszała się do mówienia.

- Przysięgaliście na Biblię. Jak mogłaś?

- To nie tak, jak myślisz.

- Nie jestem ślepa, Chantal. Wiem, co widzę.

Chantal odgarnęła ciemne loki z twarzy. Wydęła usta.

- Honey, byłaś taka surowa. Gdybyś nie kazała nam przysięgać na Biblię, nie spieszylibyśmy się, a tak...

- O czym ty mówisz? Do czego byście się nie spieszyli?

Chantal nerwowo zagryzła usta.

- Dzisiaj po południu wzięliśmy z Gordonem ślub.

- Co?

- Teraz to nie jest grzech. Pobraliśmy się, więc możemy robić, co nam się podoba.

Honey patrzyła na parę w łóżku i miała wrażenie, że cały świat wali się jej na głowę. Tulili się do siebie, mieli siebie, jej nie potrzebowali. Chantal, którą kocha najbardziej na świecie, kochała kogoś bardziej niż ją.

Chantal zagryzła dolną wargę.

- Przecież fakt, że wyszłam za Gordona, nie ma znaczenia, rozumiesz? Skoro dostałaś rolę w serialu, nie musimy już liczyć, że to ja zrobię karierę. Ty jesteś wyjątkowa, Honey, ja mogę być normalna. Może wyuczę się fryzjerstwa. Nie muszę robić kariery.

Honey zacisnęła usta w wąską linię.

- Zdrajczyń! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Wybiegła z pokoju, zbiegła po schodach i wypadła na dwór. Nagle usłyszała huk Czarnego Gromu, niósł się ku niej przez czas i przestrzeń. Był jednak zbyt daleko, by ją przekonać, że wszystko znowu będzie dobrze.

Siedziała na dworze przy fontannie. Wstrząsały nią dreszcze, spowodowane zarówno natłokiem emocji, jak i zimnym nocnym powietrzem. Wreszcie wróciła do domu, zamknęła się swoim pokoju i zadzwoniła do ciotki Sophie.

- Sophie, to ja.

- Kto?

Najchętniej nakrzyczałaby na ciotkę, ale wiedziała, że nic to nie da.

- Sophie, musisz jak najszybciej przyjechać do Kalifornii. Jesteś mi potrzebna. Chantal wyszła za Gordona Delaweese, tego chłopaka, o którym ci mówiłam. Musisz tu przyjechać i mi pomóc.

- Chantal wyszła za męża?

- Tak, dzisiaj po południu.

- Nie byłam na ślubie mojej córeczki?

- Chyba nie masz czego żałować. A teraz notuj. Wyślę ci bilet na przyszły tydzień. Musisz przylecieć do LA.

- Nie, Honey. Ludzie z banku powiedzieli, że na razie mogę tu mieszkać.

- Sophie, nie możesz, to niebezpieczne.

- A właśnie że tak. Zatrudnili Bucka, żeby wszystkiego pilnował.
- Buck nie upilnuje nawet własnego nosa, a co dopiero innych rzeczy.
- Nie wiem, czemu tak nieładnie o nim mówisz. Robi mi zakupy, ogląda ze mną telewizję i w ogóle.
- Honey nie dała zbić się z tropu.
- Posłuchaj, Sophie. Chantal wyszła za chłopaka, którego ledwie zna. Potrzebna mi twoja pomoc.
- Zapadła długa cisza, a potem usłyszała głos Sophie, nie głośniejszy niż westchnienie:
- Nie potrzebujesz mnie, Honey. Sama zajmiesz się wszystkim, jak zawsze.

Rozdział siódmy

Honey skuliła się na kolanach Dasha. Pod plecami miała twardą kłamrę jego pasa, wdychała jego charakterystyczny zapach, świeży, leśny, z odrobiną mięty od cukierków.

- Jestem za stara na takie przytulanki - wyszeptała, przywierając do niego mocniej.

Otoczył ją ramieniem, odezwał się głosem ochrypłym ze wzruszenia:

- Wcale nie. I nie będziesz, dopóki jak ci tego nie powiem. Kocham cię, Janie.

Zapadła cisza, dobra, spokojna cisza. Oparł podbródek na czubku jej głowy, ochraniał ją przed światem. Jego ciepłe, silne ramiona stanowiły bezpieczny port w niebezpiecznej rzeczywistości. Kamera odsunęła się odrobinę. Honey przymknęła oczy, rozkoszując się każdą chwilą. Dlaczego Dash jest ojcem Janie, nie jej? Niedawno obchodziła siedemnaste urodziny, wiedziała, że jest za stara na takie dziecinady, ale nie mogła nic na to poradzić. Nigdy nie miała ojca, choć bardzo tego chciała, i najchętniej spędziłaby w ramionach Dasha Coogana kolejne tysiąc lat.

Wziął ją za rękę; jej dłoń całkowicie zniknęła w jego.

- Moja kochana, mała Janie Marie.

- Cięcie! Doskonale!

Dash natychmiast puścił jej dłoń. Poruszył się pod nią, więc wstała z ociąganiem. Podniósł się tak energicznie, że bujany fotel, na którym siedzieli, uderzył w balustradę werandy z głuchym hukiem. Jeszcze przed chwilą było jej cudownie ciepło, teraz czuła tylko chłód. Dash odwrócił się i miał już odejść, jak zwykle po skończonej scenie, jakby Honey zarażała jakąś straszliwą chorobą. Podeszła do schodów. - To była dobra scena, prawda, Dash? - odezwała się.

- Chyba niezła.

- Więcej niż niezła. - Pobiegła za nim, zręcznie przeskoczyła zwój kabli na ziemi. - Jesteś fantastyczny, naprawdę. Uważam, że jesteś wspinałym aktorem. Najlepszym na świecie. Uważam...

- Przykro mi Honey, ale nie mam teraz czasu na pogawędki. Muszę lecieć.

-Ale Dash...

Przyspieszył kroku. Honey ze smutnie spuszczoną głową powlokła się do przyczepy, z której korzystała, gdy kręcili w plenerze. Może traci rozum. Może tylko jej się wydawało, że wtedy, pierwszego dnia, był dla niej miły. Najgorsze, że nie ma pojęcia, co takiego zrobiła, że nagle przestał ją lubić.

Od samego początku robiła, co w jej mocy, by mu się przypodobać. Biegała po kawę i pączki, oddawała mu swoje krzesło, wychwalała pod niebiosa jego aktorstwo, proponowała, że pomasuje mu plecy. Zabawiała go dowcipną rozmową i anegdotami, przynosiła mu gazety, a nawet prosiła, by pozwolił jej uprać koszulę, gdy oblał się kawą. Więc dlaczego jej nie lubi?

Kiedy razem grali, zachowywał się, jakby naprawdę był jej ojcem i naprawdę ją kochał. Czasami patrzył na nią tak czule, że jej serce topniało ze wzruszenia. Ledwie jednak wyłączano kamerę, odchodził i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Zatrzymała się w cieniu wiekowego drzewa. Nie szkodzi, że musi jeszcze powtórzyć historię przed spotkaniem z nauczycielem. Kazano jej ponownie zająć się nauką. Nie miała właściwie nic przeciwko temu, choć nauczyciel był stary i nudny. Przysiadła na prymitywnej huśtawce, której używali od czasu do czasu do zdjęć.

Był styczeń. *Dash Coogan Show* okazał się telewizyjnym hitem sezonu. Z kieszeni flanelowej koszuli wyjęła kserokopię artykułu, który ukazał się w jednej z najbardziej liczących się gazet ogólnokrajowych. Tego ranka wszyscy otrzymali po kopii, ale dopiero teraz miała chwilę czasu, by rzucić na niego okiem. Przebiegła wzrokiem tekst, zwolniła dopiero pod koniec.

Dash Coogan Show podbił serca Amerykanów, w dużej mierze dzięki doskonałej grze aktorskiej. Eleanor, rozpuszczona dama z towarzystwa, jest także cudownie inteligentna i ironiczna, a to już zasługa Liz Castleberry. Eric Dillon, którego wielu krytyków lekceważyło jako kolejnego piękniśa z Hollywood, gra jej syna, Blake'a, z pasją i zapałem młodego człowieka szukającego swego miejsca w życiu, dzięki czemu postać, jednowymiarowa i płaska w wykonaniu kogokolwiek innego, nabiera życia i charakteru.

Przed wszystkim jednak Amerykanie pokochali parę głównych bohaterów. Dash Coogan chyba całe życie czekał na tę właśnie rolę.

Nigdy nie był bardziej przekonujący niż teraz, jako zawodnik rodeo bez grosza przy duszy. A trzynastoletnia Honey Jane Moon to największe objawienie wśród dziecięcych gwiazd w ciągu ostatnich lat. Jest rezolutna, ale nie bezczelna, tak naturalna, że trudno uwierzyć, iż gra. Związek między ojcem a córką, prezentowany przez duet Coogan-Moon jest taki, jaki być powinien: niewolny od konfliktów i niełatwy, ale podszyty niewzruszoną miłością i oddaniem.

Zapatrzyła się na artykuł, zadumała nad gorzką ironią ostatniego zdania. Odkąd skończyła sześć lat, nie zaznała miłości i oddania.

Złożyła wycinek i wsunęła do kieszeni. Da go Chantal, która umieści artykuł w pudełku po butach, wśród wielu innych. Chantal planowała, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, powkleja je wszystkie do specjalnego albumu. W pudełku po butach było już bardzo dużo wycinków, choć Ross nie pozwalał na żadne wywiady. Twierdził, że chce dać Honey więcej czasu, by przywykła do nowej sytuacji. Ona jednak podejrzewała, iż Ross po prostu się boi, że wypapla rzeczy, których nie powinna, na przykład ile ma naprawdę lat.

Zerwała się z huśtawki z nagłym biciem serca, bo dostrzegła Erica Dillona. Wracał do przyczepy. Miał na sobie sprane dżinsy, tak obcisłe, że widziała zarys portfela w tylnej kieszeni, i czarną koszulkę z obciętymi rękawami.

Stanął bokiem. Zaszło jej w ustach, gdy podziwiała piękny profil. Miał gładkie, wysokie czoło, prosty, wąski nos, ładnie wykrojone usta, silny podbródek. Całymi dniami wyobrażała sobie, jak to jest, gdy całuje Eric Dillon. Do tego jednak może dojść wyłącznie za sprawą scenarzystów, a na razie nie zanosilo się na nic podobnego.

Czasami przechodził ją dreszcz na wspomnienie sposobu, w jaki wzywali ją do siebie, do sali konferencyjnej, i wyciągali z niej tajemnice. Dawniej za ostateczną wyrocznię uważała Boga. Odkąd poznała pięciu scenarzystów, wiedziała, kto ma prawdziwą władzę.

- Eric! - wypowiedziała jego imię z zenującym wręcz entuzjazmem.

Odrzucił się. Wydało jej się, że w jego twarzy dostrzega coś przerażającego, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że to tylko zdenerwowanie, nic więcej. Przecież ciągle ktoś czegoś od niego chce. Część ekipy narzekała, że jest humorzasty, ale Honey nie umiałaby mieć do niego pretensji. Przecież jest gwiazdą, zapewne przytacza go ciężar sławy. Ruszyła w jego stronę. Starła się iść spokojnie, ale widząc, że Eric odchodzi, przyspieszyła kroku.

- Eric, czy mógłbyś mi pomóc? Słyszałam, jak rozmawiałeś z Liz o różnych technikach aktorskich. Po południu kręcimy tę scenę przy pastwisku. Jest ważna, nie chciałabym niczego popsuć.

Odrzucił się.

- Przykro mi, mała. Nie teraz.

To wszystko przez tę okropną fryzurę. Skąd ma wiedzieć, że patrzy na siedemnastoletnią kobietę, skoro z tymi włosami wygląda jak niezdolny młodszy braciszek? Zorientowała się, że idzie coraz szybciej, by dotrzymać mu kroku.

- Może za pół godziny? Mógłbyś wtedy?

- Niestety nie. Mam coś na głowie. - Wbiegł po schodkach do swojej przyczepy, otworzył drzwi.

-Ale, Eric...

- Przykro mi, Honey. Nie mam czasu.

Drzwi się zamknęły. Patrząc na wrogą gładką powierzchnię, rozumiała, że znowu to zrobiła. Zamiast zachowywać się jak osoba dojrziała i wyrafinowana, postępowała zupełnie jak Janie.

Rozejrzała się pośpiesznie z nadzieją, że nikt nie widział, jak robiła z siebie idiotkę. W pobliżu była tylko Liz Castleberry, ona jednak nie zwracała na Honey najmniejszej uwagi. Wsunęła ręce do kieszeni dżinsów i oddaliła się powoli, jak gdyby nigdy nic.

Czwórka aktorów grająca główne role dostała do dyspozycji cztery przyczepy. Przyczepa Liz sąsiadowała z wozem Erica Dillona. Aktorka odpoczywała na leżaku. Mitzi jak zwykle leżała u jej stóp.

Od samego początku Honey darzyła większą sympatią sukę niż jej panią. Liz była zbyt piękna, zbyt wyrafinowana, by czuła się swobodnie w jej obecności. Miała w sobie więcej z prawdziwej gwiazdy filmowej niż ktokolwiek inny z aktorów obecnych na planie, i Honey omijała ją szerokim łukiem od samego początku zdjęć.

Mitzi zerwała się i podbiegła do niej. Honey nie otrząsnęła się jeszcze po przykryj scenie z Erikiem i najchętniej została sama, trudno jednak nie zauważyć psa skorego do zabawy, zwłaszcza psa rozmiarów Mitzi. Pogłaskała kształtny łeb.

- Cześć, stara.

Mitzi kręciła się i podskakiwała, ogon poruszał się coraz szybciej, od adagio do allegro. Honey ukłękła, wsunęła dłonie w ciepłą, miękką sierść. Przywarła policzkiem do psiego karku, nie przeszkadzał jej nawet zapach z pyska. Mitzi polizała ją po policzku. Honey była wdzięczna za każdy dowód sympatii, nawet jeśli pochodził od psa.

Coraz trudniej przychodziło jej zwalanie winy na innych za to, że nikt jej nie lubi. W końcu ma masę wad. Jest brzydka i lubi się rządzić. Właściwie nic nie umie, jeśli nie liczyć gotowania i prowadzenia samochodu. Ilekroć dłużej się nad tym zastawiała, dochodziła do wniosku, że nie ma za co ją lubić, a co dopiero kochać.

- Kiepski dzień?

Honey gwałtownie podniosła głowę, słysząc ciche pytanie Liz.

- Nie, skądże. Wspaniały. Po prostu wspaniały.

Puściła Mitzi, przysiadła na piętach i obrzuciła aktorkę zazdrosnym spojrzeniem. Marzyła o takich bujnych kasztanowych lokach i nieskazitelnej cerze. Honey powoli dochodziła do wniosku, że jest jedyną brzydką istotą w południowej Kalifornii.

Liz przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy. Jej oczy były zielone jak wody Silver, zanim zatruła je fabryka. Zerknęła na przyczepę Erika.

- To nie twoja liga, mała. Uważaj.

Honey zerwała się na równe nogi.

- Nie mam zielonego pojęcia, o co pani chodzi. I nie lubię, kiedy inni wtracają się do moich spraw.

Liz wzruszyła tylko ramionami i wróciła do lektury scenariusza.

Honey odwróciła się na pięcie i wpadła prosto na Lisę Harper, która grała Dusty. Gdy się zorientowała, że Lisa zmierza do przyczepy Erica, usiłowała ją powstrzymać.

- Na twoim miejscu bym tam nie szła, Liso. Eric ma coś na głowie i nie chce, żeby mu przeszkadzać. - Usiłowała nie okazać po sobie, jak ją złością pełne piersi Lizy pod obcisłą czerwoną bluzeczką.

- Zabawna jesteś, Honey - roześmiała się Lisa. - Przecież to mnie ma na głowie... - Wbiegła po schodkach i znikła w przyczepie.

Wyszła stamtąd po godzinie. Zamiast czerwonej bluzeczki miała na sobie koszulkę Erica.

Sala konferencyjna tonęła w mroku, przez zaciągnięte zasłony wpadały tylko wąskie promyki słońca. Honey siedziała jak grzesznik na Sądzie Ostatecznym, z tą tylko różnicą, że Bóg Najwyższy jest jeden, a ich tutaj było pięcioro.

Kobieta o paznokciach koloru burgunda wskazała puszkę oranżady.

- Poczęstuj się, Honey.

Mężczyzna siedzący pośrodku zapalił papierosa i odchylił się z krzesłem do tyłu.

- Zaczynj, kiedy będziesz gotowa.

Honey uparcie gapiła się w podłogę.

- Nie mam wam nic do powiedzenia.

- Przynajmniej na nas patrz, kiedy do nas mówisz.

- Nic nie powiem, ani słowa. Tym razem mówię poważnie. Nic mi nie przychodzi do głowy.

Ktoś pstrykał zapalniczką. Gdzieś zatrzeszczało cicho krzesło.

Inny mężczyzna stukał ołówkiem w arkusz papieru.

- Opowiedz nam o Ericu.

- Nie ma nic do opowiadania.
 - Słyszeliśmy co innego.
- Zesztywniała.
- Nie powiem o nim ani słowa.
 - Nie wygłupiaj się, Honey. Nic dobrego z tego nie wyniknie.
- Zacisnęła dłoń na wilgotnej puszcze.
- Dlaczego miałabym wam coś powiedzieć? Właściwie nie wiem, po tu przyszłam. Nie lubię was!
- Nie przejęli się wcale jej buntem. Sięgnęli po długopisy.
- Jesteś gotowa?
- I w końcu powiedziała im wszystko - przecież nikt inny jej nie słuchał...

PODWÓRZE. SCHODY PRZED MIESZKANIEM BLAKE'A NAD
GARAŻEM. NOC.

Janie stoi na dole schodów i patrzy na drzwi mieszkania Blake'a. Nerwowo wciska koszulkę do spodni, poprawia włosy palcami; zdaje sobie sprawę, że to beznadziejna sprawa, znowu je wichrzy. Nagle traci odwagę, schodzi do połowy schodów; zmienia zdanie, wraca. Zbiera się na odwagę, puka. Wobec braku reakcji puka jeszcze raz.

JANIE

Blake? Blake, jesteś tam?

GŁOS BLAKE'A

O co chodzi, Janie?

JANIE

Ja... eee... mówiłeś, że mi pomożesz z matematyką któregoś dnia. Z... no wiesz... ułamkami. Są okropne.

Blake powoli otwiera drzwi. Ma na sobie tylko dzinsy. Janie gapi się na niego i głośno przetyka ślinę.

BLAKE

Przykro mi, Janie, ale dzisiaj nie mogę.

JANIE

(rozczarowana)

Och... no cóż... Może chciałbyś pograć w karty?

BLAKE

Nie dzisiaj, mała.

JANIE

A może pooglądalibyśmy telewizję? Będzie western...

GŁOS DUSTY
(z mieszkania)

Blake? Co się stało?

Janie otwiera usta ze zdumienia, gdy uświadamia sobie, co jest grane.

BLAKE

(uśmiecha się do Janie współczująco)

Może innym razem.

Odwraca się na pięcie, rozpacz Janie przechodzi w gniew.

JANIE

Ty ropucho! Tam jest Dusty, słyszałam ją! Sprowadziłeś sobie Dusty!

BLAKE

Posłuchaj, Janie...

JANIE

(z wściekłością)

Czy twoja mama o tym wie? Pewnie nie, bo gdyby wiedziała, toby cię zabiła! Ale ja jej powiem! Zaraz do niej pójde i powiem, że jej jedyny syn to żałosny kobieciarz!

Dusty pojawia się za plecami Blake'a. Ma na sobie jego szlafrok. Poprawia zwichrzone włosy.

DUSTY

(przyjaźnie)

Cześć, Janie. Co tu robisz?

JANIE

A ty? Nie wstyd ci? Cały czas myślałam, że jesteś porządną dziewczyną! A tymczasem okazało się, że jesteś... jesteś... dziwką!

BLAKE
(chłodno)

Uspokój się, Janie.

JANIE
(histerycznie)

Jestem spokojna. Jak nigdy.

BLAKE
(wychodzi na zewnątrz, zamyka za sobą drzwi)
Janie, nie możesz tak traktować Dusty. Są pewne rzeczy, których nie rozumiesz. Jesteś jeszcze dzieckiem i...

JANIE
Nie jestem dzieckiem! Nie waż się tak mówić! Mam prawie czternaście lat i...

Janie zalewa się łzami...

Na planie zapadła cisza. Czekali.

Honey, wściekła, ale o suchych oczach, odwróciła się gwałtownie.

- To idiotyzm! Nie zrobię tego!

- Cięcie!

Eric walnął pięścią w poręcz.

- Do cholery, to dziewiąty dubel!

Reżyser zrobił kilka kroków w ich stronę. Choć mieszkanie Blake'a w filmie mieściło się nad garażem, na planie znajdowało się zaledwie kilka stóp nad podłogą. Garderobiana podała Ericowi koszulę, a reżyser zwrócił się do Honey.

- Chcesz kryształki?

Pracowała na planie od pół roku, więc doskonale wiedziała, o co mu chodzi - specjalne kryształki, które wkładało się do oczu, żeby wywołać łzawienie. Pokręciła przecząco głową, wyobrażając sobie pogardę Erica. Prawdziwi aktorzy nie potrzebują żadnych kryształków. Nie, jeśli są odpowiednio przygotowani. Nie, jeśli znają różne metody i techniki. Niestety, kręcenie tej sceny przypominało otwieranie ciągle bolesnej rany. Honey najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie.

- Na miłość boską, niech przyniosą te kryształki - wycedził Eric przez zęby. - Nie możemy przez ciebie powtarzać jednej sceny w nieskończoność.

Szorstkim zachowaniem pozbawił ją resztek panowania nad sobą.

- Janie nie jest beksą! A już na pewno nie wypłakiwałyby sobie oczu przez takiego dupka jak Blake!

Lisa wystawiła głowę przez drzwi.

- Robimy przerwę? Chce mi się siku.

- Nie! - krzyknął Eric. - Żadnej przerwy. Dochodzi szósta. Jeśli Honey nie poradzi sobie tym razem, koniec. Idę stąd. Mam coś do roboty.

- Wszyscy doskonale wiemy co! - syknęła Honey.

- Dosyć tego. Nie muszę jej słuchać.

Eric zeskoczył na podłogę. Codziennie ćwiczył, był w doskonałej kondycji, więc niemożliwe, by dyszał tak ciężko z wysiłku. Od samego początku nie znosił z nią pracować. Nie cierpiał tego, jak na niego patrzyła, jak za nim chodziła. Gdyby wiedział, jak się potoczą losy serialu, nie podpisałby kontraktu. Nawet za cenę sławy nie chciał patrzeć w te ufne oczy, w twarz, która błagała o uwagę.

- Spokojnie! - krzyknął reżyser. - Wszystkich nas trochę poniosło. Eric, jeszcze jedno ujęcie. Jeśli Honey nie uda się i tym razem, zaczniemy rano od nowa. No, Eric, jeszcze raz. Przynieście kryształki.

Eric zacisnął zęby. Najchętniej posłałby ich wszystkich do diabła, ale jeśli teraz się nie zgodzi, zacznie z małą od samego rana, a i bez tego źle sypia. Czasami w sennych koszmarach jej głos rozlegał się zamiast głosu Jasona.

Niechętnie zdjął koszulę i pokonał trzy stopnie. Gapiła się na niego oczyma wielkimi ze smutku i podziwu. Chcąc się uspokoić, starał się patrzeć na nią obiektywnie. Już niedługo będzie pięknoscia, niech tylko przestanie wyglądać tak dziecinnie.

Obiektywizmu nie starczyło na długo i znowu widział tylko kogoś, kto zdecydowanie za bardzo przypominał mu młodszego brata.

- Następnym razem przygotuj się porządnie - wycodził przez zęby najbardziej wrogo jak umiał, z nadzieją, że go za to znienawidzi. - Płaci ci się za pracę, więc rób coś.

Wstrzymała oddech, jakby ją uderzył. Jasnieniebieskie oczy załśniły podejrzenie, usta wygięły się żałośnie. Poczwała się, jakby dostała prosto w spłot słoneczny.

Reżyser znowu zabrał głos.

- Zacznijmy od zbliżenia na Janie. Wszyscy na miejsca.

Prysnęli jej w oczy kryształkami. Zaczęła płakać.

- Cisza na planie! Kręcimy! I... akcja!

Zbliżenie na Janie. Pojedyncza łza spływała jej po policzku, ale twarz nadal była nachmurzona.

Eric powtarzał sobie, że to Blake ma ją dotknąć. Blake, nie on.

Zrobił krok do przodu, objął Honey i przyciągnął do siebie. Nawet nie sięgała mu do brody. Była tego samego wzrostu co Jason i jak on nade wszystko pragnęła jego zainteresowania.

W uszach miał pisk hamulców.

- Cięcie! Dobra, koniec na dzisiaj, możemy iść do domu.

- Dupek! - Honey odepchnęła Erica i odbiegła.

Odprowadzał ją smutnym wzrokiem.

Zabierz mnie ze sobą, Eric. Błagam.

Rozdział ósmy

Mimo postanowienia, że im pokaże, następnego ranka Honey rozpaczliwie szukała miejsca, gdzie mogłaby się ukryć, by spokojnie wylizać rany. Wszyscy, którzy byli obecni poprzedniego dnia na planie, plotkowali o jej kłótni z Erikiem. Dziś znowu kręcili w plenerze, ale nie mogła się schronić w swojej przyczepie, bo czekał tam na nią nauczyciel z trygonometrią. Schowała się więc za wozem cateringowym, w cieniu drzew. Okazało się jednak, że nawet tam nie będzie sama.

Niecałe dziesięć metrów dalej Dash Coogan przysiadł na wielkim głazie. Zsunął kapelusz nisko na czoło. Honey poczuła, że powinna odejść, ale choć Dash traktował ją chłodno i obojętnie, miała wrażenie, że oto trafiła do ciepłej, bezpiecznej kryjówki. Gdyby tak mogła usiąść mu na kolanach, jak Janie. Wiedząc, że to niemożliwe, przykucnęła na ziemi niespełna cztery metry od niego, objęła kolana ramionami i zapatrzyła się w dal. Nie będzie mu przeszkadzała, jeśli posiedzi cichutko jak myszka.

Upłynęła minuta, przy czym każda sekunda dłużyła się w nieskończoność. Honey chciała ugryźć się w język, ale gorzkie słowa już padły:

- Nienawidzę plotkarzy, którzy nie mają nic innego do roboty jak strzępić sobie języki.

Nie odpowiedział, choć na pewno słyszał o tym, co się stało.

Honey powtarzała sobie, że musi siedzieć cicho. Dash nie lubi gadatliwych kobiet. Z drugiej strony, wydawało jej się, że zwariuje, jeżeli nie wygada się przed kimś godnym zaufania, a nie tylko przed tymi sępami - scenarzystami, którzy jej uczucia w całej okazałości prezentowali rzeszy widzów. Komu innemu mogłaby zaufać, jeśli nie jemu, jedynej namiastce ojca, jaką kiedykolwiek miała?

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, Eric to dupek do potęgi. Wszystkim się wydaje, że się w nim zadurzyłam, ale musiałabym całkowicie stracić rozum, żeby durzyć się w takim dupku!

Coogan uniósł rondo kapelusza i zapatrzył się w dal.

Czekała, aż udzieli jej rady; dorośli zawsze tak postępują wobec nastolatka. Ojcowie wobec córek.

Nie dawała za wygraną.

- Przecież nie jestem taka głupia, żeby się łądzić, że ktoś taki jak on zwróci uwagę na taką brzydulę jak ja.

W napięciu czekała na jego odpowiedź. Niech powie, że wcale nie jest brzydka. Że po prostu jeszcze nie nadszedł jej czas - zawsze mówił to Janie.

Ale cisza się przeciągała. Honey uznała, iż nie może przecież oczekiwać, że będzie czytał w jej myślach.

- Wiem, nie jestem zbyt ładna, ale czy nie uważasz... - z zainteresowaniem obserwowała dziurkę na nogawce swoich džinsów - czy nie uważasz, że może jeszcze... no wiesz... nie nadszedł mój czas?

Popatrzył na nią zimnymi martwym wzrokiem.

- Przyszedłem tu, żeby być sam. Będę zobowiązany, jeśli sobie pójdziesz.

Zerwała się na równe nogi. Dlaczego łądziła się, że ją zrozumie? Że zależy mu na niej na tyle, by starał się podtrzymać ją na duchu? Kiedy przyzna sama przed sobą, że nie obchodzi go ani trochę? Pograżona w rozpacz, instynktownie szukała czegoś, co zaboląoby go równie mocno, co sprawiłoby mu taką samą przykrość, jak jego słowa pod jej adresem.

Głośno nabrała tchu.

- Rzeczywiście, kto chciałby spędzać czas ze starym pijakiem?

Nawet nie drgnął, wciąż siedział nieruchomo wpatrzony w góry San Gabriel. Rondo kapelusza zasłaniało mu oczy, a głos był zupełnie pozbawiony wyrazu, płaski jak prairie Oklahomy.

- Więc najlepiej będzie, jeśli zostawisz starego pijaka samego.

Smutek przerodził się w jad. Już nigdy nie ujawni prawdziwych uczuć przed żadnym z nich. Z ponurą miną, która maskowała rozpacz, odwróciła się na pięcie i pobiegnęła do przyczepy.

Dash Coogan oblał się zimnym potem. Zacisnął powieki, starał się ignorować pragnienie, które szarpało każdą komórką jego ciała. Mała nawet nie przypuszcza, jak blisko była prawdy. Musi się napić.

Drżącą ręką sięgnął do kieszeni koszuli po miętusy. Myślał, że już jest zdrowy, ale ostatnio przekonał się, że było to złudne przekonanie. Wsuwając dwie pastylki do ust, powtórzył sobie coś, co wiedział od dawna: stał się alkoholikiem wyłącznie z własnej winy i nie wolno mu zrzucić odpowiedzialności na innych. Jednak ilekroć ta mała zwracała się do niego jak do prawdziwego ojca, chciał się napić. A przecież nawet dla rodzonych dzieci nie był dobrym ojcem. Co dopiero dla niej.

Był wobec niej opiekuńczy podczas pierwszych dni na planie, ale szybko się zorientował, że popełnia błąd. Towarzyszyła mu jak cień, nie zostawiała ani odrobiny swobody. Wtedy zrozumiał, że musi zachować dystans. Miał zbyt silne poczucie wewnętrznej pustki, by móc wypełnić jej samotność.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo ją krzywdzi, ale powtarzał sobie, że jest silna i twarda, tak jak on w jej wieku, i że upora się z jego wrogością, tak jak on uporał się z brakiem domu i stabilizacji. Może nawet to ją wzmocni. Będzie dla niej lepiej, jeśli od razu zrozumie, że nie można zbyt wiele oczekiwać od innych, że nie powinna tak jawnie okazywać uczuć wobec każdego, kto się nawinie pod rękę.

Ale, do licha, miała w sobie coś, co łamało mu serce, i dlatego musi się trzymać od niej z daleka. Ilekroć budziły się w nim ludzkie uczucia, chciał pić, a nie pozwoli nikomu, nawet rozkosznej nastolatce, zmarnować sześciu lat w trzeźwości.

Honey znalazła dom na początku marca, tuż przed czteromiesięczną sezonową przerwą w zdjęciach. Wprowadzili się kilka tygodni później. Pierwszego wieczoru wyszła na dwór, by podziwiać zachód słońca nad białymi ścianami jej domku. Bujne krzewy bugenwilli pięły się wzdłuż ścian, oplatały okiennice w dużych oknach. Miedziany daszek nad gankiem pokrywała zielona patyna. Ogródek był dobrze utrzymany, zwłaszcza piękne rosarium. Honey nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że zamieszka w takim pięknym domu. A oto spełniały się jej marzenia.

- Oczywiście, zbyt blisko stąd do Wilshire, by okolica była naprawdę modna - tłumaczył agent nieruchomości - ale Beverly Hills to Beverly Hills.

Honey miała w nosie, czy okolica jest modna czy nie. Miała w nosie nawet to, że mieszka w Beverly Hills. Domek był przytulny i ładny, wymarzone miejsce dla rodziny. Może teraz wszystko się ułoży. Otoczyła się ramionami i usiłowała zapomnieć o wszystkich problemach: o konfliktach na planie, o obgadywaniach za plecami. Jeden z reżyserów poskarżył się Rossowi, że spóźniła się na zdjęcia i inni aktorzy musieli na nią czekać. Tyle że nie byli to wszyscy aktorzy, tylko Dash Coogan. Kazała mu czekać dwukrotnie, bo miała już po uszy tego, iż traktował ją jak powietrze, zwłaszcza że dziennikarze okrzyknęli go telewizyjnym ojcem roku.

Hałas samochodu na podjeździe wyrwał ją z zadumy. Odwróciła się w tamtą stronę. Arthur Lockwood, jej agent, właśnie wysiadał z białego bmw. W zachodzącym słońcu jego ruda broda i włosy wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Honey go szanowała, ale jednocześnie onieśmiała ją fakt, że Arthur ukończył dwa fakultety. Poza tym nie mogła się przekonać do jego brody.

- Zadomowiliście się już? - zapytał.
- Powoli. Dekoratorka wewnątrz ustawia meble.
- To naprawdę ładny dom.
- Chodź, pokażę ci drzewo grejpfrutowe.

Zaprowadziła go w głąb ogrodu, gdzie posłusznie zachwycał się drzewem, a potem weszli na werandę tylnymi drzwiami. Dekoratorka wewnątrz

jeszcze tu nie dotarła, więc jedyne umeblowanie stanowiło stare krzesło, na którym Arthur nie chciał usiąść. Honey wyjrzała na małe podwórko. Rozwiesi hamak między drzewami, kupi grill i wszystko będzie jak w reklamie telewizyjnej.

Arthur bawił się drobnymi w kieszeni spodni.

- Honey, za kilka tygodni zaczyna się przerwa w zdjęciach, będziesz wolna aż do sierpnia. Jeszcze nie jest za późno, żebyś przyjęła propozycję TriStara.

Wydawało się, że wieczorne powietrze gwałtownie się ochłodziło.

- Nie chcę grać w filmach, Arthurze. Już ci to mówiłam. Chcę skończyć szkołę średnią w czasie wakacji.

- Masz prywatnego nauczyciela. Kilka miesięcy dłużej nie sprawi ci żadnej różnicy.

- A właśnie że tak.

- Popełniasz błąd. Co prawda serial Coogana jest teraz przebojem, ale to się kiedyś skończy. Musisz pomyśleć o przyszłości. Masz wrodzony talent, Honey. Rola w filmie TriStara jest wręcz dla ciebie stworzona.

- Czternastoletka umierająca na raka. Akurat tego trzeba, żeby rozbać Amerykę.

- Scenariusz jest świetny.

- To mała bogaczka, Arthurze. Nie zagram jej przekonująco. - Przeraziła ją myśl o graniu kogokolwiek innego niż Janie Jones. Nieważne, co mówią krytycy, ona i tak wie, że nie jest prawdziwą aktorką. Tak naprawdę gra po prostu samą siebie.

- Nie doceniasz się, Honey. Masz wielki talent i byłabyś doskonałą w tej roli.

- Zapomnij o tym. - Już sobie wyobrażała kpiącą mine Erica Dillona, gdyby tylko spróbowała zagrać czternastoletnią bogaczkę umierającą na raka.

Na samą myśl o Ericu zbierało jej się na płacz. O ile nie występowali razem, zachowywał się jakby w ogóle nie istniała. A Dash nie odezwał się do niej ani słowem od trzech tygodni, od tamtego dnia, gdy usiłowała z nim porozmawiać. Jediną osobą, której jej obecność zdawała się nie przeszkadzać, była Liz Castleberry, głównie, jak podejrzewała Honey, z powodu Mitzi. Suka Liz stała się jej najbliższą przyjaciółką.

- Musisz dać sobie szansę - przekonywał agent.

- Arthurze, wydawało mi się, że pracujesz dla mnie. Mówiłam już, że nie chcę kręcić filmów, i nie zmieniałam zdania.

Nachmurzył się. Wiedziała, że jest na nią zły, ale za bardzo się rządził i czasami musiała mu przypomnieć, kto tu jest szefem.

Odjechał, a ona weszła do domu. Chantal była w salonie, leżała na nowej biało-złotej kanapie, zagłębiona w lekturze kobiecego pisma. Gordon strugał coś scyzorykiem.

- Bardzo tu ładnie, prawda, Chantal? Dekoratorka wewnątrz odwaliła kawał dobrej roboty.

Podłogę pokrywała gruba biała wykładzina. Na wyposażenie salonu, oprócz kanapy, składały się eleganckie francuskie fotele i stoliki o szklanych blatach. Na jednym z nich poniewierały się resztki mrożonego zestawu obiadowego.

- Jutro przywiozą rośliny - dodała Honey.

- Z roślinami będzie fajnie. - Chantal przeciągnęła się i odłożyła gazetę. - Wiesz, rozmawialiśmy z Gordonem. Za kilka dni wyjeżdżamy.

Honey zamarła w bezruchu.

- Jak to?

Chantal wierciła się niespokojnie.

- Gordon, ty jej powiedz.

Gordon schował szczyrki do kieszeni.

- Chcielibyśmy trochę powłóczyć się po kraju, Honey. Zobaczyć kawał Ameryki. Zacząć żyć własnym życiem.

Honey czuła, jak jej serce trzepocze się w piersi.

- Gordon musi myśleć o swojej karierze - włączyła się Chantal. - Musi skądś czerpać inspirację, jeśli ma być malarzem.

Honey starała się opanować panikę.

- Czy wyście powariowali? Ledwo co kupiłam ten dom. Kupiłam go dla nas wszystkich. Nie możecie teraz tak po prostu wyjechać.

Chantal nikała jej wzroku.

- Gordon twierdzi, że się dusi w „Beverly Hills”.

- Przecież dopiero dzisiaj się wprowadziliśmy! - wrzasnęła Honey. - Jak może się dusić?

- Wiedziałam, że tego nie zrozumiesz. Zawsze na wszystkich krzyczysz, nigdy nie starasz się zrozumieć. - Chantal wybiegła z salonu, tłumiąc szloch.

Honey zwróciła się do Gordona.

- Co ci odbiło, ty kretynie?

Gordon uniósł głowę.

- Nie mów tak do mnie! Chantal i ja możemy wyjechać, kiedy nam się spodoba.

- A z czego będziecie żyli?

- Znajdziemy pracę. Już o tym rozmawialiśmy. Będziemy pracować tu i tam, a potem jechać dalej.

- Może ty tak, ale nie łudź się, jeśli chodzi o Chantal. Nigdy nie robiła nic bardziej skomplikowanego niż sprzedaż biletów na karuzele, a i tak myliła się tyle razy, że wyleciałaby z roboty, gdyby nie należała do rodziny.

- Naucz się fryzjerstwa. Sama o tym mówiła.

- Mówiła także, że wyjdzie za Burta Reynoldsa, i patrz, jak to się skończyło.

Gordon wsunął dłonie do kieszeni, wyraźnie zdenerwowany.

- Nie wytrzymam tego dłużej. Muszę zacząć malować.

- Więc maluj! - krzyknęła Honey.

- Tutaj nie mogę. Ten dom... ta okolica....

- Spróbuj - prosiła. - Jeśli ci się nie uda, możemy się przeprowadzić. -

Na samą myśl o tym robiło jej się słabo. Jeszcze się nawet nie rozpakowali, a już kochała ten dom, ale nie pozwoli, by odebrał jej Chantal.

- Sam nie wiem. Ja...

- Czego ci trzeba? Kupię wszystko.

- Nie podoba mi się, że cały czas przyjmuję od ciebie pieniądze. Jestem mężczyzną. Powinienem....

- Zapłacę ci dwa tysiące dolarów miesięcznie tylko za to, że tu zostaniesz.

Gapił się na nią w milczeniu.

- Dwa tysiące dolarów, dopóki tu będziecie. To kieszonkowe, bo przecieć i tak płacę za mieszkanie i jedzenie.

Gordon głośno wypuścił powietrze z płuc. Wyglądał jak przekłuty balonik. Kiedy się odezwał, mówił cichym, ochrypłym głosem.

- Jakim prawem chcesz kierować naszym życiem?

- Bardzo zależy mi na Chantal, i tyle. Chcę, żeby niczego jej nie brakowało.

- Jestem jej mężem. Sam się o to zatroszczę.

Mówił to jednak bez przekonania i Honey wiedziała, że wygrała.

Zaczęła się przerwa w zdjęciach. Gordon i Chantal wylegiwali się przed telewizorem i zjadali posiłki, które gotowała im Honey, a ona pilnie uczyła się do egzaminów. Ukończyła szkołę średnią z doskonałymi wynikami, z wyjątkiem fizyki, której nie cierpiała. W czerwcu we trójkę polecili do Karoliny Południowej spotkać się z Sophie. Park robił jeszcze bardziej przynębiające wrażenie, niż to zapamiętała. Sprzedano wszystkie karuzele, a „Bobby Lee” w końcu spoczął na dnie jeziora, po wyjątkowo gwałtownej letniej burzy. Po raz kolejny Honey namawiała ciotkę, żeby się przenieśli do Los Angeles, ale Sophie nadal odmawiała.

- Tutaj jest mój dom, Honey. Nie chcę mieszkać nigdzie indziej.

- Tu nie jest bezpiecznie, Sophie.

-A właśnie że tak. Buck jest ze mną.

Następnego dnia Honey pojechała do miasteczka na spotkanie z prawnikiem, którego zatrudniła w grudniu. Miał wynegocjować przyzwoitą cenę za park. Późnym popołudniem podpisała ostatnie dokumenty. Chwilowo

została bez grosza przy duszy, nie stać jej więc było na ponowne otwarcie parku. Ale przynajmniej stał się jej własnością.

- Honey, prosiłam, żebyś minęła Dasha i podeszła do okna, wypowiadając ostatnią kwestię. - Janice Stern, jedyna kobieta reżyser w zespole, wskazała, o co jej chodzi.

Przerwa się skończyła. Nadszedł sierpień i ponownie spotkali się w studiu, by nakręcić nowe odcinki na sezon 81 -82. Od samego początku Honey była w fatalnym humorze. Dash nie wykazał nawet odrobiny radości na jej widok, Eric ledwie burknął coś na powitanie. Tylko Liz Castleberry, Suka nad Sukami, zatrzymała się na pogawędkę. Ona jednak była ostatnią osobą, z którą Honey chciała się zaprzyjaźnić.

Oparła ręce na biodrach i posłała Janice mordercze spojrzenie.

- Nie ruszę się, dopóki nie powiem „Uspokój się, tatku”. Tak będzie lepiej.

- Za późno - sprzeciwiła się Janice. - Wtedy masz już być przy oknie.

- Nie chcę.

- Honey, to ja reżyseruję.

Honey zmrużyła oczy i oznajmiła najbardziej wyniosłym głosem, na jaki mogła się zdobyć:

- A ja gram. Jeśli nie podoba ci się to, co robię, może powinnaś reżyserować inny serial.

W biegu minęła Dasha, który stał tuż obok z kubkiem kawy w jednej i scenariuszem w drugiej ręce. Poprzednio dała im się zastraszyć, ale teraz już tak nie będzie, o nie. Ma dosyć tego, że wszyscy nią pomiatają, ma dosyć narzekań Gordona, dąsów Chantal. Skoro i tak nikt jej nie lubi, co za różnica, jak się zachowuje?

Skrzyła w korytarz prowadzący do garderoby i zobaczyła Erica. Wystarczył jego widok, by ugięły się pod nią kolana. Podczas lata nakręcił swój pierwszy film fabularny. Był tak przystojny, że nie mogła przestać się gapić.

Rozmawiał z Melanie Osborne, ładną rudowłosą asystentką reżysera. Stali na tyle blisko siebie, że Honey nabrała pewności, iż bynajmniej nie rozprawiają o pracy. Melanie przytuliła się do niego, a Honey skręcała się z zazdrości.

Eric podniósł głowę i zobaczył ją. Poklepał Melanie po policzku i wszedł do swojej garderoby.

Nastrój Honey pogorszył się znacznie.

Melanie podeszła do niej z przyjaznym uśmiechem.

- Cześć, Honey. Właśnie słyszałam, jak Ross mówił, że masz do niego przyjść, gdy skończysz.

- Niech sam do mnie przyjdzie.

- Tak jest, psze pani - mruknęła Melanie pod nosem, gdy Honey ją mijiała.

Honey zatrzymała się w pół kroku.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

Patrzyła na długie falujące włosy i na pełne piersi Melanie. Nie dalej jak tydzień temu obcięli jej włosy, znowu pod garnek.

- Licz się ze słowami. Nie cierpię przemądrzałych.

- Przepraszam - odezwała się Melanie chłodno. - Nie chciałam cię obrazić.

- Ale to zrobiłaś.

- Postaram się, żeby to się nie powtórzyło.

- Postaraj się raczej, żeby nie wchodzić mi w drogę.

Melanie zacisnęła zęby i już miała odejść, ale w Honey wstąpił diabeł. Chciała ukarać Melanie za to, że jest ładna i kobieca, że umie rozmawiać z Erikiem, przekomarzać się z Dashem, za to, że lubią ją wszyscy na planie, za to wreszcie, że ma czerwone paznokcie w kształcie migdałów.

- Najpierw przynies mi kawy - warknęła. - Do mojej garderoby. I to migiem.

Melanie patrzyła się na nią przez dłuższą chwilę.

- Słucham?

- Słyszałaś.

Nie ruszyła się, więc Honey wzięła się pod boki.

- No? - rzuciła ponaglać.

- Idź do diabła.

Ross zjawił się nie wiadomo skąd akurat w tej chwili, usłyszał więc ostatnie słowa asystentki. Zatrzymał się w pół kroku. Melanie odwróciła się na pięcie, zobaczyła go i pobladła.

Honey podbiegła do Rossa.

- Słyszałeś, co powiedziała?

- Jak się nazywasz? - burknął Ross.

Asystentka reżysera wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

- Ja... Melanie Osborne.

- Cóż, Melanie Osborne, właśnie zasiliała szeregi bezrobotnych. Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się.

-Ale...

- Honey jest gwiazdą - powiedział spokojnie. - Nikt nie ma prawa tak do niej mówić.

Melanie przeniosła wzrok na Honey, czekała, że dziewczyna coś powie. Ale Honey milczała. Wyrzuty sumienia kazały zareagować, jednak duma była silniejsza.

Gdy stało się jasne, że Honey nie powie ani słowa, Melanie uśmiechnęła się gorzko.

- Nie ma za co - syknęła i odeszła z dumnie uniesioną głową.

- Przykro mi, że do tego doszło, Honey. - Ross przecesał palcami długie siwe włosy. - Zadbam, żeby tu więcej nie pracowała.

Honey przeszedł lodowaty dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że jak potężną władza wiąże się sława. Nawet nie zapytał, o co poszło. Ona jest ważna, Melanie nie, i tylko to się liczy.

Mówił coś o konferencji prasowej przed nowym sezonem i o dziennikarzu, który będzie jej towarzyszył. Honey słuchała go jednym uchem. Postąpiła okropnie, ale przyznanie się do tego było zbyt trudne. Gorączkowo szukała usprawiedliwienia dla swego zachowania: właściwie nigdy się nie myli co do ludzi. Melanie pewnie sprawiłaby im kłopoty. I tak na pewno wyleciałaby z pracy. Niestety, Honey wciąż nie mogła się pozbyć poczucia winy.

Gdy Ross odszedł, pobiegła do swojej garderoby, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Zanim zamknęła drzwi, dostrzegła Liz Castleberry w progu pokoju naprzeciwko. Na jej twarzy malował się wyraz dezaprobaty. Zapewne wszystko słyszała.

- Dam ci jedną radę, mała - odezwała się spokojnie. - Nie podkładaj ludziom świń. To się zawsze obróci przeciwko tobie.

Honey poczuła się osaczona. Najeżyła się.

- Proszę, proszę. Nie przypominam sobie, bym cię prosiła o radę.

- A może powinnaś.

- Pewnie zaraz polecisz do Rossa.

- Ty powinnaś to zrobić.

- Daruj sobie.

- Popelniasz błąd - stwierdziła Liz. - Mam tylko nadzieję, że zdasz sobie z tego sprawę, zanim będziesz za późno.

- Idź do Rossa, proszę bardzo - syknęła Honey. - Ale jeśli Melanie pojawi się na planie, mnie tam nie będzie!

Weszła do garderoby i ostentacyjnie zatrzasnęła za sobą drzwi.

Melanie była bardzo lubiana i niedługo trwało, zanim wszyscy się dowiedzieli, dlaczego już nie pracuje. Nie minął tydzień, a Honey była pariasem ekipy. Nikt się do niej nie odzywał, a ona z kolei stawała się coraz bardziej wymagająca. Narzekała na wszystko: na oświetlenie, makijaż, scenografię, scenariusz.

Łudziła się, że teraz będą musieli się nią zainteresować, ale Dash w ogóle się do niej nie odzywał, a Eric patrzył z obrzydzeniem, jak na oślizgłego ślimaka. Do i tak skomplikowanych uczuć, które w niej budził, doszła nienawiść.

W następnym tygodniu Arthur zaprosił Honey na kolację. Słyszał, co spotkało Melanie i wygłosił wykład, jak to niedobrze, że wyrabia sobie opinię trudnej i niezdolnej.

Zamiast poprosić, by pomógł jej wszystko naprawić - co, jak wiedziała, zrobiłby z przyjemnością - zamknęła mu usta, wyliczając drobne przykrości, jakie spotkały ją na planie. A potem oznajmiła, że albo będzie po jej stronie, albo znajdzie sobie innego agenta. Umilkł od razu.

Gdy wychodzili z restauracji, powróciło okropne uczucie, że opętał ją diabeł. Wewnętrzny głos podpowiadał, że staje się rozpuszczonym bacherem Hollywood, jak te dzieci gwiazdorów, o których czytała. Starał się o tym nie myśleć. Nikt jej nie rozumie, ale to ich wina, nie jej. Powtarzała sobie, że powinna być dumna, iż udało jej się pokazać agentowi, gdzie jego miejsce, ale zanim wsiedli do samochodu, trzęsła się cała, i to nie z dumy, lecz ze strachu. Czy nikt jej nie powstrzyma?

Następnego dnia poszła do scenarzystów. Nie żeby z nimi rozmawiać, co to to nie. Ot, tak, wpadła się tylko przywitać.

Rozdział dziewiąty

Dom stał samotnie na końcu morderczo krętej drogi wijącej się przez kanion Topanga. Szosa nie miała żadnej barierki ochronnej i ciemność, w połączeniu z listopadową mżawką, przerażała nawet tak nieustraszonego kierowcę jak Honey. Usiłowała wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, gdy zobaczyła nowy dom, ale nienawidziła go całym sercem: zarówno sam budynek, jak i posępną lokalizację.

Kanion Topanga był oddalony o lata świetlne od Beverly Hills i małego białego domku, który tak bardzo przypadł jej do serca. Tutaj mieszkały niedobitki hippisów z całej południowej Kalifornii. Stada dzikich psów włóczyły się po górach i krzyżowały z kojotami. Przeprowadzili się tu, bo po siedmiu miesiącach w Beverly Hills Gordon nadal nie mógł malować.

Honey oczy zamykały się ze zmęczenia. Z Beverly Hills miała tylko pół godziny do studia. Teraz wstawała o piątej rano, żeby o siódmej być na planie, i rzadko kiedy wracała przed ósmą.

Burczało jej w brzuchu. Weszła do domu. Wyobraziła sobie, że Chantal i Gordon przyszykowali kolację. Ale żadne z nich nie radziło sobie w kuchni i zazwyczaj czekali na nią. Zatrudniła cztery gosposie do gotowania i sprzątania, wszystkie jednak wymawiały.

Poszła do salonu na tyłach domu. Byli tam wszyscy: Chantal, Gordon Sophie i jej nowy mąż. Przypomniało jej się stare porzekadło, że trzeba uważać, czego się pragnie, bo a nuż nasze życzenia się ziszcza. Dopiero teraz je zrozumiała.

- Mama źle się czuje - oznajmiła Chantal znad nowego numeru „Cosmopolitan”.

- Znowu boli mnie głowa - westchnęła Sophie z kanapy. - I coś mnie drapie w gardle. Buck, skarbie, ścisź telewizor, dobrze?

Buck Ochs, dawny dozorca parku rozrywki i świeżo upieczony mąż Sophie, wylegiwał się na rozkładanym fotelu, prezencie od Honey, zjadał orzeszki ziemne i oglądał pokaz kostiumów kąpielowych w telewizji. Posłusznie sięgnął po pilota i wycelował nim w wielki telewizor, kolejny podarek od Honey.

- Popatrz na te cycki, Gordon. Coś takiego.

W przeciwieństwie do Sophie Buck chętnie przeniósł się z podupadłego parku rozrywki do szalonego Los Angeles. Wczesną jesienią oboje zapukali do drzwi Honey.

- Honey, skocz po tabletki na ból gardła, bardzo cię proszę. - Sophie z trudem uniosła się na łokciu. - Tak mi zaschło w gardle, że ledwo przełykam.

Buck ponownie nastawił dźwięk na pełny regulator.

- Oj, Sophie, Honey później skoczy po pastylki. Teraz mam ochotę na gruby soczysty stek. Co ty na to, Honey?

Drogie białe meble były pokryte tłustymi plamami. Na dywanie poniewierała się pusta puszka po piwie. Honey, patrząc na ten bałagan, poczuła się jeszcze bardziej zmęczona. I wściekła.

- Co z was za świnię! - krzyknęła. - Popatrzcie tylko na siebie! Objacie się jak biała nędza, niczym pożytecznym się nie zajmujecie! Mam tego dosyć! Mam dosyć was wszystkich!

Buck oderwał się od ekranu, toczył zdumionym wzrokiem po pozostałych.

- Co ją ugryzło?

Chantal cisnęła „Cosmopolitan” na podłogę i wstała z obrażoną miną.

- Nie lubię, kiedy tak mówisz, Honey. Przez ciebie straciłam apetyt.

Gordon dźwignął się z podłogi, gdzie z zamkniętymi oczami oddawał się, jak to nazywał, „wewnętrznemu malowaniu”.

- Ale ja nie. Co będzie na kolację, Honey?

Już otwierała usta, by odpowiedzieć zjadliwie, ale ugryzła się w język. Bez względu na wszystko są jedyną rodziną, jaką posiada. Z ciężkim westchnieniem poszła do kuchni i zabrała się do przygotowania kolacji.

W ciągu trzech miesięcy od zwolnienia Melanie stosunki Honey z resztą ekipy pogarszały się systematycznie. Nie dziwiła się wcale, że jej nie znoszą. Jak mogliby lubić kogoś takiego? Najgorsze, że jakaś jej cząstka, cząstka, której się bała, nie chciała się zmienić.

W poniedziałek, po nieprzyjemnym weekendzie na łonie rodziny, zaczęli zdjęcia do odcinka, w którym Janie, zazdrosna o stosunki łączące Blake'a i Dusty, stara się doprowadzić do jej zwolnienia. W kulminacyjnej scenie Dash w ostatniej chwili ściągał ją z dachu obory, podczas gdy Blake i Dusty przyglądali się temu z dołu.

Dash, jak zwykle, nie zwracał na Honey uwagi przez cały tydzień. Snuła się beczynnie aż do popołudnia, gdy miano kręcić finałową scenę. Ze swego miejsca na dachu obserwowała, jak Dash pokonuje dwa piętra, wbiega na stryszek i potem jeszcze na dach. Po godzinie prób byli gotowi do zdjęć.

Kamery poszły w ruch. Czekala, aż Dash skończy się wspinać. Gdy był już niemal na dachu, wstała i spojrzała do kamery.

- Zapomniałam tekst!

- Cięcie! Podpowiedzcie Janie, co ma mówić! - Ten odcinek reżyserował Jack Swackhammer. Pracował na planie serialu najdłużej i zaliczył więcej niż inni reżyserowie konfliktów z Honey. Nienawidziła go.

- Honey, to dla Dasha trudna scena - powiedział. - Postaraj się tym razem, dobrze?

- Jane, Jack! - odkrzyknęła słodko.

Dash posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

Przy drugim ujęciu udało jej się poślizgnąć w nieodpowiednim momencie. Przy trzecim pomyliła tekst. Potem wypowiedziała go w niewłaściwym momencie. Dash tak bardzo spociał się z wysiłku, że musiał zmienić koszulę. Zaczęli jeszcze raz, ale Honey znowu się pomyliła.

Godzinę później, gdy po raz piąty zepsuła ujęcie, Dash nie wytrzymał, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jack natychmiast pobiegł do Rossa poskarżyć się na fatalne zachowanie Honey. Ale *Dash Coogan Show* był przebojem sezonu i Ross nie zaryzykowałby konfliktu z aktorką, którą gazety okrzyknęły „najcudowniejszą dziecięcą gwiazdą” telewizji. Zanim dokończyli odcinek, Honey zadbała, by Jack Swackhammer wyleciał z pracy.

Kiedy się o tym dowiedziała, zrobiła jej się niedobrze. Dlaczego nikomu nie zależy na niej na tyle, by kazał jej przestać?

Scenarzyści siedzieli w sali konferencyjnej, wpatrzeni w drzwi, które przed chwilą zatrasnęły się za Honey. Przez kilka minut panowało milczenie, w końcu jedna z kobiet odłożyła notes na stół.

- Nie możemy tego dłużej tolerować.

Mężczyzna po jej lewej stronie odchrząknął głośno.

- Postanowiliśmy, że nie będziemy się wtrącać.

- Tak jest - podchwycił ktoś inny - mamy być bezstronnymi obserwatorami.

- My tylko opisujemy rzeczywistość, nie zmieniamy jej.
Kobieta potrząsnęła głową.
- Nie obchodzi mnie, co obiecywaliśmy. Ta mała dąży do samozagłady. Musimy coś zrobić.

PLENER, WERANDA NA RANCZU. DZIEŃ

Eleanor, ubrana w biały elegancki kostium, pokryty błotem, jest wściekła. Dash stoi z posępną twarzą. Janie z miną winowajcy stoi koło fotela na biegunach.

DASH

Czy to prawda, Janie? Specjalnie zastawiłaś pułapkę?

JANIE

(rozpaczliwie)

To była pomyłka, tatku. Wcale nie chciałam, żeby pani Chadwick w nią wpadła. Chodziło o starego Wintersa! Musiałam coś zrobić! Przecież chciała sprzedać mu ranczo!

ELEANOR

(z obrzydzeniem ściera z policzka grudkę błota)

Tego już za wiele! W końcu znajduję kupca na to cholerne miejsce, a co robi twoja córeczka? Chce go zabić!

JANIE

Wcale nie chciałam go zabić, pani Chadwick, tylko zatrzymać, żeby tu nie dojechał przed powrotem tatki z miasta. Naprawdę mi przykro, że dostało się pani, a nie jemu.

ELEANOR

Niestety, to nie wystarczy. Panie Jones, tolerowałam różne wybryki pańskiej córki, ale tego już za wiele. Zdaję sobie sprawę, że pana zdaniem jestem rozpuszczona i zepsuta i mam jeszcze tuzin innych wad, których kowboje nie akceptują. Ale powiem panu jedno: ani razu nie zawiodłam mego syna jako matka.

JANIE

(podbiega do Eleanor)

Pani syn to nędzny kobieciarz, niech go piekło pochłonie!

DASH

Dosyć tego, Janie. Czy to wszystko, pani Chadwick?

ELEANOR

Nie, to nie wszystko. Nigdy nie pozwoliłam synowi krzywdzić innych, panie Jones. Nie zapomniałam ani na chwilę, że moim obowiązkiem jest nauczyć go rozróżniać dobro i zło. Być może tu, w Teksasie, podstawowe wartości nie są w cenie, ale zapewniam pana, że winnych częściach tego kraju - owszem.

DASH

(chłodno)

Jeśli będę chciał pani rady co do wychowania córki, nie omieszkać poprosić.

ELEANOR

Wtedy może już być za późno.

Eleanor podnosi torebkę z krzesła i energicznie wchodzi do domu.

JANIE

(z satysfakcją)

Aleś jej powiedział, tatkum.

DASH

Taak, powiedziałem jej. A teraz mówię tobie, panno Jane Marie Jones, że twoje dni niewinnej dziewczynki nietkniętej rodzicielską ręką skończyły się bezpowrotnie.

Obejmuje Janie w pasie, przerzuca sobie przez ramię i niesie w dół po schodach, a potem w stronę stodoły.

- Cięcie! - Reżyser zajązrał do notesu. - Janie i Dash, będziecie mi potrzebni za piętnaście minut. Liz, jesteś wolna do drugiej.

Dash nie zdążył postawić jej na ziemi, a Honey już zaczęła się wyrwać.

- Nie musisz mnie dusić, ty niezdamy sukinsynu! - syknęła.

Upuścił ją, jakby była wściekłym psem.

Liz wróciła na werandę. Wytarła twarz chusteczką.

- Honey, znowu weszłaś mi w słowo. Pozwól mi też pracować, dobrze?

Liz powiedziała to spokojnie i grzecznie, ale Honey nie panowała nad sobą.

- Idź do diabła! - warknęła i odbiegła. Mijając kamerę, kopnęła stawy z całej siły i pożegnała się głośnym: - Skurwiele!

- Urocza - skomentowała Liz.

Członkowie ekipy udawali, że niczego nie zauważyli. Dash powoli pokręcił głową i podszedł do Liz.

- Wiesz, czego najbardziej żałuję? Że cholerni scenarzyści stchórzyli i dzisiaj nie złoję jej skóry.

- Zrób to bez scenariusza.

- Tak, jasne.

- Mówię poważnie, Dash.

Ściągnął brwi i wyjął z kieszeni paczkę miętusów. Liz starannie unikała wszelkich osobistych kontaktów na planie, żeby zbyt nie komplikować sytuacji, ale sprawa z Honey doszła do takiego stanu, że uznała, iż nie może dłużej przymykać oczu.

Przeszła na najdalszy kraniec werandy, tak że nikt z ekipy nie mógł jej słyszeć, i odezwała się po chwili wahania:

- Honey całkowicie straciła kontrolę nad sobą.

- Też mi nowina. Dzisiaj rano czekaliśmy na nią przez godzinę.

- Ross się do niczego nie nadaje, podobnie jak inni ludzie z wytwórni.

Do tego stopnia boją się, że zerwie kontrakt i ojedzie, że puszcza jej płazem nawet morderstwo. Martwię się o nią. Z niezrozumiałych dla mnie samej powodów lubię tego małego potwora.

- Więc uwierz mi na słowo, że nie jest to uczucie odwzajemnione. Wcale nie ukrywa, że cię nienawidzi z całego serca. - Dash opadł na bujany fotel. - Ilekroć kręcę z nią scenę, obawiam się, że wbije mi nóż w plecy, gdy tylko się odwrócę. Można by się spodziewać, że będzie bardziej wdzięczna. Gdyby nie ja, nigdzie by nie grała.

- Sądząc po wymowie ostatniego odcinka, scenarzyści dają ci do zrozumienia, że musisz coś z nią zrobić. - Liz przestała ścierać makijaż. - Wiesz, czego Honey od ciebie chce. Wszyscy na planie to wiedzą. Czy naprawdę tak trudno ci będzie to jej dać?

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparł cichym, nieswoim głosem.

- Od samego początku patrzyła na ciebie jak na samego pana Boga. Dash, ona chce, żebyś poświęcił jej trochę uwagi. Żeby ci na niej zależało.

- Jestem aktorem, nie niańką.

- Ale ona cierpi. Bóg jeden wie, od jak dawna sama musiała o siebie zadbać. Widziałeś jej rodzinę - banda pasożytów. Pewnie zawsze liczyła tylko na siebie.

- Ja też liczyłem tylko na siebie jako dzieciak i doskonale sobie poradziłem.

- Tak, jasne - rzuciła sarkastycznie. Trzy były żony, dwójka praktycznie obcych dzieci, lata walki z butelką, oto dowody na to, jak doskonale sobie poradziła.

Zerwał się na równe nogi.

- Skoro tak bardzo się o nią martwisz, czemu sama nie pobawisz się w mamuszkę?

- Bo naplułaby mi w twarz. Zresztą jestem raczej typem złej macochy niż dobrej wróżki. To trudny kawałek chleba dla dziewczyny, która musi sama o siebie zadbać. Ona szuka ojca, Dash. Kogoś, kto ściągnie jej cugle. - Starła się rozluźnić napięcie lekkim uśmiechem. - A kto się do tego nadaje lepiej niż stary kowboj?

- Zwariowałaś - rzucił przez ramię. - Nie znam się na dzieciakach.

- Przecież masz dwoje. Musisz znać się choć trochę.

- Wychowała ich matka, ja tylko podpisuję czeki.

- I najbardziej byś chciał, żeby dalej tak zostało, co? Tylko podpisywać czeki. - Słowa wymknęły się wbrew jej woli; najchętniej odgryzłaby sobie język.

Dash odwrócił się powoli. Zmrużył oczy.

- Może prostu powiesz mi jasno, o co ci chodzi?

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- No, dobrze. Honey wszystko się pomieszało i wydaje jej się, że jest Janie. Może to wina scenarzystów, nie wiem. Ale, nieważne z jakich powodów, im bardziej trzymasz ją na dystans, tym bardziej jest jej przykro i tym gorzej się zachowuje. Wydaje mi się, że tylko ty możesz jej pomóc.

- Nie mam najmniejszego zamiaru jej pomagać. To nie moja sprawa.

Jego chłód przywołał stary ból, którego istnienia Liz już nie podejrzewała. Nagle znowu miała dwadzieścia dwa lata, kochała się w kowboju z Oklahomy i dowiedziała się, że on ma żonę.

- Honey prosi o zbyt wiele, prawda? Podczas pierwszego miesiąca zdjęć łąziła za tobą jak szczeniak i żebrała o odrobinę uwagi. A im bardziej żebrała, tym bardziej byłeś wrogi. Chciała zbyt wiele, a ty nie lubisz takich kobiet, prawda, Dash?

Posłał jej lodowate spojrzenie.

- Niczego o mnie nie wiesz, do cholery, więc nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy!

Liz w myślach wyrzucała sobie, że w ogóle zaczęła tę rozmowę. Mieli wystarczająco dużo problemów, niepotrzebny im jeszcze konflikt między nią a Dashem. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się gorzko.

- Święte słowa, mój drogi. Nie będę.

Odeszła bez słowa.

Dash pobiegł do barku i nalał sobie kubek mocnej kawy. Była gorąca, parzyła go w język, ale i tak pił. Był wściekły na Liz. Dlaczego postawiła

sprawę w taki sposób, jakby był odpowiedzialny za małą jędzę? Jest odpowiedzialny tylko za jednego człowieka, czyli za siebie samego; musi pozostać trzeźwy. Do niedawna nie wymagało to wielkiego wysiłku, ale wszystko się zmieniło, gdy Honey wkroczyła w jego życie.

Przełknął resztkę kawy, wyrzucił kubek. To Ross powinien zwrócić Honey uwagę, nie on. A Liz Castleberry niech lepiej pilnuje własnego nosa.

Zawołali go do następnej sceny, stosunkowo prostej - niesie Honey do stodoły. Scena w stodole będzie gorsza - wtedy nastąpi stała część dydaktyczna, gdy widzowie poznają morał danego odcinka. Nazywano to w skrócie PO, Przesłanie Odcinka, ale ekipa zwykła tłumaczyć skrót jako Pieprzenie Odcinka.

- Gdzie Honey? - zapytał asystent reżysera. - Zaczynamy kręcić.

- Słyszałem, że Jack Swackhammer wynajął płatnego zabójcę - rzucił któryś z kamerzystów. - Może wreszcie wykonał zlecenie.

- Za dużo szczęścia - mruknął asystent reżysera.

Przez kolejnych dziesięć minut Dash stał w cieniu i czuł, jak zaczyna gotować się ze złości. Ktoś widział Honey przy koniach i zaraz wysnuto wniosek, że prawdopodobnie spędza z nimi tyle czasu, bo tylko zwierzęta są w stanie z nią wytrzymać, nie obawiając się, że lada chwila wylecą z pracy.

Reżyserem tego odcinka był Bruce Rand. Miał na koncie najlepsze odcinki MASH i opinię człowieka taktownego, dlatego też Ross go sprowadził. Wystarczył jednak tydzień z Honey i Bruce powoli tracił cierpliwość.

W końcu zjawiła się na planie. Bruce odetchnął z ulgą i rozpoczął przygotowania.

- Dash, niesiesz Janie ze schodów, do stodoły. Janie, przy pierwszym stopniu powiesz tekst o niepopieraniu przemocy, a kiedy cię nie posłucha, zaczniesz się szarpać.

Skończył udzielać instrukcji, przystąpili do prób. Dash i Honey stanęli na werandzie. Asystent reżysera, odpowiedzialny za zachowanie spójności, zajrzał do notatek.

- Miałeś ją na lewym ramieniu, Dash. Honey, potrzebny ci kapelusz.

Minęło kolejnych kilkanaście minut, zanim garderobiani znaleźli jej granatowy kapelusz przy zagrodzie dla koni. W końcu miała go na głowie, Dash zarzucił ją sobie na ramię i przeszli do stodoły.

Wrócili na werandę, Dash dostrzegł w małej zaciętej twarzyczce wyrażenie, a w jasnoniebieskich oczach upór. Nie zapomniał jeszcze odcinka w listopadzie, gdy celowo zapominała tekstu albo się myliła i musiał Bóg wie ile razy włączyć na dach. Kręgosłup dawał mu się we znaki przez cały tydzień.

- Żadnych sztuczek, Honey - ostrzegł. - To prosta scena. Uporajmy się z tym jak najszybciej.

- Martw się o siebie, stary dziadu - warknęła. - Ja zatroszczę się o siebie. Nie lubił, kiedy tak do niego mówiła, więc rozzłościł się jeszcze bardziej. Nieważne, co mówi lustro - ma tylko czterdzieści jeden lat. To nie tak dużo.

- Cisza na planie! - zawołał Bruce.

Dash podszedł do Honey i zarzucił ją sobie na lewe ramię.

- Gotowi! Kręcimy! Akcja!

- Nie, tatku! - wrzasnęła Janie, gdy zrobił pierwszy krok. - Co ty robisz? Przecież już przeprosiłam.

Doszedł do schodów.

- Zapomniałeś, że jesteś przeciwny niepotrzebnej przemocy?! - krzyknęła. - Nie możesz lekceważyć swoich ideałów!

Jak zwykle angażowała się całkowicie i przycisnęła ją mocniej, żeby mu się nie wyrwała.

- Nie, tatku! Nie rób tego! Jestem za duża!

Kopnęła go w plecy. Chrząknął tylko, przycisnęła ją mocniej i szedł dalej. Dźgnęła go łokciem w zebro. Przycisnęła ją jeszcze mocniej, ostrzegając bez słów, żeby nie posuwała się za daleko. Ugryzła go w ramię.

- Cholerny świat! - Krzyknął z bólu i rzucił ją na ziemię.

-Au! - Kapelusz spadł jej z głowy. Patrzyła na niego z dołu, blada z wściekłości. - Upuściłeś mnie, ty skurwielu!

Oczy zaszyły mu mgłą. Napsuła mu tyle krwi, miał już tego dosyć. Pochylił się, podniósł ją za pasek od dżinsów i kołnierz koszuli.

- Jezu! - wrzasnęła z mieszaniną strachu i zaskoczenia.

- Przegięłaś, mała - syknął, niosąc ją do stodoły, tym razem na serio.

Jej poprzednia szamotanina była tylko bladą rozgrzewką w porównaniu z tym, co urządziła teraz. Przycisnęła ją do siebie. Nie obchodziło go, czy sprawia jej ból czy nie.

Honey z trudem łąpała oddech. Gniew powoli przechodził w strach, gdy do niej dotarło, że Dash jest śmiertelnie poważny. Czekwała, aż ktoś wyznaczy jej granicę, i wreszcie się doczekała.

W przelocie mignęły znajome twarze.

- Pomocy! Bruce! Pomocy! Ross! Niech ktoś tu ściągnie Rossa!

Nikt się nie ruszył z miejsca.

Wtedy zobaczyła Erica. Stał z boku i palił papierosa.

- Eric, powstrzymaj go!

Zaciągnął się głęboko i odwrócił głowę.

-Nie! Puść mnie!

Dash niósł ją do stodoły. Dostrzegła tam kilku ludzi z ekipy, ustawiali reflektory do następnej sceny. Nie zrobi jej nic złego przy tyłu świadkach.

- Wynocha stąd! - wrzasnął Dash. - I to już!

- Nie! - pisnęła. - Nie, nie idźcie!

Uciekali jak szczury z tonącego okrętu. Ostatni starannie zamknął za sobą drzwi.

Dash ciężko usiadł na beli siana przygotowanej do następnej sceny i przerzucił Honey przez kolana.

Czytała scenariusz i wiedziała, co będzie dalej. Podniesie rękę, żeby sprawić jej lanie i przekona się, że nie może się na to zdobyć. A potem opowie o jej matce, Janie zacznie płakać i wszystko się dobrze skończy.

Dłoń Dasha opadła na jej pośladki.

Honey wrzasnęła ze zdziwienia.

Uderzył ponownie. Krzyk zdziwienia przeszedł w jęk bólu.

Następny klaps bolał jeszcze bardziej.

A potem Dash przestał.

- Teraz będzie tak: masz być mi posłuszna. Jeśli będę w dobrym humorze, nie masz się czego obawiać. Ale jeśli coś mnie wkurzy, módl się o zmiłowanie. - Uniósł dłoń i wymierzył jej kolejnego klapsa. - Uwierz mi, teraz jestem zdrowo wkurzony.

- Nie możesz - wystękała.

Uderzył ją znowu.

- Kto tak powiedział?

Miała łzy w oczach.

- Jestem gwiazdą! Odejdę z serialu!

Klaps.

- I bardzo dobrze.

- Pozwę cię do sądu! - Klaps. - Au!

- Masz być grzeczna. - Klaps.

Poczerwieniała ze złości i upokorzenia, ciekło jej z nosa. Pojedyncza łza upadła na drewnianą podłogę. W napięciu czekała na kolejny cios, ale Dash się nie ruszał. Powiedział tylko powoli i spokojnie:

- Wiem, co zrobimy. Będę po kolei, pojedynczo, zapraszał tu wszystkich tych, których obraziłaś. Każdy ci wlepi kilka klapsów.

Z jej gardła wyrwał się szloch.

- To nie tak! Nie tak jest w scenariuszu!

- Życie to nie scenariusz, mała. Musisz ponosić odpowiedzialność za to, co robisz.

- Błagam - szepnęła, mała i samotna. - Błagam, nie rób tego.

- Dlaczego nie?

Chciała zaczerpnąć tchu, ale bolały ją płuca.

- Dlatego.

- Obawiam się, że musisz się postarać o lepszą odpowiedź.

Pośladki ją paliły, ale od bólu fizycznego gorsze było cierpienie duszy.

- Dlatego... - jęknęła. - Dlatego, że nie chcę taka być.

Nie odzywał się przez chwilę.

- Płaczesz?

- Ja? Nie, skądże. Ja... ja nigdy nie płaczę... - głos jej się załamał.

Oderwał dłoń od jej pośladków. Podniosła się z trudem, ale poślizgnęła się na rozsypanej słomie i wyciągnęła jak długa na sąsiedniej beli siana. Odwróciła się do niego plecami, żeby nie widział łez na policzkach.

Zapanowało milczenie. Pośladki ją paliły, musiała zacisnąć dłonie w pięści, żeby nie masować bolących miejsc.

- Ja... nie chciałam nikogo skrzywdzić - powiedziała cicho. - Chciałam, żeby wszyscy mnie lubili.

- No, z całą pewnością zabrałaś się do tego w nader oryginalny sposób.

- Nikt mnie nie lubi.

- Jesteś wredną małą suką. Dlaczego ktokolwiek miałby cię lubić?

- N-nie jestem s-suką! Jestem uczciwą baptystką z kodeksem moralnym.

- Aha - mruknął sceptycznie.

Wytarła łzy rękawem koszulki, żeby ich broń Boże nie zobaczył.

- Chyba... chyba nie sprowadzisz tu wszystkich i nie pozwolisz im mnie bić?

- Skoro jesteś prawdziwą baptystką, publiczny żal za grzechy nie powinien ci tak bardzo przeszkadzać.

Chciała wyprostować się dumnie, ale była zbyt nieszczęśliwa, kuliła się jak małe dziecko. Jakim cudem do tego doszło? Przecież chciała tylko, żeby wszyscy ją lubili, zwłaszcza ten mężczyzna, którzy czuje do niej jedynie pogardę. Zbyt wiele zebrało się łez, by mogła je powstrzymać, i kilka popłynęło po policzkach.

- Ja... ja... nie mogę ich przeprosić. Wstydę się.

- Powinnaś się wstydzić tego, co ostatnio wyczyniałaś. Nie wiem, co za różnica, przeżyć to jeszcze raz.

Przeraziła się na myśl, że Eric zobaczyłby ją w tym stanie.

- Nie rób tego, błagam.

Poruszył się lekko. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Stłumiła szloch.

- Właściwie mógłbym się z tym wstrzymać. Ale musisz się zmienić.

Nie poprawiło to jej humoru.

- Nie powinieneś był mnie uderzyć. Wiesz, ile mam lat?

- Cóż, Janie ma trzynaście, ale wiem, że jesteś od niej starsza.

- Po-powinna mieć czternaście w tym roku, ale scenarzyści niczego nie zmienili.

Czas w telewizji płynie wolniej.

- Ty-tylko nie w operach mydlanych. Ciotka Sophie oglądała kiedyś, jak urodziło się dziecko. Trzy-trzy lata później to dziecko było nastolatką w ciąży.

- O ile pamiętam, masz około szesnastu lat.

Z jej ściśniętego gardła wyrwał się kolejny szloch.

- Osiemnaście. Osiemnaście l-lat, jeden miesiąc i dwa tygodnie.

- Nie wiedziałem. W pewnym sensie to tylko pogarsza sytuację, prawda? Osiemnastolatka powinna zachowywać się jak osoba dorosła, a nie jak dzieciak, któremu trzeba przyłożyć w skórę.

- Ja ni-nigdy nie będę kobietą. Za-zawsze będę tkwiła w ciele małej dziewczynki.

- Z twoim ciałem wszystko jest w porządku, to umysł musi dorosnąć.

Skuliła się w sobie, ukryła ramiona między udami. Zżerała ją nienawiść do siebie. Nie znosiła siebie.

Dotyk jego palców na plecach był tak delikatny, że początkowo wzięła go za złudzenie. A potem poczuła jego dłoń pośrodku pleców. Uczucia, które tłumiła od lat, w końcu zerwały tamę: samotność, potrzeba miłości.

Odwróciła się i rzuciła mu na szyję. Ukryła twarz na jego piersi. Poczuła, jak Dash sztywnieje i się odsuwa - nic dziwnego, przecież nikt nigdy nie chciał jej przy sobie - ale to było silniejsze od niej. Objęła go mocniej.

- Jestem taka, jak powiedziałeś - szepnęła. - Jestem wredną małą suką.

- Ludzie się zmieniają.

- Ty... naprawdę uważasz, że powinnam przeprosić, prawda?

Trzymał ją dziwnie ani nie odpychał, ani nie przytulał.

- Powiedzmy tak: moim zdaniem stanęłaś na rozstaju. Może na razie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale kiedyś w przyszłości, wspominając ten moment, zrozumiesz, że musiałaś tu i teraz podjąć decyzję, która zaważy na całym twoim życiu.

Milczała z twarzą przy jego koszuli. Zastanawiała się nad jego słowami. Przez nią dwie osoby straciły pracę. Obraziła prawie wszystkich w ekipie. Musi sporo naprawić.

Głęboko nabrała powietrza.

- To jest prawdziwe PO, prawda, Dash?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Chyba tak - odparł w końcu.

Rozdział dziesiąty

Kiedy wyszła ze stodoły, okazało się, że zmieniono kolejność zdjęć. Zamiast filmować ją i Dasha, kręcono sceny z Blake i Eleanor. Wszyscy byli nienaturalnie zajęci i zabiegani, nikt nie patrzył jej w oczy, ale sądząc po ich radosnych minach, wszyscy wiedzieli, co się działo w stodole. Pewnie podsłuchiwali przy drzwiach.

Zacisnęła usta, zmrużyła powieki. Nikt nie będzie się z niej śmiał. Już ona im pokaże. Zaraz...

- Nie radzę - szepnęła jej Dash do ucha.

Podniosła na niego wzrok. Rondo kapelusza zasłaniało mu oczy. Zaciśnięła usta w wąską linię. Czekwała, aż poczuje znajomy gniew, a tymczasem ogarnął ją błogi spokój. W końcu ktoś wyznaczył granicę, której nie wolno jej przekroczyć.

- Proponuję, żebyś jeszcze dzisiaj spotkała się z Rossem. Zdaje się, że musisz go nakłonić, aby ponownie zatrudnił kilka osób.

W głębi duszy nie wierzyła, że pozwoliłby innym sprawić jej lanie, ale wolała nie ryzykować, więc skinęła twierdząco głową.

- I nawet nie próbuj naskarżyć producentom. To sprawa między tobą a mną.

Powoli wracała jej dawna odwaga.

- Informuję cię, że nie miałam zamiaru nikomu się skarżyć.

Kąciki jego ust uniosły się odrobinę.

- To dobrze. Może masz więcej oleju w głowie, niż sądziłem. - Dotknął kapelusza kciukiem i odszedł.

Obserwowała go przez dłuższą chwilę. Opuściła smętnie ramiona. Jutro nawet się do niej nie odezwie. Będzie jak zwykle.

Dash zwolnił kroku, zatrzymał się. Odwrócił się, popatrzył na nią i w końcu powiedział:

- Wiem, że lubisz konie. Jeśli masz ochotę, zapraszam cię w któryś weekend na moje ranczo.

Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Naprawdę?

Skinęła głową i skrzywił do swojej przyczepy.

- Kiedy? - Pobiegnęła za nim.

- Cóż...

- W ten weekend? W sobotę? To znaczy, ja mogę w sobotę, i gdybyś...

Wsunała dłonie do kieszeni dżinsów. Miał taką minę, jakby już żałował tego zaproszenia.

Błagam, modliła się w myślach. Nie wycofaj się.

- Cóż... W ten weekend nie bardzo mi pasuje, ale przyszła sobota - proszę bardzo.

- Super! - uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Następna sobota! Doskonale!

- No, dobrze. Koło południa.

- Południe. Tak, świetnie.

Była w siódmym niebie, i to mimo znaczących uśmiezków ekipy i satysfakcji w oczach Liz. Choć jej duma ucierpiała, dziwiła się, jakie to przyjemne uczucie nie być dłużej złą.

Tego wieczoru poprosiła Rossa, by ponownie zatrudnił Melanie i Jacka. Zgodził się bez słowa. Honey sama zadzwoniła do nich z przeprosinami. Żadne nie utrudniało jej tej niełatwej przecież rozmowy, przez co poczuła się jeszcze gorzej.

Następny tydzień włókł się jak ślimak, tak niecierpliwie wyczekiwała odwiedzin na ranchu. Robiła, co w jej mocy, by odzyskać sympatię ekipy, i choć większość nadal zachowywała rezerwę, niektórzy traktowali ją coraz cieplej.

W sobotę skręciła w wyboistą boczną drogę wśród zakurzonych wzgórz na północ od Malibu i po raz pierwszy zobaczyła rancho Dasha Coogana. Przycupnęło u stóp wzgórz, wśród krzewów i drzew. Po niebie szybowały dwa sokoły.

Zjechała na pobocze. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał dziesiątą trzydzieści osiem, a miała zjawić się koło południa. Przejrzała się lusterku, nie mogąc zdecydować, czy szminka wygląda głupio przy fryzurze pod garnek czy nie. Ale z tą fryzurą wszystko wygląda głupio, więc czym właściwie się przejmuję?

Zegarek wskazywał dziesiątą czterdzieści.

A jeśli zapomniała? Wylała spocone dłonie o dżinsy. Przekonywała się, że nie zapomniaby o czymś tak istotnym. Dzień na jego ranchu okaże się dokładnie tak wspaniałym, jak sobie to wyobrażała. Dash pokaże jej wszystko, będą rozmawiali o koniach, wybiorą się na przejażdżkę, zatrzymają się, znowu pogadają. Może jego gospodyni zapakuje im kosz piknikowy? Rozłożą się na kocu nad strumykiem i zwierzą się sobie ze swoich tajemnic. Uśmiechnie się do niej tak samo, jak się uśmiechał do Janie i...

Zacisnęła powieki. Jest za stara na takie dziecinne marzenia. W jej wieku myśli się o seksie. Ilekroć jednak to robiła, widziała się z Erikiem Dillo-nem, a to ją denerwowało i smuciło jednocześnie. Co prawda wyobrażanie sobie, że Dash Coogan odnosi się do niej tak, jak Dash Jones do Janie, jest niewiele lepsze.

Zegarek wskazywał dziesiątą czterdzieści trzy. Jeszcze godzina i siedemnaście minut.

Niech to szlag trafi. Przekręciła kluczyk w stacyjce i skręciła na drogę. Uda, że pomyliła godziny.

Dom mieszkalny był jednopiętrowy, z drewna i kamienia, o zielonych okiennicach i szarych drzwiach. Wyglądał dość skromne - pewnie dlatego urząd podatkowy nie nalegał, by go sprzedał. Wysiadła z samochodu i podeszła do drzwi. Naciskając dzwonek, powtarzała w myślach wszystkie zasady dobrego wychowania. Skoro nie chce, żeby wszyscy traktowali ją jak czternastolatkę, musi się odpowiednio zachowywać. Musi nauczyć się opanowania. I nie okazywać tak jawnie swoich uczuć.

Zadzwoniła jeszcze raz. Żadnych oznak życia. Zdenerwowanie przeszło w panikę, nie odrywała już palca od dzwonka. Przecież nie zapomniła, nie....

Drzwi się otworzyły.

Widać było, że dopiero co wstał z łóżka. Miał na sobie płócienne spodnie, był nieogolony. Szywne włosy sterczały w nieładzie. Przede wszystkim jednak miał bardzo ponurą minę.

- Przyjechałaś za wcześnie.
- Z trudem przełknęła ślinę.
- Naprawdę?
- Powiedziałem: w południe.
- Naprawdę?
- Tak.

Nie wiedziała, co robić.

- Chcesz, żebym poszła na spacer czy coś takiego?
- Byłbym ci bardzo wdzięczny.
- Dash? - Kobięcy głos zawołał go ze środka.
- Dash skrzywił się z niezadowolaniem. W niskim, zmysłowym głosie było coś znajomego. Honey zagryzła usta. To nie jej sprawa.
- Dash! - Ponagliła go kobieta. - Gdzie masz ekspres do kawy?

Honey otworzyła usta ze zdumienia. Dusty!

Znajoma jasnowłosa głowa Lisy Harper wyjrzała znad ramienia Dasha.

- Honey, to ty?
- Owszem - wycodziła przez zęby.

Lisa szeroko otworzyła oczy. Wyglądała jak ucieleśnienie niewinności.

- Ojej.

- Z tobą też sypia? - krzyknęła Honey, posyłając Dashowi wrogie spojrzenie.

- Miałaś iść na spacer - zauważył.

Nie słuchała go. Patrzyła na Lisę.

- Hojnie szafujesz swoimi wdziękami.

- Badania porównawcze, skarbie - odparła Lisa słodko. - A tak między nami, Eric Dillon na pewno nie dorasta do pięt naszemu staremu kowbojowi.

- Dosyć tego - włączył się Dash. - Jeśli piśniesz scenarzystom choćby słówko, cała ekipa spierze cię na kwaśne jabłko. Rozumiemy się?

- Tak, rozumiemy - burknęła Honey.

Lisa, która ciągle miała nadzieję, że Dusty stanie się jedną z głównych postaci, uśmiechnęła się do Honey za plecami Dasha. Najwyraźniej liczyła, że Honey opowie wszystkim o jej nowym romansie.

- Idę na spacer - poinformowała Honey Dasha, zanim kazał jej odejść. Biegła, wstrzymując oddech, dopóki nie usłyszała, jak zamknęły się za nią drzwi wejściowe.

Później stała przy wybiegu dla koni, podziwiała trzy wierzchowce Dasha, wdychała zapach eukaliptusa pomieszany z końskim nawozem i czekała, aż

Lisa odjedzie. Zzerała ją zazdrość. Lisa i Dash, Lisa i Eric, Lisa... której nieobce są wszelkie kobiece sztuczki, o których Honey nie miała zielonego pojęcia.

Dash wyszedł na dwór w dżinsach, koszuli w kratę i podniszczonych kowbojskich butach. Pod kapeluszem dostrzegła włosy ciągle wilgotne po prysznicu. Podał jej kubek kawy, oparł stopę na ogrodzeniu i zapatrzył się dal.

Zrobiła to samo.

- Przepraszam - odezwała się końcu. Powoli przekonywała się, że łatwiej jest przeprosić, niż bronić swego zdania, gdy nie ma racji. - Pamiętałam, że umówiliśmy się na dwunastą.

Upił łyk kawy z białego fajansowego kubka.

- Tak myślałem.

I tyle. Nie prawił kazań, nie wracał już do tego, tylko wskazał zwierzęta na wybiegu.

- Te dwa to konie półkrwi, a tamten to arab. Przechowuję je tu dla przyjaciół.

- Nie są twoje?

- Niestety, moje musiałem sprzedać.

- Urząd podatkowy?

- Mhm.

- Krwiopijcy.

- Tu się z tobą zgadzam.

- Kontrolowali nas jeden raz, tuż przed śmiercią wujka Earla. Czasami podejrzewam, że właśnie to go zabiło. Powinno się im pozwalać na kontakty z seryjnymi zabójcami, inni ludzie tego nie wytrzymują. Koniec końców, ja musiałam się wszystkim zająć.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Czternaście. Ale zawsze byłam dobra z matmy.

- W kontaktach z urzędem podatkowym chodzi o coś więcej niż szybkie dodawanie.

- Znam się na ludziach, a to pomaga.

Pokręcił głową i uśmiechnął się pod nosem.

- Powiem ci szczerze, Honey, że nigdy nie spotkałem kogoś, ani kobiety, ani mężczyzny, kto równie kiepsko znałby się na ludziach jak ty.

Najeżyła się.

- To okropne, co mówisz. I nieprawdziwe.

- Prawdziwe, a jakże. Najbardziej kompetentni ludzie na planie to ci, którym najbardziej zależała za skórę, i nie mówię tu tylko o ekipie. Wygląda na to, że darzysz sympatią tylko nieudaczników i przegranych, a do najlepszych odwracasz się plecami.

- Na przykład? - zapytała.

- Po pierwsze, Liz. Jest inteligentna i opanowana. Co więcej, polubiła cię od samego początku, choć nie pojmuję dlaczego.

- To śmieszne. Liz Castleberry to suka nad sukami. Nienawidzi mnie. Wszystko, co powiedziałaś, dowodzi, że znam się na ludziach lepiej niż ty. Prychnął z niedowierzaniem.

Honey nie dawała za wygraną.

- Pokażę ci na przykładzie, jaka jest wredna. W zeszłym tygodniu wróciłam do przyczepy. Czekąca tam paczka od niej i bilecik: przeprasza, że zapomniała o moich urodzinach, ale ma nadzieję, że prezent, choć spóźniony, mi się spodoba.

- Nie brzmi to zbyt wrednie.

- Też tak myślałam, dopóki nie rozpakowałam prezentu. Nie zgadniesz, co było w paczce.

- Bomba?

- Sukienka.

- Coś takiego. Powinnaś pozwać ją do sądu.

- Nie, posłuchaj. To nie była taka sobie zwykła sukienka, tylko cieńotka, zwiewna, żółta, z falbankami. I te głupie pantofelki. I perły.

- Perły? No coś takiego.

- Nie pojmujesz? Zakpiła sobie ze mnie.

- Niestety, Honey, nie bardzo widzę, w czym problem.

- To była sukienka dla lalki Barbie, nie dla kogoś takiego jak ja. Gdybym ją włożyła, wszyscy skrećaliby się ze śmiechu. Była taka...

- Kobięca?

- Tak, właśnie. Głupia, no wiesz. Frywolna.

- A nie ozdobiona drutem kolczastym i żyłkami, tak?

- To wcale nie jest śmieszne.

- Więc co zrobiłaś?

- Zebrałam wszystko i jej oddałam.

Po raz pierwszy okazał irytację.

- Dlaczego to zrobiłaś? O ile pamiętam, ustaliliśmy, że postarasz się być grzeczna.

- Nie cisnęłam w nią.

- Co za ulga.

- Powiedziałam, że doceniam jej gest, ale nie mogę przyjąć prezentu, bo nie dałam jej nic na urodziny.

- I wtedy w nią cisnęłaś.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Przeszłam transformację, Dash. Możesz być ze mnie dumny.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Przez chwilę myślała, że zmierzwi jej włosy, tak jak wicherzył je Janie Marie. Zaraz jednak opuścił dłoń i zawołał stajennego.

Wybrał dla niej konia półkrwi, łagodną, spokojną klacz, a dla siebie ogiera Skierowali się w stronę wzgórz. W ciepłym blasku słońca Honey uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio była równie szczęśliwa. Dash siedział na koniu z nonszalancją człowieka, który pewnie czuje się siodle niż na ziemi. Jechali w przyjaznym milczeniu, dopóki wrodzona gadatliwość nie kazała jej otworzyć buzi.

- Pięknie tu. Dokąd ciagnie się twoja ziemia?

- Kiedyś to wszystko było moje, ale urząd podatkowy sporo zagarnął. Niedługo powstanie tu rezerwat Santa Monica. - Wskazał głęboki kanion po prawej stronie. - Kiedyś wyznaczał północną granicę moich ziem, a tamten wyschnięty potok - granicę zachodnią.

- Jeszcze dużo ci zostało.

- To rzecz względna. Moim zdaniem nigdy nie ma się za dużo ziemi.

- Dorastałeś na ranczu?

- Dorastałem wszędzie.

- Twoja rodzina dużo podróżowała?

- Niezupełnie.

- Jak to?

- Tak to.

- Podróżowałeś sam? - naciskała.

- Tak jak powiedziałem.

- Niczego nie powiedziałeś.

- Może.

Patrzył na drzewa nad potokiem. Chłoneła wzrokiem jego profil: głęboko osadzone oczy, wydatny nos, wysokie kości policzkowe, kwadratowy podbródek.

Odezwał się po długiej chwili, nadal wpatrzony w dal:

- Jestem bardzo skryty, Honey. Nie lubię, gdy cały świat plotkuje o moim życiu prywatnym.

Opuściła wzrok na łęk siodła.

- Myślisz, że powiem scenarzystom, prawda?

- Nieraz już to robiłaś.

- Nie muszę z nimi rozmawiać. Chodzi o to, że nie mam nikogo, z kim mogłabym pogadać.

- Rób, co chcesz, ale moje życie to nie twój interes.

- Na przykład ty i Lisa?

- Na przykład.

- Lisa tylko na to czeka, że wypaplam wszystko scenarzystom. No, że zastałam was w kompromitującej sytuacji.

- Lisa jest ambitna.

Honey westchnęła.

- Nie pisnę ani słówka.

- Zobaczymy.

Zrobiło jej się smutno. Dlaczego Dash jej nie wierzy. Fakt, rozmawiała kilka razy ze scenarzystami, ale to nie znaczy, że jest plotkarą. - Kochasz ją? - zapytała.

- Nie, skądże, nie kocham.

- Więc czemu...

- Jezu, Honey, istnieje coś takiego jak seks dla zabawy. - Odwrócił głowę.

Ciekawe, czyżby wprawiła go w zakłopotanie?

- Rozumiem, myślałam tylko...

- Myślałaś, że jestem za stary. Tak? No więc przyjmij do wiadomości, że mam dopiero czterdzieści jeden lat.

-Aż tyle?

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że Honey śmieje się od ucha do ucha. Jego gniew przeszedł bez śladu.

- Dash, obiecuję, że cokolwiek mi powiesz, zostanie między nami.

- Doceniam twoje chęci, ale...

-Ale nie wierzysz, że będę trzymała język za zębami. Chyba na to zasłużyłam. Chodzi po prostu o to, że... czasami muszę się przed kimś wygadać. Gdybym mogła porozmawiać z kimś innym, nie chodziłabym do scenarzystów.

- To mi wygląda na szantaż.

- Traktuj to jak chcesz.

Dash powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Widzisz, moim zdaniem jesteś straszną gadułą, a ją lubię ciszę.

- Pewnie ciężko ci było z żonami.

- W porównaniu z tobą były niemowami.

- Scenarzyści zwariują z radości, gdy im opowiem o tobie i Lisie.

- Honey!

-Tak?

- Przypomnij mi, że mam ci złoić skórę.

- Już to zrobiłeś. I nie myśl, że o tym zapomniałam.

Dochodziła trzecia, gdy wrócili na ranczo. Poczekali, aż konie ochłona, rzucili lejce stajennemu. Dash odprowadził Honey do trans sama, stojącego koło domu. Nie chciała, by wizyta dobiegła końca. Nie chciała wracać do domu, do niekończących się narzekania rodziny. Zaburczało jej w brzuchu i wpadła na genialny pomysł.

- Lubisz domowe racuchy, Dash? Takie grube i pulchne, że gdy rozkroisz, ze środka wylatuje pachnący obłoczek pary, a masło topi się w złotą kałużę. Potem polewasz je syropem klonowym...

- Honey, wiedziałem, że jesteś okropna, ale nie podejrzewałem cię o sadyzm. - Zatrzymał się w pół kroku.

- Chyba jeszcze ci nie mówiłam, że doskonale gotuję. I właśnie takie są moje racuchy.

Widać było, że jej nie wierzy.

- Nie wyglądasz na amatorkę gotowania.

- Oto kolejny dowód na to, jak kiepsko znasz się na ludziach. Karmię moją rodzinę od lat. Ciotka Sophie jest zbyt leniwa, by gotować, a ja w wieku mniej więcej dziesięciu lat nie mogłam już patrzeć na mrożone dania. Zaczęłam więc eksperymentować. Gotuję dobrze, ale nic wyszukanego, zwykła domowa kuchnia.

Wyjęła kluczyki z kieszeni, bawiła się nimi nonszalancko.

- Wiesz, nabrałam straszego apetytu na racuchy. Chyba pojedę do domu i upiekę całą blachę. Dzięki za zaproszenie, Dash, było mi bardzo miło.

Wsadził ręce do kieszeni, opuścił wzrok. Kopnął kamyk. Honey przełożyła kluczyki z prawej ręki do lewej.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś pomyszkowała w mojej kuchni i postarała się coś upichcić.

Szeroko otworzyła oczy.

- Na pewno? Nie chciałabym nadużywać twojej gościnności.

Mruknął coś niezrozumiale.

Z szerokim uśmiechem weszła za nim do domu.

Kuchnia była staroświecka i przestronna, z dębowym kredensem i miedzianymi rondlami. Nucąc pod nosem, wyjmowała produkty potrzebne do racuchów i rozmrażała boczek. Z salonu dobiegły ją odgłosy meczu w telewizji. Choć wolałaby, żeby Dash dotrzymał jej towarzystwa w kuchni, i tak pracowało jej się doskonale.

Trzy kwadranse później zawołała go do stołu. Wujek Earl nie lubił rozmów podczas posiłków, więc bez trudu przyszło jej milczenie, gdy zdjęła niebieską ściereczkę z tacy racuchów. Dash nałożył sobie dwa i sześć kawałków bekonu.

Rozkroił pierwszy racuch i, tak jak mówiła, uniósł się obłoczek aromatycznej pary. Podała mu masło i syrop.

- Pyszne - mruknął, kończąc pierwszy i zabierając się za drugi.

Upiła łyk świeżo zaparzonej kawy. Dla niej była trochę za mocna, ale wiedziała, że Dash taką lubi. Gdy skończył drugi racuch, dyskretnie podsunęła mu tacę.

Sama nie miała zbyt dużego apetytu. Wystarczył jej jeden racuch. Dash jadł czwartego.

- Pyszne - mruknął znowu.

Jego pochwały napawały Honey dumą. Może i nie jest ładna ani zalotna, może nie potrafi rozmawiać z mężczyznami, ale za to umie ich dobrze nakarmić.

Koniec końców, zjadł sześć racuchów i dziewięć kawałków bekonu. Uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę umiesz gotować, mała.

- Żałuj, że nie jadłeś mojego kurczaka. Jest złocisty i chrupiący na zewnątrz, za to wilgotny i...

- Przestań! Czy kiedykolwiek słyszałaś o cholesterolu?

- Tym, zdaje się, Lisa rozjaśnia sobie włosy?

Nie, to Clairrol.

- O, przepraszam - uśmiechnęła się niewinnie.

Gdy jadł, zastanawiała się nad czymś, co powiedział wcześniej. Postanowiła o to zapytać, kiedy wyspał do kubka kopiastą łyżeczkę cukru.

- Wymień choć jedną osobę o słabym charakterze, do której się przywiązałam.

- Słucham?

- Powiedziałaś dzisiaj, że odwracam się plecami do wartościowych ludzi, a zwracam do przegranych i nieudaczników. Wymień choćby jednego.

Ja to powiedziałem?

- Owszem. Kogo miałeś na myśli?

- Cóż... - Zamieszał kawę. - Na przykład Erica Dillona.

- Nie przywiązałam się do Erica Dillona. Nienawidzę go z całego serca.

- Pewnie.

- Jest zarozumiały i zadziera nosa.

- Oczywiście.

- Ale ma talent - Odczuła dziwaczną potrzebę, żeby stanąć w jego obronie.

- Z tym też się zgodzę.

- Musiałabym stracić rozum, żeby go lubić. Przecież ktoś taki jak on za żadne skarby świata nie spojrzy na mnie, głupią wieśniaczkę z takimi ustami.

Czego chcesz od swoich ust?

- Popatrz tylko. - Wydęła wargi.

Z trudem powstrzymał śmiech.

- Honey, niejeden mężczyzna uznałby twoje usta za bardzo seksowne.

To znaczy, gdyby się tyle nie ruszały.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Wymień kogoś jeszcze, oprócz Erica Dillona. Idę o zakład, że niktogo nie wymyślisz, bo widzę ludzi na wylot. Imponuje mi siła.

- Tak?

- Tak.

- Więc dlaczego, tak bardzo chciałaś zaprzyjaźnić się ze mną?

Wiedziała, że to miał być żart, ale wyszło zupełnie inaczej. Ledwie padły te słowa, Dash spochmurniał.

Gwałtownie odepchnął od siebie kubek i wstał.

- Chyba czas na ciebie. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Posłusznie poszła za nim do drzwi przez obszerny salon. Był przytulny i ładnie urządzone. Umebłowanie stanowiły skórzane meble, na ścianach wisiały plakaty ze starych filmów. Buty Dasha głośno stuknęły na kafkach posadzki.

Nie pozwoli, by ich wspólny dzień tak się skończył. Położyła mu rękę na ramieniu i odezwała się tak miękko, że głos brzmiał jakby nie należał do niej.

- Jesteś jednym z najsilniejszych znanych mi ludzi, Dash. Mówię poważnie.

Popatrzył na nią, znużony, pokonany.

- O ile pamiętam, kiedyś nazwałaś mnie starym pijakiem.

- Przepraszam za to. Czasami mi się wydaje, że w zeszłym roku opętał mnie szatan.

- Powiedziałaś prawdę.

- Nie. Kiedy tak mówisz, czuję się jeszcze gorzej.

Opuścił głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę, zanim ponownie podniósł na nią wzrok.

- Honey, jestem alkoholikiem. Każdy dzień to walka i bardzo często wątpię, czy ma jeszcze sens. A picie nie jest moim jedynym problemem. Źle traktuję kobiety. Właśnie dzieci mnie nienawidzą. Mam fatalny charakter i nie obchodzi mnie nikt poza mną samym.

- Nie wierzę.

- Więc lepiej uwierz - rzucił szorstko. - Jestem samolubnym sukinysem i nie mam zamiaru niczego zmieniać.

Odszedł, więc truchtem pobiegła za nim do swego samochodu. Piękny dzień legł w gruzach, i znowu przez nią.

Rozdział jedenasty

W poniedziałek rano zjawiła się na planie z trzema blachami ciasta czekoladowego. Ekipa była zaskoczona, ale zadowolona.

- Bardzo sprytnie, skarbie. - Liz oblizała palce. - Przekupstwo czekoladą.

- Nikogo nie chcę przekupić! - burknęła Honey, niezadowolona, że Suka nad Sukami przejrzała jej podstęp.

Odczekała dwa dni i przywiozła kilka tuzinów ciasteczek czekoladowych. Odkąd do jej codziennych obowiązków doszło pieczenie. Była tak zmęczona, że zasypiała między ujęciami, ale członkowie ekipy zaczęli się

do niej uśmiechać, więc uznała, że było warto. Dash rozmawiał z nią w ciągu dnia, ale nie ponowił zaproszenia. Obwiniła siebie.

Minął luty. Scenarzyści bombardowali ją rozpaczliwymi notatkami z prośbami o spotkanie, ale darła je na strzępy. Może jeśli udowodni Dashowi, że umie trzymać język za zębami, zaprosi ją jeszcze raz. Tygodnie mijały, a on milczał. Wpadała w rozpacz. Wkrótce skończą zdjęcia i nastąpi czteromiesięczna przerwa.

Po weekendzie na łonie rodziny, po dwóch dniach narzekania Sophie i bekaniu Bucka, zjawiała się na planie w poniedziałek, w połowie marca. W tym tygodniu mieli kręcić ostatni odcinek tej serii.

Connie Evans, wizażystka, przyglądała się jej krytycznie.

- Honey, masz coraz większe cienie pod oczami. Dobrze, że będzie przerwa, inaczej niedługo musiałabym używać farby, żeby je zamaskować.

Connie ją malowała, a Honey rozerwała grubą brązową kopertę ze swoim nazwiskiem. Zawierała scenariusz najnowszego odcinka. Teoretycznie powinna dostawać go najpóźniej w sobotę po południu, ale bardzo często docierał do niej dopiero w poniedziałek rano. Ciekawe, co wymyślili scenarzyści w tym tygodniu. Ponieważ ciągle ignorowała ich zaproszenia, podejrzewał, że mogą się zemścić, każąc, na przykład, wpaść Janie do ula.

Ostatnio skupiali się na Blake'u. Nawiązał ognisty romans ze starszą kobietą, przyjaciółką Eleanor. Oglądając te miłosne sceny, Honey tak się zdenerwowała, że wyłączyła telewizor w połowie odcinka

Connie majstrowała przy jej makijażu, a Honey wyjęła nowy scenariusz z koperty. Zerknęła na tytuł. *Marzenie Janie*. Brzmi niezłe.

Dziesięć minut później zerwała się na równe nogi i pobiegła szukać Rossa.

Liz, otulona różowym szlafrokiem, wychodziła właśnie ze swojej garderoby, gdy Honey pędziła korytarzem. Liz wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by wszystko stało się jasne. Złapała Honey za ramię i zaciągnęła do swojej garderoby.

- Co ty wyprawiasz? - Honey wyrwała się gwałtownie.

- Daję ci czas, żebyś ochłoneła.

- Nie muszę ochłoneć. Jestem spokojna. Zejdź mi z drogi.

Liz oparła się o framugę.

- Nigdzie nie pójde. Nalej sobie kawy, usiądź i weź się w garść.

- Nie chcę kawy, nie chcę!

- Natychmiast!

Nawet w szlafroku Suka nad Sukami wyglądała groźnie. Honey się zawahała. Może rzeczywiście powinna chwilę odczekać. Minęła Mitzi, śpiącą na podłodze, i nalała sobie kawy do porcelanowej filiżanki.

Liz odsunęła się od drzwi i wskazała swój egzemplarz scenariusza, leżący na toalecie.

- Dziękuj Bogu, że to serial dla całej rodziny i nie musisz się rozbiierać. Żołądek Honey fiknął koziołka.

- Skąd wiesz, co mnie zdenerwowało?

- Nie potrzeba do tego telepatycznych zdolności, skarbie.

- Nie pocałuję go. Mówię poważnie. Nie zrobię tego.

- Połowa kobiet w tym kraju chętnie by się z tobą zamieniła.

- Wszyscy pomyśla, że znowu poszłam do scenarzystów, a to nieprawda. Nie rozmawiałam z nimi od kilku tygodni.

- To tylko pocałunek, Honey. Nic dziwnego w tym, że Janie fantazjuje o Blake'u.

- Ale nikt nie uwierzy, że to Janie. Pomyśla, że to ja.

-A nie jest tak?

-Nie!

Zerwała się na równe nogi, rozlała kawę na talerzyk.

- Nie! Nie cierpię go! Jest zarozumiały, bezczelny i chamski!

- Nie tylko. - Liz usiadła przy toalecie. - Eric Dillon jest, choć może to zabrzmie melodramatycznie, chodząca bomba zegarowa. - Wzdrygnęła się. - Mam nadzieję, że nie będzie mnie przy tym, jak wybuchnie.

Honey odstawiła kawę na stolik.

- Mam z nim tańczyć pod drzewem, w peruce i koszuli nocnej. Co za idiotyzm. Nawet mi się nie chce o tym myśleć.

- To długa suknia, nie koszula nocna. A peruka będzie piękna. Wyglądałabyś głupio, całując się z Blake'em w dżinsach i z tymi okropnymi włosami. Moim zdaniem będziesz sto razy ładniejsza niż zwykle.

Wielkie dzięki.

Liz wstała, żeby włożyć rajstopy. Pod nimi Honey dostrzegła skape czarne majteczki.

- Nie wiem, czemu, skoro już udowodniłaś, że potrafisz urządzać bardzo widowiskowe awantury, nigdy nie kłóciłaś się o nic ważnego. Jak na przykład ta okropna fryzura.

- Nie rozmawiamy o moich włosach - wpadła jej w słowo Honey - tylko o całowaniu Erica Dillona. Zaraz pójde do Rossa i...

- Jeśli urządzisz jedną ze swoich słynnych scen, wszystkie kaloryczne łąpówki pójdą na marne. Zresztą zaczynamy za pół godziny, więc trochę za późno na zmiany. Poza tym co mu powiesz? Godzina tańców i pieszczot z Erikiem Dillonem to nic strasznego.

Ale...

Nigdy się nie całowałaś, tak, Honey?

- Mam osiemnaście lat. Po raz pierwszy całowałam się, kiedy miałam piętnaście.

- Z kim? Z tym, którego zadzgałaś, czy z tym którego zastrzeliłaś? - wycodziła Liz.

- No, może co do tego skłamałam, ale teraz mówię prawdę. Miałam kilka romansów. - Szukała w pamięci szczegółów, które uczyniłyby jej opowieść bardziej wiarygodną. - Był taki chłopak, miał na imię Chris. Studiował w Karolinie Południowej i nosił koszulkę z napisem „Gamecocks”.

- Nie wierzę ci.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Liz zsunęła z ramion szlafrok i sięgnęła po sukienkę, którą miała na sobie w pierwszej scenie. Honey zagapiła się na jej stanik. Właściwie były to dwa czarne skrawki koronki.

- Eric wszystko załatwi, Honey. Jest wystarczająco doświadczony. Zresztą Janie i tak nic nie wie o seksie.

- To nie seks! To tylko pocałunek.

- No właśnie. Sprawdziłam plan zdjęć. To plener, więc będziemy kręcić tę scenę dopiero w piątek. Masz cały tydzień, żeby się oswoić z tą myślą. A teraz się uspokój i potraktuj to jako kolejne bojowe zadanie.

Honey przez chwilę patrzyła Liz w oczy, machinalnie pogłaskała jedwabisty łeb Mitzi.

- Nie rozumiem, czemu mi pomagasz. Bo cały czas to robisz, prawda?

- Staram się.

- Dash mówił to samo. Nie rozumiem, dlaczego.

- Kobiety powinny sobie pomagać, Honey.

Honey uśmiechnęła się nieśmiało. Miło usłyszeć, że ktoś uważa ją za kobietę. Poklepała Mitzi na pożegnanie i podeszła do drzwi.

- Dzięki - powiedziała, zanim wyszła.

Tego popołudnia Liz podeszła do Dasha.

- Zajmij się małą podopieczną, kowboju. Denerwuje się nowym odciukiem, a wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy Honey się denerwuje, wszystko jest możliwe.

- Nie jestem jej opiekunem.

- Odkąd dałeś jej w skórę...

- Do cholery, Liz...

- Pa, pa, skarbie. - Pomachała i odeszła w obłoku drogich perfum.

Dash zaklął pod nosem. Nie chciał, żeby Honey stała się częścią jego życia, ale coraz trudniej było do tego nie dopuścić. Popełnił błąd tamtego dnia, gdy sprawił jej lanie. Niepotrzebnie zmiękł. Nie powinien był jej zapraszać. Nie, żeby się źle bawił. W gruncie rzeczy bawił się doskonale i ani razu nie zapragnął alkoholu.

Jak na kobietę, była zdumiewająco dobrym kompanem. Oczywiście, tak naprawdę nie była kobietą, i właśnie dlatego tak dobrze się z nią bawił. Nie było między nimi erotycznego napięcia. Poza tym, obecność osoby, która mówi prosto z mostu, co jej przyjdzie na myśl, stanowiła orzeźwiająca

odmianę. Co więcej, Honey postrzegała wiele rzeczy tak samo jak on. Na przykład urząd podatkowy.

Kiedy do niego podeszła i zajęły pozycje do następnej sceny, uświadomił sobie, że lubi ją bardziej niż Meredith, rodzoną córkę. Nie znaczy to, że nie kocha Meredith, kochają całym sercem, ale nigdy nie byli sobie bliscy. Kiedy miała piętnaście lat, stała się bardzo religijna; nic nie mogło jej powstrzymać. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Wanda mu powiedziała, że córka zmienia uniwersytet, bo obecny jest jej zdaniem zbyt liberalny. Z Joshem, jego synem, sprawy miały się niewiele lepiej. Zawsze był maminsynkiem. Może by do tego nie doszło, gdyby ojciec poświęcał mu więcej uwagi.

Włączono reflektor tuż przy nim. Honey ziewnęła. Nawet przez grubą warstwę makijażu widział, jak bardzo jest zmęczona.

- Jadłeś moje ciasteczka w zeszłym tygodniu? - zapytała. - Te z cukierkami M&M?

- Tak.

- Chyba były gorsze niż orzechowe, jak sądzisz?

- Honey, co robisz po powrocie do domu, pieczesz całymi nocami czy śpisz?

- Śpię.

- Za mało. Popatrz na siebie. Okropnie wyglądasz. - Wiedział, że na tym powinien skończyć, ale wydawała się taka drobna i zmęczona. Serce wzięło górę nad rozsądkiem. - Od dzisiaj koniec z popisami piekarskimi, mała.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co?

- Słyszałaś. Ekipa musi cię polubić za to, jaka jesteś, a nie za to, jak pieczesz. Następnym razem, gdy przyniesiesz na plan coś do jedzenia, własnoręcznie wyrzucę to do śmietnika.

- Nie zrobisz tego! To nie twoja sprawa!

- Moja, jeśli chcesz w sobotę przyjechać na ranczo.

Na jego oczach toczyła wewnętrzną walkę; pragnęła jego towarzystwa, ale duma nie dawała za wygraną. Zaciśnęła usta w wąską linię, którą znał aż nazbyt dobrze.

- Manipulujesz mną - powiedziała. - Myślisz, że zrobię, co zechcesz, nie dbasz o moje uczucia.

- Powiedziałem ci, jaki jestem, Honey.

- Chcę być twoją przyjaciółką, czy to takie straszne?

- Nie, ale nie tylko tego chcesz. Denerwujesz mnie. - Zapatrzył się w dal, w punkt ponad kamerami. - Bardzo wiele wymagasz, Honey. Czasami mam wrażenie, że gdybym ci na to pozwolił, wysłałabyś ze mnie ostatnią kroplę krwi. A ja nie mam nic na zbyciu.

- To okropne, co mówisz. Robisz ze mnie jakiegoś wampira.

Nie odpowiedział, dał jej czas do namysłu.

- No dobrze - zgodziła się ponuro. - Jeśli mogę przyjechać na ranczo nie będę więcej piekła.

Na myśl, że przedłożyła jego towarzystwo nad dumę, ogarnęło go dziwnie przyjemne ciepło. Jeśli akurat nie jest upierdliwa, wspaniały z niej dzieciak.

- I jeszcze coś - dodał. - Musisz przeżyć ten odcinek tak godnie, jak możesz. Mam na myśli zwłaszcza piątkowe sceny.

Honey łypnęła gniewnie na Liz, która flirtowała z nowym kamerzystą.

- Ktoś ma bardzo długi język - mruknęła.

- Dziękuj Bogu, że ten ktoś tak o ciebie dba.

Przerwano im, zanim wymyśliła stosowną odpowiedź, i chyba dobrze się stało.

Piątek zbliżał się powoli. Kiedy w końcu nadszedł, wołała nie patrzeć w lustro, gdy czesano ją i malowano. Włożyli jej białą koronkową suknię do ziemi, na szyi zapięli fioletową aksamitkę, na głowę umocowali perukę. Sztuczne włosy były długie i miękkie, koloru miodu, jak jej własne.

- Bomba! - Evelyn, fryzjerka, przyglądała jej się z podziwem.

Connie, która akurat skończyła ją malować, zawtórowała:

- Dalej, Honey, nie bądź tchórzem. Popatrz na siebie.

Honey zebrała się na odwagę i otworzyła oczy. Spojrzała w lustro i...

- O, cholera - szepnęła z zachwytem.

- Święte słowa - mruknęła Evelyn.

Honey obawiała się, że będzie wyglądała jak chłopak przebrany za dziewczynę, tymczasem młoda kobieta w lustrze była ucieleśnieniem kobiecości. Wyglądała jak postać z bajki - dzięki wielkim jasnoniebieskim oczom i ustom, które wcale nie przypominały rybiego pyska. Włosy otaczały twarz falami, spływały na plecy, zupełnie jak u bajkowych księżniczek.

Asystent reżysera wetknął głowę do przyczepy.

- Honey, czekamy na ciebie na... O Jezu!

Evelyn i Connie parsknęły śmiechem i wyprowadziły ją na zewnątrz. Zmrużyła oczy od ostrego słońca. Szły po obu jej stronach, niosły kraj sukni, udzielały ostatnich rad.

- Nie siadaj, Honey, i niczego nie jedz.

- Nie oblizuj ust, bo będę cię musiała znowu pudrować.

Eric już był na planie. Honey starała się unikać jego wzroku. Była przerażona i podekscytowana jednocześnie. Co innego całować Erica Dillona, kiedy się wygląda jak koński zadek, a co innego, gdy jak Śpiąca Królowna. Dotknęła ukradkiem małej kieszonki w sukni. Ukryła tam spray do ust.

Eric poprawił lawendową szarfę opasująca go w talii. Wyglądał jak książę z bajki w białej koszuli z obszernymi rękawami, fioletowych spodniach i wysokich czarnych butach. Kostium nie był zbyt wygodny, ale powtarzał sobie, że nosił już gorsze.

Podniósł głowę, słysząc kobiecy śmiech. Honey szła w jego stronę, ale minęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Zaciśnął usta. Powinien był się tego spodziewać. Patrzył w jej drobne rysy od dwóch lat i ciągle nie dostrzegał, jaka kiedyś będzie piękna.

Podeszła bliżej, uniosła głowę. Jasnoniebieskie oczy, zamglone i błyszczące, chłoneły go i błagały o uznanie.

- I co, Eric? - zapytała miękko. - Jak wyglądam?

Wzruszył ramionami.

- Może być, tylko ta peruka głupio wygląda.

Zgasła jak świeczka.

Jack Swackhammer, który reżyserował pierwszy odcinek, odkąd Honey go wyrzuciła, pomachał do nich spod dębu.

- Honey, zaczynamy od sceny na huśtawce. - Wskazał huśtawkę, dzisiaj wyjątkowo udekorowaną wstążkami i kwiatami.

Honey posłusznie przeszła na miejsce. Zaczęły się przygotowania. W tej scenie nie było żadnych dialogów, miała tylko siedzieć, a Eric ją huścić. Była jednak bardzo spięta, obawiała się, rozleci się na kawałki przy jego pierwszym dotknięciu.

- Podkładamy ścieżkę dźwiękową pod zdjęcia - tłumaczył Jack. - Skrzypce oraz cikliwa muzyczka. Zaraz Ray to wam puści, żebyście poczuli klimat.

Myślała, że umrze ze wstydu, kiedy z głośników popłynęła romantyczna muzyka.

- Odrężysz się w końcu? - burknął Eric za jej plecami.

Kamery poszły w ruch.

Zbierało jej się na mdłości, gdy sobie uświadomiła, że wie, jak grać Janie, ale nie ma pojęcia, jak być Janie w jej marzeniach.

- Jestem rozluźniona - syknęła. Łatwej jej było z nim rozmawiać, gdy nie musiała na niego patrzeć. - Twoje plecy są jak deska - mruknął.

Nigdy w życiu nie czuła się równie niezdarna, zagubiona. Wiedziała doskonale, kim jest nastolatka w dzinsach, z fryzurą pod garnek, ale kim jest piękność w bajkowej sukni?

- Martw się o siebie, ja sobie poradzę - warknęła, czerwona ze wstydu. Pchnął mocniej.

- Jeśli się nie wyluzujesz, nigdy tego nie skończymy.

- Cięcie! Nie wyglądacie, jakbyście się dobrze bawili! - stwierdził Jack. - I chyba zapomnieliście, że niektórzy widzowie umieją czytać z ust. Zażenowana, przerażona, uciekła we wrogość. Zadarła głowę.

- To stek bzdur.

Huśtawka znieruchomiała.

Jack przeczesał palcami rzadkie włosy.

- Spróbujmy jeszcze raz.

Nie poszło wcale lepiej, ani tym, ani następnym razem. Nie mogła się rozluźnić, a Eric wcale jej niczego nie ułatwiał. Zamiast zachowywać się jak romantyczny kochanek, wyglądał, jakby ją nienawidził. Pewnie było to prawdą, ale nie musiał tego okazywać. Usiłowała sobie przypomnieć, czy jadł jej ciasteczka.

Na polecenie Jacka Ray, dźwiękowiec, wyłączył muzykę. Reżyser zerknął na zegarek. Już mieli opóźnienie, i to wszystko jej wina. Tym razem nie robi tego celowo, ale kto jej uwierzy?

- Może zrobimy przerwę - zaproponowała i zeskoczyła z huśtawki, gdy Jack do nich podszedł.

Przecząco pokręcił głową.

- Honey, zdajesz sobie sprawę, że głupio się czujesz. Pierwszy raz kręcisz taką scenę...

- Wcale nie jest mi głupio, nic a nic.

Uznał najwyraźniej, że dyskusja z nią to strata czasu, bo zwrócił się do Erica:

- Pracowaliśmy razem przy co najmniej dziesięciu odcinkach i nigdy tak nie partaczyłeś roboty jak dzisiaj. Co tu się dzieje?

Ku zdumieniu Honey, Eric wcale nie próbował się bronić. Przez chwilę wpatrywał się w ziemię, jakby się nad czymś zastanawiał. Pewnie nad tym, czy uda mu się nie zwymiotować, kiedy ją pocałuje.

Podniósł głowę. Zacisnął usta w wąską linię.

- Dobra - powiedział powoli. - Masz rację. Pozwól nam troszkę improwizować. Zacznij kręcić i daj nam spokój.

- Nie mamy czasu - sprzeciwił się Jack, ale zaraz się poddał. - Dobra, proszę bardzo. Nie masz nic przeciwko temu, Honey?

Skinęła głową. Wszystko będzie lepsze niż to, co robili do tej pory.

Eric wydawał się bardziej skupiony, jakby nagle podjął ważną decyzję.

- Niech włączą muzykę, żebyśmy mogli rozmawiać.

Jack skinął głową i wrócił na swoje miejsce pod drzewem. Connie podbiegła i w ostatniej chwili poprawiła im makijaż. Powietrze wypełniły dźwięki muzyki.

Honey zrobiło się niedobrze. Zapomniała o sprayu od ust! Co będzie, jeśli ma nieświeży oddech?

- Kręcimy! - usłyszeli głos Jacka. - Akcja!

Zwróciła się do Erica i zobaczyła, że przygląda się jej uważnie. Wydawał się głęboko nieszczęśliwy. I nagle, na jej oczach, zdawało się, że chowa się w głębi siebie. Widziała, jak to robi przed trudnymi scenami, ale nigdy z bliska. Było to niesamowite. Stał bez ruchu, z twarzą bez wyrazu, jakby na coś czekał.

I nagle jego pierś zafalowała oddechem. Zmieniał się stopniowo, ale była to widoczna transformacja. Na jej oczach stawał się kimś innym.

W turkusowych oczach nie było już bryłek lodu, zmarszczone czoło wygładziło się. Ugięły się pod nią kolana, gdy surowe linie wokół ust złągodniały. Przypominał jej kogoś, ale dopiero po dłuższej chwili rozpoznała, kogo: Erica takiego, o jakim marzyła.

Wziął ją za rękę, poprowadził do drzewa.

— Powinnaś częściej nosić sukienki.

- Naprawdę? - wychrypiąta z trudem.

Uśmiechnął się.

- Ale idę o zakład, że pod spodem masz jak zwykle dzinsy.

- Wcale nie! - krzyknęła z oburzeniem.

Musnął dłonią jej talię.

- Rzeczywiście, niczego nie czuję.

Zadrżała. Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała przez zwiewną sukienkę.

- Czy nie powinnam usiąść na huśtawce? - wydusiła z siebie.

- A chcesz?

- Nie, ja... - Pochyliła głowę, ale delikatnie uniośł jej podbródek palcem wskazującym.

- Nie bój się.

- Nie... nie boję się.

- Naprawdę?

- To nie jest moje marzenie - powiedziała z rozpaczą. - To scenarzyści, oni...

- A kogo to obchodzi? To piękne marzenie. Nie zepsujemy tego.

Wstrzymała oddech, słysząc ochrypłą intymną nutę w jego głosie. Zachowywał się, jakby poza nimi nikogo tu nie było. Światło słoneczne przenikało przez liście, ścieliło się jasnymi plamami na jego twarzy, bawiło się w chowanego z jego oczami i kącikami ust. Nie mogła oderwać wzroku od tej gry światła i cieni.

- Nie zepsujemy? - powtórzyła bez tchu.

- Dotknij mojej twarzy, wtedy ja dotknę twojej.

Czuła, jak drży jej ręka. Bezwładnie zwiślała wzdłuż boku. Chciała ją unieść, ale nie miała siły.

Delikatnie uniośł jej nadgarstek, aż dotknęła jego policzka. Wtedy opuścił ręce i pozwalał, by błędziła po jego twarzy.

Koniuszkami palców poznawała jego policzki, podbródek, nos. Dotykała go jak niewidoma, jakby chciała nauczyć się jego rysów na pamięć. Nie zdołała się powstrzymać, musnęła palcami także jego dolną wargę.

Uśmiechnął się i dotknął jej ust. Pod jego dotykiem nawet jej usta stały się piękne. W jego oczach widziała zachwyty. Czuła, jak napięcie ją opuszcza, i nagle była piękna.

- Teraz cię pocałuję - szepnął.

Rozchyliła usta, serce waliło jej jak oszalałe. Musnął ją oddechem, gdy pochylił głowę. Przyciągnął ją do siebie tak delikatnie, iż myślała, że roztopi się tam, w świetle słońca. Czekwała w napięciu, aż poczuła jego usta na swoich.

Oczyrna wyobraźni widziała białe obłoczki i zamki na lodzie. Miał delikatne usta. Ogarnęło ją poczucie nierealności. Pocałunek był niewinny, pozbawiony wszelkich podtekstów erotycznych. Takim pocałunkiem budzi się śpiące królowy; pocałunkiem utkanym ze złotej pajęczyny dziewczęcych marzeń.

Uśmiechnął się do niej.

- Czy masz pojęcie, jaka jesteś piękna?

Potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wyprowadził ją z cienia na słońce i znowu pocałował. A potem zerwał liść z drzewa i połaskotał ją w nos.

Zachichotała.

- Idę o zakład, że jesteś lekka jak piórko. - Nie czekał na odpowiedź, wziął ją na rękę i obrócił powoli, leniwie. Rękawy jego koszuli trzepotały na wietrze, jej suknia wyduła się jak balon. Czowała się cudownie lekka. Od rzuciła głowę do tyłu, jej śmiech zdawał się stapać w jedno ze słońcem, które lśniło w jego ciemnych włosach.

- Kręci ci się w głowie? - zapytał ze śmiechem.

- Nie... Tak...

Postawił ją na ziemi, podtrzymał, żeby nie upadła, a potem znowu nią zakręcił, tańczył z nią w słońcu i w cieniu. Poczowała się zwinna i piękna, jak zaczarowana księżniczka w bajkowym lesie. Przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz.

Westchnęła głośno, gdy w końcu ją puścił. Muzyka wyznaczała granice ich magicznego świata. Tulił jej twarz w dłoniach, jakby nie mógł się na nią napatrzeć. Obracał ją, jeszcze raz, i jeszcze. Kręciło jej się w głowie, krew radośnie pulsowała w żyłach. Po raz pierwszy poczuła się kobieta.

Zatrzymali się. Popatrzył gdzieś nad nią.

- Masz, czego chciałeś?

Zaskoczył ją jego głos, obcy, twardy.

- Cięcie! - zawołał Jack. - Doskonała robota, oboje! Może trzeba będzie dokręcić kilka zbliżeń. Najpierw muszę zobaczyć taśmę.

Eric odsunął się od niej. Honey zrobiło się zimno, gdy na jej oczach przechodził transformację. Po poprzednim ciepłe nie było śladu. Był wrogi, zmęczony i zły.

Z trudem wykrztusiła jego imię.

- Eric?

- Tak?

Wcale nie było gorąco, a mimo to był mokry od potu. Podeszedł do stolika, na którym zostawił papierosy.

Poszła za nim, nie mogła się powstrzymać.

- Chyba dobrze poszło, co?

- Chyba tak. - Zaciągnął się głęboko. - Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziemy kręcić takiego gówna. Na przyszłość zrób nam wszystkim przysługę i zachowaj dla siebie szczeniackie marzenia, dobrze?

Świat zwałił jej się na głowę. Eric grał. Nie był szczery. Jego pocałunki szept, pieszczoty nic nie znaczyły. Znowu stała się brzydkim kaczątkiem. Pobiegła do przycyepy.

Dash obserwował całą scenę z odległości kilku metrów. Widział, jak zwinnie Dillon sterował Honey, jak dbał, by kamery ujęły ich w cieniu i w słońcu. Nie pamiętał, kiedy miał równie wielką ochotę komuś przyłożyć. Tłumaczył sobie, że to nie jego sprawa. Do cholery, robił kobietom gorzej świństwa. Ale Honey jeszcze nie jest kobietą. Dillon sięgnął po scenariusz. Dash podszedł do niego.

- Prawdziwy z ciebie sukinsyn, co, pięknisiu?

Eric zmrużył oczy.

- Robiłem, co do mnie należy.

- Naprawdę? Czyli co?

- Jestem aktorem.

Dash zacisnął pięści.

- Raczej sukinsynem.

Eric cisnął niedopałek na ziemię.

- No, dalej, stary. Uderz mnie. - Czekał.

Dash się nie przestraszył. Dillon ma mięśnie Hollywoodu, efekt ćwiczeń na drogich urządzeniach, a nie ciężkiej pracy i barowych awantur. To mięśnie kosmetyczne, równie nieprawdziwe jak pocałunki, którymi obsypał Honey.

I wtedy Dash dostrzegł pot na czole Erica. Nieraz widział mężczyzn spoconych ze strachu; mieli w oczach szaleństwo. A Dillon był zrozpaczony.

I zrozumiał, że Eric chce, żeby go uderzył. Równie nagle, jak wpadł w złość, stracił ochotę na rozlew krwi. Przez chwilę nie robił nic, a potem zsunął kapelusz na tył głowy i popatrzył Ericowi prosto w oczy.

- Na razie ci daruję. Nie chcę, żeby taki młody ogier upokorzył mnie na oczach wszystkich.

- Nie! - Na skroni Erica pulsowała żyła. - Nie! Nie możesz! Ja...

- Na razie, pięknisiu.

- Ja...

Nie dokończył. Odprowadzał Dasha wzrokiem. Nerwowo szukał następnego papierosa, zapalił, chciwie wciągnął dym w płuca. Coogan nie ma dla niego nawet tyle szacunku, żeby się z nim bić. W tym momencie rozumiał coś, czego do tej pory nie pojmował. Podziwia Dasha Coogana - nie jako aktora, ale jako człowieka. Teraz, gdy było już za późno, zrozumiał, że

zależy mu na jego szacunku, tak jak zawsze pragnął szacunku od ojca. Dash to prawdziwy mężczyzna.

Dym go dławił. Musi stąd uciec, musi odetchnąć. Prześladowało go błagalne spojrzenie jasnoniebieskich oczu. Zszedł z planu, przepychał się przez ekipę, chciał uciec przed niebieskim spojrzeniem, ale towarzyszyło mu na każdym kroku. Tak bardzo pragnęła miłości, że straciła wszelki instynkt samozachowawczy. Nawet nie walczyła, pozwoliła się od razu zepchnąć w przepaść.

Paliły go płuca. Głupia. Jest taka głupia; nie rozumie najważniejszego przesłania każdej bajki: małe dziewczynki nie zakochują się w złych księżkach.

W powietrzu
1983

Rozdział dwunasty

Honey dotarła na przyjęcie Liz Castleberry z okazji 4 lipca bardzo spóźniona. Zaparkowała swego srebrnego mercedesa 380 SL między jaguarem i alfa romeo. Kupiła go niedawno, po zakończeniu zdjęć do trzeciej części serialu. Ledwie wysiadła z samochodu, usłyszała huk wystrzałów - odpalano ogień sztuczny na plaży przed domem. Honey po raz pierwszy skorzystała z zaproszenia Liz. Przyszła tylko dlatego że, po pierwsze, przyjęcie było nieformalne, a po drugie, Dash obiecał wpaść.

Przerzuciła przez ramię dżinsowy worek z kostiumem kąpielowym i zamknęła samochód. W zeszłym miesiącu minęły trzy lata, odkąd przyjechała do Los Angeles, ale czuła się o wieki starsza od tamtej szesnastolatki. Patrząc w przeszłość, zawsze dochodziła do wniosku, że dorosła owego dnia, gdy Eric Dillon upokorzył ją w scenie miłosnej. Okropne przeżycie zakończyło definitywnie dziecięce uwielbienie, jakim go darzyła. Nikt, nawet Dash, nie domyślał się nawet, jak bardzo bolało samo wspomnienie tamtego dnia.

Idąc w stronę domu, zastanawiała się, co przyniesie jej nowy sezon. Pod koniec miesiąca zaczyną się zdjęcia do czwartej serii. Producenci w końcu pozwolili Janie skończyć piętnaście lat. Najwyższy czas, zwłaszcza że w grudniu Honey stuknie dwudziestka.

Po bolesnym okresie przystosowań podczas dwóch pierwszych sezonów trzeci minął stosunkowo spokojnie. Doskonale układały się jej stosunki z ekipą, od Erica trzymała się z daleka. Zaprzyjaźniła się z Liz Castleberry. Ale najważniejszym człowiekiem w jej życiu był Dash Coogan.

Spędzała w jego towarzystwie większość czasu na planie, a w soboty odwiedzała go na ranczu. Jeździła konno, gotowała, pomagała mu. Lubiła

towarzystwo Dasha, a poza tym miała dokąd uciec z nowego domu w Pasadena. Chantal namówiła ją na jego kupno, twierdząc, że może tu Gordon znajdzie inspirację do malowania. Nie znalazł, co Honey wcale nie zdziwiło. Nowy dom, choć zdecydowanie lepszy niż koszmarne bunkier w kanionie Topanga, nie był jednak prawdziwym domem. Po pierwsze, Buck nadal mieszkał z nimi, a po drugie, stosunki Honey z ciotką Sophie nie poprawiły się ani trochę.

Odsunęła od siebie ponure myśli o rodzinie i wbiegła na werandę domu Liz. Budynek był prostokątny, o szarych ścianach i łośosiovych okiennicach. Po jednej stronie rozciągał się mały ogródek. Kamienny murek oddzielał posiadłość Liz od sąsiedniego domu, gdzie mieszkała córka Guya Isabelli, Lilly.

Honey zawahała się przy drzwiach wejściowych. Po trzech latach w Los Angeles nadal rzadko bywała na przyjęciach. Nie czuła się swobodnie na imprezach towarzyskich; bała się, że użyje niewłaściwego widelca, a wszyscy wydawali się tacy wyrafinowani. Zresztą, potraktowano poważnie kłamstwo Rossa na temat jej wieku i nikt nie wierzył, kiedy mówiła, ile naprawdę ma lat.

Zadzwoiła do drzwi. Otworzył jej mężczyzna w średnim wieku, ubrany tylko w kąpielówki. Kępa włosów na jego piersi była tego samego kształtu, co stan Indiana.

Powitał ją z otwartymi ramionami.

- Honey! Cześć, jestem Crandall. Uwielbiam, naprawdę uwielbiam twój serial. Nie oglądam niczego innego! Powinnaś była wygrać w zeszłym roku.

- Dzięki.

Boże, kiedy wszyscy przestaną wspominać o nominacji do nagrody Emmy? Nie wygrała, co zdaniem jej agenta wynikało z tego, że nie przyjmowała żadnych innych ról. Eric dostał dwie statuetki, w dwóch kolejnych latach. Dzięki filmom, które nakręcił podczas przerw w serialu, stał się gwiazdą; było tajemnicą poliszynela, że niedługo zerwie kontrakt, żeby móc występować wyłącznie w filmach kinowych.

- Lizzie jest na tarasie - wyjaśnił Crandall, prowadząc ją przez korytarz wyłożony białą terakotą. Na ścianach wisały obrazy impresjonistów.

W salonie kłębili się ludzie ubrani w nieformalne stroje, poczynając od kostiumów kąpielowych, na szortach i koszulkach polo kończąc. Wszystkie te rzeczy były drogie i modne, dużo lepszej jakości niż jej stare szorty i zniszczone adidasy. Liz twierdziła, że Honey powinna bardziej o siebie zadbać, ona jednak uważała, że się na tym kompletnie nie zna. Minęła miękkie sofy i fotele, jasnoróżowe i błękitne, i podeszła do przeszklonej ściany, za którą rozciągał się ocean. W powietrzu unosił się zapach grilla, kremu do opalania i drogich perfum.

Liz wróciła z tarasu, podeszła prosto do Honey. Wydęła usta i cmoknęła powietrze gdzieś w okolicach jej ucha.

- Więc jednak przyszedłaś! Witaj, Honey. Dash mówił, że kazał ci przyjść, ale nie wierzyłam, że go posłuchasz.

- Jest już? - z nadzieją rozglądała się po szalone. Dostrzegła kilku znajomych, ale Dasha nie było.

- Niedługo się zjawi. - Liz skupiła się na jej włosach. - Nie wierzę własnym oczom! Zaczynają się autentycznie kręcić! Evelyn mówiła, że pozwalasz jej trochę eksperymentować. Wreszcie zaczynasz przypominać kobietę, a nie wyrostka z ogólniaka.

Honey była zbyt dumna, by okazać Liz, jak bardzo lubi nową fryzurę. W ostatni dzień zdjęciowy, w marcu, Evelyn podcięła jej włosy i wycieniowała końce. Początkowo włosy były tak krótkie, że Honey nie zauważyła różnicy, ale po czterech miesiącach odrosły na tyle, że teraz pieściły miękko jej policzki.

- Niestety, nadal wyglądasz dziecinnie - narzekała Liz. - I ubierasz się jak przedszkolak. Popatrz tylko na te szorty. Są za duże, a kolor jest wręcz okropny. W ogóle nie masz gustu.

Honey przywykła już do bezpardonowej krytyki Liz, więc słuchała jej słów ze znużeniem.

- Daj spokój, Liz. Nigdy nie zrobisz ze mnie prawdziwej damy. Nie mam do tego głowy.

- Ale ja mam i nie pojmuję, czemu nie chcesz wybrać się ze mną na zakupy.

- Nie interesują mnie ciuchy.

- To błąd.

Zanim Honey zdążyła zaprotestować, Liz zaprowadziła ją przez tłum gości na górę, do różowej sypialni, która przywodziła na myśl piękny drogi ogród. W oknach wisały szyfonowe zasłonki, na podłodze zieleniła się morska wykładzina. W jednym rogu stał szeszlong obity jedwabiem, w drugim - toaletka ze starego dębu. Kapa na łóżku wyglądała, jakby namalował ją Cezanne. Honey dostrzegła przy łóżku parę spinek do mankietów, ale choć umierała z ciekawości, by poznać trochę pikantnych szczegółów z życia Liz, nie zapytała o nic.

Liz otworzyła wielką szafę.

- Byłabyś bardziej pewna siebie, gdybyś ubierała się stosownie do twojego wieku.

- Jestem bardzo pewna siebie. Jestem niezależna i samodzielna. Utrzymuję rodzinę i...

- Pewna siebie jako kobieta, skarbie. Co za zadziwiający zbieg okoliczności... - Wyjęła granatową torbę ozdobioną czerwonym napisem. - Kupiłam go sobie w zeszłym tygodniu w małym butik przy Rodeo Drive, ale w domu zorientowałam się, że wzięłam zły rozmiar. Założę się, że na tobie będzie leżał jak ulał.

- Przyniosłam własny kostium - zaprotestowała Honey.
- Wyobrażam sobie, jak wygląda.

Honey zacisnęła ręce na worku, w którym spoczywał stary jednoczęściowy kostium, ten sam, który przed laty kupiła jej pokojówka w hotelu „Beverly Hills”.

Liz wcisnęła jej granatową torebkę i popchnęła do łazienki.

- Przymierz tylko. Zawsze możesz go zdjąć.

Honey zawahała się, ale doszła do wniosku, że przymierzając kostium opóźni chociaż trochę chwilę zejścia na dół. I może Dash już przyjdzie?

Łazienka przypominała tropikalną wyspę, były tam bujne rośliny, wanna z różowego marmuru i krany w kształcie delfinów. Honey zająrzała do torby. Wśród miękkiej bibułki spoczywał skąpy kostium bikini, biało-brzoskwiniowy, w hawajski kwiatowy wzór. Z całą pewnością był ładniejszy niż jej stary czerwony opalacz, ale Honey podobało się, że Liz nią manipuluje. Wepchnęła kostium z powrotem do torby i już miała wyjść z łazienki, gdy jednak zmieniła zdanie. Właściwie czemu nie miałyby go przymierzyć? Założyła kostium i podejrzliwie zerknęła w wielkie lustro.

Choć niechętnie, musiała przyznać Liz rację. Kostium leżał jak ułóżek. Stanik na fiszbinach podkreślał jej drobny biust, tak że, o dziwo, wyglądała jak kobieta. Wysoko wycięte majtki optycznie wydłużały nogi. Nie przywykła jednak pokazywać się w tak skąpym stroju, dlatego założyła króciutką portfelową spódniczkę w ten sam wzór. Opadła nisko na biodra, odsłaniając pępek.

Nie do wiary, ale wyglądała odrobinę seksy.

- Puk, puk. Mam nadzieję, że masz coś na sobie?

Zanim Honey odpowiedziała, drzwi się otworzyły, Liz weszła energicznie i przypięła jej do uszu złote klipsy w kształcie kół.

- Koniecznie musisz sobie przekłuć uszy.

Honey dotknęła rozkołysanych obręczy.

- Nie mogę się z nimi kapać.

- A po co masz się kapać? Od lat nie zamoczyłam nogi w oceanie. Masz dobrą szminkę, ale przydałoby się podkreślić rzęsy.

Pchnęła Honey na stołek, musnęła jej policzki brzoskwiniowym różem i przyciemniła rzęsy brązowym tuszem.

Honey patrzyła na złote obręcze widoczne między miękkimi lokami, podziwiała delikatny makijaż. Nawet jej usta wydawały się pociągające. Wyglądała tak samo, a jednocześnie inaczej. Dorosłej, bardziej seksownie. Ładnie. Nie poznawała się, a to ją niepokoiło. Podobała jej się kobieta w luście, ale nie umiałyby jej szanować. Była zbyt, zbyt delikatna, za słaba, by wygrać walkę z życiem.

Liz chyba wyczuła jej niezdecydowanie, bo odezwała się spokojnie:

- Czas dorosnąć, Honey. Masz dziewiętnaście lat. Czas porzucić stary kokon i dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś.

Nagle wszystko stało się jasne. Honey zerwała się z krzesła jak oparzona.

- Zaplanowałaś to, prawda? Wcale nie kupiłaś tego kostiumu dla siebie tylko dla mnie! - Podniosła tubkę z tuszem do rzęs. - I jakim cudem osoba o tak ciemnej oprawie oczu jak ty ma w domu brązowy tusz?

Liz nawet nie udawała, że jej przykro.

- Nudziłam się ostatnio, a nie ukrywam, że wyzwanie, by zrobić z ciebie kobietę, wydało mi się nader kuszące. Ross, ma się rozumieć, dostanie zawału na twój widok, ale to już jego sprawa. Przecież to śmieszne, że ciągle ukrywa twój prawdziwy wiek.

Honey pokręciła głową.

- Jesteś straszną oszustką.

- Jak to?

- Udajesz Sukę nad Sukami.

- Wcale nie udaję. Jestem bezwzględna i pozbawiona skrupułów, każdy ci to powie.

Honey uśmiechnęła się lekko.

- Dash rozgłasza wszem wobec, że jesteś łagodna jak kociątko.

- No, niestety! - Liz parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała. - W ciągu ostatniego roku spędzałaś z nim dużo czasu, prawda?

- Lubię jego ranczo, jeżdżę tam podczas weekendów. Jeździmy konno i gadamy. Gotuję mu, bo gosposia nie wie, co Dash lubi.

- Honey, Dash to... Czasami krzywdzi tych, którym na nim zależy. Chyba tego nie chce, ale nic nie może na to poradzić. Nie przywiązuj się do niego zanadto. Pozwala ludziom się do siebie zbliżyć, a potem ich odpycha.

- Wiem. To chyba przez jego dzieciństwo.

- Dzieciństwo?

- Podrzucano go z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Ledwie się do kogoś przywiązał, przenosili go gdzie indziej. Po pewnym czasie uznał, że najbezpieczniej nie przywiązywać się do nikogo.

Liz patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Powiedział ci to?

- Niezupełnie. Wiesz, jaki jest. Ale powiedział kilka rzeczy między wierszami i domyśliłam się reszty. Wiesz, jedna sierota łatwiej zrozumie drugą. Tyle że oboje uporaliśmy się z naszymi problemami w odmienny sposób. Dash nie przywiązuje się do nikogo, a ja do wszystkich.

Opuściła głowę, zawstydzona, że tyle powiedziała.

- Znowu ponosi mnie gadulstwo. To już choroba.

Liz przyglądała się Honey przez chwilę, zanim położyła jej dłoń na ramieniu.

- Wracajmy na przyjęcie. Jest tam fantastyczny młody człowiek koniecznie musisz go poznać. To syn starego przyjaciela. Słodki, inteligentny i tylko odrobinę zarozumiały. A co najlepsze, nie jest z branży.

- Nie sądzę, żeby...

- Nie bądź dzieckiem. Czas rozwinąć skrzydła. I sprawdzić, jak na facetów działa ten kostium.

Zeszły na dół. Dasha nigdzie nie było widać. Ostatnio za bardzo nią dyrygował i Honey nie mogła się doczekać jego miny, kiedy ją zobaczy w tym stroju. Już najwyższy czas udowodnić mu, że nie jest już dzieckiem.

Liz przedstawiła Honey innym gościom. Witano ją z niedowierzaniem ukrywającym lepiej lub gorzej.

- W telewizji wyglądasz dużo młodziej, Honey.

- Nie poznałam cię!

- Ile tak naprawdę masz lat?

Ross wyróżił się jak spod ziemi, gdy padło to niedyskretne pytanie, i zabrał ją szybko w drugi koniec salonu. Ostatnio przybyło mu kilka kilogramów, zwłaszcza na okrągłym brzuszku widocznym pod szlafrokiem kąpielowym.

- Co ty wyrabiasz? - warknął, lustrując ją wzrokiem. - Nie powinnaś pokazywać się publicznie w takim stroju.

Liz nie odstępowała Honey na krok.

- Daj jej spokój, Ross. I przestań się niepotrzebnie martwić. Nikt i nic, nawet to, ile ma naprawdę lat, nie odbierze Honey miłości widowni. Zresztą przyszła tu, żeby się bawić.

Liz zaprowadziła Honey na taras. Podeszły do młodego mężczyzny stojącego samotnie pod parasolem. Miał krótkie ciemne włosy, ostre rysy i smukłe ciało atlety. Na szyi wisały mu okulary słoneczne, na przegubie lśnił złoty zegarek. Miał na sobie spraną czerwoną koszulkę i kąpielówki, ale zachowywał się tak swobodnie, że widać było, iż pochodzi z bogatej rodziny. Patrząc na niego, Honey czuła, jak ogarnia ją panika. Nie ma pojęcia o mężczyznach.

- Nie, Liz, ja... - szepnęła.

- Kochanie, chciałam ci przedstawić Scotta Carltona. Scott, zadbaj, żeby Honey miała co pić, dobrze?

- Z przyjemnością.

Honey napotkała ciepłe spojrzenie piwnych oczu patrzących na nią z podziwem. Odprężyła się odrobinę.

- Czego się napijesz? - zapytał, gdy Liz odeszła.

Już miała poprosić o zimną oranżadę, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Tego co ty. Nie jestem zbyt wybredna.

- A zatem piwo coors. - Wyciągnął puszkę z przenośnej lodówki, otworzył i podał jej. Nerwowo upił łyk.

- Jestem chyba jedynym człowiekiem w Ameryce, który nie ogląda twojego serialu. Wieczorem mam zajęcia na uniwersytecie. Oczywiście widziałem cię na zdjęciach. Opuścił wzrok na jej piersi i uśmiechnął się. - W rzeczywistości wyglądasz zupełnie inaczej.

- Kamera pogrubia - rzuciła automatycznie. Gdzie jest Dash? Dlaczego jeszcze nie przyszedł? Oby tylko nie przyprowadził kogoś. Nie lubiła patrzeć na niego w towarzystwie innych kobiet.

- No, ty akurat nie musisz się tym martwić. Od kiedy mieszkasz w LA?

Powiedziała mu. Zadał kilka pytań o pracę, a potem sam opowiadał o tym, co robi w znanej firmie. Nagle uświadomiła sobie, że stara się jej zaimponować. Stopniowo docierało do niej, że wielu młodych mężczyzn posyła jej przeciągłe spojrzenia, i nabrała odrobinę pewności siebie.

- Honey, pozwól, że ci zadam osobiste pytanie. Ile masz lat?

- Dziewiętnaście. W grudniu skończę dwadzieścia.

- Naprawdę? Zaskoczyłaś mnie. Wyglądasz poważniej. Jesteś drobna, ale masz coś w oczach... dojrzałość.

Doszła do wniosku, że bardzo lubi Scotta Carltona.

Zaczął opowiadać jakąś zabawną historyjkę o jednym ze swoich współpracowników. Honey kątem oka dostrzegła, że Dash wyszedł na taras. Przy nim inni mężczyźni wydawali się wyblakli jak stare fotografie. Był wyższy niż większość zebranych, ale nie tylko to wywoływało takie wrażenie. Był legendą, a inni zwykłymi śmiertelnikami.

Podeszła do niego młoda kobieta, Lilly Isabella, jak zauważyła Honey. Honey poznała ją podczas poprzednich odwiedzin u Liz. Lilly była wysoka i piękna, miała pełne piersi i wąską talię. Srebrzyste włosy, spływające na ramiona jak jedwab, otaczały twarz o regularnych, klasycznych rysach.

Na widok Lilly Honey straciła tę odrobinę pewności siebie, którą dopiero co zyskała. Lilly jest seksowna i wyrafinowana, wychowana w dostatku i przywilejach. Miała na sobie bluzeczkę z niebieskiego jedwabiu i takie same spodnie. Na przegubie widniała gruba srebrna bransoleta, dobrany pas podkreślał szczupłą talię. Dash się do niej uśmiechnął, a Honey zżerała zazdrość. Na nią nigdy nie patrzył w taki sposób.

- Znasz Lilly? - zapytał Scott, idąc śladem jej spojrzenia.

- Właściwie nie. Poznałyśmy się, ale to wszystko. A ty ją znasz?

- Kiedyś ze sobą chodziliśmy, ale Lilly jest skomplikowana. Normalny facet nie dorówna jej ojcu. Zresztą nigdy nie była długo z żadnym facetem spoza branży filmowej.

Honey czekała, ale nie powiedział nic więcej. Obserwowała, jak Dash chłonie każde słowo Lilly. Traktował ją jak dorosłą kobietę, a przecież nie

może być dużo starsza od Honey. Była coraz bardziej zirytowana. Pokaże mu, że Lilly Isabella nie jest jedyną kobietą godną pożądania na tym przyjęciu. Spojrzała na Scotta spoza zasłony rzęs.

- Jeśli Lilly zostawiła takiego faceta jak ty, jest głupsza, niż na to wygląda.

Uśmiechnął się.

- Pójdziemy na plażę? - spytał.

Zerknęła na Dasha. Nadal jej nie zauważył.

- Chętnie.

W drodze nad ocean musieli przejść obok Lilly i Dasha stojących przy schodkach. Wtedy Dash ją dostrzegł. Ku jej wielkiemu zadowoleniu, zdziwił się, nie wiadomo tylko, czy na widok ręki Scotta obejmującej jej talię, czy też w związku z jej nowym strojem.

- Cześć, Dash - pomachała mu, jakby dopiero co go zobaczyła, przedstawiła mu Scotta i skinęła głową Lilly.

- Honey! Nie poznałam cię! Cudownie wyglądasz! - Lilly uśmiechnęła się ciepło i powiedziała coś do Scotta.

Dash zatrzymał wzrok na pępku Honey, przesunął go na jej piersi. Był wyraźnie niezadowolony, co się jeszcze pogłębiło, gdy dostrzegł puszkę piwa w jej dłoni.

- Od kiedy pijesz?

- Odkąd pamiętam - odparła, imitując nonszalancki ton Liz Castleberry.

- Honey i ja idziemy się przejść na plażę - Scott wziął ją pod rękę. - Później pogadamy.

Wyobrażała sobie, że czuje na plecach płonący wzrok Dasha. Podobała jej się ta wizja, więc specjalnie kołysała biodrami.

Eric nie wypił jeszcze pierwszego drinka, a już załował, że przyjął zaproszenie na przyjęcie Liz Castleberry. W przerwie serialu kręcił film, miał teraz pierwszy wolny dzień od wielu tygodni. Zamiast na przyjęcie, powinien był iść do łóżka. Potarł nieogolony podbródek i zastanawiał się, jak by się stąd wymknąć niezauważenie.

Gdy szedł przez taras, młoda kobieta w czerwonej plażówce posłała mu uwodzicielskie spojrzenie. Ciekawe, czemu. Był nieogolony i niechlujny, cały czas żył rolą w nowym filmie. Grał policjanta-samotnika, walczącego z gangiem narkotykowym. Jego bohater różnił się pod każdym względem od Blake'a Chadwicka; i właśnie tego Eric potrzebował, żeby zapomnieć o landrynkowej słodyczy *Dash Coogan Show*.

Choć zgodnie z kontraktem miał zostać w serialu jeszcze dwa lata, podjął ostateczną decyzję- odejdzie bez względu na to, ile go to będzie

kosztowało. Od tej pory będzie się zajmował wyłącznie kinem, nie wróci już do telewizji.

Zobaczył Coogana po przeciwnej stronie tarasu i szybko odwrócił się przeciwną stroną. Unikał go, jak mógł; miał dziwne uczucie, że Dash wie, co się z nim dzieje. W jego obecności zawsze czuł się gorszy, tak samo jak w obecności ojca. Eric wolał nie myśleć o tym, jak bardzo mu zależy na szacunku Dasha Coogana. Ilekroć Dash nazywał go „pięknisiem”, robiło mu się niedobrze.

Słońce odbijało się od niewielkich fal i nagle Eric zapragnął się wykąpać. Uznał jednak, że to za duża fatyga. Na plaży parę metrów przed nim stała para. Nie zwracał uwagi na mężczyznę, ale kobieta go zainteresowała. Zmrużył oczy, patrząc pod słońce, przyjrzał się jej uważnie. Była drobna, ale ładnie zbudowana, miała smukłe nogi i krągłe piersi. Trochę za niska jak na jego gust, ale i tak jej się przyjrzy, kiedy wróci na taras. Nawet nie myślał, co będzie, jeśli nie zwróci na niego uwagi. To się nigdy nie zdarzało.

Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Odrzuciła włosy do tyłu, aż słońce błysnęło w złotych kolczykach. Roześmiała się, odwracając przy tym profilem.

Przecież to Honey, uświadomił sobie ze zdumieniem. Gdzie się podziała chłopczyca w dzinsach i z marsmem na czole? Czasami pojawiała się na planie w spódnicy i z lekkim makijażem, ale nigdy nie wyglądała równie ładnie.

Wskazywała na ocean. Wiatr rozchylił jej spódniczkę, odsłonił uda i skąpe majteczki kostiumu. Zatrzymał wzrok na jej podbrzuszu i poczuł niesmak, bo zareagował instynktownie, co wydało mu się kazirodztwem. Honey mimo wszystko nadal przypominała mu Jasona.

- Czy przypadkiem nie widziałam cię na liście gońcym? - usłyszała za plecami niski, melodyjny kobiecy głos.

Odwrócił się i w tej samej chwili zapomniał o Honey.

- Zostałem niesłusznie oskarżony - powiedział.

Upiła łyk wina z kieliszka i obrzuciła go uważnym spojrzeniem szeroko osadzonych szarych oczu. Srebrzysty lok opadł jej na policzek. Odgarnęła go niecierpliwie. Uśmiechnęła się lekko.

- Ciekawe, czemu ci nie wierzę?

- To prawda, przysięgam.

- Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek uwierzył w twoją niewinność. Udał, że jest urażony.

- Jestem aniołkiem, naprawdę.

Roześmiała się.

- Eric Dillon - przedstawił się.

Spojrzała na niego przeciągle.

- Wiem - rzucił krótko i odeszła.

Odprowadzał ją wzrokiem, zaintrygowany zarówno jej urodą, jak i zachowaniem. Podeszła do grupki mężczyzn i zaraz otoczył ją wianuszek wielbicieli. Słyszał jej śmiech. Mężczyźni rozsunęli się na chwilę i widział jak jeden z nich podaje jej krewetkę na wykałaczce. Zdjęła ją delikatnie i gryzła powoli, zmysłowo, rozkoszując się każdym kęsem.

Liz Castleberry podeszła do niego od tyłu.

- Ciekawa byłam, ile czasu upłynie, zanim ty i Lilly zwróćcie na siebie uwagę.

- Tak ma na imię?

Skinęła głową.

- Jest córką Guya Isabelli.

- Tego dupka? - Eric skrzywił się z niesmakiem. Guy Isabella to nie aktor, to gwiazdor.

- Nie waż się przy niej tak go określić. Uwielbia ojca i nie pozwala powiedzieć o nim złego słowa.

Erica nie obchodził ojciec, lecz córka. Intrygowała go. Może dlatego, że nie wyglądała na kobietę, którą łatwo skrzywdzić.

Nawet jeśli jest się takim draniem jak on.

- Nie wierzę! - roześmiała się Honey. - Nikt nie może złamać sobie ręki trzy razy w ciągu jednych wakacji!

- Owszem, ja.

Zapadał zmrok. Scott wcale się nią nie znudził i pewność siebie Honey rosła w zastraszającym tempie.

Wysunęła nogę z rozcięcia spódniczki i chłoneła jego słowa, jakby były ze szczerzego złota. Kiedy pojęła, o co w tym chodzi, flirtowanie okazało się dziecinnie łatwe. Dawało jej władzę; zupełnie inną niż ta, o którą walczyła, kłócąc się i klnąc, ale władzę. Nie pojmowała jej, lecz bardzo lubiła. Miała tylko nadzieję, że Dash wszystko widzi.

- Nie mieści mi się w głowie, by ktoś tak wysportowany jak ty mógł być niezdarny. - W jej głosie było akurat zachwyty, ile trzeba.

- Szkoda, że mnie nie widziałas jako czternastolatka.

Cisnął pustą puszkę po piwie do kosza na śmieci za jej plecami. Był to ich drugi spacer na plaży. Po pierwszym wrócili na taras, jedli, pili, żartowali z innymi gośćmi. Honey dostrzegła Erica, pochmurnego i zabójczo przystojnego z tygodniowym zarostem, ale dziecinne zadurzenie umarło definitywnie tamtego dnia pod dębem.

Dash natomiast nie dawał jej spokoju. Ilekroć go widziała, jakaś kobieta wisiała mu na ramieniu. W takich chwilach ze zdwojoną uwagą zajmowała się Scottem, kochanym Scottem, który pochłaniał ją oczyma i traktował jak prawdziwą dorosłą kobietę godną pożądania.

- Założę się, że kiedy miałeś czternaście lat, byłeś słodziutki - stwierdziła, gdy brodzili po wodzie.

- Nie byłem nawet w połowie tak słodki, jak ty teraz.

Nie do wiary, ale poczuła, jak kokieteryjnie wydyma usta.

- No wiesz, mówisz, jakbym była dzieckiem!

- Uwierz mi, nie to miałem na myśli.

Zaledwie przez chwilę rozkoszowała się tym komplementem, bo Scott objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Poczuła na brzuchu miękką tkaninę jego koszulki. Położył jej dłoń na karku i pocałował w usta.

Ten pocałunek w niczym nie przypominał oszukańczych całusów Erica tamtego dnia pod dębem. Był prawdziwy. Scott rozchylił usta.

Silna fala obmyła jej nogi. Honey zachwiała się, przywarła do niego. Objął ją mocniej. Poczuła przyjemne ciepło.

- Chcę się z tobą kochać - szepnął jej do ucha.

- Naprawdę? - Z trudem powstrzymała ochotę, by odwrócić się w stronę tarasu i sprawdzić, czy Dash to słyszy.

- Nie czujesz?

Przywarł do niej biodrami. Zrobiło jej się gorąco. Czy naprawdę ona to sprawiła?

Przesunął dłoń na jej pośladki.

- Jesteś wspaniała - szepnął. Czy ktoś ci już to mówił?

- Wszyscy - podniosła na niego wzrok. - A ty doskonale całujesz.

- Ty też.

Uśmiechnęła się i ponownie zamknął jej usta swoimi. Tym razem dotknął jej językiem. Doszła do wniosku, że musi nauczyć się więcej o całowaniu. Przez moment miała przed oczami tego, którego chciałyby za nauczyciela, ale trwało to tak krótko, że nawet nie wiedziała, kto to był.

Przywarła do Scotta, chcąc się przekonać, czy nadal na nią reaguje. Reagował, a jakże. Wsunął dłoń między ich ciała, odnalazł jej pierś. Zesztyniała, przerażona taką poufałością. Jego ręką wślizgnęła się pod stanik. Honey odsunęła się nieznacznie.

- Co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz?

Wstrzymała oddech, słysząc za plecami znajomy szorstki głos.

Scott puścił Honey niechętnie, wyjął dłoń z jej stanika i popatrzył nad jej głową na intruza.

- O co chodzi?

Odróciła się powoli i napotkała wściekłe spojrzenie Dasha Coogana. Jego twarz była jak chmura gradowa. Wydawało się, że zaraz złapie za niewidzialny rewolwer. Zupełnie nie zwracał uwagi na Scotta, był wściekły na nią. Miał taką minę, jakby chciał wyzwać na pojedynek całe Dodge City.

- Jesteś pijana - rzucił oskarżycielsko.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Wypiłam dwa piwa - odparła - a poza tym wcale nie muszę ci się tłumaczyć.

- O co chodzi, panie Coogan?

Fakt, że Scott zwrócił się do niego z takim szacunkiem, zdawał się jeszcze bardziej irytować Dasha. Uśmiechnął się złośliwie.

- Zaraz ci powiem, o co chodzi, synku... Twoje łapy zawędrowały tam gdzie nie trzeba.

Scott był zbity z tropu.

- Przykro mi, ale nie rozumiem, co to pana obchodzi. Honey jest pełnoletnia.

- Skądże znowu. - Wskazał dom. - Zmykaj, mała, o ile oczywiście jesteś w stanie iść o własnych siłach.

Wyprostowała się dumnie.

- Idź do diabła.

- Jak się do mnie odzywasz?

- Słyszałeś. Nie jestem mała i nie życzę sobie, żebyś mną komenderował. Wybieram się ze Scottem do jego mieszkania.

Zbliżył się o krok. Z jego oczu zostały tylko wąskie szparki.

- Nie byłbym taki pewien.

Nie odrywała od niego wzroku. Nagle ogarnęło ją niebezpieczne podniecenie. Zapragnęła zatańczyć na skraju przepaści.

- Idziemy do niego i zostanę tam na noc.

- Naprawdę?

Scott czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Honey, nie wiem, jakie stosunki łączą cię z panem Cooganem, ale...

- Nie łączą nas żadne stosunki - rzuciła, czekając, aż Dash zaprzeczy. Odezwał się cicho i spokojnie:

- Honey jest jeszcze dzieckiem. Nie pozwolę ci jej wykorzystać. Końiec przyjęcia.

- Panie Coogan...

Zignorował go, złapał Honey za ramię i poprowadził w kierunku domu, jakby była niesformą pięciolatka.

- Nie rób mi tego - wycodziła przez zęby. - Nie jestem dzieckiem. Wszystko popsujesz.

- Właśnie o to mi chodziło.

- Nie masz prawa się wtrącać.

- Nawet go nie znasz.

- Wiem, że dobrze całuje - Odrzuciła głowę, żeby loki rozsypały się niesfornie. - I, jak sądzę, jest równie dobrym kochankiem. Może najlepszym, jakiego miałam.

Nie zwolnił. Chcąc dorównać mu kroku, potykała się na piasku. Złapał ją mocniej za ramię.

_ To nie byłoby trudne, prawda?

- A co, myślisz, że jeszcze nie miałam kochanka? No to, rzeczywiście niewiele o mnie wiesz. Miałam trzech tylko tego lata. Nie, czterech, zapomniałam, że był jeszcze Lance.

Nie zabrał jej na taras, tylko do ogrodu.

- Och, wiem, że miałaś kochanków. Wszyscy faceci w ekipie rozprawiają, jaka jesteś łatwa.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Nieprawda! Nie spałam z nikim z ekipy.

Szarpnął ją.

- Nie to słyszałem.

- Więc źle słyszałeś.

- Mówili, że ściągasz majtki dla każdego.

Nie posiadała się ze złości.

- Nieprawda! Dla nikogo nie ściągnęłam majtek! Ja... - urwała, zbyt późno zorientowawszy się, że wpadła w pułapkę.

Posłał jej triumfalne spojrzenie.

- No właśnie. I niech tak zostanie.

Doszli do jego samochodu, czteroletniego cadillaka eldorado. Wepchnął ją do środka.

- Na wypadek gdybyś mnie okłamała co do liczby wypitych piw, odwiozę cię do domu.

- Nie kłamie. A ty nie jesteś moim ojcem, więc przestań się zachowywać jak tatuś.

- Jestem jedynym substytutem ojca, jaki masz - zatrzasnął drzwiczki.

Nie tak dawno temu nie posiadałaby się z radości, słysząc te słowa, ale coś się zmieniło, choć nie wiedziała dlaczego, kiedy i jak. Wiedziała tylko, że nie chce, by był dla niej ojcem.

Gdy wsiadł, odwróciła ku niemu głowę tak energicznie, że złote kolczyki zakołysały się gwałtownie.

- Nie możesz trzymać mnie pod kluczem, Dash. Nie jestem dzieckiem. Scott mi się podoba i chcę iść z nim do łóżka, jeśli nie dziś, to jutro.

Wyjechał z podjazdu. Milczał przez większość drogi. Nagle odezwał się cicho:

- Nie oddawaj się tanio, Honey. Niech to coś znaczy.

- Tak jak twoje romanse?

Skierował wzrok na szosę. Czekwała. Kiedy nie powiedział nic na swoją obronę, rozzłościła się jeszcze bardziej. - Niedobrze mi się robi na twój widok. Idziesz do łóżka z każdą, która się nawinie, ale śmiesz mnie pouczać.

Włączył radio. George Jones śpiewał na całe gardło i nie było mowy o dalszej konwersacji.

Rozdział trzynasty

W domu zapaliło się światło. Eric ocknął się z drzemki. Przyjęcie Liz jeszcze trwało. Z jej domu dobiegała muzyka i śmiechy. Zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Za pięć godzin musi być na planie. Powinien teraz spać, a nie kulić się na tarasie Lilly Isabella i czekać, aż wróci z przyjęcia.

Zapaliło się jeszcze jedno światło. Eric wstał, rozpiął wiatrówkę i podszedł do okna. Zapalił papierosa. W oknie nie było firanek, więc dokładnie widział wewnątrz. Obszerny pokój był umeblowany funkcjonalnymi sprzętami w neutralnych kolorach. Na ścianach królowały barwne fotografie. Niektóre przedstawiały Guya Isabellę, na innych widnieli przystojni nadzy mężczyźni. Zapukał w szybę.

Zjawiła się niemal natychmiast. Na ramieniu miała czerwony ślad po srebrnej bransolecie, którą przed chwilą zdjęła, była boso. Na widok Erica uśmiechnęła się drwiąco i pokręciła głową. Ustawił leżak naprzeciwko drzwi i rozsiadł się wygodnie.

Otworzyła drzwi i przyglądała mu się przez kilkanaście sekund.

- Czego chcesz? - spytała

- Głupie pytanie, skarbie.

- Twardziel z ciebie, co?

- Skądże znowu, jestem łagodny jak baranek.

- Pewnie. Posłuchaj, jestem zmęczona, a ty wróżysz kłopoty. To złe połączenie, więc powiedzmy sobie dobranoc, dobrze?

Wstał, cisnął niedopałek na piach.

- Dobry pomysł - odparł i wszedł do domu.

Oparła dłoń na biodrze. Zobaczył, że ma niepomalowane paznokcie, obgryzione niemal do skóry. Zaintrygowało go to.

- Zabawne. Nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała.

Wskazał męskie akty.

- Twój znajomi?

- Wspomnienia po byłych kochankach.

- Akurat.

- Nie wierzysz?

- Powiedzmy może, że większość z nich wygląda, jakby przedkładali wyprawy do męskiej łaźni nad dzielenie łoża z kobietą.

Opadła na kanapę i przeciągnęła się jak niedopieczona kotka. - Zabawne. To samo słyszałam o tobie.

- Naprawdę?

- Wiesz, co się mówi o przystojnych aktorach: że wszyscy to geje.

Roześmiał się, pochłaniając wzrokiem kuszące zarysy jej ciała.

Była na tyle pewna siebie, że rozbawiło ją to, a nie speszyło.

- Czy w tym momencie mam ulec twojemu nieodpartemu urokowi i po-
być się odzieży?

- Nie jestem pewien, czy zdołam się wyrzec rozkoszy męskiej łaźni.

Parsknęła zmysłowym, niskim śmiechem.

- Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że mój anioł stróż się zagapił,
kiedy się spotkaliśmy? - Ziewnęła. - Chcesz drinka przed wyjściem?

Pokręcił głową.

- Muszę rano wstać.

- Wie pan co, panie Dillon? Jeśli pan wpadnie w przyszłym tygodniu,
to kto wie, może otworzę butelkę dobrego wina i puszcze panu stare płyty.

Nie miał zamiaru niczego jej ułatwiać.

- Niestety, mam zdjęcia.

- Tak?

Postawił kołnierz wiatrówki i podszedł do drzwi. - Może do ciebie za-
dzwonię, gdy wrócę.

Podniosła głowę.

- Może nie będę miała wtedy czasu.

- Zaryzykuję.

Wyszedł, zapalił kolejnego papierosa, i uśmiechnął się do siebie.

Dash był przy zagrodzie z końmi. Obserwował żrebaka, jednego z czterech nowych mieszańców. Honey wysiadła z samochodu i podeszła do niego. Była ubrana w kloszową spódnicę, białą bluzkę na ramiączkach i niebieskie sandałki. W uszy wpięła złote kuleczki. W ciągu dwóch tygodni, które minęły od przyjęcia, Liz dwukrotnie zabrała ją na zakupy i teraz Honey była dumną posiadaczką szafy pełnej zwiewnych sukienek, spodni i bluzek wartych fortunę, dżinsów znanych projektantów, jedwabnych koszulek, pasków, sandałków i pantofelków we wszystkich możliwych kolorach. Wieczorami stawała przy otwartej szafie i patrzyła na nieprzebrane bogactwo tkanin i barw. Czuła się, jakby latami cierpiała głód, a teraz zaproszono ją na bankiet, gdzie stoły uginają się od jedzenia. Nieważne, jak długo patrzyła, nigdy nie miała dosyć.

Wydawało jej się nawet, że niektóre ubrania zaczęły żyć własnym życiem. Nie dalej jak kilka godzin temu musnęła palcami błyszczącą wieczorową suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu i z trudem powstrzymała się, by jej nie założyć. Sukienka nie nadawała się na zakurzoną prerię, ale Honey i tak miała wielką ochotę w nią się ubrać. Załóż mnie, zdawał się szeptać śliski jedwab. Kiedy zobaczy cię we mnie, nie oprze ci się.

Poczuła się bardzo niezdarna, gdy uniosła rękę, by mu pomachać.

- Cześć!

Skinął głową, ale nie przerwał tego, co robił. Złapała się ogrodzenia i obserwowała. Słońce grzało jej ramiona i plecy, ale nie pomagało się rozluźnić. Nie rozmawiała z Dashem od przyjęcia.

Skończył oglądać konie i podszedł do niej, spocony, przesiąknięty zapachem stajni. Zauważył jej kobiecy strój, ale nie skomentował braku dżinsów i powyciąganej koszulki. Jakaś jej częśćka żałowała, że nie założyła niebieskiej sukienki.

- Fajnie, że mnie zawiadomiłaś, że wpadniesz - rzucił złośliwie.

- Dzwoniłam, ale nikt nie odbierał. - Zeskoczyła z ogrodzenia. - Chodźmy do domu, zrobię ci lemoniady. Chyba się spociłeś.

- Nie zwracaj sobie głowy, nie mam dzisiaj czasu na pogawędki.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Jesteś na mnie wściekły, prawda? Od przyjęcia u Liz trzymasz mnie na dystans.

- A mam ku temu powody?

- Dash, nie jestem Janie. Nie powinieneś był się zachowywać jak rozjuszony ojciec.

Powiedziała to spokojnie, od niechcenia, ale natychmiast stracił panowanie nad sobą.

- Postąpiłem jak przyjaciel, ot co! Kleiłaś się do tego chłopaka jak suka w cieczce! W życiu nie widziałem czegoś równie obrzydliwego! Sam nie wiem, czemu ci przeszkodziłem! Założę się, że zadzwonił do ciebie jeszcze tego wieczora, a rano już byliście w łóżku.

-Trochę później.

Zaklął cicho i coś jakby ból błysnęło w jego oczach.

- Cóż, dostałaś więc, czego chciałaś. Mam tylko nadzieję, że bez obrzydzenia patrzysz w lustro, wiedząc, że oddałaś się tak łatwo.

- Nie o to mi chodziło. Zadzwonił trochę później, czyli następnego dnia. I nie poszłam z nim do łóżka.

- A to dlaczego? Dziwi mnie, że ktoś tak spragniony życiowych uciech nie wskoczył od razu do pościeli.

- Proszę, nie złość się już. - Złośliwy chochlik podsunął jej dalsze słowa. Powinna była ugryźć się w język. - Najpierw chciałam z tobą porozmawiać.

Ściągnął kapelusz z głowy, uderzył nim o dżinsy, aż wzbiił się obłoczek kurzu.

- O nie! Nie będę twoim seksuologiem.

Wydawało się, że wyszła z własnego ciała i stojąc obok, słucha ze zdumieniem słów, które padły z jej ust:

- Liz mówi, że powinnam iść z nim do łóżka.

Zmrużył oczy, energicznie włożył kapelusz na głowę.

- Och, na pewno. Dlaczego mnie to nie dziwi? O ile pamiętam, sama hojnie szafuje swoimi wdziękami.

- Nie wolno ci tak mówić. Czy ty tego nie robisz?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Niedobrze mi się robi na twój widok. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Złapała ją za ramię, zanim zrobiła dwa kroki.

- Nie odchodź, kiedy do ciebie mówię.

- No coś takiego, góra przemawia do Mahometa - zakpiła. - Przykro mi, ale nie mam ochoty słuchać.

Stajenny obserwował ich z wyraźnym zainteresowaniem, więc Dash zaciągnął Honey do domu. Ledwie zagroda zniknęła im z oczu, zaczął krzyzczyć.

- Nie myślałem, że kiedyś będę świadkiem tego, jak całkowicie się gubisz! Tracisz poczucie tożsamości! Są rzeczy słuszne i błędne. Nie powinnaś iść do łóżka z pierwszym lepszym facetem, którego nie kochasz.

Mówił z takim zapałem, że jej gniew stracił na sile. Tylko Dash Coogan przejmował się tym, co ona robi. Widząc, jak ze zmartwienia zmarszczył czoło, poczuła w sercu przyjemne ciepło. Bez namysłu położyła dłoń na jego koszuli i poczuła szybkie bicie serca pod wilgotną bawełną.

- Przepraszam, Dash.

Odskokczył jak oparzony.

- I dobrze. Pomyśl, zanim coś zrobisz. Pamiętaj o konsekwencjach. Zabolało ją, że się tak gwałtownie odsunął, i na nowo się rozżościła.

- Wybieram się do lekarza po pigułki antykoncepcyjne! - wrzasnęła.

- Co? Coś ty powiedziała? - Nie czekał, aż odpowie, wygłosił długą tyradę na temat rozwiązłości dzisiejszej młodzieży. Był do tego stopnia wściekły, iż pożałowała, że go drażniła. Ale mimo to nie mogła się powstrzymać, by nie posunąć się odrobinę dalej.

- Jestem gotowa na seks, Dash. I niczego nie zaniedbam.

- Nie jesteś gotowa, do cholery!

- Skąd wiesz? Ciągle o tym myślę. Jestem... rozdrażniona.

- Rozdrażniona to nie to samo co zakochana. A najważniejsze pytanie, które musisz sobie zadać, brzmi: czy jestem zakochana.

Popatrzyła w jego orzechowe oczy, które tyle widziały, i już miała przytaknąć, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Prawda, przed którą się Wzdragała, w końcu wyszła na jaw. W którymś momencie, nie wiedziała dokładnie kiedy, jej dziecinna miłość do Dasha przekształciła się w uczucie dojrzałej kobiety. Ta świadomość była jednocześnie stara i nowa, cudowna i straszliwa. Nie była w stanie patrzeć mu w oczy, więc podniosła wzrok na niebo.

- Nie Kocham Scotta - odparła dyplomatycznie.

- Zatem załatwione.

- A czy kochałeś Lisę, kiedy z nią sypiałeś? Kochasz kobiety, których szminki zostają w łazience?

- To co innego.

Urażona, odwróciła się do niego plecami.

- Wracam do domu.

- Honey, to naprawdę co innego.

Spojrzała na niego; tym razem to Dash unikał jej wzroku. Głośno odchrząknął.

- Widzisz, jestem... wypalony, jeśli chodzi o kobiety. Ale z tobą to co innego. Jesteś młoda, dla ciebie wszystko będzie nowe.

Odpowiedziała cicho, głosem wypranym z emocji.

- Nie jestem młoda, odkąd skończyłam sześć lat. Wtedy straciłam jedyną osobę, której na mnie zależało.

- W łóżku nieznanego nie znajdziesz miłości.

- Skoro nie znalazłam jej nigdzie indziej, mogę poszukać i tam. - Nerwowo szukała kluczyków w kieszeni, zła, że rozczuła się nad sobą.

- Honey...

- Daruj sobie. - Podeszła do samochodu.

- Jeśli nadal masz ochotę na lemoniadę, chętnie się z tobą napiję.

Popatrzyła na kluczyki. Chciało jej się płakać.

- Lepiej już pojedę, mam jeszcze coś do załatwienia.

Po raz pierwszy, odkąd się znali, to ona odchodziła. Podniosła głowę i przekonała się, że bardzo go tym zaskoczyła.

- Kupiłaś sobie nowe ubrania.

- Byłam z Liz na zakupach. Można powiedzieć, że ona tworzy mnie od nowa.

Z niewiadomych przyczyn to zdawało się budzić w nim stary gniew.

- Poprzednio wyglądałaś w porządku.

- Tak, ale nadszedł czas, by się zmienić.

Wsiadła do samochodu. Przytrzymała drzwiczki ręką, żeby nie mogła ich zatrasnąć. - Masz ochotę wybrać się ze mną w piątek do Barstow? Znajomy chce mi pokazać nowe araby.

- Wyjeżdżam z Liz do Golden Doors na cały tydzień. To farma piękności.

Na jego podbródki pulsowała mała żyłka. Puścił drzwiczki.

- No proszę, nic dziwnego, że nie chcesz przegapić takiego intelektualnego przeżycia.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Pod kołami zachrzęścił żwir.

Odprowadzał ją wzrokiem, aż widoczny był tylko mały obłoczek kurzu. Farma piękności. Co, do cholery, strzeliło Liz do głowy, żeby zabierać tam Honey? Przecież to jeszcze dziecko. Jest młodsza niż jego córka.

Na myśl o Honey w łóżku z młodym przystojniakiem wpadł we wściekłość.

Odwrocił się i poszedł do stajni. Powtarzał obie, że jego opiekuńczość wobec niej jest najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. W ciągu ostatnich trzech lat był dla Honey substytutem ojca i nie chciał, by ktokolwiek ją skrzywdził.

Właśnie dlatego się denerwuje. Zależy mu na niej. Jest twarda i wrażliwa, poważna i zabawna. Ma serce wielkie jak preria. Wystarczy popatrzyć, jak serdecznie odnosi się do tej bandy pasożytów, którą nazywa rodziną. I jest mądra. Serdeczna, pogodna, święcie przekonana, że każdy los to główna wygrana na loterii. Jednocześnie ten optymizm sprawiał, że bardzo łatwo ją zranić. Pamiętał, jak cierpiała, gdy zadurzyła się w Ericu Dillonie, i właśnie dlatego nie chciał, żeby poszła do łóżka z pierwszym lepszym facetem.

Co innego, gdyby to był przywoity chłopiec, któremu naprawdę by na niej zależało, który nie polowałby na następną gwiazdę do kolekcji łóżkowych podbojów. Wtedy zachowałby się inaczej. Gdyby Honey zakochała się odpowiednim mężczyźnie, który byłby dla niej dobry i jej nie skrzywdził, wtedy...

...rozkwasiłby sukinsynowi nos.

Zaschło mu w ustach, tak bardzo chciał się napić. Ściągnął kapelusz, otarł pot z czoła rękawem koszuli. Ma czterdzieści trzy lata, trzy byłe żony i dwoje dorosłych dzieci. Zdażył przepuścić więcej pieniędzy, niż inni zarabiają przez całe życie. Życie dało mu drugą szansę, gdy przestał pić, ale jeśli chodzi o kobiety, na zawsze zostanie w jego sercu zimne puste miejsce, pamiątka po latach, gdy jako małego chłopca przenoszono go z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Nie umiał kochać jak inni. Kobiety oczekują od mężczyzny miłości i wierności, których on, jak udowadniał nieraz, nie jest w stanie im zaoferować.

Wściekły na siebie, wcisnął kapelusz na głowę. Jest jak termit, powoli przegryza się przez kolejne warstwy. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że dzięki Honey poczuł się znowu młody. Uwierzył, że życie jeszcze się nie skończyło. I pragnął jej. Boże, jak jej pragnął. Prędzej jednak strzelił sobie w łeb, niż skrzywdzi tę małą.

- Lilly, kochanie.

Eric obserwował, jak Guy Isabella przedziera się ku córce przez gąszcz balonów i serpentyn w salonie jego domu w Bel Air. Nienagannie ubrany, uśmiechnął się ciepło do Lilly, a na Erica łypnął z niesmakiem.

Na widok ojca Lilly zapłonęła wewnętrznym światłem. Objęła go i serdecznie ucałowała:

- Cześć, tatusiu. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.
- Dziękuję, aniołku. - Choć mówił do córki, nie odrywał oczu od Erica
- Tatusiu, to Eric Dillon. Ericu, to mój ojciec.
- Dobry wieczór.

Eric starannie ukrywał niechęć, gdy podawał rękę ojcu Lilly. Guy Isabella, jasnowłosa i chłopięco przystojny, przez całe lata siedemdziesiąte był głównym rywalem Ryana O'Neala. O'Neal jednak okazał się lepszym aktorem i po sukcesie *Love Story* Isabella go znenawidził. Tak przynajmniej głosiła plotka.

Guy ucieleśniał wszystko to, czego Eric nie znosił w przemyśle filmowym. Był przystojny i nic poza tym. Szeptano, że ma kłopoty z alkoholem ale była to raczej tylko plotka, wszyscy bowiem wiedzieli, iż ma fioła na punkcie zdrowego trybu życia. Największym jego zawodowym grzechem było, w oczach Erica, lenistwo. Podobno Isabella uważał, że nie musi udoskonalać swego warsztatu, i teraz, gdy zbliżał się do pięćdziesiątki, coraz mniej było dla niego ról.

- Widziałem twój ostatni film szpiegowski - oznajmił Guy. - Trochę za brutalny jak na mój gust, ale spisałeś się niezle. O ile wiem, pracujesz nad czymś nowym?

Lekceważący ton starego aktora rozwścieczył Erica. Jakim prawem podstarzały lowelas tak się wyraża o jego pracy? Tylko ze względu na Lilly nie odpowiedział staremu tak, jak na to zasłużył.

- Kończymy w przyszłym tygodniu. Też brutalny.
- Szkoda.

Eric rozejrzał się po domu. Przypominał śródziemnomorską willę, ale wyraźne były wpływy arabskie. Zapewne zbudowano go w latach dwudziestych. Wnętrze było ciemne i bogato urządzone. Uwodzicielskie wampy niemego kina dobrze się czuły za wąskimi wysokimi oknami, w sklepionych łukach drzwi, przy balustradach z kutego żelaza. Podłogę w salonie pokrywała imponująca kolekcja bezcennych perskich dywanów, do odpoczynku zachęcały fotele obite skórą geparda, na kominku stał zabytkowy samowar. Wymarzony dom dla niespełnionego Rudolfa Valentino.

Isabella cały czas przyglądał się Ericowi z dezaprobatą. Nic dziwnego, nawet się nie ogolił. Dławił go zapach wody kolońskiej starszego mężczyzny, zmieszany z wonią whisky w dużej kryształowej szklanicy.

- Wiesz, Dillon, podoba mi się twój serial. Moi ludzie szykują coś podobnego dla mnie, ale potrzebny jest wyjątkowy dzieciak.
- Honey jest jedyna w swoim rodzaju.
- Słodziutka. Łapie od razu, wiesz za co. No, za serce.
- Wiem.

Isabella ponownie skupił się na córce. Lilly miała na sobie kreację z różowego jedwabiu i srebrną biżuterię.

- A co u twojej mamy, koteczku? - spytał.

Lilly opowiadała, co słychać u jej matki, żony ambasadora w Montevideo, a Eric obserwował tłum gości. Stare Hollywood; gwiazdy filmowe sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, dawni szefowie wytwórni, słynni niegdyś agenci. Wszyscy szacowni aż do przesady. Gdyby nie Lilly, nie zaciągnięto by go tu siłą.

Dzisiaj była ich trzecia randka, a nawet jej nie pocałował. Nie dlatego, że jej nie pragnął albo że go nudziła, tylko dlatego, że tak bardzo lubił jej towarzystwo. Znała się na sztuce i literaturze, rozumiała, jak ważne jest dla niego aktorstwo. Stanowiła fascynujące połączenie inteligencji i urody, dystansu i zmysłowości. Co ważniejsze, otaczała ją aura światowego obycia, więc nie obawiał się, że ją zrani.

- Jest wspaniały, prawda? - zapytała, gdy jej ojciec odszedł do innych gości.

- Owszem.

- Zazwyczaj mężczyźni po rozwodzie podrzucają dzieci matkom i nie chcą mieć z nimi więcej do czynienia. Ale moja mama nigdy nie była typem szczególnie macierzyńskim i właściwie to on mnie wychował. Zabawne, ale w pewnym sensie jesteś do niego podobny.

Eric nie skomentował tego, tylko sięgnął po papierosy. Ojciec był jedyną wadą Lilly, natomiast jej miłość do niego budziła podziw.

- Och, oczywiście, on jest blondynem, a ty brunetem - kontynuowała - ale obaj należycie do kategorii greckich bogów. - Wzięła kieliszek szampana od przechodzącego kelnera i uśmiechnęła się złośliwie. - Niech ci to nie uderzy za bardzo do głowy, i bez tego jesteście zarozumiały. Ale nie ulega wątpliwości, że obaj macie... charyzmę. - Umoczyła palec w szampanie, oblizała powoli. - Och, nie, nie możesz tu palić.

Rozejrzał się zirytowany i zauważył, że rzeczywiście nikt nie pali.

- Więc chodźmy na dwór. Muszę zapalić.

Poprowadziła go wąskim korytarzem do tylnych drzwi.

- Za dużo palisz.

- Rzucę po zdjęciach.

- Do którego filmu? - Znacząco uniosła brew.

Uśmiechnął się. Nie dawała się nabrać, to jej kolejna zaleta. Rozejrzał się z zaciekawieniem.

- Od jak dawna twój ojciec tu mieszka?

- Kupił ten dom zaraz po ślubie z mamą. Mieszkał tu dawniej albo Louis B. Meyer, albo King Vidor, już nie pamiętam, który.

- Dziwny dom.

- Chyba tak.

Minęli kuchnię, gdzie Lilly machinalnie odpowiadała na pozdrowienia służby, i wyszli tylnymi drzwiami na zewnątrz. Bujny stary ogród pokrywał

stromie zboczce. Woda szemrała cicho w sześciokątnej fontannie wyłożonej niebiesko-żółtymi kafelkami. Otoczył ich zapach eukaliptusów róż i chloru.

- Chcę ci coś pokazać - szepnęła Lilly.

Szła wąską krętą ścieżką równoległą do domu. Jasne włosy tańczyły w świetle księżycy. Podniecił się, patrząc na nią, Jest piękna, ale twarda. I z całą pewnością nie jest niewinna.

Słumione światła ukryte wśród roślin rozjaśniały mrok. Po chwili czerwone dachówki zniknęły im z oczu i nagle, nieoczekiwanie, wyrósł przed nimi domek Królowy Śnieżki. Eric roześmiał się cicho.

- Nie wierzę własnym oczom. Twój?

- Idealna kryjówka dla dzieciaka z Hollywood. Tatuś kazał go zbudować, gdy rozwiedli się z mamą. Taka nagroda pocieszenia, wiesz.

Bajkowy domek z drewna i cegieł jaśniał białym tynkiem. Z dachu pokrytego sztuczną strzechą wyrastał miniaturowy kominek. Po obu stronach drzwi widniały małe okienka ozdobione drewnianymi okiennicami.

- W skrzynkach na parapecie rośło kiedyś geranium - powiedziała Lilly. Puściła jego rękę i podeszła do domku. - Sadziliśmy je zawsze razem z tatusem. - Zwolniła zasuwkę w drewnianych drzwiach. Zawiasy zaskrzypiały głośno. - Zabrano większość mebli, teraz przechowuje się tu rzeczy z basenu. Schyl się.

Eric zaciągnął się głęboko i cisnął niedopałek na ziemię. Sufit był tuż nad jego głową, choć nawet się nie wyprostował.

- Podaj zapałki - poprosiła Lilly.

Spełnił polecenie. Przez chwilę nasłuchiwał, jak Lilly porusza się w ciemnościach. Upłynęło kilka sekund i zapłonęły dwie świece na miniaturowym gzymsie malutkiego kominka.

Z niedowierzaniem rozglądał się dokoła.

- Nie do wiary.

- Cudownie tu, prawda?

Belkowany sufit opadał ukośnie, tak że Eric mógł się wyprostować tylko na środku. Ściany pokrywały wyblakłe, ale nadal doskonale widoczne malowidła: elfy, wróżki, leśne duszki. Nawet puszki chloru i materace z leżaków nie odbierały domkowi uroku.

- Trochę tu duszno, ale tatuś dba o wszystko. Wie, że nie wybaczyła-bym mu, gdyby coś się stało mojemu domkowi.

Nie mógł oderwać od niej oczu. W różowym jedwabiu, ze srebrzystymi włosami wyglądała równie bajkowo jak postacie na ścianach.

Podeszła do stery poduszek na środku. Usiadła wygodnie, oparła się o ścianę.

- Jesteś za wysoki. Chłopcy, których tu dawniej przyprowadzałam, byli o wiele niżsi.

Przysiadł na poduszce koło niej. Poluznił krawat pod szyją.

- Wielu ich było?

- Tylko dwóch. Jeden mieszkał po sąsiedzku. Nudny jak flaki z olejem. W kółko chciał przestawiać meble i bawić się w wojnę.

W głosie Lilly pojawiła się ochrypła, uwodzicielska nuta. Dotknął jej dłoni, kreślił małe kółeczka po wewnętrznej stronie.

- A drugi?

- Mhm. Paolo. - Opadła na poduszki, zamknęła oczy. - Syn ogrodnika.

- Ach tak.

- Przychodził, kiedy tylko mógł. - Uniosła dłoń, dotknęła pełnej piersi. Zaschło mu w ustach. Dłużej nie wytrzyma.

- Co robiliście?

- Puść wodze wyobraźni.

- Myślę, że... - bawił się jej palcami - byliście niegrzeczni.

- Bawiliśmy się... - wstrzymała oddech, gdy głąskał jej dłoń - w różne wymyślone zabawy.

Pochylił się nad nią, dotknął kącika jej ust językiem.

- Na przykład?

- No wiesz, jak bawią się dzieci.

- Jak? - Jego palec błędził po jej ramieniu.

- Bałam się zastrzyków. Paolo zapewniał, że mnie wyleczy i w ogóle nie będę musiała iść do lekarza.

- Podoba mi się ten dzieciak.

- Oczywiście wiedziałam, o co mu chodzi, ale udawałam, że nie wiem. - Przystała oddychać, gdy jego palce odnalazły skraj sukni i wślizgnęły się pod spód. - To było zabawne.

- I podniecające.

- Bardzo.

Dotykał jej nogi przez cieniutkie pończochy. Zatrzymał się na kolanie.

- Ja też lubię się bawić.

- Wiem.

Minął udo. Z napięciem czekał, aż skończy się pończocha i dotknie nagiej skóry. Domyślał się, że Lilly nie nosi czegoś tak trywialnego jak rajstopy.

- Nadal nie lubisz chodzić do lekarza? - zapytał.

- Nie przepadam.

Pod jego dotykiem rozchyliła uda. Były jędrne i miękkie.

- A jeśli jesteś chora?

- Nie... nie choruję.

Jęknęła, gdy dotknął jej majteczek.

- Sam nie wiem - stwierdził. - Jesteś rozpalona.

- Tak - szepnęła bez tchu.
 - Chyba masz gorączkę. Lepiej sprawdzę.
- Poczuła jego palec pod bielizną. Jęknęła cicho.
- Tak jak myślałem.
 - Co?
 - Jesteś rozpalona.
 - Tak.

Poruszyła się niespokojnie i rozchyliła lekko usta. Jego podniecenie wzrosło, gdy się przekonał, jak podziałała na nią dziecinna fantazja. Dotychczas kobiety stanowiły dla niego lekarstwo bez recepty, środek nasenny. Nigdy nie zależało mu na zaspokojeniu partnerki, ale teraz chciał zobaczyć, jak Lilly szczytuje dzięki niemu. Bez niej nie osiągnie zaspokojenia.

- Obawiam się, że muszę cię rozebrać.

Nie sprzeciwiła się, gdy ściągał jej majteczki. Przesunął rękę wyżej, dotknął jej piersi. Jęknęła. Zmarszczyła czoło, jakby się czymś martwiła, ale jednocześnie przywarła do jego dłoni, więc nie przestawał.

- Masz przyspieszony puls - zauważył.

Nie odpowiedziała.

Namacał suwak z tyłu sukienki. Rozpiął go, zsunął jedwab z jej ramion, zdjął stanik.

Leżała na poduszkach, prawie naga, bezwstydną, gotową. Dotknął jej piersi, delikatnie uszczypnął brodawkę. Mruknęła gardłowo, jakby się denerwowała, a jednocześnie wyginała się w łuk, spragniona jego dotyku.

Mieszana sprzecznych uczuć niepokoiła go, ale i podniecała do tego stopnia, że z trudem się powstrzymywał. Jęczała cicho, spod zmrużonych powiek popłynęły łzy.

Przerażony, cofnął się, ona jednak złapała go za ramiona i przyciągnęła do siebie. Pieścił ją dalej. Podniecony do granic wytrzymałości, obserwował grę sprzecznych emocji na jej twarzy: rozkosz i cierpienie, podniecenie i poczucie winy. Poczul wilgoć na dłoni. Jego ciężki oddech rozbrzmiewał głośno w małym domku. Zawtórowała mu głośnym krzykiem.

Wstrząsały nią dreszcze rozkoszy, więc przyciągnął ją do siebie.

- Lilly, co ci jest? - Nie przypominał sobie, by inne kobiety reagowały tak nerwowo.

Nie odpowiedziała, więc szepnął miękko:

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

I wtedy poczuł jej zwinne dłonie na rozporku. Rozpięła go, złapała za luźne końce krawata i przyciągnęła Erica do siebie. Całowała go gwałtownie, namiętnie, szaleńczo.

Nerwowo obmacywał kieszenie w poszukiwaniu foliowej paczuski, bez której nigdzie się nie ruszał. Już miał ją rozerwać zębami, ale Lilly wytrąciła mu prezerwatywę z ręki.

- Nie, chcę cię poczuć - mruknęła i położyła się na nim.

Był zbyt podniecony, by zaprotestować. Dopiero kiedy w niej skończył ogarnęło go złe przeczucie. Pociągała go jej siła, ale teraz żałował, że jej uległ.

Ugryzła go w ucho i zaproponowała, żeby podkradli w kuchni coś do jedzenia. Wkrótce żartowali i przekomarzali się beztrzesko, zagryzając homara kruchymi ciasteczkami. Złe przeczucia minęły bez śladu.

Następnego dnia poszli razem na koncert Wyntona Marsalisa i od tego czasu spotykali się kilka razy w tygodniu. Fascynowała go jej uroda, nigdy nie brakowało im tematu do rozmowy. Dyskutowali o sztuce, kochali jazz, godzinami rozmawiali o teatrze. Tylko w łóżku nie mogli się porozumieć. Lilly oczekiwała, że doprowadzi ją do orgazmu, ale kiedy to robił, patrzyła na niego z nienawiścią. Doszedł do wniosku, że to jego wina. Przywykł wykorzystywać kobiety i teraz nie umie dać jej rozkoszy.

Zdwoił wysiłki, by ją zadowolić, całował ją i pieścił, aż błagała, by posunął się dalej, nic się jednak nie zmieniło.

Chciał z nią o tym porozmawiać, ale nie wiedział jak. Z czasem uświadomił sobie, że poruszy każdy temat, tylko nie ten najważniejszy. Lato dobiegało końca, a sytuacja pozostawała bez zmian. Uznał, że czas zakończyć ich związek.

Pewnego poniedziałkowego dnia Lilly zjawiła się na progu jego domu. Eric właśnie wrócił ze studia. Nalał wina do dwóch kieliszków. Ledwie zamoczyła usta.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Przeszył go lodowaty dreszcz.

- To ma być kawał?

- Niestety, nie.

Przypomniał sobie ich pierwszy raz w małym domku. Nie zabezpieczyli się wtedy. Zrobiło mu się słabo. Kretyn. Co z niego za kretyn.

Zapatrzyła się w kieliszek.

- Ja... Jutro idę na zabieg.

Ledwie dotarło do niego znaczenie tych słów, rozłościł się nie na żarty.

- Nie!

- Eric...

- Nie, do cholery! - Nóżka kieliszka pękła mu w dłoni.

Lilly patrzyła na niego ze smutkiem. Szare oczy zaszyły łzami.

- Nie widzę innego wyjścia. Nie chcę dziecka.

-Ale będziesz je miała! - Cisnął kieliszek na ziemię. Wino rozprysło się po podłodze. - Będziemy mieli dziecko. Ani słowa o zabiegu!

- Eric...

Zorientował się, że ją przestraszył, więc starał się oddychać spokojnie.

- Pobierzemy się, Lilly, nie my pierwsi i nie ostami.

- Eric... zależy mi na tobie, ale chyba nie nadaję się na żonę.

Uśmiechnął się blado.

-Ani ja na męża.

Przyciągnął ją do siebie, zamknął oczy i obsypał obietnicami róż i żonkili, słońca i tęczy. Obiecywał wszystko, co tylko przyszło mu na myśl. Nie zamierzał dotrzymać tych obietnic, ale to bez znaczenia. Lilly musi za niego wyjść. Nie pozwoli, by z jego winy zginęła kolejna niewinna istota.

Rozdział czternasty

SALON NA RANCZU. DZIEŃ

Dash i Eleanor stoją na środku pokoju, mają bojowe miny.

ELEANOR

Nie szanuję cię, wiesz o tym.

DASH

Zdaje mi się, że już coś na ten temat wspominałaś.

ELEANOR

Imponują mi mężczyźni wykształceni i dobrze wychowani, dżentelmeni jednym słowem.

DASH

Nie zapominaj o krawacie

ELEANOR

O czym ty mówisz?

DASH

Podczas naszej ostatniej rozmowy oznajmiłaś, że nie darzysz szacunkiem żadnego faceta, który nie umarł w krawacie i garniturze.

ELEANOR

Nieprawda! Powiedziałam tylko, że nie mogłabym szanować faceta, który nawet nie ma krawata, że już nie wspomnę o noszeniu go.

DASH

Tak się składa, że mam krawat.

ELEANOR

Z hawajską tancerką.

DASH

Tylko jeśli patrzysz z przodu. Z boku wygląda raczej jak flaming.

ELEANOR

Poddaję się.

DASH

Więc twierdzisz, że nie mamy szans, tak?

ELEANOR

Żadnych.

DASH

Nic a nic?

ELEANOR

Cienia szansy.

DASH

Bo za bardzo się różnimy.

ELEANOR

Całkowite przeciwieństwa.

DASH

(podchodzi do niej o krok)

Więc dlaczego mam ochotę cię pocałować?

ELEANOR

Bo jesteś niewychowanym, prostackim kowbojem.

DASH

Naprawdę? A dlaczego zaraz odwzajemnisz mój pocałunek?

ELEANOR

Bo... bo za tobą szaleję.

Obejmują się i całują długo i namiętnie. Drzwi otwierają się gwałtownie i do pokoju wpada Janie.

JANIE

Wiedziałam! Znowu to samo! Przestańcie!

DASH

(trzymając Eleanor w ramionach)

Myślałem, że się stroisz dla tego gnojka Bobby'ego.

JANIE

Ma na imię Robert. A wy powinniście się wstydzić.

DASH

Nie pojmuję, dlaczego.

JANIE

Ona cię tylko wykorzystuje, tatku. Odkąd Blake zaciągnął się do wojska, czepia się ciebie jak rzep. Boi się, że się starzeje i zostanie sama jak palec. Boi się, że...

DASH

(odsuwa się od Eleanor, staje naprzeciwko Janie)

Dosyć tego, Jane Marie.

JANIE

Wyśmiewa się z ciebie za twoimi plecami. Sama słyszałam, tatku, jak cię obgaduje przez telefon.

ELEANOR

(jednocześnie)

To nieprawda.

DASH

(jednocześnie)

Wracaj do domu.

Janie patrzy na nich gniewnie i wybiega bez słowa.
Dash i Eleanor odprowadzają ją wzrokiem.

ELEANOR

(cicho)

I to jest najważniejszy powód, dla którego nigdy nie będziemy razem.

Scena dobiegła końca. Honey zeszła z planu po swój egzemplarz scenariusza. Machinalnie masowała bolącą głowę. W tym sezonie nie dała sobie obciąć włosów. Producenci w końcu się zgodzili, by Janie czesała się w koński ogon, ale kazali Evelyn ściągać jej włosy tak mocno, że Honey czasami bolała głowa. I tak było warto. W ciągu pięciu miesięcy od przyjęcia u Liz jej włosy urosły na tyle, że dotykały ramion.

Rozczesała koński ogon palcami i obserwowała Liz i Dasha. Rozmawiali o czymś cicho. Zżerała ją zazdrość. Byli rówieśnikami i dawnymi kochankami. Mogą odnowić stary romans.

Jeden z asystentów reżysera przerwał im, krzyżąc, że jest pilny telefon do Dasha. Liz podeszła do Honey. Miała lekko rozmazaną szminkę.

- Widziałaś katalog, który ci rano podrzuciłam do garderoby? - Liz sięgnęła po butelkę wody mineralnej. - Mają fantastyczne paski.

- Przestań mnie kusić. Przez ciebie uzależnię się od zakupów.

- Bzdura. Po prostu nadrabiasz stracony czas. - Liz upiła łyk, trzymając butelkę z takim wdziękiem, jakby to był najcenniejszy kryształ.

- Zaczynam mieć obsesję na punkcie ubrań - westchnęła Honey. - Od kilku miesięcy czytam o modzie wszystko, co mi wpadnie w ręce. Dzisiaj śniłam o nowej jedwabnej sukience. - Uśmiechnęła się krzywo. - Wiem, że kobiecość to pułapka dla kobiety nowoczesnej, ale nie mogę się opanować.

- Musisz odnaleźć równowagę.

- Równowagę! To szaleństwo!

- Honey, bez względu na to, z jakimi częściami ciała przyszłaś na świat, dorastałaś raczej jako chłopiec niż dziewczynka. Teraz musisz nauczyć się być kobietą. Z czasem się opanujesz, znajdziesz właściwe proporcje. A na razie... - Wzniosła toast wodą mineralną. - Szalej po sklepach. - Puściła do niej oko i odeszła.

Honey wepchnęła scenariusz do płóciennej torby w czerwone maki. Zdawała sobie sprawę, że zaczęła dbać o wygląd ze względu na Dasha. Jednak jej wysiłki, by zwrócić na nią uwagę jak na kobietę, spełzły na niczym. Jeśli już, był tylko bardziej gderliwy i troskliwy. Nieważne, jak bardzo się starała, i tak nie pochwalał tego, co robi. A fakt, że przez pięć dni w tygodniu była Janie Jones, niczego nie ułatwiał. Rola, kiedyś tak wygodna, zaczynała ją dusić.

Miała już odejść, gdy poczuła na żebrach zwinne palce.

- Cholera, Todd!
- Cześć, piękna. Poćwiczymy troszeczkę?

Łypnęła gniewnie na Todda Myersa, szesnastolatka, który grał nowego chłopaka Janie, Roberta. Wybrano go ze względu na swojski, amerykański typ urody: piwne oczy, ciemne włosy, pucułowata twarz. Był wstępnym rozpuszczonym bachorem, ale Honey nie zapomniała jeszcze, jak sama się zachowywała w jego wieku, więc nie miała serca go ganić.

- Nie będę dzisiaj jadła. Muszę skończyć esej z psychologii.
- Nie pojmuję, po co ktoś tak bogaty jak ty zawraca sobie głowę college'em.
- To tylko kursy korespondencyjne. Lubię się uczyć. Tobie też by nie zaszkodziło, gdybyś trochę posiedział nad książkami.
- Trujesz jak moja stara - stwierdził z niesmakiem.
- Posłuchaj jej.
- Tak, jasne. - Znacząco poruszył biodrami. - No i jak, jesteś gotowa do naszej sceny miłosnej po południu?
- To żadna scena miłosna, tylko pocałunek. Przysięgam na Boga, Todd, pożałujesz, jeśli jeszcze raz będziesz chciał pocałować mnie naprawdę przed kamerą.
- Nie zrobię tego, jeśli obiecasz, że się ze mną umówisz w ten weekend. Mój przyjaciel urządza przyjęcie gwiazdkowe. Będzie sporo trawki, może trochę koki. Bierzesz odrobinę i...
- Nie zażywam narkotyków, Todd, i nigdzie z tobą nie pójde.
- Nadal się kochasz w tym dupku Ericu Dillonie, co? Słyszałem, jak za nim szalałaś. Pewnie co noc płaczesz w poduszkę, zwłaszcza odkąd się ożenił i zrobił żonie dzieciaka.
- Wiesz co? Jesteś doskonałym przykładem na to, że eutanazja powinna być dozwolona.

Nachmurzył się.

- Lepiej ze mną nie zaczynaj, Honey, bo inaczej powiem wszystkim, że jutro kończysz nie siedemnaście lat, tylko osiemnaście.
- Kończąc dwadzieścia, Todd.
- Akurat - prychnął.

Dała sobie spokój. Kłamstwo Rossa żyło własnym życiem. Nikt jej nie wierzył, nawet kiedy pokazywała prawo jazdy. Od pół roku jej twarz zdobiła okładki magazynów dla nastolatka. Wszyscy przeżywali, że Janie skończyła piętnaście lat. Ten fakt wzbudzał prawie takie samo zainteresowanie jak „Thriller”, nowy album Michaela Jacksona.

Nie zwracając uwagi na Todda, poszła do przyczepy. Na jej widok dwie scenarzystki przerwały rozmowę i uśmiechnęły się tajemniczo. Dawniej sądziłaby, że spiskują przeciwko niej, teraz przypuszczała raczej, iż omawiały przyjęcie urodzinowe, które, jak podejrzewała, szykuje dla niej ekipa.

Rozmawiała z nimi przez chwilę. Kiedyś traktowała scenarzystów niemal jak bogów. To się skończyło, gdy zaprzyjaźniła się z Dashem.

W zeszłym roku dostała od ekipy pięknie oprawione scenariusze wszystkich odcinków *Dash Coogan Show*. Za to rodzina zawsze zapominała o jej urodzinach. Uszczęśliwiłaby ją nawet zwykła kartka z życzeniami.

Dash wyszedł z za rogu. Był zły.

- Co się stało? - spytała Honey.

- Dzwoniła Wanda. Zawsze wyprowadza mnie z równowagi.

Myślała, że po rozwodzie ludzie tracą się z oczu, ale Dash ciągle konferował z pierwszą byłą żoną przez telefon. Mieli wprawdzie dzieci, ale skoro ich syn ma dwadzieścia cztery, a córka dwadzieścia dwa lata, o czym tyle rozmawiają? Honey starała się unikać rozmów na temat jego dzieci, zwłaszcza że były starsze od niej.

- Zdaje mi się, że Wanda ponownie wyszła za męża - powiedziała.

- Już dawno, za niejakiego Edwarda Ridgewaya.

- To dlaczego ciągle zwraca ci głowę?

- Chyba z czystej złośliwości. Ciągle jej się wydaje, że nie dość się na mnie odegrała. Ale teraz dzwoniła, by mnie poinformować, że Josh się żeni dwudziestego szóstego grudnia.

- To za niecałe trzy tygodnie.

- Miło z jej strony, że mnie zawiadomiła, prawda? Muszę lecieć do Tulsy na ślub. - Spochmurniał.

- Nie chcesz, żeby się ożenił?

- Ma dwadzieścia cztery lata, to jego sprawa. Najwyższy czas, żeby puścił się maminej spódnicy.

Miał już odejść, ale zatrzymał się w pół kroku. Wolno wsunął rękę do kieszeni.

- Honey, czy nie chciałabyś... Nie, nieważne, to kiepski pomysł.

- Co?

- Nic takiego. Tylko... - Poruszył się niespokojnie. - Może poleciała-byś ze mną na ślub? Ale pewnie nie zechcesz zostawić rodziny tak szybko po świętach.

Pomyślała o Chantal, która coraz bardziej tyła na hamburgerach i spędzała całe dni przed telewizorem, podobnie jak Buck, jej dumny ojczym. I o Gordonie, który nadal nie tknął pędzla. O Sophie, która całymi dniami nie wstawała z łóżka i nie słuchała zaleceń lekarzy. Jeśli Dash ją z tego wyrwie, będzie to dla niej najpiękniejszy prezent gwiazdkowy.

- Bardzo chętnie z tobą pojedę, Dash. Dobrze mi to zrobi.

Honey zostawiła samochód w garażu i skierowała się do kuchennych drzwi. Otworzyła je i oniemiała. Powitał ją blask świec.

- Wszystkiego najlepszego, Honey!

- Sto lat!

Zdumiona patrzyła na całą rodzinę zebraną przy kuchennym stole. Sophie zwlokła się z łóżka, Buck narzucił koszulę na podkoszulek, Chantal wbiła dziesięć kilo nadwagi w czerwone spodnie. W okularach Gordona odbijał się blask dwudziestu świeczek na torcie.

Nie zapomnieli. Pamiętali o jej urodzinach. Miała łzy pod powiekami, a w sercu topniały urazy minionych lat.

- O Boże... - Słowa nie chciały jej przejść przez gardło. - Jest piękny.

Wszyscy się roześmieli, nawet Sophie, bo tort z całą pewnością nie był piękny. Był wysoki, trzywarstwowy, krzywy i niekształtny. Honey nigdy nie widziała równie brzydkiego niebieskiego lukru. Jednak fakt, że zdobyli się na wysiłek, upiekli go sami, czynił z niekształtnego ciasta najpiękniejszy podarunek w jej oczach.

- Ja... nie chcę mi się wierzyć, że go upiekliscie. - Starła się nie płakać.

- Pewnie, że upiekliscie - odezwała się Chantal. - W końcu dzisiaj są twoje urodziny, może nie?

Pomylili się o jeden dzień, ale to bez znaczenia. Jej serce przepełniały miłość, wdzięczność i wzruszenie.

Gordon z dumą popatrzył na tort.

- Ja go upiekłem, Honey - oznajmił.

- A ja pomagałam - dodała Chantal.

- Wszyscy pomagaliśmy - Buck podrapał się po brzuchu. - Oprócz Sophie.

- Ja wybrałam kolor polewy - obruszyła się Sophie.

Byli tacy piękni i kochani w ciepłym świetle świec. Wybaczyła im wszystkie wady. Dobrze zrobiła, trwając przy nich. Są jej rodziną. Ona jest jedną z nich.

Gordon uśmiechnął się jak mały chłopiec. Sophie lekko wykrzywiła usta, niebieskie oczy Chantal lśniły w blasku świec. Zakłopotana przyplwem uczuć, Honey nerwowo otarła łzy.

- Bardzo... - Chciała powiedzieć, co czuje, ale była zbyt wzruszona, by dokończyć.

- Dalej, Honey! Pokrój tort!

- Tak, Honey! Jesteśmy głodni!

- Na pewno jest pyszny.

Śmiała się, gdy Buck wetknął jej w dłoń wielki nóż i wskazał świeczki.

-Dmchnij.

Happy Birthday to you... - zaintonowali.

Zdmuchnęła, śmiejąc się przez łzy. Ponownie spróbowała ubrać uczucia w słowa.

- Jestem taka szczęśliwa, bo...

- Krój przez środek - polecił Gordon. - Nie zepsuj mojego arcydzieła. Łza spływała jej po policzku, gdy unosiła nóż.

- Jestem wam taka wdzięczna. To...

Ciasto wybuchło.

Parsknęli śmiechem, gdy w powietrzu rozprysła się czekolada. Kawałek ciasta uderzył ją w twarz, niebieski lukier plamił skórę i ubranie.

Odsunęli się jednocześnie, gdy tylko dotknęła nożem tortu, więc nic się im nie stało.

Buck trzymał się za brzuch. Śmiali się coraz głośniejsze. Nawet Sophie zawtórowała

- Widzieliście jej minę?

- Nabraliśmy cię - chichotała Chantal. - To pomysł Gordona! Kochanie, jesteś taki mądry!

- Mówiłem, że się uda! - rechotał Gordon. - Mówiłem! Patrzcie na jej włosy.

Chantal splótła dłonie, opisując przebiegłość męża.

- Wyciął dziurę w środku ciasta i wsadził tam wielki niebieski balon. Trzy nam pękły, zanim się udało. Potem nałożyliśmy lukier, żebyś się nie poznała, i kiedy rozkroiłaś balon...

Honey dyszała ciężko. Cofnęła się. Otaczali ją kołem jak szakale po uczcie. Nie zniesie ich złośliwości. Spakuje się i odejdzie, i nigdy więcej ich nie zobaczy.

- Ojej, jest zła - drażnił ją Gordon. - Jak zwykle wszystko popsuje.

- Nie popsujesz, prawda, Honey? - Chantal wydeła usta. - Tak dobrze się bawiliśmy. Nie popsujesz tego?

- Kurde - mruknął Buck. - Mogliśmy to przewidzieć.

Nie - wyszeptwała Honey z trudem. - Nie popsuję wam zabawy. To... to fajny dowcip, naprawdę. A teraz... lepiej posprzątam.

Odwrociła się do nich plecami i odbiegła. Kawałki ciasta i lukru spadały od jedwabnej bluzki i lnianych spodni. Nie mogła oddychać. Odejdzie stąd. Nigdy nie wróci. Zaraz...

I dokąd pójdzie? Kto zajmie ich miejsce? Nie Dash. Budowała zamki na lodzie. Może mieć każda kobietę, czemu miałyby chcieć ją? Ta rodzina to wszystko, co ma.

Usłyszała w uszach stukot. Daleki, samotny stukot kolejki górskiej wspinającej się na drewniane rusztowanie. Zaciśnęła oczy, starając się nie słyszeć głosu, który szeptał, że sukces, pieniądze i ładne ubrania nie zmieniają jednego - nikt jej nie kocha.

Czarny Grom wspinał się na szczyt, ale ona, bez względu na to, jak bardzo się starała, nie mogła sobie wyobrazić, że pokonuje ostatnie wzniesienie.

Rozdział piętnasty

W dzień po Bożym Narodzeniu Honey i Dash polecili do Tulsy. Podczas lotu praktycznie nie rozmawiali. Podejrzewała, że Dash żałuje, iż ją zaprosił. Powinna była odmówić, ale jak zwykle poszła za nim, gotowa przyjąć okruciny uczucia, które jej podrzucał.

Wsiadając do samolotu, powtarzała sobie, że wszystko jest lepsze niż pobyt w domu z rodziną. Nawet przyjęcie urodzinowe, jakie urządzono jej na planie, nie zatarło wspomnienia tego, co się stało.

Na lotnisku w Tulsie kłębiły się tłumy pasażerów i oczywiście wielu rozpoznało Dasha. Honey nikt nie rozpoznał. W dużych słonecznych okularach, z burzą włosów, w niczym nie przypominała Janie Jones.

Długo i starannie wybierała garderobę, nie tylko dlatego, że chciała jak najbardziej różnić się od Janie, ale także by zdenerwować Dasha. Mięki rdzawy sweter nonszalancko zsuwał się z ramienia. Wąskie skórzane spodnie podkreślały jej szczupłe nogi, w uszach kołysały się złote kolczyki. Czarne pantofelki na obcasach głośno stukały o posadzkę. Przez ramię przerzuciła krótkie futro, które dopełniało jej wizerunku kobiety elegancji i seksownej.

Dash, jak przewidywała, powitał ją karcącym spojrzeniem.

- Dlaczego się tak ubrałaś? Te spodnie są zbyt obcisłe.

- Przepraszam, tatku - zakpiła.

- Nie jestem twoim ojcem!

- Więc przestań się tak zachowywać.

Posłał jej gniewne spojrzenie i odwrócił głowę.

Podróżni otoczyli ich ciasnym wianuszkiem.

- Przepadam za pana serialem, panie Coogan.

- Czy mogę prosić o autograf dla córki? Marzy o karierze aktorskiej.

Co prawda ma dopiero osiem lat, ale...

- Uwielbiam Janie. Na pewno w rzeczywistości też z niej niezłe ziółko, co?

Dash zerknął na Honey, która przesunęła się na bok. Ona też była obiektem zainteresowania, tyle że mężczyzn, i to wcale nie dlatego, iż rozpoznawali w niej gwiazdę.

- Niezłe z niej ziółko, owszem - potwierdził.

Potem, gdy wsiedli do wynajętego samochodu, skarcił Honey ponownie.

- Nie rozumiem, dlaczego nie włożyłaś czegoś porządniejszego. Patrzyli na ciebie, jakbyś była... sam nie wiem.

- Twoją kochanką miesiąca?

Nie odpowiedział, tylko wcisnął pedał gazu.

Ślub zaplanowano na siódmą wieczorem. Zatrzymali się w tym samym hotelu, w którym zorganizowano wesele. Dash zamówił dla nich osobne pokoje, na różnych piętrach. Zostawili bagaże i pojechali do domu Wandy Ridgeway.

Osiedle było nowe i drogie. Honey szybko się zorientowała, że uliczki nazwano imionami zwycięskich koni w co ważniejszych gonitwach. Było dopiero południe, ale przy domu Ridgewayów płonęły wszystkie świąteczne dekoracje. Honey wzięła Dasha pod ramię i przypomniała sobie, co wie o jego pierwszej żonie.

Poznał Wandę podczas rodeo w Oklahomie, w jej rodzinnym miasteczku. Zanim wyjechał, zaszła w ciążę. Odnalazła go trzy miesiące później. Miał wówczas dziewiętnaście lat, ona o rok mniej.

Z tego, co opowiadał, Wanda była domatorką i od samego początku drażnił ją wędrowny styl życia męża. Rozstali się, zanim na świat przyszło drugie dziecko. Nigdy nie wybaczyła Dashowi, że przez niego jej życie nie potoczyło się utartym torem.

Gdy jednak witała ich na progu okazałego domu, starannie skrywała wrogość.

- Witaj, Randy! - Objęła Dasha mocno.

Była ładna i pulchna, nie pasowała do niej strojna jedwabna kreacja. Jasne, starannie utrefione i obficie polakierowane włosy przypominały hełm. Na palcach błyszcząły pierścionki z brylantami. Za jej plecami wznosiła się choinka, przybrana drewnianymi zabawkami, kokardkami i miniaturowymi workami prezentów.

- Josh twierdził, że nie przyjedziesz, a Meredith, wiesz, jak to ona, ciągle się modli. Ale powiedziałam, że ojciec za żadne skarby nie przepuści jego ślubu, co to, to nie. Narzeczona Josha, Cynthia, jest cudowna. Josh! Meredith! Tatuś przyjechał! Hurra! O kurczę, Meredith znów się modli, a Josh natychmiast musiał wyjść. Ma załatwić coś w związku z podróżą poślubną.

Zwróciła się do Honey.

- A kogo tu mamy? Chyba się znowu nie ożeniłeś, co?

W przeciwieństwie do fanów na lotnisku, Wanda rozpoznała, kto towarzyszy jej byłemu mężowi, jeszcze zanim Honey zdjęła okulary. Niemal niezauważalnie zacisnęła usta.

- Proszę, proszę, twoja uroczą partnerka. Co za niespodzianka. Edwardzie, nigdy nie zgadniesz, kto nas odwiedził. Edwaaardzieeee!

Po chwili podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku. Miał małą łysinę, nieduży brzuszek i ciepłe spojrzenie.

- Witaj, Dash. Byłem w łazience i nie słyszałem, kiedy przyszedłeś.

- Edwardzie, popatrz tylko, kogo Randy przywiózł! Małą Honey Jane Moon, twoją ulubioną aktorkę! Czyż nie jest słodka?

- Witam, panno Moon. To dla nas wielki zaszczyt. W rzeczywistości wygląda pani dużo poważniej.

W jego oczach Honey dostrzegła podziw, ale nie pożądanie. Polubiła Edwarda, mimo okropnej czerwonej muchy w błyszczące zielone grochy.

Gdy zdjęli płaszcze, a stretson Dasha zawisł na haku, Wanda zaprosiła ich do przepastnego salonu. Zdobiły go kolorowe drewniane ptaki, suszone wianki i wiklinowe kosze. Powietrze przesycił aromat potpourri w miseczkach w czerwone serca. Wanda wskazała barek pod ścianą.

- Edwardzie, przygotuj Randy'emu drinka. A dla Honey mamy lemoniadę.

- Wolałabym wino, jeśli to nie sprawi kłopotu - wtrąciła się Honey.

Dash łypnął na nią wrogo.

- Dla mnie oranżada - poprosił i opadł na kanapę zasłaną haftowanymi poduszkami.

Honey zajęła miejsce obok niego. Co za kobieta proponuje drinka alkoholikowi?

Zadzwoił telefon. Wanda poszła odebrać, a Edward cały czas mocał się z kostkami lodu, więc Honey szepnęła cicho do Dasha:

- Jak mogłeś twierdzić, że gadam więcej niż twoje byłe żony. Nie dorastam Wandzie do pięt.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się lekko.

- Wanda przestaje po pewnym czasie, w przeciwieństwie do ciebie.

Ledwie Wanda do nich wróciła, w drzwiach salonu stanęła młoda kobieta. Była szczupła i na pierwszy rzut oka niezbyt urodziwa, o kasztanowych włosach i bladej cerze. Po chwili jednak dostrzegano się delikatne, regularne rysy, które byłyby bardziej widoczne, gdyby użyła choć podstawowych kosmetyków. Na widok Dasha uśmiechnęła się szeroko i przez moment była prawie ładna.

-Tato!

Dash zerwał się na równe nogi, gdy tylko ją zobaczył, podbiegł do niej i zamknął w silnym uścisku ramion.

- Cześć, kochanie! Jak się miewa moja dziewczynka?

Honey poczuła znajomy ból. Mimo rozvodu ci ludzie nadal stanowili rodzinę, łączyły ich nierozzerwalne więzi.

- Chwalmy Pana - powiedziała cicho Meredith. - Wiedziałam, że przybędziesz za jego sprawą.

- Przybyłem za sprawą samolotu, Merry.

- Nie, tato, uczynił to nasz Pan - rzekła z naciskiem.

Honey była ciekawa, jak Dash zareaguje na te słowa. Darował sobie wszelkie komentarze i przystąpił do prezentacji:

- Meredith, chciałbym ci przedstawić bardzo ważną dla mnie osobę. Poznaj Honey Jane Moon, moją partnerkę z serialu.

Meredith odwróciła się na pięcie. Na widok Honey zrobiła taką minę, jakby dostała pięścią w żołądek. Wąskie blade usta niemal zniknęły, tak bardzo je zacisnęła, szare oczy zaszyły mgłą niechęci. Honey miała wrażenie, że Meredith razi ją prądem swojej niechęci.

- Panno Moon, niech Bóg będzie z panią.
- Dziękuję - odparła. - Wzajemnie.

Wanda jednym haustem opróżniła szklaneczkę Jacka Danielsa.

- Meredith, ani słowa więcej o Jezusie. Zepsułabyś nawet orgię.
- Mamo!

Dash zachichotał. Wanda spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko. Po raz pierwszy zniknęła wrogość i Honey przez moment widziała, jak układało się między nimi w przeszłości.

Ucieszyła się, gdy ta chwila minęła. Wanda z zapałem przedstawiała plan popołudnia. Wkrótce zjawią się krewni, wyjaśniła. W salonie będzie bufet, miejmy nadzieję, że nikt nie jest uczulony na skorupiaki. W kościele muszą być punktualnie o szóstej trzydzieści. Kolacja w hotelu będzie bardzo elegancka, kochana Honey chyba ma odpowiednią kreację?

Kochana Honey uciekła do łazienki. Na umywalce stała mydelniczka w kształcie muszli, a w niej mydełko w kształcie małych muszelek oraz kolejna miseczka z potpourri. W powietrzu unosił się zapach lili. Kiedy Honey wróciła, Wanda już szalała w salonie, strofowała firmę cateringową i oglądała zastawę.

Meredith Coogan nie była podobna do ojca, natomiast jej dwudziestoczoletni brat Josh był młodszą, delikatniejszą wersją Dasha. Przywitał się grzecznie z Honey i zabawił rozmową o podróży.

- Josh, powiedziałeś ojcu o nowej pracy w Fagan Can? - przerwała im Wanda.

- Jeszcze nie - odezwał się Dash.

- Będzie kierownikiem działu księgowego. Opowiedz ojcu, Josh. Powiedz, kim będziesz.

- Nikim ważnym tato. Ale to stała posada, a Fagan to firma z tradycjami. Wanda wymachiwała szklanką burbona.

- Powiedz, jaki dostaniesz gabinet.

- Bardzo ładny, tato.

- Narożny, na trzecim piętrze - poinformowała Wanda.

- Narożny? - Dash starał się okazać należyty podziw. - Coś takiego.

- Z dwoma oknami. - Rozczapierzyła dwa palce, jakby Dash nie umiał liczyć.

- Dwoma. Nie do wiary.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach i Wanda odbiegła radośnie. Dash i Josh patrzyli na siebie niespokojnie. Żaden nie wiedział, co powiedzieć.

Honey postanowiła rozładować napięcie.

- Dash, szkoda, że Josh dla ciebie nie pracuje, co? Może krwiopijcy daliby ci spokój.

Dash się uśmiechnął.

Josh był zbity z tropu.

- Krwiopijcy?

- Honey nawiązała do moich powszechnie znanych kłopotów z urzędem podatkowym - wyjaśnił Dash.

Josh się nachmurzył.

- Ojczy, nie powinieneś stroić sobie żartów z urzędu podatkowego, zwłaszcza w twojej sytuacji. Z nimi nie ma żartów.

Dash tęsknie zerknął na barek.

Schodzili się krewni i wkrótce w salonie zebrał się tuzin gości. Honey rozboleła głowa, więc ukryła się za fikusem w dużej donicy. Meredith przeżyła krótką chwilę milczenia.

- O szóstej zapraszam wszystkich na spotkanie modlitewne tu, w salonie.

Wanda uniosła ręce w geście rozpaczy.

- Nie wygłupiaj się, Meredith! Mam tyle rzeczy na głowie, nie mam czasu na modlitwy!

Jedna z ciotek zachichotała nerwowo:

- Przykro mi, Meredith, ale nie zdążę ułożyć sobie włosów.

Inni wymyślali podobne wymówki; najwyraźniej brali już udział w spotkaniach modlitewnych Meredith.

Dash zbliżył się do drzwi.

- Musimy iść do hotelu się przebrać, więc lepiej będzie, jeśli spotkamy się już w kościele.

Meredith wyglądała na załamana. Honey współczuła jej, może dlatego, że sama była w fatalnym nastroju.

- Hotel jest niedaleko, Dash - powiedziała. - Możemy tu wpaść.

Dash posłał Honey lodowate spojrzenie. Meredith popatrzyła na nią z obrzydzeniem.

- Doskonały pomysł - rzuciła oschle.

Dash jednak był przeciwnego zdania. W drodze do hotelu oświadczył, że na żadne spotkanie nie pójdzie.

- Bardzo kocham moją córkę, ale jeśli chodzi o religię, ma kompletnego fioła.

- W takim razie pójde sama - oznajmiła Honey.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Honey założyła tę sukienkę, w którą kiedyś chciała ubrać się na rancho, delikatną kreację z bładoniebieskiego jedwabiu, w kolorze jej oczu. Poprawiła włosy i wpięła w uszy kryształowe kolczyki, ale choć lustro zapewniało, że jest piękna, wcale nie czuła się ładna. Dash i tak będzie ją krytykował.

Uzna, że ma za duży dekolt, że suknia jest zbyt obcisła, biżuteria zbyt wyzywająca.

Dash umówił się z kolegą Josha, że zabierze ich do kościoła, więc musiała sama wrócić do domu Wandy. Miała nadzieję, że nie pożałuje, iż pod wpływem impulsu przyjęła zaproszenie Meredith. Meredith zasmuciła się wyraźnie, gdy zobaczyła, że Honey przyszła sama.

- Przykro mi - zaczęła Honey - ale twój ojciec nie przepada za spotkaniami modlitewnymi.

Meredith zaprowadziła ją do małego saloniku; wyglądał, jakby dopiero co zdjęto plastikowe pokrowce z mebli. Wskazała Honey sofę obitą aksamitem. Sama usiadła w jej drugim końcu. Honey z trudem opanowała odruch, by wyjąć z torebki puderniczkę i szminkę. Meredith wyglądałaby o wiele lepiej, gdyby włożyła ładniejszą sukienkę i odrobinę się podmalowała. Honey zaczynała rozumieć Liz Castleberry.

Meredith odezwała się pierwsza.

- Czy będzie pani zbawiona, panno Moon?

Honey lubiła teologiczne rozważania. Długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- To niełatwe pytanie - odparła wreszcie. - Mów mi Honey - dodała.

- Czy przyjąłś Jezusa Chrystusa do swego serca?

Przypomniała sobie wiosnę, gdy modliła się do Walta Disneya.

- Sama nie wiem. Uważam się za osobę wierzącą, ale nie jestem fanatycką. Chyba ciągle szukam.

- Zwątpienie pochodzi od szatana - burknęła Meredith. - Jeśli żyjesz w wierze, nie wątpisz.

- Muszę, taka jest moja natura.

- Więc pójdziesz do piekła.

- Nie chcę być niemiła, Meredith, ale chyba nie masz prawa o tym decydować.

Meredith jednak nie spuściła z tonu i Honey straciła nadzieję na pasjonującą dyskusję. Przez następne pół godziny Meredith cytowała Pismo Święte i modliła się za nią. Początkowo Honey czuła się trochę nieswojo, ale to uczucie szybko minęło. Widziała, że Meredith modli się szczerze i żarliwie, a na jej twarzy maluje się wyraz prawdziwej radości. Oto młoda kobieta całkowicie oddana Jezusowi.

- Uśmiechnij się, Randy. Wszyscy się na nas gapią, do cholery.

- Chcą zobaczyć, czy ci przyłożę czy nie.

Duszący zapach lakieru do włosów Wandy dławił go. Zręcznie wymiął inną parę i powtórzył sobie, że wcale nie ma ochoty na drinka.

Wanda się skrzywiła.

- Nadepnąłeś mi na nogę. Uważaj, do licha. Okropnie tańczysz.
- Przecież sama chciałaś. Musisz udowodnić wszystkim przyjaciółkom, jak doskonale układają się twoje stosunki z byłym mężem. Proszę bardzo, tańcz z tobą, je ci z ręki jak szczeniak.

Nie przestawała się sztucznie uśmiechać.

- Nie lubię, kiedy tak mówisz. I to na ślubie twojego syna! Jesteś okropny, Randy Coogan. Zawsze byłeś zimnym draniem.

- Nie dasz mi spokoju, co? Rozwiedliśmy się przed dwudziestu laty, a ty nadal pragniesz mojej krwi.

- To jedyna rzecz, która nas, twoje eks-żony, łączy. Oprócz cycków, rzecz jasna.

Minęła ich Honey w ramionach drużby pana młodego. Fotograf zrobił im zdjęcie, które, jak domyślał się Dash, prędzej czy później trafi do brukowców. Już nieraz sfotografowano ją, gdy wyglądała na więcej niż siedemnaście lat. Zamiast zainteresować się, ile ma naprawdę lat, gazety drukowały zdjęcia z podpisami: „Dziewanna gwiazda dorasta zbyt szybko” albo „Honey Jane Moon jeszcze nie śpi?”

Dash zacisnął zęby. Jak na kogoś kto nie umie tańczyć, Honey radziła sobie doskonale. I nie tylko z tańcem. Kilka razy widział, jak popija szampana.

Przez cały wieczór było w niej coś dzikiego, szalonego: sposób, w jaki odrzucała głowę, gardłowy śmiech kobiety, nie dziecka. Wmawiał sobie, że mężczyźni nie pochłaniają jej pożądanym wzrokiem. Przecież wcale nie jest najładniejszą kobietą na przyjęciu, tego faktu nie zmieni nawet nieprzyzwoicie obcisła sukienka. Jest słodka, pewnie, ale zbyt dziecinna, by nazwać ją piękną. Lubił prawdziwe kobiety. Do licha, przecież jest tu dużo kobiet ładniejszych od niej.

Ale Honey ma w sobie coś, co pociąga określony typ mężczyzn. Takich, którzy lubią dziewczyny młodsze od nich o dwadzieścia lat.

W jego głowie odezwał się głos, którego nie słyszał od tamtej nocy na przyjęciu Liz, gdy Honey tuliła się do nieznanego chłopaka. Napij się, a o niej zapomnisz. Weź mnie, a ona nie będzie ci już potrzebna. Głos syreny, podstępny śpiew, który zna każdy alkoholik. Dzięki mnie poczujesz się lepiej. Ugasz ból.

Słowa Wandy były ostre jak jej paznokcie.

- Nie pojmuje, jak mogłeś ją tu przywieźć i tak bardzo upokorzyć własne dziecko. Wszyscy traktują Honey, jakby naprawdę była twoją córką, a biedna Meredith cały czas ma łzy w oczach. - Pomachała radośnie do jednego z gości i zniżyła głos do jadowitego szeptu. - Właściwie powinnam być wdzięczna losowi, że pozostali goście nie znają cię równie dobrze jak ja. Wiem, co ci chodzi po głowie, i niedobrze mi się robi na samą myśl o tym. Jak się nie wstydzisz patrzeć w lustro? Jest młodsza niż twoja rodzona córka!

Poczuł cudowny zapach burbona przez duszący lakier do włosów. Zaszło mu w ustach.

- Nic mi nie chodzi po głowie. To nie jest tak, jak myślisz, więc przestań wymyślać Bóg wie co.

Uszczypnęła go mocno.

- Nie nabierzesz mnie, Randy. Możesz zamydlić oczy całemu światu, ale nie mnie. Widziałam, jak na nią patrzysz, kiedy myślisz, że nikt nie widzi. I powiem ci jedno: niedobrze mi się robi. Wszyscy się zachwycają, jaki jesteś troskliwy, jak o nią dbasz, jakby naprawdę była twoją córką. Tylko że to wcale nie tak.

- A właśnie że tak - burknął. - Właśnie tak. Niemal ją wychowałem.

- Bzdura! - syknęła, nadal uśmiechając się sztucznie. - Zimno mi się robi na samą myśl.

Miał dosyć. Wypatrzył Edwarda z panną młodą i szybko zaszedł im drogę.

-Przyjęcie dobiega końca, a ja jeszcze nie miałem okazji zatańczyć z synową. Pozwolisz?

Wanda zgrzytała zębami, ale dokoła było zbyt wiele osób, by mogła zaprotestować. Kobiety zamieniły się miejscami. Cynthia, żona Joshua, była ładną, energiczną blondynką o niebieskich oczach i dużych zębach. Przyciągnął ją do siebie i w nozdrza uderzył go zapach nowego lakieru.

- Czy Josh opowiadał o nowej pracy, ojciec Coogan? - zapytała.

Skrzywił się, słysząc, jak się do niego zwraca.

- Och, tak, mówił mi o tym.

- Jej diadem znajdował się niebezpiecznie blisko jego oka, więc odsunął się przezornie. Miał wrażenie, że przez cały wieczór atakują go kobiety. Honey przemknęła obok w obłoku szampana i śmiechu.

Zapomnij o niej, szeptała syrena. Ukoję cię. Jestem czuła i łagodna i uległa...

- ...Fagan Can to firma z tradycjami, ale wie ojciec, jaki on jest, ten Josh. Czasami trzeba go trochę pogonić, więc powiedziałam, że na rozmowie kwalifikacyjnej ma być pewny siebie i swobodny, ma im patrzeć prosto w oczy i dać do zrozumienia, że zna się na wszystkim. No i proszę! - Puściła do niego oko. - Dostanie narożny gabinet.

- Tak, słyszałem.

- Narożny gabinet z... - zniżyła głos do scenicznego szeptu - z dwoma oknami.

Taniec ciągnął się bez końca. Cynthia paplała o gabinetach, porcelanie, lekcjach tenisa. Gdy muzyka umilkła, pospieszyła do Joshua. Świeżo upieczony małżonek zerwał się z miejsca i patrzył czujnie, chcąc się upewnić, że w niczym jej nie uraził.

Gratulacje, synu, pomyślał Dash gorzko. Jednak udało ci się poślubić własną matkę.

Musi się napić.

Mijała go druhna. Porwał ją do tańca bez chwili namysłu. Była dumna, że tańczy z Dashem Cooganem, żywą legendą. On jednak właściwie jej nie zauważał, cały czas wsłuchiwał się w coraz donośniejszy głos syreny.

Chodź do mnie, ukochany. Jestem twoją kobietą. Przy mnie zapomnisz o Honey.

Honey posłała mu gniewne spojrzenie. Otaczał go pijacki śmiech, grzechot kostek lodu zlewał się z muzyką.

Nienawidził tańczyć, ale obtańcowywał jedną druhnę po drugiej, bo obawiał się, że jeśli przestanie, syrena go porwie. Państwo młodzi wyszli, zabawa dobiegała końca. Chciwie wydychał cudowny zapach alkoholu: wina, burbona i whisky.

Tylko jeden drink, kusiła syrena. Jeden nie zaszkodzi.

Orkiestra zagrała ostatni utwór. Syrena nawoływała tak głośno, że najchętniej zakryłby uszy dłońmi. Jeśli zejdzie z parkietu, będzie po nim.

- Tatusiu, nie mieliśmy okazji, by porozmawiać. Chodźmy.

Podskoczył, gdy Meredith zjawiła się nie wiadomo skąd. Miał sztywny język, pocił się nadmiernie.

- Nie... nie tańczyliśmy jeszcze, Merry. Przyjęcie dobiega końca, a ja nie zatańczyłem z najcudowniejszą dziewczyną.

Spojrzała na niego dziwnie.

- Orkiestra pakuje instrumenty. Zresztą już ci mówiłam, tato, że nie tańczę.

- Zapomniałem.

Nie miał wyboru, musiał wraz z nią podejść do pustego stolika. Na lniwym obrusie stały na wpół opróżnione szklanki whisky i kieliszki wina. Tańczyły mu w oczach, aż widział cały batalion szklanek z bursztynowym płynem.

Meredith poprawiła spódnice i przycupnęła na krześle.

- Tato, przenocuj w domu. Oddam ci mój pokój. Proszę. Tak rzadko cię widuję.

Dotknął szklanki z resztką whisky.

- To... to nie jest dobry pomysł. Nie bardzo dogadujemy się z mamą.

- Nie zbliży się do ciebie, obiecuję.

- Nie dziś.

Waż mnie, ukochany. Jeden łyceczek i zapomnisz o wszystkim.

W głosie Meredith pojawiły się twarde nuty.

- To przez Honey, prawda? Dla niej masz czas, ale dla mnie nie. Uważasz, że jest wspaniała, jabłko od jabłoni, prawda? Mówi tak jak ty, nawet pije jak ty. Co za szkoda, że naprawdę nie jest twoją córką.

Szklanka paliła go w palce.

- Nie wygłupiaj się. To nie ma nic wspólnego z Honey.

- Więc umów się ze mną jutro rano.

Świat ograniczał się do złotego płynu na dnie szklanki, Dash czuł, jak wali mu serce.

- Bardzo chętnie, Merry. Ale nie chcę się modlić.

Miała łzy w oczach.

- Musisz pogodzić się z Panem, tatusiu, jeśli chcesz zasłużyć na życie wieczne. Modlę się za ciebie cały czas, bo się o ciebie boję. Nie chcę, żebyś skończył w piekle.

- Piekło to pojęcie względne - rzucił szorstko.

Mam cię!

Kurczowo zacisnął dłoń na szklance. Pasowała do jego ręki jak stare wspomnienia. Oblał się zimnym potem, słuchając głosu syreny. Nie zdołał się opanować, uniósł szklankę do ust, odchylił głowę... i zobaczył Honey po przeciwnej stronie niemal pustej sali.

Stała przy oknie, w towarzystwie młodego ogiera, który kleił się do niej jak mucha do miodu. A śliczna mała Honey o cudownych ustach i wielkim sercu nie robiła nic, by się go pozbyć; wręcz przeciwnie, tuliła się do niego, przeżyła jak kotka.

Meredith modliła się głośno.

Zerwał się z krzesła, przewrócił szklankę.

- Tatusiu!

Nie zwracał na nią uwagi. Pokój wirował niebezpiecznie, gdy szedł w stronę Honey. Koszula przywarła do mokrej piersi.

Wracać! szlochała syrena. Nie idź do niej! To ja cię nigdy nie opuszczę! Ja! Ja!

Podszedł do Honey. Nie przeproszał, nie pytał o pozwolenie. Jednym ruchem wyrwał ją z ramion bydlaka, który się do niej przystawiał, i pociągnął do drzwi.

Jęknęła cicho, ale miał to w nosie. Myślał tylko o tym, by zabrać ją stąd i uporać się z zazdrością, która nie dawała mu żyć.

- Dash, o co...

- Zamknij się. Zachowujesz się jak cholerna dziwka.

Zaskoczył ją. Zmrużyła oczy.

- Ty draniu.

Miał ochotę ją uderzyć. Srebrny łańcuszek wieczorowej torebki zsunął się jej z ramienia i teraz torebka objęła się o jego nogi, ale nie zwracał na to uwagi. Wanda mówiła coś do niego, zagadywali nieliczni goście. Minał ich bez słowa.

Wyszli na korytarz, skręcili za róg, doszli do windy. Zanim wsiedli, zobaczył, co Honey ściska w dłoni. Syrena zaśmiała się przeciągle, triumfalnie. Trzymała otwartą butelkę szampana.

Mam cię!

Serce waliło mu w piersi, gdy naciskał guzik w windzie. A potem zacisnął pięści.

Rozdział szesnasty

Honey patrzyła na Dasha bez słowa. Przycisnęła butelkę do piersi. Wypiła za dużo, ale nie była na tyle pijana, by nie zauważyć, że Dash stał się niebezpieczny. Był błądy i ponury, dłonie zaciskał w pięści.

- Nie powinienem być cię tu przywozić - wypluwał słowa jak karabin maszynowy.

Alkohol dodał jej odwagi.

- Chyba nie, skoro przez cały wieczór nie zwracałeś na mnie uwagi.

Drzwi się otworzyły. Wybiegła na korytarz, zawadiacko wymachując butelką, ale nie zdołała mu uciec. Złapał ją za pasek torebki.

- Jesteś pijana.

Nie była pijana, ale nie była też trzeźwa.

- A co cię to obchodzi?

- Obchodzi. - Zielone oczy były zimne jak lód.

Doszli do jej pokoju. Wyjął klucz z jej torebki, otworzył drzwi, wepchnął Honey do środka.

- Wynoś się! - krzyknęła.

Zamknął drzwi.

- Oddaj butelkę. Nie będziesz więcej piła.

Zapomniała na śmierć, że porwała butelkę szampana ze stolika. Nie miała ochoty na alkohol, ale postanowiła, że nie odda mu butelki. Dlaczego ma go słuchać? Nie zaprotestował ani słowem, gdy Wanda usadziła ich przy osobnych stołach, ani razu z nią nie zatańczył. Była zła i dotknięta, a alkohol dodawał odwagi.

- Niby dlaczego mam cię słuchać?

- Bo inaczej pożałujesz.

Podszedł o krok, więc cofnęła się odruchowo i wpadła na framugę drzwi. Ominęła je i weszła do sypialni.

- Oddaj mi butelkę. - Szedł za nią, pośpny i groźny.

Przycisnęła flaszkę do piersi, zrzuciła pantofle i stanęła naprzeciwko niego.

- Nie będziesz mi dłużej rozkazywał, Dash. Idź do diabła.

- Oddaj mi butelkę, Honey.

Poczuła za sobą łóżko. Bez namysłu weszła na materac. Wiedziała, że zaczyna niebezpieczną grę, ale nie mogła się powstrzymać.

- Sam ją weź.

Bez ostrzeżenia skoczył i wyrwał butelkę.

Do tego stopnia skupiła się na sobie i własnej rozpacz, że zapomniała o jego alkoholizmie. Znieruchomiała, widząc otwartą butelkę w jego rękach.

Mijały sekundy. Nagle z niesmakiem cisnął butelkę do kosza na śmieci. Odrobina szampana wylała się na dywan.

Stał naprzeciwko niej. Z wykrzywionej, niemal obcej twarzy niczego nie mogła wyczytać. Cofała się ostrożnie, aż doszła do wezgłowania. Oparła się o ścianę, lekko wysuwając piersi do przodu.

Milczał. Czuła na sobie jego wzrok. Patrząc w ślad za jego spojrzeniem, zobaczyła, że jej sukienka się uniosła, odsłaniając uda. Ogarnęło ją niebezpieczne podniecenie, silniejsze niż strach. Oparła dłonie na ścianie za plecami, wypchnęła biodra do przodu, tak że sukienka uniosła się jeszcze wyżej.

- Przestań - wychrypiał.

Dzikość, którą w niej wyczuwał, ujawniła się w całej okazałości. Rozsunęła uda.

- Co jest, kowboju? - zapytała gardłowo. - Nie podoba ci się to?

- Sama nie wiesz, co robisz.

- Biedny tatuś - zakpiła.

- Nie mów tak do mnie - rzucił szorstko.

Oderwała się od ściany i szła ku niemu po miękkim materacu. Szampan ją rozpałał, dodawał odwagi. Budził pierwotne instynkty. Kusiła go i drwiła jednocześnie, drażniła, żeby zrozumiał, że jak tchórz ucieka się do kłamstwa.

- Och, tatku... Kochany tatku...

- Nie jestem twoim ojcem! - wybuchnął.

- Jesteś pewien?

Milczał.

- Jesteś pewien? Jesteś pewien, Dash?

Znieruchomiał. Po raz pierwszy była od niego wyższa. Poruszała się lekko, w rytm materaca pod stopami. Dash tkwił w miejscu, nawet gdy otoczyła jego szyję ramionami.

- Bo ja jestem.

Nie odpowiedział, więc pocałowała go chciwie. Pieściła go językiem, zębami, kusiła i prowokowała, jakby to ona była nauczycielką, a on nowicjuszem.

Był jak lód i stal, zimny i nieugięty

Nie przestawała. Jeśli to ma być jedyny moment szczerości między nim, wykorzysta go do ostatka. Wszelkie zapory między nimi to te, które Dash sobie wymyślił. Pocałowała go jeszcze żarliwiej.

Jęknął nagle, ukrył dłonie w jej włosach. Przyciągnął ją do siebie, aż otarła się o niego całym ciałem. Otworzył usta i odwzajemnił pocałunek.

Całował szorstko i brutalnie. Chciała zapomnieć o całym świecie, utonąć w jego ustach. Chciała stać się malutką i pozwolić, by ją wchłonął, a jednocześnie pragnęła pokazać mu, że to ona jest silniejsza.

Poczuła, jak zadrzał. Z głośnym sykiem oderwał się od niej.

- Co ty, do cholery, wyrabiasz?

Opadła na kolana, oplotła go w talii ramionami, przywarła policzkiem do twardego brzucha.

- To, na co mam ochotę.

Złapał ją za ręce, odepchnął.

- Dosyć tego! Posunęłaś się za daleko, mała.

Przysiadła na piętach. Odezwała się cicho, łagodnie:

- Nie jestem małą dziewczynką.

- Masz dopiero dwadzieścia lat - powiedział szorstko. - Jesteś jeszcze dzieckiem.

- Kłamca - szepnęła.

Jego oczy pociemniały z bólu, ale nie uległ.

Jednak ta noc należała do niej, prawdopodobnie tylko ta noc. Nie zastanawiała się nad tym, co robi, uniosła ręce i znalazła na karku haftkę sukienki. Pociągnęła za suwak. Rozpiął się z cichym sykiem. Sukienka zsunęła się z ramion.

Honey stanęła koło łóżka. Sukienka opadła na ziemię. Została w koronkowym staniku, przezroczystych pończochach i błękitnych jedwabnych majteczkach.

- Jesteś pijana. Nawet nie wiesz, co cię czeka.

- Owszem, wiem.

- Masz ochotę na pierwszego lepszego faceta.

- Nieprawda. Pocałuj mnie.

- Dosyć tego, Jane Marie.

- Nie bądź żaloszny - stwierdziła, gdy usiłował uciec w realia serialu.

- Nie jestem...

Złapała go za rękę, przycisnęła jego dłoń do swojej piersi.

- Czujesz, jak mi bije serce, Dash? - Poruszała delikatnie jego dłońią, aż nabrzmiały jej brodawki. - Czujesz?

- Honey?

Przesunęła jego dłoń w dół, po brzuchu i żebrach.

- Czujesz?

- Nie...

Pchnęła jego rękę na jedwab majteczek.

- Boże. - Dotknął jej, zacisnął dłoń i zaraz się cofnął, jakby parzyła. - Koniec z tym, słyszysz? - burknął. - Jesteś pijana, zachowujesz się jak dziwka! Dosyć tego!

- Boisz się? - Znacząco spojrzała na jego rozporek. - Widzę, że mnie pragniesz, ale boisz się do tego przyznać.

- Bzdura. Sama nie wiesz, co mówisz, tak jak nie wiesz, co to jest seks. Jestem od ciebie starszy o całe życie. Jesteś jeszcze dzieckiem.

- Masz czterdzieści trzy lata, to wcale niedużo. I nie całowałeś mnie tak, jak się całuje dziecko.

- Ani słowa więcej. Mówię poważnie, Honey.

Zranił ją zbyt głęboko, by umilkła. Atakowała dalej.

- Jesteś tchórzem.

- Dosyć tego.

- Brak ci odwagi, by przyznać, co do mnie czujesz.

- Przestań!

- Na twoim miejscu wstydziałabym się spojrzeć w lustro!

- Powiedziałem: przestań!

- Palnęłabym sobie w łeb, naprawdę. Albo wsadziła sobie nóż w...

- Ostrzegam cię po raz ostatni!

- Tchórz!

Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Dostrzegła jego wykrzywioną twarz, zanim ją pocałował.

- Czy tego chciałaś?

Pocałunek był brutalny i zaborczy. Miał ją przerazić, ale była zbyt rozpalona.

Jej uległość rozzłościła go jeszcze bardziej. Puścił Honey, zdartł z siebie marynarkę, zerwał krawat i ściągnął koszulę. Onyksowe spinki w mankietach potoczyły się po podłodze. Dyszał ciężko. Był zdesperowany.

- Tylko nie myśl, że kiedy będzie po wszystkim, możesz przyjść do mnie z płaczem.

Obserwowała, jak się rozbiera.

- Nie będę płakała.

- Mówisz tak, bo nie masz pojęcia, co cię czeka. - Cisnął butem w kąt pokoju. - Nie wiesz, jak to jest, prawda?

- Nie... nie z doświadczenia.

Ściągnął drugi but, posłał go w ślad za pierwszym, zaklął pod nosem.

- Praktyka to jedyne, co się liczy, przynajmniej w tej dziedzinie. I nie myśl, że coś ci ułatwię. To nie w moim stylu. Chciałaś kochanka, mała? No to będziesz go miała.

Nagle opuściło ją pożądanie, szaleństwo przeszło w strach. A mimo to nie ucieknie; za bardzo go pragnie.

- Dash?

- Co?

- Czy... czy mam się rozebrać?

Jego ręce zatrzymały się przy pasku spodni. Opadł na krzesło. Przez chwilę nie robił nic. Wstrzymała oddech w nadziei, że zaraz zobaczy mężczynę, którego kocha, a nie groźnego nieznanego.

- Mam pomysł. - Wyprostował nogi i skrzyżował je w kostkach. - Zrób mi ładny, wolny striptiz.

- Dlaczego tak to komplikujesz?

- A czego się spodziewałaś, mała? Poezji i kwiatów? W takim razie trzeba było poderwać licealistę, nowicjusza jak ty. Miłego chłopaka, który by się nad tobą rozczulał i nie skrzywdziłby tak jak ja.

- Nie skrzywdzisz mnie.

- I tu się mylisz. Skrzywdzę cię, zobaczysz. Popatrz, jaki jestem duży. Ściągaj bieliznę. A może przyznasz, że popełniłaś błąd?

Chciała od niego uciec, ale nie mogła. Nikt nigdy nie uważał jej za godną miłości. Skoro tylko tak może ją kochać, przyjmie, co ma jej do zaferowania. Drżącymi rękami odnalazła zapięcie stanika.

Zerwał się z krzesła z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Masz ostatnią szansę. Kiedy zdejmiesz stanik, będzie za późno.

Rozpięta koronkowe cudeńko. Ramiączka zsuwały się powoli.

Na jego policzku tańczył miesiąc.

- Kiedy zdejmiesz stanik, będzie za późno. Mówię poważnie. Pożałujesz, że się urodziłaś. - Koronki opadły na podłogę. - Kiedy zdejmiesz stanik, pożałujesz....

- Dash - odezwała się drżącym, ledwie słyszalnym szeptem. - Boję się ciebie. Czy mógłbyś... Czy mógłbyś mnie najpierw przytulić, choćby na chwilę?

Jego gniew znikł bez śladu. Opuścił ramiona, wykrzywił usta w bolesnym grymasie. Z jękiem przyciągnął ją do siebie. Jej piersi przylgnęły do jego skóry.

- Boję się, Honey - szepnął jej do ucha.

- Nie musisz - odparła. - Wiem, że mnie nie kochasz.

- Skarbie...

- To nie szkodzi. Kocham cię za nas oboje. Tak bardzo cię kocham.

- Tylko ci się tak wydaje.

- Naprawdę - zapewniła. - Kocham cię bardziej niż kogokolwiek. Tylko na tobie mi zależy. Nie złość się na mnie.

- Skarbie, nie złościć się na ciebie, ale na siebie, nie rozumiesz?

- Dlaczego?

- Bo nie nadaję się dla ciebie.

- To nieprawda.

Westchnął głośno.

- Zasługujesz na kogoś lepszego. Nie chcę cię skrzywdzić, ale i tak złamię ci serce.

- Nie obchodzi mnie to. Proszę, Dash. Kochaj się ze mną. Tylko dzisiaj.

Długo, bardzo długo gładził jej włosy, potem jego dłonie zabłądziły na plecy i biodra.

- Dobrze, skarbie. Będę się z tobą kochał. Niech mi Bóg wybaczy, że nie potrafię się powstrzymać.

Całował jej policzki, czoło, usta. Całował zaborczo i namiętnie. Czują, jak bardzo jest podniecony, gdy jego dłonie muskały jej brzuch. Opuścił głowę i całował jej piersi, aż osłabła z pragnienia.

- Nie wiedziałam - szepnęła.

- Pokażę ci, skarbie - powiedział cicho.

Ułożył ją na posłaniu, zdjął pończochy i majteczki. Przez chwilę obawiała się, że popełni jakiś błąd.

- Jesteś piękna.

Rozluźniła się, nie protestowała, gdy rozsuwał jej uda i gładził ich miękką, delikatną skórę. Wkrótce poczuła, jak mu się poddaje, oddaje całą sobą. Nie sprzeciwiała się, gdy jego palce ułatwiały początek. Powitała go radośnie, gdy nagi spoczął między jej udami.

- Powoli, skarbie - szepnął ochryple. Nie przestawał jej pieścić. - Nie denerwuj się.

Nie denerwowała się. Leżała otwarta i ufna. Wiedział, jak ją dotykać, jak głaskać. Kochał się z kobietami dłużej, niż żyła na tym świecie i lepiej niż ona wiedział, czego pragnie.

Przyjęła go namiętnie, prawie nie poczuła bólu. Pieścił ją i całował, okazywał niebiańską cierpliwość, choć lśnił od potu. Co chwila zabierał ją pod chmury, ale nie pozwalał dojść na szczyt.

- Proszę... chcę... - błagała go urywanym zdyszonym głosem.

- Cicho.

-Ale...

- Cicho.

Całował ją i dotykał, odchylił głowę, by ją lepiej widzieć.

- Umrę, jeśli... - prosiła dalej.

- Wiem, skarbie, wiem.

Jego oczy zasnuły się czułością. Rozpłakała się.

Z uśmiechem doprowadził ją do szczytu.

Rozdział siedemnasty

P óżniej leżała w jego ramionach, z głową na jego piersi. Leniwie bawił się jej włosami, owijał miodowe loki na opalone palce, a ona bładziła dłonią po jego klatce piersiowej i wypytywała o stare blizny.

- Nie przypuszczałam, że to takie wspaniałe, Dash. Wcale nie bolało i żałowałam, że już po wszystkim. Martwiłam się... Wiesz, po lekturze można się spodziewać nie wiadomo czego, a potem... No, ale trzeba zadać sobie pytanie: czy tak jest naprawdę. - Dotknęła blizny przy obojczyku. - Skąd to?

- Nie pamiętam, chyba z Montany. Pracowałem tam na ranczu.
- Mhm. Nie wyobrażam sobie niczego piękniejszego niż seks. Obawiałam się, że... No wiesz, nie miałam doświadczenia i obawiałam się, że coś spartaczę. - Podniosła głowę, zmarszczyła czoło. - Spartaczyłam?

Pocałował ją w czubek nosa.

- Nie.

Uspokojona, z powrotem opadła na jego pierś.

- Ale nadal niewiele wiem. I nie rozumiem, czemu nie możemy zrobić tego jeszcze raz. Nic mnie nie boli, naprawdę. I chciałabym wiedzieć na pewno, że cię... zaspokoiliłam. To bardzo ważne. A przecież nie robiłam nic... nie uprawiałam seksu oralnego i w ogóle.

- Jezus Maria, Honey.

Oparła się na łokciu, żeby na niego spojrzeć.

- No, bo nie.

Poczerwieniał lekko.

- Na rany boskie, skąd ci to przyszło do głowy?

- Może nie mam doświadczenia, ale sporo czytałam.

- No tak, to wszystko tłumaczy.

- I jeszcze coś...

Jęknął.

- Wszystko działo się tak szybko. To znaczy, nie szybko, bardzo powoli i to było super, ale trochę mnie poniosło. To nie moja wina, bo robiłeś takie cudowne rzeczy, że.. Przez to...

- Honey?

- Tak?

- Czy mogłabyś łaskawie przejść do rzeczy, zanim umrzemy z nudów?

Bawiła się skrajem kołdry.

- Chodzi o to, że... - Zawahała się. - Wstydzę się.

- Niemożliwe.

Posłała mu spojrzenie, które miało być piorunujące, ale była tak szczęśliwa, że nic z tego nie wyszło.

- Chcę powiedzieć, że... W przypływie namiętności, że się tak wyrażę, nie udało mi się... nie... - Głaskała teraz prześcieradło. - Chodzi o to, że... - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Chcę zobaczyć.

Gwałtownie podniósł głowę.

- Co?

Teraz ona się zarumieniła.

- No... ciebie.

- Taki eksperyment naukowy?

- Masz coś przeciwko temu?

Roześmiał się głośno i opadł z powrotem na poduszkę.

- Nie, skarbie, nic a nic. Proszę bardzo.

Odrzuciła kołdrę i w bardzo, ale to bardzo krótkim czasie Dash zmienił zdanie co do tego, że nie będą się więcej kochać.

Rano brał prysznic, gdy obsługa hotelowa zapukała do drzwi. Zamówił kawę, a Honey - naleśniki, kiełbaski, tosty, sok pomarańczowy i ciastka z jagodami. Miała ochotę wszystkiego skosztować, ze wszystkim eksperymentować. Z uśmiechem splotła ramiona na piersi. Jest prawdziwą kobietą, żywe pięćdziesiąt jeden kilo kobiecej energii. Najgroźniejsi, najbardziej zawzięci hombres Dzikiego Zachodu nie pokonali Dasha Coogana, a ona rzuciła go na kolana.

Szła przez salon kołysząc biodrami, pewna siebie i swojej atrakcyjności. Szczelniej zawiązała pasek szlafroka, otworzyła drzwi i poleciała non-szalancko:

- Proszę postawić na...

Wanda Ridgeway wpadła do pokoju jak bomba.

- Jest tutaj, tak? Nie ma go w pokoju, więc musi być tutaj!

- Mamo, proszę - Meredith z wahaniem weszła za nią.

Dash i Wanda rozwiedli się przed wielu laty, a mimo to Honey ogarnęły wyrzuty sumienia.

- O... O kogo wam chodzi? - spytała.

W pokoju doskonale było słycać szum prysznica. Wanda spojrzała na nią, jakby była małą dziewczynką przyłapaną na kłamstwie.

- Mama podejrzewa, że jest tu ojciec - wyjaśniła Meredith oschle.

- Dash? - Honey otworzyła szeroko oczy, zupełnie jak Janie, gdy usiłowała wypłatać się z tarapatów. - Myślisz, że Dash jest tutaj? - Roześmiała się i otworzyła oczy jeszcze szerzej. - A niby dlaczego Dash miałyby korzystać z mojej łazienki?

- Więc kto? - Wanda nie dawała za wygraną.

- Mężczyzna, którego poznałam na przyjęciu....

Meredith poczerwieniała i zaatakowała matkę.

- Mówiłam ci, że go tu nie ma, ale ty zawsze masz o nim jak najgorsze zdanie. Mówiłam...

- Meredith, ona kłamie. Przez całe życie obarczałaś mnie winą za nasz rozwód. Grozisz wszystkim ogniem piekielnym, ale ojciec jest dla ciebie jakimś świętym z cholerną aureolą. Muszę cię rozczarować, skarbie: nie przeszedłbyś po wodzie nawet kroku, choćby zamarzyła na amen. Wiesz, co zniszczyło nasze małżeństwo? Jego rozporek, nie ja!

Ucichł szum prysznica.

Honey nerwowo zerknęła w stronę łazienki.

- Nie chcę być nieuprzejma, ale jeśli to wszystko...

- Hej, Honey, chodź tutaj, wytrzesz mi plecy.

Meredith wstrzymała oddech, słysząc głos ojca. Wanda triumfalnie uniosła głowę.

- Prysnic u niego nie działał - wykrztusiła Honey. - Byłam z kimś, ale już poszedł. I wtedy Dash zadzwonił i zapytał, czy może skorzystać z łazienki.

Dash otworzył drzwi. Woda ściekała mu z włosów, biodra miał owinięte ręcznikiem.

- Honey...

Urwał.

Wanda skrzyżowała ręce na piersi z wielce zadowoloną miną. Meredith syknęła wściekle.

Dash zajął się wycieraniem włosów.

- Co tu robicie tak wcześniej? - spytał.

- Jak mogłeś?! - wybuchła Meredith.

- To nie tak, jak myślisz, Meredith. - Honey podbiegła do Dasha. - Właśnie tłumaczyłam Wandzie i Meredith, że w twoim pokoju popsuł się prysnic. I że zadzwoniłeś i spytałeś, czy możesz skorzystać z mojego. A że mój... eee... towarzysz już poszedł, nie miałam nic przeciwko temu, i...

Dash popatrzył na nią jakby straciła rozum.

- Co ty pleciesz, do cholery?

- Że zepsuł ci się prysnic - powtórzyła żałośnie.

Przerzucił ręcznik przez ramię i popatrzył Meredith prosto w oczy.

- Zepsuty prysnic to bujda, Merry. Spędziłem tę noc z Honey.

Oboje jesteście dorośli, więc to tylko i wyłącznie nasza sprawa.

W oczach Wandy błysnęła ponura satysfakcja.

- Twoja córka wreszcie się przekona, co z ciebie za człowiek.

Meredith z trudem opanowała drżenie ust na tyle, żeby powiedzieć:

- Będę się za ciebie modliła, tatusiu. Przez cały dzień będę się modliła za twoją duszę.

Dash ściągnął ręcznik z szyi.

- Nie zawracaj sobie głowy! Nie chcę, żeby ktokolwiek się za mnie modlił.

- Ale tak trzeba. - Meredith spojrzała na Honey. - A ty jesteś obrazą rodzaju kobiecego, każdej kobiety świadomej świętości swego ciała! Uwiodłaś go jak ładacznice Babilonu!

Honey skrzywiła się mimowolnie. Dash zrobił krok do przodu.

- Dostyc tego - rozkazał niskim głosem. - Ani słowa więcej.

- Przecież jest jedną z...

- Dostyc! - wrzasnął.

Zanim Honey zorientowała się, co się dzieje, przyciągnął ją do siebie. Osłabła z przypływu uczuć, które wywołała jego nieoczekiwana opiekuńczość.

- Meredith, jeśli chcesz pozostać częścią mego życia, musisz zaakceptować Honey, bo ona także należy do mojego życia.

- Nigdy! - stwierdziła Meredith z goryczą.
- Lepiej się zastanów nad tym, co mówisz, bo nierozważne słowa mogą cię zbyt wiele kosztować.

- Nad niczym nie muszę się zastanawiać - odparła. - Gdybym zaakceptowała ten grzeszny związek, sama popełniłabym grzech.

- Przemyśl to dobrze - powtórzył Dash.

Wanda zbliżyła się do córki.

- Meredith, idź ściągnąć windę. Zaraz do ciebie przyjdę.

Widać było, że Meredith ma ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale nie śmiała przeciwstawić się matce. Nie patrzyła na ojca, za to posłała Honey spojrzenie pełne nienawiści i wybiegła z pokoju.

- Musiałaś ją tu przyprowadzić? - Dash zwrócił się do Wandy.

- Nie mieszkałaś z nią pod jednym dachem. W jej oczach byłeś zawsze dobrym, kochającym tatusiem, który co kilka lat przybywa z naręczem prezentów, a ja podłą suką, która wyгнаła cię z domu. Miałam dosyć życia z piętnem winowajczynie.

Zacisnął usta w wąską kreskę.

- Wyjdź stąd - wycodził.

- Zaraz. - Poprawiła torebkę na ramieniu. Wydawało się, że jej złośliwość rozplynęła się bez śladu. Wodziła wzrokiem od Dasha do Honey. Pokręciła głową. - Znowu wszystko spieprzysz, prawda, Randy?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Ilekroć w twoim życiu pojawia się coś na kształt stabilizacji, ilekroć zaczynasz stawać na nogi, robisz wszystko, żeby to popsuć. Tak było, odkąd cię znam. Ledwie coś ci się układa, starasz się to zniszczyć.

- Oszalałaś.

- Nie rób tego, Randy - poprosiła cicho. - Tym razem tego nie rób.

Zapadła cisza. Dash był zły, Wanda smutna. Poklepała go po ramieniu i wyszła.

Honey odprowadziła ją wzrokiem do drzwi, zanim zapytała.

- O co jej chodziło?

- Nieważne.

- Dash?

Westchnął i podszedł do okna.

- Chyba wie, że chcę się z tobą ożenić.

Honey z trudem przełknęła ślinę.

- Ożenić się ze mną?

- Ubieraj się - burknął oschle. - Musimy zdążyć na samolot.

Nie chciał mówić o małżeństwie ani podczas lotu, ani w Los Angeles. W końcu przestała pytać. Gdy wracali na autostradę z lotniska, obrzucał

innych kierowców stekiem przekleństw, zajeżdżał im drogę. Ale nawet to nie zdołało zagłuszyć anielskiego chóru w jej głowie.

Dash powiedział, że się z nią ożeni.

Zaklął szpetnie i wcisnął się między dwa samochody. Nagle zorientowała się, że jadą w kierunku Pasadeny, a nie na ranczo. Odwozi ją do domu. Może więc nie mówił poważnie? Nie będzie żadnego ślubu, a on teraz gorączkowo szuka słów, by ją o tym zawiadomić?

- Założę się, że nie zabrałaś nawet jednej pary dżinsów.

Powiedział to z takim wyrzutem, że musiała się bronić.

- Przecież jechaliśmy na ślub.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź, co?

Już otwierała usta, ale Dash nie dopuścił jej do słowa.

- Zrobimy tak: pojedziemy do Baja, pobierzemy się tam i zostaniemy na kilka dni. Mamy tydzień do rozpoczęcia zdjęć, więc wykorzystajmy go najlepiej, jak się da.

Anielski chór zaintonował triumfalne „Alleluja”.

- Mówiłeś poważnie? - zapytała bez tchu. - Naprawdę się pobierzemy?

- A co proponujesz? Chciałaś mieć ze mną romans? A może mielibyśmy razem zamieszkać? - Mówił to z takim obrzydzeniem, jakby wypowiadał wyjątkowo wulgarnie przekleństwo.

- Przecież wszyscy tak robią - zaczęła z wahaniem, starając się zrozumieć jego nastrój.

Popatrzył na nią z niesmakiem.

- Więc tak nisko się cenisz? Powiem ci jedno, mała. Parę razy zdarzyło mi się nisko upaść, ale nigdy na tyle, bym nie poślubił kobiety, którą Kocham.

Kocha ją! Ta świadomość wprawiła Honey w szampański humor. Nie dba o jego ponurą minę, nie dba w ogóle o nic. Powiedział, że ją kocha, że się pobiorą! Najchętniej rzuciłaby mu się na szyję, ale było w nim coś zimnego, co studziło jej zapał.

Odezwał się dopiero pod jej domem.

- Daję ci dziesięć minut. Wyrzuć z walizki wszystkie strojne szmatki i zapakuj tylko dżinsy i porządne buty. Przenocujemy na ranczu, wyruszymy o świcie. Nocą jest zimno, więc weź ciepłą bieliznę. I akt urodzenia.

Akt urodzenia! Więc naprawdę to zrobią! Z okrzykiem radości uściśkała go serdecznie i pobiegła do domu.

Chyba nikt z rodziny nie zauważył jej nieobecności. Spakowała się błyskawicznie i powiedziała Chantal, że wyjeżdża na kilka dni. Kuzynka o nic nie pytała, a Honey nie zagłębiała się w szczegóły. Nadal nie mogła uwierzyć, że Dash naprawdę chce się z nią ożenić, i nie chciała zapeszyć, opowiadając o tym przed faktem.

Gdy wróciła, Dash niecierpliwie bębnił palcami o kierownicę.

- Nie musiałeś tu siedzieć - zauważyła. - Czemu nie wszedłeś do domu?

- Do tej bandy ludożerców?

Uznała, że nie jest to najlepsza chwila na korygowanie jego opinii o jej rodzinie, ale nie mogła równie łatwo uporać się z czymś, co powiedział wcześniej. Gdy zjeżdżali na autostradę, oznajmiła:

- Powiedziałeś, że zawsze żeniłeś się z kobietami, które kochałeś. Nie chcę, żebyś mnie kochał tak samo jak inne. Chcę... chcę, żebyś mnie kochał na zawsze.

Nie odrywał wzroku od szosy.

- To dowodzi, jak mało o mnie wiesz.

Rozdział osiemnasty

Pobrali się następnego popołudnia w Mexicali, po drugiej stronie granicy. Ceremonia odbyła się w urzędzie; Honey nie do końca wiedziała, w jakim: wszystkie napisy były po hiszpańsku, a Dash nadal nie był zbyt rozmowny. Oboje mieli na sobie dzinsy. Panna młoda w dłoni bukiet kupiony od ulicznego handlarza. Obrączki były proste i skromne, kupione u pobliskiego jubilera.

Urzędnik, który udzielił im ślubu, miał złoty ząb i śmierdział czosnkiem. Gdy ceremonia się zakończyła, Dash porwał akt ślubu, złapał Honey za rękę i wyciągnął na dwór. Nawet jej nie pocałował.

Ciepłe popołudniowe powietrze przesycił odór sztucznych nawozów, ale Honey wdychała go z rozkoszą. Jest panią Dashową Coogan. Honey Jane Moon Coogan. W końcu do kogoś należy.

Dash zaprowadził ją do dzipa. Pamiętała, jak kiedyś opowiadał, że samochód został specjalnie przystosowany do jazdy w trudnym terenie.

Pojechali na zachód autostradą numer dwa. Rozpalone powietrze drżało, po obu stronach szosy walały się śmieci. Stare opony wygrzewały się w słońcu jak aligatory, zmęczone, puste billboardy patrzyły tępo w dal. Minęła ich ciężarówka wypełniona roześmianymi robotnikami. Honey wystawiła rękę przez okno i pomachała radośnie.

- Chcesz stracić rękę? - warknął Dash. - Nie wygłupiaj się.

Zawarcie małżeństwa bynajmniej nie poprawiło mu humoru. Obiecała sobie, że prędzej czy później dowie się, co go gryzie, a na razie będzie trzymała język za zębami.

Nieraz wyprawiała się do Tijuana z Chantal i Gordonem, ale teraz jechali przez zupełnie inną część Baja. Spalona słońcem ziemia odstraszała,

groziła jak powykręcany starczy palec w błękitnie morza. Kilkadziesiąt mil za Mexicali autostrada przecinała Laguna Salada, wyschnięte jezioro ciągnące się aż po horyzont.

Patrząc na księżycowy krajobraz pocięty tylko śladami opon, Honey poczuła, że opadają jej powieki. Miała za sobą długi dzień, Poprzedniego wieczoru dotarli na ranczo po zmroku. Zjedli w milczeniu kolację, potem Dash umieścił ją w jednym z pokoi gościnnych. Przez całą noc nie zmrzyła oka, wciąż się martwiła, że rano Dash zmieni zdanie. Zerknęła na złotą obrączkę na palcu. Naprawdę się pobrali.

Dash zjechał z szosy na wyschniętą połać.

- Przenocujemy w kanionie - wyjaśnił szorstko. - Niełatwo do niego dotrzeć, dlatego developerzy jeszcze niczego tam nie zbudowali.

„Niełatwo” okazało się nader łagodnym określeniem. Skrzynia biegów wyła jak potępieniec, gdy dżip zaczął mozolną wspinaczkę po stromym zboczu. Przez ponad godzinę jechali czymś, co tylko ledwie przypominało drogę. W końcu dotarli do niewielkiego kanionu ocienionego palmami.

Po obu stronach wznosiły się strome granitowe skały. Honey dostrzegła połyskujące srebrno drzewa: palmy, sosny i inne, których nie знаła. Usłyszała też odgłos płynącej wody. Dash zatrzymał samochód, wysiadł i zniknął między drzewami. Honey przeciągnęła się i rozejrzała dookoła. Za jej plecami znajdował się niewielki wodospad.

Dash wynurzył się spomiędzy drzew. Zapinał rozpięty. Honey odwróciła głowę, zawstydzona i zarazem zafascynowana intymnością tego gestu; tak właśnie wyobrażała sobie zachowanie męża wobec żony.

Wskazał głową wodospad.

- Takie kaniony to liczne miejsca w całym Baja, gdzie można znaleźć wodę pitną. Woda jest w tej części kraju cenniejsza niż złoto. A tu mamy nawet gorące źródło. Rusz się, weź paliki.

Gdy ściągała paliki z samochodu, najdłuższy zahaczył o klapę i wszystkie rozsypały się z głośnym brzdękiem.

- Cholera jasna, Honey, patrz, co robisz.

- Przepraszam.

- Nie mam zamiaru przez cały czas po tobie sprzątać.

Pochyliła się, by pozbierać paliki.

- Czy mogłabyś mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego jesteś w sandałach? Pamiętam doskonale, że kazałem ci zabrać porządne buty.

- Zrobiłam to - wyjaśniła. - Są w bagażu.

- A na co ci się przydadzą w bagażu, skoro jesteśmy na środku pustyni i w każdej chwili możesz nadepnąć na grzechotnika?

- Nie jesteśmy na środku pustyni - zauważyła.

- Od wczoraj szukasz pretekstu do awantury, prawda?

Nie wierzyła własnym uszom. Przecież to on zachowywał się, jakby usiadł na jeżozwierz.

Dash przesunął kapelusz na tył głowy.

- Równie dobrze możemy wszystko ustalić od razu - oznajmił. - O ile, oczywiście, nie jesteś zbyt zajęta rozrzucaniem całego ekwipunku.

- Nigdy nie byłam pod namiotem - odparła chłodno. - Nie mam najmniejszego pojęcia o rozbijaniu obozu.

- Nie o tym mówię. Mówię o naszym małżeństwie. - Zbliżył się, teraz dzieliło ich zaledwie kilka kroków. - Po pierwsze, ja jestem szefem. Mam swoje zwyczaje i nawyki i nie zamierzam zmieniać ani jednego. To ty musisz się do mnie dopasować, nie ja do ciebie, i nie chcę słyszeć żadnych narzekañ na ten temat, jasne? - Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej. - Nie zawracam sobie głowy pracami domowymi. Określenia typu „podział obowiązków” nie figurują nawet w moim słowniku. Nie będę prał ani pilnował, żebyśmy zawsze mieli zapas kawy w kredensie. Zatrudnimy gospoñę albo sama się tym zajmiesz, wszystko mi jedno. - Zmarszczył brwi. - Aha, ta twoja rodzinka darmozjadów. Jeśli chcesz dalej ich utrzymywać, to twoja sprawa, ale ja nie dam im ani grosza i nie wolno im się zbliżyć do rancza, jasne?

Mówił takim tonem, jakby przedstawiał jej warunki zwolnienia warunkowego.

- I jeszcze jedno - spochmurniał jeszcze bardziej. - Tabletki antykoncepcyjne, które widziałem w twojej torebce. Od dzisiaj stanowią podstawę twojego pożywienia, rozumiemy się, mała? Zmarnowałem życie dwójce dzieci, nie powtórzę tego błędu.

- Dash?

- Tak?

Położyła paliki na ziemi i popatrzyła mu w oczy najspokojniej jak mogła.

- Robiłam, co w mojej mocy, żeby się nie wkurzyć, ale przekroczyłeś wszelkie granice. Wiesz o tym, prawda?

- Dopiero zacząłem.

- I tu się mylisz. Już skończyłeś.

Zacisnął usta.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Dashu Coogan, nie byłam beksą, dopóki cię nie poznałam i nie zakochałam się w tobie. Ale teraz, uprzedzam uczciwie, denerwujesz mnie, co prawdopodobnie skończy się potokiem łez. Nie jestem z tego dumna, bynajmniej, szczerze mówiąc, wstydę się z tego powodu, ale to nie zmienia faktu, że zaraz się rozbeczę. Więc jeśli nie chcesz spędzić reszty tego, pożałuj się Boże, miodowego miesiąca na pocieszaniu zapłakanej żony, zachowuj się jak dżentelmen, którym, o czym oboje wiemy, potrafisz być.

Pochylił głowę, kopnął kamyk czubkiem buta. Odezwał się miękko ochryple:

- Honey, nigdy w życiu nie byłem wierny jednej kobiecie.

Przeszył ją dotkliwy ból. Dash patrzył na nią ze smutkiem.

- Kiedy pomyślę, o ile jestem od ciebie starszy, o tym, jak żyłem przed twoim urodzeniem, że już nie wspomnę o dwóch nieudanych małżeństwach, nie mieści mi się w głowie, że to zrobiłem. Nie chodzi tu o mnie, przede wszystkim mam do siebie pretensje, że krzywdzę ciebie. Straciłem rozum, Honey, ale przy tobie nie jestem w stanie postępować racjonalnie.

Uraza Honey przerodziła się w czułość.

- Ja chyba też nie jestem całkiem zdrowa na umyśle. Tak bardzo cię kocham, że nie chcę nawet o tym myśleć.

Przyciągnął ją do siebie.

- Wiem. Kocham cię jeszcze bardziej. I właśnie dlatego to, co zrobiłem, jest niewybaczalne.

- Dash, proszę, nie mów tak.

Gładził ją po włosach.

- Nawet nie wiem, kiedy zakradłaś się do mojego serca. Wszystko byłoby dobrze, gdybyś nie dorosła, ale nagle przestałaś być dzieckiem i nie udało mi się tego zmienić, choć robiłem, co w mojej mocy.

Przez długi czas ciszę zakłócał tylko szmer wodospadu.

Zanim rozbili obóz, niebo zasnuło się chmurami i zaczęło padać. Temperatura obniżyła się znacznie. Honey, była zmarznięta i przemoczona, była szczęśliwa jak nigdy w życiu.

- Przynieś resztki jedzenia, dobrze? - Dash wystawił głowę z niewielkiego namiotu.

Podeszła do dżipa, wyciągnęła paczkę, ale nie zdążyła jej podnieść. Dash nie wiadomo skąd znalazł się u jej boku i wyjął pakunek z rąk.

- Nie jest taki ciężki - zaprotestowała - dam sobie radę.

- Wiem. - Pocałował ją przelotnie.

Uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie jego skruchy. Dash Coogan miał w sobie więcej godności niż jakikolwiek inny znany jej mężczyzna.

Lodowaty powiew wiatru zakołysał palmami. Honey wzdrygnęła się.

- Myślałam, że jesteśmy w tropikach.

- Zimno ci?

Skinęła głową.

- To dobrze.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Pogoda szybko tu się zmienia, zwłaszcza w zimie - wydawał się bardzo zadowolony z siebie. - To jedyna pora roku, kiedy potrzebny jest namiot. Zazwyczaj wystarczy tropik do ochrony przed słońcem i muchami. Przygotuj ciepłe ciuchy i koniecznie weź grubą bieliznę, a ja tu skończę.

Skierowała się do namiotu, ale Dash ją powstrzymał.

- Nie tam - powiedział.

Wziął Honey za rękę, otulił szczelnie swoim poncho i poprowadził między palmy. Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Honey szczeekała zębami.

- Jest za zimno na wspinaczkę, Dash.

- Nie wygłupiaj się. Jesteś dzielna. Odrobina rześkiego powietrza nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

- To powietrze nie jest rześkie! Widzę własny oddech!

Uśmiechnął się krzywo.

- Czy mi się zdaje, czy zaczynasz jęczeć?

Pomyślała o namiocie i ciepłutkich, miękkich puchowych śpiworach. Mogliby tam leżeć i Dash udzielałby jej dalszych lekcji miłości...

- Wcale ci się nie zdaje.

- Widzę, że trzeba cię zahartować.

Prowadził Honey między drzewami. Z wrażenia zaparło jej dech w piersiach. Tuż przed nimi, w obramowaniu bujnych paproci i omszałych głązów było maleńkie jezioro. Para unosiła się mlecznymi wstęgami nad powierzchnią wody.

- Mówiłem ci, że tu jest gorące źródło - odezwał się Dash. - Proponuję, żebyśmy pozbyli się ciuchów i wskoczyli do wody na bara-bara.

Nie skończył mówić, a już mocowała się z guzikami bluzki. Niezdarne, zgrabiałe z zimna palce nie radziły sobie z oporną tkaniną. Dash rozebrał się, a potem pomógł Honey ściągnąć mokre dżinsy i zaprowadził ją do wody. Zanurzyła się do pasa. Woda była cudownie ciepła i miękka, ale nad powierzchnią jej piersi pokryły się gęsią skórka. Brodawki nabrzmiały jak małe kamyczki. Dash pochylił głowę i ogrzewał je ustami. Wygięła się w łuk.

Później polewał jej ramiona ciepłą wodą, ogrzewał dużymi, opalonymi dłońmi.

Odnalazła jego uda pod wodą, pieściła coraz odważniej, aż jęknął. Jej brodawki rozkwitły jak kwiaty w lecie pod dotykiem ciepłych palców.

Byli na środku jeziora, woda sięgała jej do ramion.

- Załóż mi nogi na biodra - polecił ochryple.

Musnęła językiem kropkę na jego policzku i usłuchała.

Pieścił ją pod wodą, jego palce penetrowały wszelkie zakamarki, doprowadzały ją na krawędź rozkoszy.

- Dash... - Zacisnęła mocno uda.
Jęknął i przygarnął ją do siebie.

Zatrzymali się w tym kanionie na dwa dni, podczas których Dash zdał się młodnieć na jej oczach. Zniknęły gorzkie bruzdy przy ustach, ustąpił smutek z zielonych oczu. Śmiali się, przekomarzali i kochali, aż czasami zastanawiała się, kto tak naprawdę ma dwadzieścia lat. Trzeciego ranka miała łzy w oczach, gdy smażyła mu jajka na bekonie. Zaraz opuszczają ich kanion. Dash chciał jej pokazać wszystko. Znowu się ociepliło, więc kilka najbliższych nocy spędzą nad Zatoką Kalifornijską, zwaną także Morzem Korteza.

- Nigdy w życiu nie było mi równie dobrze - westchnęła, gdy ponownie znaleźli się na autostradzie.

- Wrócimy tu. - Niespodziewanie w jego głosie pojawiła się gorzka nuta. - W najbliższej przyszłości będziemy pewnie sporo biwakować.

- I co z tego? Przecież to lubisz.

- Lubię, owszem, ale na wakacjach. Nie wtedy, gdy nie stać mnie na inny dach nad głową.

Zacisnęła usta.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Honey...

- Proszę, Dash. Przynajmniej nie teraz.

Nie oponował. Pokazywał jej mijane twory wulkaniczne, nazywał większość roślin. Jechali na południe, przez otwarte okno wpadał ciepły wiatr, po obu stronach szosy widziała porzucone wraki samochodów i czuła się coraz bardziej nieswojo. Posępny krajobraz przywodził na myśl katastroficzne wizje: wyblakłe, spalone słońcem zbocza, dziwacznie powykręcane rośliny, zardzewiałe wraki samochodów, leżące na dachach jak martwe gigantyczne żuki. Nawet najbardziej kręte odcinki, najniebezpieczniejsze serpentyny nie miały barierki ochronnej, tylko krzyże upamiętniały miejsca wypadków. Ogarnął ją irracjonalny strach.

- Dash, pozwól mi prowadzić - poprosiła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Był doskonałym kierowcą, wiedziała o tym, ale koniecznie chciała usiąść za kierownicą. Tylko całkowita kontrola nad pojazdem pozwoli jej ustrzec go przed niebezpieczeństwem.

- Niedaleko stąd jest mała restauracja - powiedział. - Zjemy tam obiad, a potem oddam ci kierownicę.

Zmusiła się, by zaczerpnąć tchu, i powoli, stopniowo, wracał jej spokój.

Restauracja okazała się daszkiem nad kilkoma stolikami.

- Dash, wiem, że urząd skarbowy nadal zabiera znaczną część twoich dochodów, ale myślałam, że mimo wszystko stać cię na coś lepszego.

- Nie bądź taka przemądrzała - uśmiechnął się szeroko, prowadząc ją do stolika w cieniu.

- *Senor Coogan!*

- *Hola! Como estas, Emilio?*

Dash wstał na widok starszego mężczyzny. Podali sobie ręce, rozmawiali chwilę po hiszpańsku. Dash przedstawił Honey, ale nie miała pojęcia, co powiedział, bo nie rozumiała ani słowa. Emilio zniknął za drzwiami kuchni.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna. - Dash rzucił kapelusz na puste krzesło.

Przez następne pół godziny pochłaniali jeden z najsmaczniejszych posiłków w życiu Honey: *quesadillas* z pysznym kozim serem, awokado nadziewane krewetkami jeszcze pachnącymi morzem i inne potrawy, których nazw nigdy nie słyszała. Podsuwali sobie co apetyczniejsze kąski, całowali się między jednym a drugim kęsem. Honey miała wrażenie, że przez całe życie była zakochana.

Najadła się tak bardzo, że nie była w stanie nawet skosztować placaka z figami, który dostali na deser. Dash także odłożył widelec i zapatrzył się na morze. Dostrzegła zmierzwione włosy w miejscu, gdzie dotychczas spoczywał kapelusz, i wyciągnęła rękę, by je przygłodzić. Ciągle nie mogła się nadziwić, że ma prawo do takich gestów.

Złapał jej dłoń i podniósł do ust. Spoważniał nagle.

- Kiedy tylko wrócimy...

Wyrwała mu rękę.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Musimy, Honey, to poważna sprawa. Przede wszystkim musisz wziąć dobrego adwokata.

- Adwokata? A co, już chcesz się ze mną rozwieść?

Nie uśmiechnął się.

- Nie chodzi o rozwód. Musisz zadbać, żeby urząd skarbowy nie dobrał się do twoich pieniędzy. Nie pozwolę, byś ponosiła finansowe konsekwencje moich błędów. Głupio z mojej strony, że nie pomyślałem o tym od razu, zanim się pobraliśmy. Nie wiem... nie umiem obchodzić się z pieniędzmi.

Widząc jego niepokój, uśmiechnęła się z otuchą.

- Zajmę się wszystkim, obiecuję. Nie martw się już.

Jej pewność siebie zdawała się uspokajać Dasha. Ale jego słowa uniosły kurtynę, która do tej pory zasłaniała ich wspólną przyszłość, i Honey wiedziała, że musi zdobyć się na odwagę i przestać chować głowę w piasek, jak do tej pory. Machinalnie bawiła się kapslem z butelki wody mineralnej.

- Może wszystko się ułoży, Dash. Może nikt się nie dowie. Nasze małżeństwo pozostanie tajemnicą.

- Nie ma szans. Brukowce pewnie już wiedzą. Myślisz, że facet, który udzielił nam ślubu, utrzyma język za zębami?
- Może.
- A urzędnik, który odwalał papierkową robotą? A jubiler? Poprawiła się na krześle.
- Więc co, twoim zdaniem, będzie dalej?
- Nasi ludzie od public relations skoczą sobie do gardeł i będą się sturali zminimalizować szkody. Nic im z tego nie przyjdzie, ale i tak będą się kręcić jak frygi, by sprawić wrażenie, że zasłużyli na swoje zarobki. Paparazzi będą latać helikopterami nad ranczo i wyglądać przez teleobiektywy w nadziei, że przyłapią nas na golasa. Trafimy na pierwsze strony gazet. Komicy będą na nas używali do woli. Będziemy bohaterami każdego programu satyrycznego w tym kraju. Ilekroć włączymy telewizor, jakiś dupek będzie się z nas nabijał.
- Chyba trochę...
- Producenci i scenarzyści będą się nawzajem zapewniać, że to nic nie szkodzi, że wystarczą zmiany w scenariuszu i wszystko będzie dobrze. Bez względu jednak na to, co zrobią, publiczność będzie rzygać, słysząc nawet muzykę z serialu, i Dash Coogan Show przejdzie do historii.
- Zdenerwowała się nie na żarty.
- Mylisz się! Zawsze widzisz wszystko w czarnych barwach! To jedyna cecha, której w tobie nie znoszę! Publiczność nie jest głupia, na Boga! Zdaje sobie sprawę z różnicy między fikcją a rzeczywistością. A producenci nie zrezygnują z serialu za skarby siata! Przecież zarobili na nim miliony! To największy sukces w historii seriali telewizyjnych! Wszyscy nas kochają!
- Kogo ty chcesz przekonać? Mnie czy siebie samą?
- Bezradnie zwiesiła ramiona, zapatrzona w promienie słońca tańczące na falach oceanu.
- Nie zrobiliśmy nic złego. Kochamy się. Nie zniosę, jeśli spróbują zmienić to w coś brudnego, nieprzyzwoitego. To prawdziwe życie, a nie serial telewizyjny.
- Ale widzowie nas nie znają, Honey. Znają postacie, które gramy. A niewiele jest równie obrzydliwych wizji, jak Janie Jones w łóżku ze swoim tatkiem.
- To niesprawiedliwe - powiedziała cicho. - Nie zrobiliśmy nic złego. Obserwował ją bacznie.
- Żałujesz?
- Skądże. Ale ty chyba tak.
- Nie, nie żałuję. Może powinienem, ale nie żałuję.
- Opuściło ich napięcie, gdy spojrzeli sobie w oczy i zobaczyli w nich tylko miłość, nie więcej.

Tego popołudnia rozbili namiot na malutkiej plaży w kształcie półksiężyca, ukrytej w małej zatoczce. Dash nauczył Honey odrywać wielkie ostrygi od skał. Kropili je sokiem z limonek i jedli na surowo.

Było za zimno na kąpiel, ale Honey i tak brodziła po płytkiej wodzie, a potem Dash ogrzewał jej stopy między udami. Kochali się przy szumie fal.

Następną noc spędzili w małym hoteliku, żeby się wykapać w ciepłej wodzie. Gdy Honey przekonała się, o ile przyjemniej jest brać prysznic we dwoje, wspięła się na palce i powiedziała Dashowi na ucho, co chciałaby zrobić.

- Naprawdę? - zapytał ochryple.

- Naprawdę.

Tym razem to ona zabrała go do łóżka.

Następnego dnia wyjechali na pustynię i tam rozbili obozowisko. Rozglądała się po dziwacznie powyginanych pniach drzew i granitowych blokach, w których wiatr i piasek wyrzeźbiły przerażające kształty. Na tle nieba odcinały się posępne zarysy kaktusów, wysoko nad ziemią krążyły sępy.

- Nie wiem, czy mi się tu spodoba - szepnęła Honey.

- Nie widział gwiazd ten, kto nie obserwował ich na pustyni - odparł Dash.

Słońce skłaniało się ku linii horyzontu i w niebo wzbiła się chmara ptaków. Wstrzymała oddech.

- Jakie to piękne! Nigdy nie widziałam tylu ptaków naraz.

Dash zachichotał.

- To nietoperze, skarbie...

Wzdrygnęła się. Przyciągnął ją do siebie, na miękki śpiwór.

- Tutaj przyroda nie jest upiękuszona, dlatego ją lubię. Prawdziwe życie. Nigdy się go nie obawiaj.

Stopniowo opuszczała ją napięcie. Nakrył jej pierś dłonią. Pustynia żyła nocnym życiem. W miarę upływu czasu na niebie rozbłyskiwały gwiazdy. Z dala od miejskich świateł lśniły tak jasno, że miała wrażenie, iż widzi je po raz pierwszy.

Powoli docierało do Honey znaczenie jego słów. Tu na pustyni świat był dziki i pierwotny i nagle wydało jej się, że i oni stoją wobec siebie otwarci, bez żadnych podtekstów i tajemnic.

- Honey, nie będzie łatwo, kiedy wrócimy. Mam nadzieję, że się nie załamiesz i wytrzymasz.

Podparła się na łokciu i popatrzyła w jego znajomą, kochaną twarz.

- Oboje wiemy, że ja wytrzymam - powiedziała miękko. - Pytanie, co z tobą?

Niemal poczuła, jak się od niej odsuwa, i bliskość zniknęła bez śladu.

- To śmieszne. - Usiadł do niej tyłem.

Może sprawiły to czary pustyni, ale miała wrażenie, że zdjęto jej zasłonę z oczu. W końcu widziała go takim, jakim był naprawdę, a nie takim, jakim chciał, by go postrzegała. Przeraziła ją ta wizja, ale miłość dodawała odwagi, więc delikatnie dotknęła jego pleców.

- Dash, najwyższy czas, żebyś wreszcie dorósł.

Czuła, jak napina mięśnie pod jej dłonią.

- O czym ty mówisz?

Nie chciała kontynuować tej rozmowy, po co w ogóle zaczęła? A jeśli się myli? Niby dlaczego wydaje jej się, że wie o nim coś, czego nie wiedziały poprzednie żony? Przypomniała sobie, że wszystkie poprzednie żony go utraciły.

Przesunęła się tak, że kłęczała twarzą do niego.

- Musisz pogodzić się z faktem, że to dla ciebie ostatnie małżeństwo. I nie uciekniesz mi sprytnie, pakując się do łóżka innej kobiety.

Zmrużył oczy, poderwał się na równe nogi.

- Pleciesz bzdury.

- Nieprawda. Traktowałeś rozparek jako wyjście awaryjne z każdego małżeństwa. Poprzednie żony się na to łapały, ale ja nie. - Serce waliło jej jak oszalałe, ale posunęła się za daleko, by zrezygnować. Wstała. - Oświadczam ci, że jeśli kiedykolwiek przyłapię cię w łóżku z inną, obję i ciebie, i ją, ale nie dam ci rozwodu.

- W życiu nie słyszałem czegoś równie głupiego! Praktycznie pozwoliłaś mi na niewierność!

- Powiedziałam tylko, co zrobię.

- Widzisz? Tego właśnie się obawiałem. - Mówił urywanymi zdaniami, najlepszy dowód na to, jak bardzo był zdenerwowany. - Jesteś za młoda. Nie masz pojęcia, co oznacza małżeństwo. Żadna kobieta z odrobiną oleju w głowie nie powiedziałaaby mężowi czegoś takiego.

- A ja właśnie to zrobiłam. - Zagryzła usta, żeby nie drżały. - Nie dam ci rozwodu, Dash. Bez względu na to, ile razy mnie zdradzisz.

Wystarczył blask ognia, by dostrzegła, jak poczerwieniał ze złości.

- Jesteś głupia! Rozumiesz?

Nagle przestała się bać. Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Bardzo się boisz, prawda?

Naburmuszył się.

- Nie boję się, skądże. Po prostu nie mieści mi się w głowie, że jesteś taka głupia.

- Nie jestem w stanie zmienić twojego dzieciństwa. To opieka społeczna przerzucała cię z miejsca na miejsce, nie ja.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Nie zniknę jak rodziny, do których się przywiązywałeś. Kochaj mnie, ile sił, nie odejdę. Jestem twoją żoną na dobre i na złe. Nie wyrzucisz mnie ze swego życia, choćbyś nie wiadomo jak się starał.

Widziała, jak gorączkowo szuka drogi ucieczki. Otworzył nawet usta, żeby odpowiedzieć, ale milczał. Wzięła go za rękę.

Odezwał się cicho, nadal na nią nie patrząc:

- Mówisz poważnie, prawda?

- Jak najpoważniej.

Odchrząknął, odnalazł jej wzrok.

- W życiu nie spotkałem równie irytującej kobiety.

Początkowo myślała, że to złudzenie, gra świateł na jego twarzy, ale zaraz się przekonała, że jednak nie. Dash Coogan naprawdę miał łzy w oczach.

Upadek 1989-1990

Rozdział dziewiętnasty

Nadal ma pan pretensję do Dasha i Honey?
Dziennikarka z „Beau Monde” skrzyżowała nogi. Nie przestała przy tym bacznie obserwować Erica zza okularów w metalowych oprawkach. Laurel Kreuger kreowała się na nowojorską intelektualistkę - szczupłą, atrakcyjną, o prostych, krótkich włosach, prawie bez makijażu. Była ubrana w golf i spodnie khaki. Na nogach miała miękkie kalosze, a na przegubie dłoni zegarek-cebulę.

Artykuł w „Beau Monde” to rzecz warta zachodu, ale ten wywiad ciągnął się już do kilku tygodni. Na dodatek była niedziela, jego jedyny dzień wolny, i Eric powoli zaczynał mieć tego dosyć. Chcąc ukryć niepokój, wstał z kanapy, podszedł do okna i utkwiał wzrok w panoramie Central Parku. Marcowy wiatr hulał wśród nagich jeszcze gałęzi drzew. Nagle zatęsknił za Kalifornią, choć wyjechał stamtąd zaledwie miesiąc temu.

W końcu odpowiedział na jej pytanie:

- Dash i Honey pobrali się pod koniec osiemdziesiątego trzeciego, ponad pięć lat temu. Byłem zbyt zajęty, by się nad tym zastanawiać. Poza tym właśnie odszedłem z serialu, kiedy to się stało.

Wypuścił dym z płuc. Szary obłok zasłonił jego twarz. Minione lata wyostriżyły mu rysy, ale nie odebrały urody. Posępny, mroczny urok, którym uwodził jako dwudziestolatek, rozkwitł w pełni dopiero teraz, gdy przekroczył trzydziestkę. Samotnicy, których często grywał, dlatego byli tak przekonujący.

Wiele, wiele piętér niżej sunął sznur samochodów, jak zawsze w niedzielę na Manhattanie. Dziennikarka nie dawała za wygraną.

- Wtedy nie zwracał pan uwagi na fakt, że rzadko występuje w *Dash Coogan Show*, i nie żałował gorzkich słów.

Wrócił myślami do apartamentu w Nowym Jorku, do kobiety siedzącej na kanapie.

- Nie ja jeden. O ile pani pamięta, kręciliśmy ten serial czwarty rok, producenci planowali dalsze odcinki, wszyscy już liczyliśmy pieniądze, jakie zarobimy. Po ślubie Dasha i Honey wszystko szlag trafił. Ross Bachardy stracił największy przebój.

- Słyszę gorycz w pana głosie.

- Pieniądze to pieniądze. - Opadł na miękką kanapę. - Gdybym wtedy wiedział, jak się potoczy moja kariera, wcale bym się nie martwił.

- Zapewne nominacja do Oscara, w kategorii najlepszy aktor zmienia perspektywę.

- Że już nie wspomnę o stanie konta.

- Więc postanowił pan darować zakochanym nieodpowiedzialny wybryk?

- Można to tak nazwać.

- Utrzymuje pan z nimi kontakt?

- Nigdy nie byłem zbyt blisko ani z Dashem, ani z Honey. Od czasu do czasu rozmawiam z Liz Castleberry.

- Coogan występuje w reklamówkach i gościnnie w serialach, ale o Honey praktycznie słuch zaginał - odezwała się Laurel. - Raz na jakiś czas pokaże się na wykładzie w college'u Pepperdine, ale poza tym chyba nie wytyka nosa z rancza.

- Marnuje wielki talent. Nigdy nie uświadomiła sobie, jaka jest dobra. Mimo wszystko nie dziwię się, że się ukrywa. Prasa dała jej w kość.

- Tak długo kłamała, że jest młodsza niż w rzeczywistości, że nikt nie wierzył, kiedy prawda wyszła na jaw. Wszyscy myśleli, że Dash Coogan uwiodł siedemnastolatkę, a nie dwudziestolatkę.

Eric zdusił niedopałek w popielniczce.

- To Ross Bachardy kłamał na temat jej wieku, nie Honey.

- Czyżby pan jej bronił?

- Przecież zrobiono z niej kozła ofiarnego. Choć trzeba przyznać, że ona i Dash skomplikowali życie wielu ludziom.

- Ale nie panu.

- Nie, nie mnie.

Laurel zajrzała do notatnika.

- Ostatnio prasa pana rozpieszcza. Gene Siskel nazwał pana czołowym aktorem lat dziewięćdziesiątych.

- Doceniam pokładane we mnie zaufanie, ale za wcześnie jeszcze na takie spekulacje.

- Ma pan zaledwie trzydzieści jeden lat i dużo czasu, by udowodnić, że się nie myli.

- Albo wręcz odwrotnie.

- Sam pan w to nie wierzy, prawda?

- Nie, nie wierzę.

- Czego jak czego, ale pewności siebie panu nie brak. Czy właśnie dlatego przyjął pan propozycję, żeby tu, w Nowym Jorku, wystąpić w *Mak-becie*? - Zerknęła na magnetofon, by się upewnić, że wszystko funkcjonuje jak należy.

- W szkockiej sztuce.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Stary teatralny przesąd - wyjaśnił. - Wymienianie tytułu tej sztuki przynosi pecha.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Jakoś mi pan nie wygląda na przesądnego.

- Za dwa tygodnie przestajemy grać. Do tego czasu nie będę ryzykował, zwłaszcza przy tak niekonwencjonalnym spektaklu.

- To prawda, że jest niekonwencjonalny. Obsadzenie pana i Nadii Evans, współczesnych symboli seksu, to nader śmiałe posunięcie. Krytycy biegli na premierę spragnieni krwi. Mało brakowało, a oboje spadlibyście z piedestału.

- Ale nie spadliśmy.

- To najbardziej erotyczna inscenizacja *Mak...* ee... szkockiej sztuki, jaką zdarzyło mi się widzieć.

- Seks to małe piwo. Naprawdę twardy orzech do zgryzienia to krew i walka.

Parsknęła śmiechem i po raz kolejny zaiskrzyło między nimi erotyczne napięcie. A Eric po raz kolejny odrzucił pokusę, by iść z nią do łóżka. Nie tylko groźba AIDS sprawiła, że stał się nader wybredny w wyborze partnerek. Pierwszy rok małżeństwa z Lilly, podczas którego starał się nawiązać z nią autentyczną bliskość, także w łóżku, pozbawił go beztrudnej radości z seksu. Od tamtego czasu nie sypiał z kobietami, których nie lubił, a już szczególnie wystrzegał się dziennikarek.

- Niewiele pan daje, prawda, Eric?

Sięgnął po papierosa, grał na zwłokę.

- Co pani ma na myśli?

- Rozmawiamy już od kilku dni, a nadal nie mam zielonego pojęcia, co panem kieruje. Nie znam nikogo równie zamkniętego w sobie. I nie chodzi mi tylko o to, że unika pan pytań o rozwód i przeszłość. Nic się panu nigdy nie wymknie, żadna aluzja, żadne...

- Gdybym miał być drzewem, byłbym dębem. Czy jest pani zadowolona?

Parsknęła śmiechem.

- A to mnie pan zaskoczył. Dlaczego...

Zanim dokończyła pytanie, drzwi otworzyły się gwałtownie i do apartamentu wpadła Rachel Dillon. Ciemne, poplątane włosy okalały drobną

twarz o delikatnych rysach. Jedyłą skazą była czekoladowa smuga na policzku i okrągły plaster na czole. Miała na sobie fioletowe dzinsy, różowe tenisówki, bluzę z Królikiem Rogerem i naszyjnik ze sztucznych brylantów, prezent od mamy. Za sześć tygodni skończy pięć lat.

- Tatusiu! - Pisnęła z radości, jakby ostatnio widzieli się przed kilkoma tygodniami, a nie godzinami. Podbiegła do Erica z wyciągniętymi ramionami, o mały włos nie przewracając przy tym wazonu. - Tatusiu, zgadnij, co widziałyśmy?

Nie zauważyła gazety leżącej na podłodze. Rachel nigdy nie zwracała uwagi na przeszkody dzielące ją od celu.

- No, co widziałyście? - Doskonale wywiczonym ruchem złapała ją, gdy poślizgnęła się na gazecie. Zdażył, nim uderzyła główką o kant stolika. Zarzuciła mu ramiona na szyję; nie z wdzięczności, że ją uratował, tylko dlatego, że zawsze go ścisnęła, po choćby krótkim rozstaniu.

- Zgadnij, tatusiu.

Przyciągnął do siebie drobne ciało emanujące energią i wciągnął w płuca charakterystyczny, truskawkowy zapach włosów małej dziewczynki; pomieszany z potem, bo Rachel nigdy nie szła, jeśli mogła biec. Na samym koniuszku ciemnego kosmyka dyndała spinka z misiem panda. Zdjął ją córce z włosów i położył na stoliku. Spinki Rachel poniewierały się wszędzie, kiedyś nawet wyjął jedną z kieszeni na konferencji prasowej, przekonany, że to zapalniczka.

- Widziałyście żyrafę albo Madonnę - zgadywał.

Zachichotała.

- Nie, głuptasie. Widziałyśmy, jak jeden pan robił siusiu na chodnik.

- Oto dlaczego kochamy Nowy Jork - skomentował sarkastycznie.

Rachel energicznie kiwała główką.

- Tatusiu, on naprawdę robił siusiu. Na sam środek chodnika.

- No to z was prawdziwe szczęściary. - Ostrożnie dotknął plastra na jej czole. - Jak tam czółko?

Rachel jednak nie dała się zbić z tropu.

- Tatusiu, nawet Becca-aniołek patrzyła.

- No coś takiego. - Eric ciepło spojrział w stronę drzwi, bo w progu akurat stanęły Rebecca, bliźniacza siostra Rachel, i Carmen, ich niania. Becca uśmiechnęła się słodko, jak to ona. Puścił do niej oko nad głową Rachel. Był to ich tajny sygnał: Rachel jak zwykle dopadła mnie pierwsza, ale zaraz się znudzi, a wtedy ty i ja pobędziemy razem tyle, ile zechcemy.

- Tatusiu, czy mamusia dzwoniła? - Rachel walnęła go głową w podbródek, tak energicznie się wierciła. - Powiedziała, że dzisiaj do mnie zadzwoni.

- Wieczorem, skarbie. Przecież wiesz, że zawsze dzwoni w piątki wieczorem, zanim pójdziecie spać.

Rachel już się znudziła. Zeskoczyła z jego kolan, złapała nianię za rękę, odciągnęła ją od siostry.

- Chodź, Carmen, powiedziałaś, że w domu będziemy malowały. - Przed wyjściem zwróciła się do siostry: - Becca, nie przesiaduj z tatusem cały dzień, leniuszku. Kiedy skończymy z Carmen malować, pokażę ci, jak się wiąże buciki. - Zrobiła groźną minę. - I tym razem się nauczysz, jasne?

Eric z trudem opanował ochotę, by ochronić wrażliwą córeczkę przed despotyzmem siostry. Powolność Becki działała na Rachel na nerwy, ale wynagradzała to siostrze wielkodusznością i opiekuńczością. Wytłumaczył Rachel, na czym polega zespół Downa, gdy tylko była w stanie cokolwiek zrozumieć. Ona jednak uparcie nie chciała pogodzić się z faktem, że siostra jest od niej wolniejsza, i bezlitośnie domagała się, by dotrzymywała jej we wszystkim kroku. Niewykluczone, że właśnie dzięki uporowi Rachel Becca rozwijała się szybciej, niż przewidywali lekarze.

Eric zdawał sobie sprawę, że, wbrew powszechnemu mniemaniu, dzieci z zespołem Downa bardzo się od siebie różnią. Stopień upośledzenia waha się od lekkiego do średniego, występują różnego rodzaju zaburzenia fizyczne i psychiczne. Niepotrzebny czterdziesty siódmy chromosom sprawił, że Becca jest lekko upośledzona, ale nie stanowi to przeszkody, by mogła żyć pełnią życia.

Rachel zniknęła, a Becca podeszła do ojca. Dziewczynki były bliźniętami dwujajowymi, ale mimo to były do siebie bardzo podobne. Nie zmieniły tego nawet lekko skośne oczy Becki ani jej niekształtny nos. Eric, wziął córkę na rękę, pocałował w czoło.

- Cześć, kochanie. Jak się ma największy skarb tatusia?

- Ciu-dow-nie.

Uśmiechnął się i przytulił ją do siebie.

- To ty jesteś cudowna.

- Tatusz też ciu-dow-ny. - Mówiła wolniej niż Rachel, opuszczała słowa, zniekształcała poszczególne głoski. Obcym niełatwo było ją zrozumieć, ale Ericowi nie sprawiało to najmniejszego kłopotu.

- Dzięki, skarbie.

Przytuliła się do niego i jak zawsze w takiej chwili ogarnął go głęboki spokój. Nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ale Becca była najcenniejszym podarunkiem, jaki dostał od losu, jedynym doskonałym elementem jego życia. Zawsze czuł się nieswojo w obecności niewinnych i bezbronych, dopiero to dziecko zdjęło z jego barków przytłaczający ciężar. Nie pojmował tego, ale dzięki Rebecce pogodził się ze śmiercią Jasona.

Córki zaabsorbowały go do tego stopnia, że mało brakowało, a zapomniałyby o Laurel Kreuger. Dziennikarka zachłannie chłoneła rodzinną scenę. Choć nigdy nie ukrywał upośledzenia Rebecki, nie lubił, gdy dzieci stykały się z dziennikarzami, i nigdy nie zgadzał się na ich fotografowanie.

Wiedział, że Laurel nie ponosi winy za to, iż wcześniej wróciły ze spaceru. Mimo to był zły, że zakłóciła ich prywatność.

- Koniec na dzisiaj, Laurel - oznajmił stanowczo. - Po południu czeka mnie dużo pracy.

- Planowaliśmy jeszcze pół godziny - sprzeciwiła się.

- Nie wiedziałem, że dziewczynki tak szybko wrócą.

- Zawsze wszystko dla nich rzucasz? - zadała to pytanie charakterystycznym, lekko pogardliwym tonem osób, które nigdy nie miały dzieci.

- Zawsze. Nic, ani „Beau Monde”, ani kariera nie jest ważniejsze niż moje córki. - Było to najbardziej osobiste stwierdzenie, które do tej pory wygłosił, ale wiedział, że mu nie uwierzyła. Choć powiedział, że na dzisiaj skończyli, nie drgnęła, nie schowała notesu, nie wyłączyła dyktafonu.

- Pan i pana eks-żona dzielicie opiekę nad dziewczynkami, prawda? Dziwi mnie, że nie zostawił pan małych z nią, tylko zabrał je na drugi koniec kraju, z dala od wszystkiego, co znane i bliskie.

- Dziwi panią?

Czekała na wyjaśnienia, ale milczał. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że Lilly na dłuższą metę nie dawała sobie z nimi rady. Teoretycznie miały spędzać tyle samo czasu u każdego z rodziców. W rzeczywistości dziewięćdziesiąt procent czasu mieszkały z nim.

Lilly kochała córki całym sercem, ale z niepojętych dla Erica przyczyn obwiniała się za stan Becki. A poczucie winy uniemożliwiało efektywną opiekę. W pewnym sensie z Rachel sytuacja była jeszcze gorsza. Lilly, taka, zdawałoby się inteligentna, nie umiała dać sobie rady z upartą córeczką, i Rachel wchodziła jej na głowę.

Laurel cały czas obserwowała, jak Eric tuli do siebie Beccę.

- Zniszczy pan swoją reputację ostatniego prawdziwego twardziela. Choć z drugiej strony, może to wcale nie jest taki zły pomysł. Niektórzy krytycy nazywają to pana jedyną skazą: bez względu na to, kogo pan gra, zawsze wydaje się pan wyobcowany, daleki.

- Bzdura.

- Nie, jeśli wierzyć ostatnim recenzjom pańskich ról. - Przerzuciła kilka kartek w notesie. - Cytuję: „Eric Dillon to ostatni samotny wilk współczesnego społeczeństwa. Aktor balansujący na skraju przepaści: niebezpiecznie pociągający, wiecznie wyalienowany, wyrzutek z wyboru. Dzielimy jego ból, aczkolwiek tylko w takim stopniu, na jaki nam pozwala. To dziwny geniusz, trudny do zrozumienia, szorstki. Dillon jest wspaniały, ale zarazem wrogi i przegrany”.

Zerwał się z kanapy, mocniej przytulił do siebie córeczkę.

- Powiedziałem, że koniec na dzisiaj.

Becca spojrzała na niego ze strachem. Z trudem rozluźnił napięte mięśnie, pogłaskał ją po plecach. Groźnie łypnął na dziennikarkę.

Laurel najwyraźniej uznała, że nie warto posuwać się dalej, bo błyskawicznie spakowała swoje rzeczy do przepastnej torby. W progu zawałała się jeszcze.

- Eric, muszę skończyć ten wywiad. Może później... no wiesz... wybraliśmy się na drinka czy coś takiego.

- Czy coś takiego - powtórzył lodowato.

Gdy wreszcie wyszła, uspokoił Beccę i polecił, by pobawiła się z siostrą, a sam wykonał kilka telefonów. Potem wszedł do przestronnego, jasnego pokoju dziewczynek i dał Carmen znak, że może się wymknąć na chwilę zasłużonego odpoczynku. Ukradkiem obserwował, jak Becca cierpliwie maluje palcem czerwone koła na białym papierze.

Niełatwo było przeprowadzić się razem z dziewczynkami na drugi koniec kraju. W Kalifornii załatwił szkołę specjalną i logopedę dla Becki, Rachel umieścił w prywatnym przedszkolu. Mimo wszystko uznał, że mniejszą dla nich szkodą będzie zmiana otoczenia niż rozstanie z nim na tak długi czas.

Rachel, której znudziło się już malowanie, miała ochotę się gimnastykować. W pokoju było za mało miejsca na gwiazdy, więc Eric czekał na nieuniknione. Nadeszło szybciej, niż się spodziewał. Rachel zahaczyła nóżką o skrzynkę z książkami. Wrzasnęła z wściekłości.

- Daj, pomasuję, nie będzie bolało - powiedział, kucając koło niej.

Łypała na ojca groźnie, jakby obarczała go winą za klęskę jej popisów gimnastycznych.

- Tatusiu, wszystko popsujesz! Szło mi dobrze, dopóki nie wszedłeś! Wszystko przez ciebie!

Uniósł znacząco brew, dając jej do zrozumienia, że nie da się zrobić w konia.

Rachel należała do nielicznych osób, które nie miały żadnych oporów przed sprzeciwieniem mu się, więc na uniesioną brew odpowiedziała uniesiona brwią.

- Gwiazdy są głupie! - orzekła.

- Mhm - mruknął bez przekonania. - Gimnastyka tutaj też nie jest zbyt mądra.

Wyprostował się, przeszedł kilka kroków, stanął za Beccą. Pogłaskał ją po głowie.

- Bardzo ładnie, skarbie. Dasz mi ten obrazek, kiedy wyschnie, i powieszę go sobie w garderobie w teatrze. - Wrócił wzrokiem do Rachel. - Pokaż swój obrazek.

Naburmuszyła się.

- Był głupi. Podarłam go.

- Chyba ktoś tutaj potrzebuje drzemki.

- Tatusiu, nie jestem marudna. Mówisz, że potrzebuję drzemki, kiedy wydaje ci się, że jestem marudna.

- A nie mam racji?
- Tatusiu, tylko małe dzieci śpią po obiedzie!
- A ty, oczywiście, nie jesteś dzieckiem.

Becca podniosła głowę.

- Tatusiu, Becca chce pokazać obrazek kapitanowe Łacie.

Rachel natychmiast przestała się mazać. Zerwała się na równe nogi, podbiegła do Erica i objęła go za nogę.

- Tak, tatusiu! Niech kapitan Łata się z nami pobawi, proszę!

Obie patrzyły na niego tak błagalnie, że się roześmiał.

- Naciągaczki! No, dobrze, ale Patches nie ma dzisiaj dużo czasu. Mówił, że po południu musi dokonać niemałej rzezi. A na dodatek ma spotkanie ze swoim agentem.

Rachel zachichotała i puściła się biegiem do komódki, skąd wyjęła granatowe rajstopy. Wróciła do ojca, wcisnęła mu rajstopy do ręki i pognąła do toaletki po pudełko z plastrami.

- Nie, tylko nie plaster! - jęknął, siadając na małym stołeczku. Włożył rajstopy na głowę, owinał nogawkami i zawiązał je w fantazyjny węzeł, jak piracką chustę. - Skończy się tak, że będziecie miały ojca bez brwi. Może tylko udamy, że jest plaster?

- Tatusiu, bez plastra nie ma zabawy! - oburzyła się Rachel, jak zawsze, gdy oponował. - Przecież bez łaty nie będziesz kapitanem Łata, prawda, Becca?

- Becca chce kapitana Łatę.

Mrucząc złowieszczo pod nosem, przykleił sobie plaster na oku, na ukos, od górnego wewnętrznego kącika aż do kości policzkowej. Becca wsunęła kciuk do ust, Rachel pochyliła się w oczekiwaniu. Czekały, jak zwykle zafascynowane, na magiczny moment, gdy ich tatuś stanie się kapitanem Łata, dowódcą piratów. Nie spieszył się. Nieważne, jak skromna była widownia; był to dla niego święty moment, chwila, gdy niewidzialne stają się granice między iluzją a rzeczywistością.

Rachel zapiszczała z radości, gdy zmrużył oko pod plastrem, wykrzywił usta w uśmiechu i stał się kimś zupełnie innym.

- No proszę, proszę, a co my tu mamy? Dwie spragnione krwi dzierlatki, jeśli mnie wzrok nie myli!

Łypnął na nie najgroźniej, jak umiał. Nagrodziły go radosnym piskiem. Rachel rzuciła się do ucieczki, jak zwykle. Zerwał się z małego stołeczka i złapał ją w ostatniej chwili.

- Nie tak szybko, ślicznotko. Szukałem chwatów, którzy pomogliby mi na pirackim okręcie. - Przesunął wzrok z uszczęśliwionej Rachel, wijącej się na jego kolanach, na Beccę, która ciągle siedziała za stołem. Pokręcił przecząco głową. - Nieee. Wyrzucę was do morza. Straszne z was słabeusze. - Postawił Rachel na ziemię, wziął się pod boki i obserwował ją surowo.

Rozzłościła się.

- Nie jesteśmy słabe, kapitanie Łata. Zobacz tylko! - Zgięła rękę, wyprężyła mięśnie. - Becca, pokaż kapitanowi, jakie masz muskuły.

Becca posłusznie spełniła polecenie. Eric pochylił się i pomacał chude dziecięce ramionka. Jak zawsze był rozczulony miękkością i delikatnością ich ciałek, ale nie okazał tego po sobie, tylko zagwizdał z podziwem.

- Ho! Silniejsze, niż myślałem, i to obie! Mimo wszystko... - Obrzucił Beccę gniewnym wzrokiem. - Dobrze fechtujesz, dziewczyno?

- Szablą - podpowiedziała Rachel scenicznym szeptem.

Becca energicznie kiwała głową.

- Bałdzo, bałdzo dobrze.

- Kapitanie Łata, ja też! - zapewniała Rachel. - Doskonale fechtuję! - Zmierzała ku ulubionej części zabawy. - I umiem obciąć głowę draniowi jednym jedynym ruchem!

- Naprawdę?

- I otworzyć mu brzuch, żeby wyciekła mu wszystka krew i bebechy, i mózg. I nawet przy tym nie mrugnę.

Eric był znany z doskonałej koncentracji, ale tym razem mało brakowało, a parsknąłby śmiechem, słysząc, jak Rachel po raz pierwszy imituje jego akcent. Jednak, jako że sam wymyślił reguły tej zabawy, powstrzymał śmiech i popatrzył na dziewczynki z powątpiewaniem.

- Sam nie wiem. Rabowanie i plądrowanie to trudna robota. Potrzebni mi towarzysze o nieustraszonych sercach. Problem polega na tym, że... - Przycupnął na krzesełku obok Becki i wyznał: - Nie przepadam za widokiem krwi.

Becca poklepała go po ramieniu.

- Biedaczysko.

W oczach Rachel błysnęły iskierki.

- Kapitanie Łata, jaki pirat boi się widoku krwi?

- Niejeden. To choroba zawodowa.

- Kapitanie, Becca i ja uwielbiamy krew, prawda, Becca? Będziemy cię chronić, jeśli nas ze sobą weźmiesz.

- Becca ochroni - zaproponowała Rebecca i otoczyła jego szyję ramionami.

Z powątpiewaniem pokręcił głową.

- To niebezpieczne zajęcie. Będziemy napadali na statki pełne lwów, dla których takie małe dziewczynki to drobna przekąska. - Z szeroko otwartymi oczami chłonęły opisy niebezpieczeństw. Z doświadczenia wiedział, że szczególne wrażenie robiły na nich wszelkie dzikie zwierzęta, natomiast złodzieje i duże psy wprawiały je w panikę.

W końcu Rachel zadała pytanie, bez którego nie obszła się żadna zabawa. - Kapitanie Łata, czy mamusia może z nami pojechać?

Zawahał się tylko na moment.

-A czy jest silna?

- O tak, bardzo, bardzo silna.

- I nie boi się krwi, co?

Rachel energicznie potrząsnęła głową.

- Wcale nie, uwielbia krew.

- Więc może z nami jechać, a jakże.

Dziewczynki chichotały radośnie, a jemu zrobiło się ciężko na sercu. Tylko w bajce mógł im dać matkę, której tak często brakowało im w rzeczywistości, matkę, która była nieobecna, nawet jeśli z nimi przebywała.

Potem kapitan Łata zabrał je w magiczną podróż po morzach i oceanach, w bajkowy świat, w którym dwie małe dziewczynki pokonują wszystkich wrogów i opływają całą ziemię. Świat, w którym małe dziewczynki walczą ze złem ramię w ramię z dorosłymi i wygrywają.

Dzieci jak zaczarowane chłoneły każde słowo. Wsłuchane w niski głos ojca, widziały tylko czarodziejski świat. Były za małe, by dostrzec, że na ich oczach najwybitniejszy może aktor swojej epoki odgrywa jedyną rolę, w której nie ucieka od rzeczywistości.

Rozdział dwudziesty

Czy tatuś wygrał? - Rachel wbiegła do salonu. Czerwona koszula nocna otaczała ją jak chmurka, bosc stopy śmiesznie uderzały o czarno-białą marmurową posadzkę.

Lilly niechętnie oderwała się od ekranu telewizora ukrytego w szarej komódce. Dopiero co skończył się generalny remont domu w kanionie Coldwater, domu, w którym kiedyś mieszkała z Erikiem. Wstępu do pokoi broniły teraz jońskie kolumny, neoromańskie meble pokrywało białe płótno. Jasnoszare ściany stanowiły wymarzone tło dla marmurowych płaskorzeźb, prostych lamp przypominających pochodnie i surrealistycznego obrazu na całą ścianę. Przedstawiał supernowoczesny samolot lecący przez olbrzymie czerwone jabłko. Początkowo była zachwycona nowym wnętrzem, teraz wydawało jej się za zimne.

- Nie biegaj, Rachel - upomniała córeczkę. - Dlaczego jeszcze nie śpisz? Już po dziewiątej. Jeszcze obudzisz Beccę.

- Chcę zobaczyć, czy tatuś dostanie Oscara. I boję się burzy.

Lilly wyjrzała przez okno. Wiatr kołysał wierzchołkami drzew. Południową Kalifornię nawiedziła susza, więc pewnie burza przejdzie bokiem

bez jednej kropli deszczu. Ale Lilly wiedziała, że niełatwo będzie o tym przekonać upartą córeczkę.

- Nie będzie burzy, Rachel, to tylko wiatr.

Rachel posłała jej buntownicze spojrzenie.

- Nie lubię burzy.

W tle, na ekranie, zaczęły się reklamy w przerwie z transmisji wręczania Oscarów.

- Nie będzie burzy - powtórzyła Lilly.

- A właśnie że będzie!

- Nie, nie będzie. Przecież jest susza, na Boga.

- A właśnie że będzie.

- Do cholery, Rachel, dosyć tego!

Rachel łypnęła na matkę wrogo.

- Nie cierpię cię!

Lilly zacisnęła powieki. Już żałowała, że córki spędzają u niej weekend. Nie radziła sobie z nimi tak dobrze jak Eric. Wczoraj, gdy odbierała je od ojca, Rachel uparła się, że wyjdzie z domu w samych skarpetkach. Eric kazał jej założyć buty, na co wrzasnęła, że go nie cierpi. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Odpowiedział jej równie upartym wzrokiem i oświadczył:

- Ciężka sprawa, mała. I tak musisz włożyć buty.

Lilly wiedziała, że głupio to rozegrała. A przecież kocha córeczki. No-cami, gdy Rachel spała, mogła godzinami stać przy jej łóżeczku i chłonać ją wzrokiem. Ale za dnia czuła się taka niekompetentna. Jest jak jej matka, kobieta bez uczuć macierzyńskich. Matka zostawiła Lilly pod opieką ojca, teraz historia się powtarza. Czasami tak jest lepiej.

Mimo to zazdrościła Ericowi łatwości kontaktów z dziewczynkami. Zdawała sobie sprawę, że kochają go bardziej niż ją. Nigdy nie tracił cierpliwości wobec Rachel, a stan Becki nie przerażał go tak jak ją.

- Zobacz, jest tatuś! - Rachel zapomniała o niedawnej kłótni. - I Nadia. Ona jest bardzo fajna, mamusiu. Nie tak jak w *Makbecie* z tatusiem, bo wtedy cały czas wrzeszczała. Poczęstowała mnie i Beccę żelkami.

Kamera przesunął się powoli po twarzach gwiazd w Dorothy Parker Pavilion. Eric zaprosił na uroczystość rozdania Oscarów Nadię Evans, partnerkę z *Makbeta*. Lilly była zazdrosna, choć wiedziała, że nie ma do tego prawa. Eric był jej wierny; to jej zdrady położyły kres ich małżeństwu.

Nawet gdy się dowiedział, że ma romans z Aaronem Blake'em, młodym gwiazdorem, nie domagał się rozwodu. Lilly jednak nie dawała sobie rady z obciążeniem, jakim była dla niej rola dobrej matki i żony, nie znosiła intymnej bliskości małżeńskiego łóża i nie widziała sensu w odwlekaniu tego, co i tak musiało nastąpić. Eric jej nie kochał, nie ożeniłby się z nią,

gdyby nie zaszła w ciążę, ale był dla niej dobry. Lilly pamiętała przykry, wrogi rozwód swoich rodziców i chciała zachować choć pozory rozstania jako przyjaciół.

Przyglądała się Nadii Evans i pocieszała faktem, że jest co najmniej równie ładna jak aktorka. Ostatnio jeszcze schudła, była teraz szczuplejsza niż przed ciążą. Czesła się w luźny kok nisko na karku - taka fryzura uwydatniała jej delikatne regularne rysy.

Wyczytano nazwiska aktorów nominowanych do nagrody. Humor Lilly pogarszał się z każdą chwilą. Jako nieodrodna córka Hollywood pragnęła być tam teraz razem z nim, dzielić moment chwały.

- Mamusiu, jak myślisz, tatuś wygra?

Rachel, wyjątkowo nieruchoma, zastygła na biało-czarnej podłodze i gapiła się w ekran.

- Oscara otrzymuje...

Lilly sięgnęła po pilota, wzmocniła dźwięk.

- Eric Dillon za *Małe zbrodnie!*

Rachel śmiała się i klaskała.

- Mamusiu, wygrał! Tatuś wygrał!

Lilly opadła z powrotem na kanapę. To kara za to, że się z nim rozwiodła. To ona powinna teraz siedzieć u jego boku, nie Nadia Evans. Gdyby nadal byli małżeństwem, byłby to także jej triumf.

Za późno jednak na żale. Przypominała sobie jego lodowaty gniew, gdy się dowiedział, że ma romans z Aaronem Blake'em. Ciekawe, co by zrobił, gdyby wiedział, że młody aktor nie był jej pierwszym kochankiem. Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, jak postępowała. Ilekroć zadawała się z nowym mężczyzną, miała nadzieję, że zdoła on wypełnić pustkę w jej życiu, ale nigdy się tak nie stało. Jedynym, który ją uszczęśliwił, był jej ojciec.

Nadia pocałowała Erica. Wstał, przeciskał się do schodów, przystawał, gdy ludzie klepali go po plecach. Wbiegł na scenę, wziął złotą statuetkę, uniósł ją wysoko nad głowę.

Widownia końcu ucichła i zaczął mówić.

- Wiem, że ta figurka ani powinna tyle znaczyć, a jednak...

Nie wytrzyma tego dłużej. Wyłączyła telewizor.

- Chcę zobaczyć tatusia! - zaprotestowała Rachel.

- Jutro. Czas spać.

- Ale ja chcę go zobaczyć. Dlaczego wyłączyłaś telewizor?

- Boli mnie głowa.

Na dworze zagrzmiało, ale nadal nie spadła ani kropla deszczu. Rachel wsunęła palec do buzi; niezawodny znak, że się denerwuje.

- Ułóż mnie, mamusiu.

Lilly spojrzała na córeczkę i przepełniła ją fala miłości do dziecka, które tak rzadko żądało od niej opieki. Razem poszły do sypialni, chwilowo

niesklócone. Na chwilę zatrzymała się przy pokoju Becki, zerknęła na drobny kształt pod kołdrą.

A co, jeśli opóźniona w rozwoju córka to kara za grzechy? Starła się przerwać strumień gorzkich myśli, które ją nawiedzały, ilekroć patrzyła na Becce i zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby Eric nie wybił jej z głowy aborcji. W głębi ducha wiedziała, że miał rację. Cieszyła się, że wydała je na świat.

Minęły kilka zdjęć portretowych, które zrobiła, zanim poznała Erica i dała sobie spokój z fotografią. Weszły do sypialni Rachel. Na ścianach wisiały plakaty Hulka Hogana, z którymi dziewczynka nie chciał się rozstać.

Dziewczynka wspięła się na łóżko i zniknęła pod kołdrą. Lilly otuliła ją szczelnie. Domem wstrząsnął kolejny grzmot.

- Mamusiu!
- Nie bój się, to tylko grzmot.
- Mamusiu, śpij ze mną.
- Jeszcze nie chce mi się spać.

Rachel się nadaśała.

- Tatusz ze mną śpi. I to całą noc.

Lilly zastygła w bezruchu. W jej głowie rozległ się przenikliwy, przeciągły dźwięk, narastał, stawał się nie do wytrzymania. Z trudem nabrała tchu.

- Co... co powiedziałaś?
- Tatusz śpi ze mną, kiedy się boję. Mamusiu, co się stało?

Hałas ją wciągał, zasysał. Porywał ją w wir, aż myślała, że rozpadnie się na kawałki. Osunęła się na posłanie, usiłowała nie zemdleć.

Głos Rachel zdawał się docierać z bardzo daleka.

- Mamusiu? Mamusiu?

Pokój powoli się uspokajał, Lilly wmawiała sobie, że w niewinnych słowach Rachel nie było nic, co mogłoby wywołać taki napad paniki. Jednak miała wrażenie, że zagrożona jest sama podstawa jej równowagi psychicznej. Zacisnęła palce na kołdrze, powoli starannie wymawiając słowa:

- Czy tatusz często z tobą śpi?

Kolejny grzmot. Szyby zadrżały w oknach. Rachel skuliła się pod kołdrą.

- Mamusiu, nie chcę spać sama.

Lilly starała się opanować drżenie głosu, ale daremnie.

- Opowiedz mi o tatusiu.

Rachel nie odrywała wzroku od okna.

- Boję się grzmotów. Tatusz mówi, że niepotrzebnie. Włosy mnie łaskoczą.

Serce Lilly waliło tak szybko, że nie mogła złapać tchu.

- Jak to: włosy łaskoczą?

- Łaskoczą mnie w nos, mamusiu.

- Włosy na głowie?

- Nie, głuptasie. Na brzuszku. - Poklepała się po piersi. - Tutaj.

Kłykcie Lilly zbiełały, tak mocno zaciskała ręce na kołdrze.

- Tatus... och, na pewno. - Usiłowała roześmiać się beztrzesko, ale zabrzmiało to jak szloch. - Oczywiście tatuś jest w piżamie, kiedy z nim śpisz, prawda?

Rachel ciągle gapiła się w okno.

- Boję się, jak tak huczy, mamusiu.

- Posłuchaj mnie, Rachel! - Jej głos przeszedł w histeryczny pisk. -

Czy tatuś ma na sobie piżamę, kiedy z tobą śpi?

Rachel zmarszczyła czoło.

- Mamusiu, tatuś nigdy nie nosi piżamy.

O Boże, o mój Boże. Chciała wybiec z tego pokoju, uciec przed czarnym wirem, który ją wysałał, niósł w stronę nieokreślonej, nienazwanej grozy. Szczękała zębami.

- Czy tatuś... Czy tatuś cię dotyka, Rachel.

Rachel wsadziła palec do buzi i twierdząco skinęła głową.

W żyłach Lilly nie płynęła już krew, tylko lodowata woda. Złapała córkę za ramię.

- Gdzie cię dotyka?

- Becca śpi.

Chciała zniknąć, uciec, nie być sobą, schować się przed koszmarnym wirem, ale nie zostawi córki.

- Skup się, Rachel. Czy tatuś kiedyś dotykał cię... - Czy tatuś... - Rozpłakała się.

Rachel patrzyła na nią z przerażeniem.

- Mamusiu, co ci się stało?

Słowa popłynęły nagle:

- Czy tatuś... dotykał cię... między nogami?

Rachel skinęła głową i przewróciła się na bok.

- Idź sobie, mamusiu.

Lilly rozszlochała się na dobre.

- Och, kochanie. - Przytuliła córeczkę do siebie. - Moje biedne kochanie.

- Mamusiu, przestań! Boję się!

Lilly musiała zadać jeszcze jedno, najgorsze pytanie. Niech to nie będzie prawda. Błagam, niech to nie będzie prawda. Odsunęła się na tyle, by widzieć buzię córeczki, już nie gniewną, tylko bladą z niepokoju. Łzy Lilly padały na satynową pościel.

- Czy tatuś... Och, Rachel... Czy tatuś pokazał ci swojego... swojego członka?

Przeżona Rachel znowu skinęła głową.

- Mamusiu, boję się.

- Wiem, skarbie. Moje biedne maleństwo. Nie pozwolę, by cię skrzywdził. Obiecuję. Nigdy więcej cię nie skrzywdzi, Lilly.

Kołysała ją i tuliła, przysięgła, że będzie ją chronić. Może nie jest najlepszą matką, ale w tym względzie nie zawiedzie.

- Mamusiu, boję się ciebie. Mamusiu, dlaczego mówisz do mnie Lilly?

- Słucham, kochanie?

- Powiedziałaś „Lilly”. To twoje imię, nie moje. Powiedziałaś „Lilly”.

- Chyba nie.

- A właśnie że tak, mamusiu.

- Śpij już, skarbie. Ciii... Mamusia jest przy tobie.

- Chcę do tatusia.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Nie pozwolę, by cię znowu skrzywdził.

Eric wrócił do domu dopiero o siódmej następnego ranka. Miał za sobą wywiady, zdjęcia, trzy przyjęcia i wczesne śniadanie. Nadia towarzyszyła mu do czwartej, dla niego jednak było to za wcześnie na sen. Nie chciał, by najważniejsza noc jego życia skończyła się tak szybko.

Wysiadł z limuzyny i ruszył do domu ścieżką wyłożoną kocimi łbami. Rozwiązał muchę, rozpiął koszulę pod szyją przerzucił marynarkę przez ramię. Na złotej statuetce Oscara lśniło poranne słońce. Poczul, że w jego życiu wreszcie wszystko się układa. Ma pracę, ma córki... po raz pierwszy, odkąd skończył piętnaście lat, nie czuł do siebie nienawiści.

Limuzyna odjechała. Dopiero wtedy dostrzegł Lilly czekającą przy samochodzie. Dobry humor zniknął bez śladu. Dlaczego nie pozwoli mu rozkoszować się sukcesem? Zbliżała się, a jego gniew ustąpił zaniepokojeniu. Lilly zawsze przesadnie o siebie dbała, a teraz była w pogniecionym ubraniu, pod oczami miała zacieki z tuszu, a na ustach nie został nawet ślad po szmince, srebrzyste włosy wymykały się z misternego zawyczaj koka.

Podbiegł do niej przerażony nie żarty.

- Co się stało? Coś z dziewczynkami?

Zacisnęła usta. Wyglądała staro i brzydko.

- Coś się stało, a jakże, ty zbrojeńcu.

- Lilly...

Chciał wziąć ją za rękę, ale wyrwała mu się energicznie. Wyszczrzyła zęby jak rozwścieczone zwierzę.

- Nie waż się mnie dotykać!
- Może lepiej wejdziemy do środka - zaproponował, z trudem zachowując spokój.

Nie czekał, aż odmówi. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Poszła jego śladem. Od razu skierował się do salonu po lewej stronie holu. Lilly oddychała ciężko, z trudem.

Eric cisnął marynarkę i Oscara na najbliższy fotel, stojący obok szafki z nieheblowanego drzewa. Poranne słońce zaglądało w okna, zalewało podłogę światłem. Stał w takim właśnie jasnym prostokącie.

- Uporajmy się z tym szybko, żebyś mógł się położyć. O co chodzi tym razem? Chcesz więcej pieniędzy?

Odwrociła się ku niemu gwałtownie, blada ze zdenerwowania; jej usta drżały. Jak zwykle, gniew przeszedł w poczucie winy. Zawsze miał wyrzuty sumienia: Lilly nie jest zła, a jednak nie umiał jej kochać tak, jak na to zasługiwała.

- Lilly, co się stało?
- Rachel mi powiedziała. W nocy.
- Co ci powiedziała? - zdziwił się. - Coś jej się stało?
- Ty powinieneś wiedzieć najlepiej. Czy Becce też to zrobiłeś? - Miała łzy w oczach. Osunęła się na kanapę, ukryła twarz w dłoniach. - Mój Boże, nie zniosę myśli, że tknąłeś także i Beckę. Jak mogłeś, Eric? To obrzydliwe.

Dopiero teraz przeraził się naprawdę.

- Co się stało? Powiedz!
- Twój mały nieprzyzwoity sekret wyszedł na jaw - stwierdziła z goryczą. - Rachel mi wszystko powiedziała. Groziłeś jej, Eric? Groziłeś, że zrobisz jej coś strasznego, jeśli komuś o tym powie?
- Powie o czym? Na miłość Boską, o czym ty mówisz?
- O tym, co jej zrobiłeś. Powiedziała mi... powiedziała mi, że ją molestowałeś.

- Co takiego?

- Wiem wszystko.

Umilkł, dopiero po dłuższej chwili wy dobył z siebie ochryply szept:

- Lepiej powiedz mi wszystko. Od samego początku.

Lilly zmrużyła oczy. Boże, jak bardzo go nienawidzi. Mówiła szybko, niewyraźnie.

- Wczoraj wieczorem układałam ją do snu. Grzmiało. Poprosiła, żebym z nią spała. Kiedy odmówiłam, powiedziała, że ty jej na to pozwalasz.
- No pewnie. Zawsze, kiedy się boi. Co w tym złego?
- Powiedziała, że nie nosisz piżamy.
- Lilly, nigdy nie śpię w piżamie, przecież o tym wiesz. Kiedy dziewczynki są w domu, mam slipy.

- To jest chore, Eric. Jak mogłeś zabierać ją do łóżka?
- Co w tym chorego? Co ci odbiło, do cholery?
- Cóż za święte oburzenie! - zakpiła. - Nie wysilaj się, sukinsynu. Powiedziała mi wszystko, ze szczegółami. - Nienawisć wykrzywiła ładną twarz Lilly, aż przypominała paskudną maskę. - Powiedziała, że widziała twoje go ptaka.

- Bo pewnie widziała. Jezu Chryste, Lilly, czasami dziewczynki wchodzi do łazienki, kiedy się ubieram. Nie obnażam się przed nimi, ale też nigdy nie chowałem się po kątach.

- Ty draniu. Myślisz, że masz odpowiedź na wszystko? Właśnie że nie. Powiedziała mi coś jeszcze. Powiedziała, że ją dotykałeś między nogami.

- Kłamiesz! Nie mogła tego powiedzieć. Nigdy...

A jednak to robił. Zazwyczaj Carmen kapała dziewczynki, ale nieraz ją wyręczał.

- Posłuchaj, Lilly, doszukujesz się obrzydliwości w całkowicie normalnych stosunkach. Zdarzało mi się je kapać odkąd przyszedł na świat. O to chodziło Rachel. Zapytaj ją. Albo zróbmy to razem.

Podszedł do Lilly, ale zerwała się z kanapy. Widząc, jak jest przerażona, zatrzymał się w pół kroku. Jej twarz ściągnęła się w grymasie.

- Nie zbliżysz się do nich na milę. Ostrzegam cię, Eric. Trzymaj się od nich z daleka, bo inaczej ani się obejrzysz, a wylądujesz w więzieniu. Może nie jestem najlepszą matką, ale zrobię co w mojej mocy, by je przed tobą uchronić. Jeśli uznam, że coś im zagraża z twojej strony, natychmiast zawiadomię policję. Mówię poważnie. Nie powiem ani słowa, dopóki będziesz od nich z dala, ale jeśli nawiążesz z nimi kontakt, wszystkie brukowce w całym kraju poznają szczegóły tego, co zrobiłeś Rachel.

Wybiegła z pokoju.

- Lilly! - Rzucił się za nią, ale po chwili zmienił zdanie. Musi wziąć się w garść i pomyśleć.

W paczce nie został ani jeden papieros. Zgniótł puste opakowanie, cisnął w stronę kominka. Przeraziła go pewność, którą widział oczami Lilly. Szczerze wierzyła w to, co mówił. Ale jak mogła uwierzyć w tak okropne rzeczy, skoro wiedziała, jak bardzo on kocha córki? Przechadzał się nerwowo, usiłował przypomnieć sobie, co było między nim a dziewczynkami. Przecież to bezsensowne, idiotyczne!

Stopniowo się uspokajał. Nie może podchodzić do tego emocjonalnie, musi myśleć logicznie. To tylko kolejna depresja Lilly, udowodni to bez trudu. Na całym świecie ojcowie kąpią swoje córki i zabierają je do łóżka, gdy dziewczynki się boją. Jego prawnik załatwi to w gnieniu oka.

- Eric, od naszej ostatniej rozmowy sporo się dowiedziałem o seksualnym molestowaniu dzieci. To może być bardziej skomplikowane, niż ci się wydawało.

Mike Longacre pochylił się nad biurkiem. Nie miał jeszcze czterdziestu lat, ale postarzały go rzadkie włosy i pulchna sylwetka. Reprezentował Erica podczas rozwodu i obu mężczyzn połączyła niezobowiązująca przyjaźń. Razem łowili na pełnym morzu i grali w golfa.

Eric poderwał się z krzesła, przeczesał włosy palcami. Tej nocy nie zmrzyzył oka, trzymał się na nogach dzięki papierosom i adrenalinie.

- Jak to: bardziej skomplikowane? Przecież to stek bzdur. Prędzej obciąłbym sobie rękę, niż skrzywdził córki. Zagraża im szaleństwo Lilly, nie ja.

- Seksualne wykorzystywanie dzieci to grząski grunt.

- Chcesz powiedzieć, że Lilly ktoś uwierzy? Przecież wiesz, co mi powiedziała. Opacznie zrozumiała niewinne stwierdzenia Rachel.

- Rozumiem, ale radzę ci zachować ostrożność. Seksualne wykorzystanie dzieci to jedyne przestępstwo, przy którym podejrzany nie ma żadnych praw. Jest winny, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności. Nie zapomnij, że przerażająco wysoki odsetek oskarżeń okazuje się słuszny, a nadrzędnym celem jest dobro dzieci. Niezliczone rzesze ojców molestują swoje córki każdego dnia.

- Ale ja nie! Na Boga, moich dzieci nie trzeba chronić przede mną! Do licha, Mike, powstrzymaj to, zanim Lilly posunie się dalej.

Prawnik bawił się złotym wiecznym piórem.

- Pozwól, że ci wyjaśnię, jak to wygląda. Kiedyś wierzono, że dzieci nigdy nie kłamią w sprawach o wykorzystywanie seksualne, ale przekonaliśmy się, że można nimi manipulować. Powiedzmy, że matka otrzymała rozwód nie na takich zasadach, na jakich chciała. Były mąż rozbija się bmw, a jej nie stać nawet na kosmetyki. Może szanowny małżonek chce zmienić postanowienia dotyczące opieki nad dzieckiem, może nie płaci alimentów...

- Nic z tych rzeczy nie dotyczy Lilly. Dałem jej wszystko, czego chciała. Mike przerwał mu, unosząc dłoń.

- Z niewiadomych powodów kobiety często czują się bezradne w sprawach rozwodowych. Może dzieciak powiedział coś, co dało jej do myślenia. Zaczyna pytać. „Czy tatuś cię tu dotykał?”. Wpycha dzieciakowi cukierki do buzi. Dzieciak zaprzecza, a ona dalej: „Na pewno? Pomyśl dobrze”. Dzieciak jest zachwycony, że mamusia poświęca mu tyle uwagi, i zaczyna zmyślać, żeby sprawić jej przyjemność. Znane są nawet przypadki, gdy matki groziły samobójstwem, jeśli dzieciak nie zezna tego, co im kazały.

- Lilly by tego nie zrobiła, nie jest potworem. Kocha dziewczynki.

W gabinecie zapanowała cisza.

- Więc o co tu chodzi, Eric? - przerwał milczenie Mike.

Eric z trudem przełknął ślinę, zapatrzył się w dal.

- Nie mam pojęcia. Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia. Popatrzył na prawnika, gdy uderzyła go nowa myśl. - Rachel to mały uparciuch. Ma dopiero pięć lat, ale wątpię, by dała sobą manipulować. Zatrudnimy najlepszych psychiatrów. Niech z nią porozmawiają...

- Teoretycznie to doskonały pomysł, ale w praktyce może się obrócić przeciwko nam.

- Nie rozumiem. Jest inteligentna, umie się wysławiać, jest...

- Przede wszystkim jest dzieckiem. Posłuchaj, Eric. Nie mamy tu do czynienia z nauką ścisłą. Większość specjalistów z zakresu seksualnego wykorzystywania dzieci to doskonale wyszkoleni, kompetentni fachowcy. Ale to nowa dyscyplina. Nawet najlepsi popełniają błędy. Dochodziło do przerażających pomyłek. Wyobraź sobie taką sytuację: pokazują dziewczynce lalkę męską ze wszystkimi anatomicznymi szczegółami. Mała nigdy nie widziała czegoś takiego i zaciekawiona ciągnie za członek. Bingo. Nadgorliwy biegły interpretuje to jako dowód wykorzystywania. Nie przesadzam. Takie rzeczy zdarzają się codziennie i nie mamy żadnych gwarancji. Przykro mi. Chciałbym powiedzieć, że psychologiczne badanie Rachel oczyści cię z zarzutów, ale nie mogę. Prawda jest taka, że jeśli podejmiesz jakiegokolwiek kroki, zagrasz w rosyjską ruletkę. Nie zapomnij też, że przesłuchiowano by również Rebeckę. A ją chyba nietrudno odpowiednio ustawić?

Eric zacisnął powieki. Stracił resztkę nadziei. Kochana, słodka Becca powie wszystko, byle sprawić innym przyjemność.

Krzesełło zaskrzypiało, gdy Mike się poruszył.

- Zanim się zdecydujesz, czy warto zaprzeczać Lilly, rozważ konsekwencje. Kiedy złożysz doniesienie o przestępstwie, wszystko potoczy się błyskawicznie. Zabiorą ci dziewczynki na czas trwania śledztwa.

- Jak to możliwe? Nie mam żadnych praw?

- Powiedziałem ci, że w sprawach o molestowanie seksualne dzieci podejrzany jest winny, aż udowodni swoją niewinność. Najważniejsze jest dobro dzieci. Możesz liczyć tylko na spotkania w obecności osób trzecich. Dochodzenie, przynajmniej teoretycznie, będzie tajne, ale będą przesłuchiwali nauczycieli dziewczynek, znajomych, sąsiadów, służbę. Nawet dureń by się zorientował, co się święci, a ponieważ chodzi o ciebie, sprawa trafi do gazet na długo przed tym, zanim dotrze na wokandę. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak to się odbije na twojej karierze. Widzowie zniosą wiele, ale...

- Gównu mnie to obchodzi!

- Nie mówisz poważnie. - Machnął ręką i ciągnął dalej. - Dziewczynki zostaną zbadane. Nieraz, jeśli sprawa się przeciągnie.

Ericowi zrobiło się niedobrze. Jak mógłby narazić na to córki? Jak mógłby tak je skrzywdzić? Są niewinne. Kiedy przyszły na świat, myślał, że wyrwał się z diabelskiego kręgu, ale to tylko łudzenie. Dlaczego wiesznie krzywdzi niewinne istoty?

- Badanie lekarskie wykaże, że nic im nie zrobiłem - stwierdził.

- Może w filmie. W rzeczywistości w większości przypadków nie ma śladów fizycznych, bo wykorzystanie seksualne ogranicza się do stymulacji i pieszczot oralnych. Nienaruszona błona dziewicza niczego nie dowodzi.

Eric miał wrażenie, że ściany gabinetu zamykają się nad nim. Nie wierzył, nawet przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości, że straci córki. Zaraz się obudzi i okaże się, że to tylko koszmar.

Prawnik pokręcił głową.

- Kiedy Lilly wnieś oskarżenie, poczujesz się, jakbyś miał pistolet przy głowie. W twoim wypadku, jako że jesteś sławny, będzie jeszcze gorzej. Mam tylko jedną dobrą wiadomość. Wielu mężczyzn bankrutuje, udowadniając swoją niewinność. Tobie przynajmniej to nie grozi.

- Tylko tyle możesz mi powiedzieć? Że stać mnie na obronę? Co to za pociecha, kurwa mać?

Longacre wyprostował się urażony.

- Trzeba się było zastanowić, zanim wziąłeś córkę do łóżka.

Eric nie wytrzymał. Pochylił się nad biurkiem, złapał prawnika za kołnierz.

- Ty sukin...

- Eric!

Wziął zamach pięścią. Powstrzymało go przerażenie w oczach Longacre'a. Puścił go niechętnie. Mike dyszał ciężko.

- Ty durniu.

Eric drżał na całym ciele.

- Przepraszam, ja...

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Wybiegł z gabinetu. Czuł, że musi zobaczyć dziewczynki. Pojechał do Lilly. Niestety, dom był zamknięty na głucho. Stary ogrodnik powiedział mu, że Lilly wyjechała z kraju. Zabrała dzieci ze sobą.

Trzy tygodnie później Eric poleciał do Paryża, gdzie grupa prywatnych detektywów namierzyła Lilly i dziewczynki. Patrzył niewidzącym wzrokiem na nabrzeże de la Tournelle. Te trzy tygodnie były najdłuższe w jego życiu. Za dużo pił, palił i pracował, a jednocześnie nie był w stanie skupić się na roli.

Taksówka przejechała most i oto znalazł się na malutkiej wysepce Saint-Lous na środku Sekwany. Kierowca bezustannie uśmiechał się do niego w tylnym lusterku. Eric już dawno pogodził się z faktem, że niewiele jest

miejsc na ziemi, gdzie jego twarz nie byłaby powszechnie znana. Zerknął na lewo, gdzie wznosiła się imponująca katedra Notre-Dame, ale nie dostrzegł smukłych wież ani charakterystycznej bryły świątyni.

Taksówka zatrzymała się przed domem, którego numer podali mu detektywi: siedemnastowieczna kamienica przy modnym nabrzeżu d'Orleans. Eric zapłacił i podniósł wzrok na okna na drugim piętrze. Zasłony poruszyły się; Lilly go obserwowała.

Pragnął zobaczyć dzieci, zdawał sobie jednak sprawę, że sytuacja jest zbyt delikatna, by zjawił się niespodziewanie, więc rano zadzwonił do Lilly. Początkowo nie zgadzała się na spotkanie. Dopiero gdy zrozumiała, że Eric zjawi się z jej pozwoleniem czy bez niego, powiedziała, by przyjechał o jedenastej, kiedy dziewczynek nie będzie w domu.

Do budynku z piaskowca prowadziły jasnoniebieskie drzwi. Białe okiennice stanowiły uroczy kontrast dla różowego geranium w doniczkach. Już miał zapukać, gdy drzwi otworzyły się i Lilly stanęła na progu.

Była zmęczona i blada, miała, podkrążone oczy.

- Trzymaj się od nas z daleka - powiedziała, otulając się swetrem, choć na dworze było ciepło.

- Musimy porozmawiać.

Dostrzegł grupę turystów zmierzającą w ich stronę i pospiesznie odwrócił głowę. Ostatnie, na co ma teraz ochotę, to rozdawanie autografów. Nerwowo wyszarpnął okulary słoneczne z kieszeni koszuli.

- Tu jest za dużo ludzi. Czy możemy wejść do środka?

- Nie chcę, żebyś się zbliżał do ich rzeczy.

Rozzłościła go ta uwaga. Przez chwilę miał ochotę uderzyć Lilly, ale tylko złapał ją za ramię i pociągnął nad rzekę, na małą ławeczkę pod drzewami.

Wysokie topole rzucały przyjemny cień, słońce prześlizgiwało się między liśćmi. Minęła ich para zakochanych, tak mocno objętych, że nie sposób było określić, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

Lilly usiadła na ławeczce, nerwowo splatała i rozplatała dłonie. Eric stał i gapił się w przestrzeń. Do końca życia będzie nienawidził Paryża.

- Nie mam zamiaru dłużej tego znosić, Lilly. Chcę zaryzykować i iść do sądu.

- Nie możesz! - krzyknęła.

- Poczekaj, sama się przekonasz.

Popatrzył na nią. Miała paznokcie obgryzione do tego stopnia, że opuszki palców nabiegły krwią. Dyszała ciężko, jak po długim biegu.

- To ci zrujnuje karierę.

- Nie dbam o to! - krzyknął. - Bez dzieci kariera nic dla mnie nie znaczy.

- A to czemu? - zachnęła się. - Nie możesz sobie znaleźć nikogo, kto spełniałby twoje zachcianki w łóżku?

Złapał ją za ramiona. Jęknęła, chciała mu się wyrwać. Wściekłość niemal go zaślepiła. Pohamował się w ostatniej chwili. Zaklął głośno i zdjął okulary. Zrobił to tak gwałtownie, że pękły mu w rękę. Cisnął je do Sekwany.

- Niech cię piekło pochłonie!

- Nie zbliżysz się do nich! - krzyknęła. - Jeśli wniesiesz sprawę do sądu albo zrobisz cokolwiek, żeby je odzyskać, wyślę je.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Jak to: wyślesz?

Na jej skroni pulsowała błękitna żyłka.

- Jest taka podziemna organizacja, która chroni dzieci, jeśli zawiedzie sprawiedliwość. Nielegalna, ale skuteczna. - W szarych oczach błyszczała gorycz. - Wiedziałam, że będziesz chciał je odzyskać, więc sporo się dowiedziałam przez ostatnich kilka tygodni. Wystarczy jedno moje słowo, a dziewczynki znikną na zawsze. Żadne z nas nie będzie ich miało.

- Nie mówisz poważnie. Nie oddałabyś ich obcym.

- Obcy nie robią im krzywdy, a ja zrobię, co w mojej mocy, by były bezpieczne. Gniew minął równie nagle jak nadszedł. Eric widział, jak bardzo jest zmęczona, ale jej nie współczuł.

- Proszę - szepnęła. - Nie zmuszaj mnie, bym je wysłała. Już straciły ojca. Nie chcę, by straciły także i matkę.

Widać było, że Lilly nie rzuca słów na wiatr. Naprawdę wierzy, że Eric skrzywdził dziewczynki.

Narastał w nim ból, ból nie do wytrzymania.

- Jak możesz wierzyć, że zrobiłem im krzywdę? - zapytał ochryple. - Dlaczego posadzasz mnie o coś takiego? Lilly, na Boga, wiesz przecież, jak je kocham.

Rozpłakała się.

- Wiem tylko, że muszę je chronić. Zrobię to nawet za cenę rozstania. Żadna dziewczynka nie powinna przechodzić przez to, co one. - Wstała i odwróciła się na pięcie.

- Powiedz mi chociaż, jak się mają. Błagam, Lilly. Chociaż tyle.

Pokręciła głową i odeszła. Eric został sam.

Rozdział dwudziesty pierwszy

NA ZEWNĄTRZ. OGRODZENIE NIEDALEKO RANCZA DZIĘŃ.

Dash i Janie stoją przy ogrodzeniu. Dash ściska w dłoni pognieciony list.

JANIE

Blake napisał? Kiedy dostanie przepustkę?

DASH

Nie, Blake. To list od twojej babci.

JANIE

(podniecona)

Od babci? Nie wiedziałam nawet, że mam kogoś takiego!

DASH

Pamiętasz, co ci mówiłem o twojej mamie?

JANIE

(radośnie)

Pewnie. Mówiłeś, że nie znałeś równie słodkiej dziewczyny i że nie pojmujesz, jak mogła wydać na świat diabelskie nasienie, czyli mnie.

DASH

Była słodka, a jakże, Janie. Ale powiedziałem ci także, że była sierotą, a to nieprawda.

JANIE

Nieprawda? Okłamałeś mnie, tatusiu? Dlaczego?

DASH

Rodzice twojej mamy wyrzucili ją z domu, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat. Byli bardzo konserwatywni. Nie miała męża, a była w ciąży z tobą.

JANIE

(zbita z tropu)

Chcesz powiedzieć, że musiałeś się z nią ożenić?

DASH

Ożeniłem się z nią z własnej, nieprzymuszonej woli, niczego nie musiałem.

Patrzy na list.

DASH

Twój dziadek umarł w zeszłym roku, a babcia się starzeje, tak tu jest napisane. Chciałaby cię poznać, więc wynajęła prywatnego detektywa, który nas odnalazł. Z tego listu wynika, że będzie tu łađa dzień.

JANIE

Jejku! Nie do wiary! Myślisz, że ma włosy upięte w mały koczek i piecze domowe ciasteczka?

DASH

Janie, jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Właściwie powinienem być ci o tym powiedzieć już dawno temu, ale... no, sam nie wiem, jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Teraz nie mam wyboru. Babcia wie, jak było naprawdę, i jeśli ja ci tego nie powiem, zrobi to ona.

JANIE

Denerwujesz mnie, tatku.

DASH

Przykro mi, Janie. Nie wiem, jak to powiedzieć, więc powiem wprost. Twoja mama już była w ciąży, kiedy ją poznałem.

JANIE

Ależ to się nie trzyma kupy. Jak mogła... chcesz powiedzieć, że... że tak naprawdę nie jesteś moim ojcem?

DASH

Mniej więcej tak to wygląda.

- Boże, jakie to głupie! - Honey z głośnym hukiem zatrasnęła scenariusz ostatniego odcinka *Dash Coogan Show*.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o mnie? - Dash stanął w drzwiach przyczepy. Honey leżała na kanapie zwinięta w kłębek. Miał na sobie džinsy i tweedową marynarkę.

Byli małżeństwem od pięciu lat, ale ilekroć go widziała, serce stawało jej w gardle. Nie przypuszczała, by kiedykolwiek przestała podziwiać jego wspaniałą twarz o surowych rysach, tak twardej, jakby wyrzeźbiły je wiatr i piach pustyni.

Dash schował klucz do kieszeni, pochylił się i pocałował żonę.

- Co prawda nie chodzę na zajęcia do college'u jak niektórzy, ale mimo wszystko nie uważam się za głupca.

Głośno roześmiała się, otoczyła jego szyję ramionami, przyciągnęła do siebie.

- Jesteś przebiegły jak lis, stary kowboju.

Pocałował ją jeszcze raz, wsunął dłoń pod jasnoniebieski sweterek.

- Zdawało mi się, że miałś pisać esej na zajęcia z literatury.

- Miałam. Ale... - Wypuściła go z objęć. - Wczoraj starałam się zaprowadzić jaki taki porządek w norze, którą nazywasz salonikiem, i natknęłam się na scenariusze z ostatniego sezonu. Chciałam jeszcze raz rzucić okiem na ostatni odcinek i przekonać się, czy rzeczywiście jest tak beznaoczny, jak mi się wydawało!

Zdjął marynarkę, cisnął ją na krzesło.

- Wystarczyło mnie zapytać, a powiedziałbym ci, że jest jeszcze gorzy, niż ci się wydawało!

Wstała z kanapy i podeszła do stoliczka, na którym bulgotał ekspres do kawy. Ilekroć wyjeżdżała z Dashem na plan, dbała, by zawsze miał świeżą kawę. Akurat przebywali we wschodniej części Los Angeles, w dzielnicy cieszącej się nie najlepszą sławą. Dash kręcił niskobudżetowy film sensacyjny o teksańskim gliniarzu współpracującym z policją. Podała mu kubek parującej kawy, nalała sobie. Oparła się o blat, skrzyżowała nogi w kostkach. W jasnoniebieskim sweterku, białej dżinsowej spódnicy, błękitnych skarpetkach i białych tenisówkach wyglądała jak trzynastolatka. Dash żartował, że nie chce, by go aresztowali za uwodzenie nieletniej.

Upiła łyk kawy.

- Nie pojmuję, dlaczego scenarzyści mieli taki głupi pomysł.

Dash usiadł na kanapie i wyprostował nogi. - Zanim wyświetlono ten odcinek, nikt już nas nie oglądał, więc to chyba nie miało szczególnego znaczenia.

- Dla mnie miało. Nie podobało mi się, że chcieli ratować serial, wmaiwając wszystkim, że Dash i Janie w rzeczywistości nie są rodziną. To jeszcze głupsze niż sen Bobby'ego w *Dallas*.

- To był sen Pam, nie Bobby'ego. I nic nie może się z tym równać.

Policyjna syrena zakłóciła beztroski nastrój. Dash skrzywił się nagle.

- Cholera. Nie wiem, czemu pozwoliłem ci tu dzisiaj ze mną przyjechać. To zbyt niebezpieczna okolica.

Honey przewróciła oczami.

- Znowu się zaczyna! Tatuś Dash jest nadopiekuńczy!

- Nadopiekuńczy! Masz pojęcie, ile osób tu zginęło w ciągu ostatnich miesięcy? A zakichana firma producencka nie zatrudniła ochroniarzy. Pewnie nawet nie wystąpili do władz miasta o zgodę na kręcenie.

- Dash, drzwi są cały czas zamknięte na klucz, a ja nie wytykam nosa poza przyczepe. Wiesz, że muszę napisać ten esej z literatury, a tu warunki są wręcz idealne, bo nic mnie nie rozprasza. Na ranczu albo wybrałabym się na przejażdżkę, albo kopałabym w ogródku, albo piekła ci ciasto czekoladowe.

Narzekał jeszcze przez chwilę, ale skwitowała to współczującym uśmiechem. Starła się nie kpić zbyt z jego nadopiekuńczości, bo wiedziała, skąd się bierze: nieważne, jak bardzo był pewien jej miłości, mały chłopiec gdzieś głęboko w nim cały czas obawiał się, że straci osobę, którą kocha.

- To moja wina - mówił. - Tak bardzo lubię twoje towarzystwo, że tracę resztki zdrowego rozsądku. Rozmasuj mi plecy, dobrze? Wczorajsza scena walki strasznie dała mi w kość.

Odwrócił się bokiem, więc podeszła do kanapy i ukłękła za nim. Założyła włosy za uszy, żeby nie przeszkadzały. Gdy pochyliła głowę, spłynęły na ramię miodowym wodospadem. Dash pochylił się w jej stronę i zaczęła masaż. Zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego silnego twardego ciała. Ich małżeństwo przyniosło jej więcej szczęścia, niż była sobie w stanie wyobrazić. Ani kłopoty finansowe, ani zawodowe nie sprawiały, że żałowała tamtego kroku.

- Jestem za stary na zabawę w policjantów i złodziei - burknął.

- Przecież w lecie stuknie ci dopiero pięćdziesiątka. Jeszcze daleko do wiekowego staruszka.

- W tej chwili czuję się jak stulatek. Niewykluczone, że przyczynia się do tego nienasycona młodzianka żona.

Dotknęła ustami jego karku, a jej dłonie zabłądziły nisko, aż do paska dzinsów.

- Masz ochotę na szybki numerek?

- Czy przypadkiem nie robiliśmy tego wczesnym rankiem?

- Wszystko, co miało miejsce przed szóstą rano, zalicza się o dnia poprzedniego.

- A to czemu?

- Czas jest pojęciem względnym. Nauczyłam się tego na kursie filozofii w zeszłym roku. - Wsunęła palce pod pasek. - To zagadnienie zbyt skomplikowane, by zrozumiał je prosty poganiacz krów, więc musisz mi uwierzyć na słowo.

- Naprawdę? - Gwałtownie pochylił się do przodu, tak że zawisła na jego ramieniu.

- Hej!

Posadził ją sobie na kolanach.

- Wydaje mi się, że komuś woda sodowa uderza do głowy.

Wierciła się przez chwilę, aż znalazła najwygodniejszą pozycję w jego ramionach. Z powagą zajrzała mu w oczy.

- Czy czasem żałujesz, że się ze mną ożeniłeś?

Nakrył jej pierś dłonią, masował lekko.

- Mniej więcej sto razy dziennie. - Przyciągnął ją do siebie. - Kochanie moje, czasami mi się wydaje, że zacząłem żyć dopiero po naszym ślubie.

Cieszyły ją te słowa. Ich związek tym był dla niej ważniejszy, że nie wszystko układało się idealnie. Od samego początku mieli wiele problemów: gryzły ich wyrzuty sumienia, że serial stracił oglądalność z ich powodu, upokarzały artykuły we wszystkich gazetach. Jakby tego było mało, córka Dasha nienawidziła Honey całym sercem.

Większość tych problemów nie zniknęła. Dopiero niedawno skończyły się ich tarapaty finansowe. Honey, wbrew radom Dasha, nie zablokowała swoich oszczędności zaraz po ślubie. Przeciwnie, spłaciła nimi znaczną część jego długu wobec urzędu skarbowego. Był wściekły, kiedy się dowiedział, ale Honey nie żałowała ani centa. W końcu spłacili wszystko i teraz mogli zacząć oszczędzać na przyszłość.

Dużo trudniej przyszło im uporać się z konsekwencjami, jakie ich małżeństwo przyniosło Dashowi jako aktorowi. Honey było przykro, że mąż musi przyjmować role w niskobudżetowych filmach klasy B. Zbывał jej narzekania twierdzeniem, że i tak nigdy nie był wybitnym aktorem, a lepsza taka praca niż żadna.

Może rzeczywiście nie należał do mistrzów sztuki aktorskiej, ale przecież był kimś więcej: legendą. Ostatnim samotnikiem, który zawsze opowiada się po właściwej stronie i walczy o sprawiedliwość. Choćby nie wiadomo jak potrzebowali pieniędzy, nie pozwoli mu przyjąć roli, która zszargałaby ten wizerunek.

Dotknęła nosem kołnierzyka jego koszuli i pomyślała o ich największym, najbardziej bolesnym problemie, który nigdy całkowicie nie zniknął: Dash nie chce dać jej dziecka. Ten temat czał się na obrzeżach ich wspólnego życia jak nieproszony gość. Honey pragnęła dziecka, marzyła o kolorowych śpioszkach i główce pokrytej miękkim puchem. Dash powtarzał, że jest za stary na ojcostwo, zwłaszcza iż już udowodnił, że nie nadaje się do tej roli.

Nie wierzyła w te wykrety. Wiedziała, że tak naprawdę lęka się o nią, obawia się, że coś mogłoby jej się stać przy porodzie. Nie wiedziała jednak, jak pokonać strach biorący się z miłości.

Wsunął palec w jej włosy.

- Byłbym zapomniał - powiedział. - W telewizji sporo dzisiaj mówią o Ericu Dillonie.

-Arogancki gnojek.

- Ma co najmniej metr osiemdziesiąt. Nie rozumiem, czemu nazywasz go gnojkiem.

- Metr osiemdziesiąt? Czyli jest niższy od ciebie o dziesięć centymetrów. W mojej skali jest gnojkiem.

- Dziwna ta skala, zwłaszcza że szczyci się nią osobka, która sama nie sięga nawet najwyższej półki w kredensie.

- O ile zauważyłam, nie zaproponowałeś, że nazwałam go aroganckim gnojkiem. Pewnie odkał dostał Oscara, zrobił się jeszcze bardziej nieznośny niż dawniej.

- Nie był taki zły, Honey. Nie zwalaj na niego winy za to, że się w nim zakochałaś i biedaczysko musiał się przed tobą ukrywać.

- Nie zakochałam się w nim, Dashu Coogan, tylko zadurzyłam. Zakochałam się w tobie.

Uśmiechnął się.

- Tak się ostatnio zastanawiałem... Co byś powiedziała, gdybyśmy w lecie wyskoczyli na Alaskę i trochę się tam powłóczyli?

- Doskonały pomysł. Zawsze chciałam zobaczyć Alaskę.

- Nie musimy, jeśli nie masz ochoty. Może nie jestem multimilionerem, ale stać mnie na coś lepszego niż namiot. Jeśli chcesz pojechać do Paryża albo...

- Chcę, ale nie z tobą. Już sobie wyobrażam, jak przez cały czas narzekasz: a to na korki, a to, że wszyscy dokoła mówią po francusku... Może kiedy Liz znowu będzie leciała do Europy, wyskoczę z nią.

- Dobry pomysł.

Uśmiechnęli się do siebie. Oboje wiedzieli, że Honey nigdzie bez niego nie pojedzie. Przez całe dzieciństwo żyła bez miłości; teraz, gdy miała Dasha, nie chciała przebywać z nikim innym. Uzależniła się od niego tak, jak nigdy nie uzależniła się od nikogo, nawet jako dziecko. Był zarazem źródłem jej siły i słabości.

Przesunęła się odrobinę, żeby klamra jego paska nie wpijała jej się w bok. Przypomniała sobie, że przerwała mu w połowie zdania.

- Więc co z Erikiem?

- Ach, tak. Podobno nie wyrobił się na zakręcie wczoraj w nocy. Głupi sukinsyn jechał po pijanemu.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało?

- Nieźle się poharatał. Podobno się połamał, ale nie znam szczegółów. Na szczęście nikt inny nie ucierpiał.

- Trudno mu współczuć, prawda? Dopiero co zdobył Oscara. Jest bogaty, odnosi sukcesy, jego kariera rozwija się wspaniale. Ma dwie córki. Dlaczego pozwala sobie na taką nonszalancję?

- Nie zapominaj, że dorastał z pieniędzmi. Wątpię, by kiedykolwiek musiał ciężko pracować. Tacy jak on są zazwyczaj płytki i powierzchowni.

- Zabawne, że ktoś tak płytki jest tak wybitnym aktorem. Czasami przechodzi mnie dreszcz, kiedy go widzę na ekranie.

- To nie ma nic wspólnego z jego aktorstwem; to marne resztki twojej szczenięcej miłości.

Roześmiała się i pchnęła Dasha na kanapę. Uderzył głową o oparcie.

- Cholerna kocica - mruknął, gdy go pocałowała.

Wyciągnęła mu koszulę z džinsów.

- Ile mamy czasu, zanim musisz wrócić na plan?

- Niedużo.

- Zdamy.

Rozporek ustąpił pod jej palcami.

- Ostatnimi czasy kończysz tak szybko, że na pewno zdąży.

Opuścił podniesione rolety w oknie.

- Czyżbyś zarzucała mi spadek kondycji w wyczynach?

- Jak najbardziej.

Jego dłonie wślizgnęły się pod niebieski sweterek, rozpięty stanik. Musnął kciukami nabrzmiałe brodawki.

- Gdybyś się tak nie wierciła i nie dyszała mi do ucha, wytrzymałbym dłużej.

- Ja nie... jęczę. Ja... - Jęknęła. - och, to nie fair. Wiesz, że w tym miejscu jestem szczególnie wrażliwa.

- I w setce innych.

Odnalazł je błyskawicznie.

Kochali się namiętnie i radośnie. Gdy po spełnieniu leżeli wtuleni w siebie, Honey poczuła łyż pod powiekami. Boże, dzięki ci za niego. Wielkie dzięki.

Dash starannie zamknął za sobą drzwi przyczepy. Honey uniosła rolety, żeby jeszcze na niego popatrzeć. Szedł tym charakterystycznym, rozkołysanym krokiem, który tak bardzo kochała. Jej własny kowboj. Jej mąż. Gdyby jeszcze zgodziłby się dać jej dziecko, byłaby najszcześliwszą kobietą na świecie.

Widok za oknem był ponury, przygnębiający. Przyczepy i samochody ekipy filmowej stały na opuszczonym parkingu przy dawnej, nieczynnej już fabryce żarówek, gdzie kręcono dzisiejsze sceny. Odrapane mury były pokryte graffiti. Jak zwykle podczas zdjęć w plenerze, na planie zebrała się grupka gapiów: dzieciaki, które uciekły z lekcji, klienci pobliskich sklepów, rozmaici włóczędzy. Sprzedawca uliczny przesunął stragan bliżej i zachęcał do kupowania lodów.

Honey nie dała się jednak zwieść świątecznej atmosferze. Dash miał rację; to niebezpieczna dzielnica. Kiedy rano wysiadali z samochodu, tuż pod nogami zobaczyła zużytą igłę leżącą w szczelinie asfaltu.

Odeszła od okna. Musi się skupić nad esejem na zajęcia z literatury. Bez entuzjazmu przeglądała swoje notatki. Ma dwadzieścia pięć lat, jest

za stara na naukę. Może dlatego nie może się zabrać do tego eseju. Ponieważ nie myślała o przyszłości, zapisywała się na wykłady raczej z nudów niż z pragnienia wiedzy. Pragnęła niewiele - być żoną Dasha Coogana, matką jego dziecka i do końca życia grać Janie Jones. Wiedziała jednak, jak zareagowałby Dash, gdyby powiedziała, że nauka straciła dla niej urok.

- No i dobrze! Zadzwoń do twojego agenta, który chyba już ma dosyć bezrobocia, i zabieraj się do roboty przed kamerą, tam gdzie twoje miejsce.

Dash upierał się, że jest wspaniałą aktorką. Nie przekonywało go, że zagrała tylko jedną rolę. Chciałaby, żeby miał rację, chciałaby naprawdę mieć talent. Nawet jemu nie przyznawała, jak bardzo brakuje jej pracy przed kamerą.

Czasami, kiedy go nie było, odgrywała poszczególne sceny z różnych sztuk, od Szekspira po autorów współczesnych. Efekt był zawsze taki sam - katastrofa. Mówiła sztucznym, egzaltowanym głosem, jak licealiści w kółku teatralnym, i marzenia o powrocie do pracy rozwiewały się szybko. W ciągu minionych pięciu lat przeżyła wystarczającą dawkę upokorzeń ze strony prasy i widzów. Nie mogli jej odebrać tylko jednego - jej sukcesu jako Janie Jones. Nie robi niczego, by to popsuć.

Usiadła przy stole, ale nie mogła zabrać się do pracy. Rozmyślała o ostatniej rozmowie telefonicznej z Chantal. Kuzynka jak zwykle chciała pieniędzy, tym razem na rejs.

- Wiesz przecież, że mnie na to nie stać - tłumaczyła jej Honey. - Nie mam własnych dochodów i niedługo nie będę w stanie płacić za was rachunków. Musicie poszukać tańszego domu.

- Nie zaczynaj, Honey - jęknęła Chantal. - Nie zniosę tego teraz. Ostatnie pół roku było dla mnie i Gordona bardzo ciężkie, odkąd lekarze powiedzieli, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

Chantal powiedziała dokładnie to, co zawsze łagodziło gniew Honey. Zadziałało i tym razem.

- Chantal, wiesz, jak mi przykro z tego powodu. Może wyślemy cię do innego lekarza.

- Mam dosyć lekarzy - burknęła Chantal. - Wszyscy mówią to samo. Nie zniosę kolejnych badań. Zresztą, jeśli masz pieniądze na lekarza, znajdziesz i na rejs.

Wczoraj wieczorem Honey opowiedziała o tej rozmowie Dashowi, gdy szykowali się do snu. Jak zwykle wpadł w złość.

- Chantal cię wykorzystuje. Szczerze mówiąc, uważam, że kamień spadł jej z serca, że nie może mieć dzieci. Nie pojmujesz? Uzależniając Chantal i Gordona od siebie, pozbawiłaś ich szansy na normalne życie! Wydaje ci się, że wiesz najlepiej, co jest dla kogo dobre, ale możesz się mylić.

Energicznie odłożyła szczotkę do włosów.

- Nie rozumiesz, Dash. Praca nie leży w charakterze Chantal.
- Leży w charakterze każdego, o ile głód zagląda mu w oczy. A Gordon? Ma dwie ręce i dwie nogi. Może sam o siebie zadbać.
- Nie rozumiesz? Kiedy przyjechałam do Los Angeles, zagroził, że odbierze mi Chantal. Miałam tylko ją, nie mogłam do tego dopuścić.
- Manipulował tobą, i tyle.
- Może i tak. Ale nie mogę zostawić Chantal na lodzie, nie teraz, po śmierci Sophie. Minęły już trzy lata, a ona nadal się nie pozbierała.
- Ty opłakiwałaś Sophie dłużej niż Chantal.
- To nieprawda!

Nie odpowiedział, zajął się szorowaniem zębów. Honey wbiegła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi, Nie chciała nawet przed sobą przyznać, że Dash ma, przynajmniej częściowo, rację. Rzeczywiście, śmierć Sophie zabolala bardziej ją niż Chantal. Była taka bezsensowna, całkiem pozbawiona godności: ciotka udławiła się skrzydełkiem kurczaka, które Gordon kupił na wynos i odgrzał w mikrofalówce.

Sophie jeszcze na dobre nie spoczęła w grobie, a Buck Ochs już sprowadził do domu prostytutkę. Gordon wyrzucił go od razu, czym bardzo jej zaimponował. Z tego, co ostatnio słyszeli, wdowiec po Sophie pracował w parku rozrywki niedaleko Fresno.

Przerwała rozważania o rodzinie, skupiła na eseju. Dwie godziny później, po uporządkowaniu notatek i napisaniu kilku stron, wstała nalać sobie świeżej kawy. Wyrzała przez okno i zobaczyła Dasha. Szedł w stronę przyczepy wąską, brudną ulicą.

I znowu serce stanęło jej w gardle. Spojrzała na zegarek - dochodziła czwarta. Może już skończył i zaraz pojedą do domu? Z uśmiechem odsta-wiła kubek, podeszła do drzwi i stanęła w progu.

Późne popołudnie było duszne i upalne, raczej jak lipiec w Karolinie Południowej niż maj w Kalifornii. Powietrze było nieruchome, pachniało benzyną i spalinami. Dash skręcił z ulicy na parking. Pomachała do niego.

Unióś ramię, by odpowiedzieć tym samym gestem, ale nagle zastygł w bezruchu. Był na tyle blisko, że widziała, jak zmarszczył czoło. Wtedy usłyszała stłumiony kobiecy krzyk. Odwróciła się błyskawicznie.

Po jej prawej stronie dwie długie przyczepy tworzyły długi, ciemny tunel. Dostrzegła ruch. Podeszła bliżej.

Chudy młody mężczyzna w czerwonej podartej koszuli i czarnych spodniach ciągnął dziewczynę o latynoskich rysach w ciemny zaułek. Honey z przerażeniem obserwowała, jak pchnął ją na przyczepę i usiłował wyrwać torebkę, którą kobieta kurczowo tuliła do piersi. Dziewczyna szarpała się histerycznie, chcąc się uwolnić.

Honey ruszyła w ich stronę, zanim jednak zrobiła krok, usłyszała za sobą tupot. Dash wyminął ją, z całej siły pchnął w plecy, aż upadła.

Jęknęła z bólu, gdy gołe kolana uderzyły o asfalt. Zdarła sobie skórę z dłoni. Ale silniejsze, bardziej przenikliwe niż ból było straszne przecucie, które nagle ją ogarnęło. Gwałtownie podniosła głowę.

Widziała żółty kwiatowy wzór na spódnicy kobiety, słyszała jej rozpaczliwe krzyki, gdy z głupim uporem kurczowo ścisnęła torebkę.

Dash stał, tyłem do Honey, na szeroko rozstawionych nogach. Otworzyła usta, by krzyknąć, żeby był ostrożny, żeby nie udawał bohatera, żeby...

- Puść ją! - zawołał.

Honey wydawało się, że czas stanął w miejscu. Na zawsze miała zapamiętać następne sceny z groteskową wyrazistością. Żyły popękane go asfaltu pod wysokimi butami męża, wystrzępioną nitkę w nogawce jego dżinsów. Zapamiętała gorące słońce na karku, zapach asfaltu, długi cień Dasha. Przede wszystkim zaś zapamiętała oszalały narkotyczny wzrok chłopaka w czerwonej koszuli, gdy odwrócił się, by spojrzeć na Dasha.

Jednym gwałtownym ruchem wyciągnął pistolet zza paska błyszczących czarnych spodni. Honey głośno krzyknęła, gdy dwukrotnie pociągnął za spust.

Dash zgiął się wpół. Osuwał się na asfalt dziwnie, powoli. Nagle otoczyła ją szara mgła, wszystko wydawało się nierzeczywiste. Napastnik odepchnął kobietę w żółtej spódnicy i rzucił się do ucieczki. Kobieta upadła na ziemię. U jej boku poniewierała się zapomniana torebka.

Dash leżał nieruchomo. Honey, szlochając dziko jak ranne zwierzę, czołgała się ku niemu na obolałych dłoniach i rozkrwawionych kolanach. Powtarzała sobie przez szarą mgłę, że wszystko będzie dobrze. Dopiero co do niego machała. To wszystko nie dzieje się naprawdę, takie rzeczy nie nadchodzą tak po prostu, bez ostrzeżenia.

Nie słyszała krzyków ekipy zbiegającej się ze wszystkich stron. Widziała tylko rękę męża na asfalcie.

Z trudem uniosła się na klęczkach. Wstrząsnął nią szloch.

- Dash!

- Honey... ja...

Dźwignęła go, tak że jego głowa i barki spoczywały na jej kolanach. Na jego piersi wykwiłała wielka czerwona plama. Przypomniała sobie, że kiedyś miał taką ranę w filmie, ale nie pamiętała, w którym. Wzięła jego twarz w dłonie.

- Dash, wstań! Proszę... wstań...

Zamrugął powiekami, wykrzywił usta.

- Honey... - wyszeptał jej imię ze straszliwym rżeniem.

- Nie mów nic... błagam, nie mów...

Patrzył jej w oczy. W jego wzroku widziała miłość i ból.

- Wiedziałem, że.... złamię... ci... serce... - wykrztusił.

A potem znieruchomiał.

Z jej gardła wydobył się nieludzki szloch. Asfalt jest taki czarny, krew taka czerwona. Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

Ktoś z ekipy dotknął jej ramienia, ale pospiesznie straciła rękę.

Głaskała męża po włosach, kołysała go w ramionach.

- Wszystko będzie dobrze... Kochany... Mój kowboju... - szeptała.

Jego krew przesiąkała przez jej spódnicę, oblepiała uda. Kołysała go nadal.

- Kocham cię, najdroższy. Zawsze będę cię kochać. - Szczękała zębami, wstrząsały nią dreszcze. - Nic ci nie będzie, nic a nic. Jesteś bohaterem. A bohater nigdy nie...

Przywarła ustami do jego czoła. Poczowała na wargach smak krwi. Potwarzała, że Dash nie umrze. Jeśli już, to ona odejdzie zamiast niego. Bóg to zrozumie, scenarzyści wszystko załatwią. Gładziła go po włosach. Całowała w usta.

- Honey. - Znowu dłoń na ramieniu.

Uniosła głowę, wściekła, że jej przeszkadzają.

- Idźcie sobie! Wszyscy! Nic mu nie będzie!

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Miał łzy w oczach.

- Honey, Dash nie żyje.

Przyciągnęła go bliżej, oparła głowę na jego czole. Mówiła szybko, gorączkowo:

- Mylisz się. Nie rozumiesz? Główny bohater nie umiera! Nie umiera, słyszysz, Boże? Nie wolno ci zmieniać scenariusza! Nie wiesz? Bohater nie umiera!

Trzeba było trzech sanitariuszy, by ją oderwać od martwego ciała Dasha Coogana.

Rozdział dwudziesty drugi

W pokoju było duszno, ale leżała otulona starym kożuszkim Dasha. Rajstopy przylegały do spoconych nóg, czarna sukienka był mokra od potu. Honey wtuliła twarz w kołnierz kurtki. Pachniał Dashem.

Nie czuła wilgotnych kosmyków na karku. Liz przyszyła i poszła sobie. Przyniosła tacę z kanapkami, których Honey nie tknęła, namawiała, żeby na jakiś przeniosła się do jej domu nad oceanem, żeby nie była sama. Ale Honey chciała być sama. Może wtedy odnajdzie Dasha.

Skuliła się w kłębek, zamknęła oczy. Odezwiąj się, Dash. Daj znać, że tu jesteś. Błagam, daj znać, żebyśmy wiedziały, że ode mnie nie odszedłeś.

Usiłowała wyrzucić z głowy wszelkie myśli, żeby mógł do niej przemówić, ale ogarnęła ją panika. Chciała krzyczeć na całe gardło. Otworzyła usta i poczuła szorstką wełnę.

Nie zorientowała się, że ktoś wszedł do pokoju, dopóki nie ugiął się materac. Najchętniej przegoniłaby wszystkich, gdzie pieprz rośnie. Chciała być sama.

- Honey? - Meredith rozplakała się. - Chciałam... chciałam prosić cię o wybaczenie. Byłam mściwa i zazdrosna. Wiedziałam, że nie mam racji, ale nie mogłam się powstrzymać. Zawsze... zawsze chciałam, żeby tatuś mnie kochał, ale on kochał ciebie.

Honey nie chciała słuchać zwierzeń Meredith, nie miała sił, by ją pocieszać. Usiadła tyłem do niej. Owinęła się szczelniej kurtką Dasha.

- Ciebie też kochał - mówiła drewnianym głosem, mechanicznie. - Byłaś jego córką. Zawsze o tym pamiętał.

- Byłam... byłam o ciebie zazdrosna.

- To już nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia.

- Zdaję sobie sprawę, że tatuś jest u naszego Pana i powinnam się cieszyć, ale nie mogę.

Honey milczała. Co Meredith może wiedzieć o miłości niezbędnej do życia jak tlen? Swoje uczucia bezpiecznie ulokowała w niebie. Honey wtuiliła się w kurtkę i czekała, aż Meredith wyjdzie.

- Czy... zdołasz mi wybaczyć, Honey?

- Tak - odparła automatycznie. - Wybaczam ci, Meredith.

Drzwi się otworzyły.

- Meredith, twój brat zbiera się do drogi. Pożegnaj się i chodź - oznajmiła Wanda od progu.

Meredith podniosła się z materaca.

- Do widzenia, Honey. Bardzo... bardzo przepraszam.

- Do widzenia, Meredith.

Drzwi się zamknęły. Honey wstała, ale gdy się odwróciła, zobaczyła, że nie została sama. Wanda obserwowała ją bacznie. Miała oczy zaczerwienione od płaczu, nieskazitelna zazwyczaj blond fryzura była przypłaszczona z jednej strony. Na pogrzebie zachowywała się, jakby to ona została wdową, nie Honey. Otarła oczy, pociągnęła nosem.

- Meredith była zazdrosna o ciebie, odkąd zobaczyła was w telewizji. Nie był dla niej najlepszym ojcem, chyba o tym wiesz, i oglądanie w was najlepszej komitywie było dla niej jak sól na otwartą ranę.

W perfumach Wandy dominowały goździki. A może nie, może tylko Honey wszędzie czuje zapach pogrzebu.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytała Wanda.

- Niech wszyscy sobie pójda - poprosiła. - Tylko o to proszę.

Wanda skinęła głową i podeszła do drzwi. Zatrzymała się w progu.

- Życzę ci jak najlepiej, Honey. Przyznaję, początkowo myślałam, że Randy popełnił błąd, żeniąc się z tobą. Ale dzisiaj, na pogrzebie, byliśmy wszystkie trzy, my, jego byłe żony. I zrozumiałam, że wszystkie trzy razem wzięte nie dałyśmy mu tyle szczęścia, ile ty w jeden dzień.

Honey, choć świadoma, jakiej wielkoduszności wymagało od Wandy takie stwierdzenie, chciała tylko zostać sama. Pragnęła wrócić na łóżko, wtulić się w kurtkę i szukać Dasha. Musi go odnaleźć. Jeśli to się jej nie uda, umrze.

Wanda wyszła. Godzinę później rozeszli się inni żałobnicy. Gdy zapadła noc, Honey bezgłośnie wędrowała po pustym domu w samych rajstopach. Potem zwinęła się w kłębek na wielkim skórzanym fotelu, na którym Dash najchętniej oglądał telewizję.

Morderca Dasha był narkomanem na zwolnieniu warunkowym. Zastrzelili go policjanci podczas ulicznej awantury, kilka godzin po śmierci Dasha. Wszystkim się wydawało, że jego śmierć powinna poprawić jej humor, ale dla Honey zemsta nie miała znaczenia. I tak nie przywróci Dashowi życia.

Chyba zasnęła; gdy oprzytomniała, było po drugiej w nocy. Poszła do kuchni, machinalnie otwierała szafki, wyciągała szuflady. Jego ukochany kubek na półce, paczka miętusów czeka, aż ją wsunie do kieszeni. Przeszła do łazienki; pierwsze, co zobaczyła, to jego szczoteczka do zębów. Dotknęła suchych włosków, schowała ją do kieszeni. Z kosza na brudną bieliznę wyjęła jego skarpetki.

Na niebie nie było księżycy, noc rozjaśniało tylko mdłe światło żarówki nad wejściem do stajni. Szła na padok. Rajstopy podarły się w kilku miejscach, ale w ogóle tego nie zauważyła. Podeszła do ogrodzenia, przy którym tak często razem stali.

Czekała.

W końcu ugięły się pod nią nogi, osunęła się na zakurzoną ścieżkę. Wyjęła z kieszeni jego szczoteczka do zębów i skarpetki. Cisza ją dławiała, łzy osłepiały.

Wsunęła szczoteczka do ust.

Chudła z tygodnia na tydzień. Czasami przypominała sobie, że trzeba coś zjeść, ale najczęściej nie pamiętała o tym. Spała o najdziwniejszych porach, zawsze krótko i niespokojnie, niekiedy w jego fotelu, niekiedy w małżeńskim łóżku, z policzkiem wtulonym w jego ubranie. Miała wrażenie, że pozbawiono ją wszelkich uczuć oprócz rozpacz.

Gazety bezustannie rozpisywały się o śmierci Dasha, paparazzi śmigali helikopterem nad ranczem w nadziei sfotografowania wdowy pogrążonej w żałobie, więc praktycznie nie wytykała nosa z domu. Jak na ironię, śmierć

Dasha nadała ich małżeństwu honoru i powagi. Dash był bohaterem, a wdowę po nim wspominano z szacunkiem i współczuciem.

Gazety wychwalały jej odwagę. Arthur Lockwood pofatygował się na ranczo, by poinformować Honey, że dziennikarze nie dają mu spokoju, prosząc o wywiad z nią, a wielu poważnych producentów chciałoby ją obsadzić w najnowszych filmach. Patrzyła na niego tępym wzrokiem, nie rozumiejąc, co do niej mówi.

Liz prześladowała ją zdrowymi, lekkostrawnymi daniami, witaminami i radami, o które nie prosiła. Chantal i Gordon domagali się pieniędzy. Wypadały jej włosy, ale nie zwracała na to uwagi.

Pewnego dnia, w sierpniu, trzy miesiące po śmierci Dasha, gdy manewrowała samochodem na wąskiej szosie w kanionie, dotarło do niej, jak łatwo byłoby zakończyć to wszystko, Wystarczy przyspieszyć na zakręcie. Jeden ruch i stoczy się w przepaść. Samochód polecą na dno kanionu i staną w płomieniach. A ona przestanie cierpieć.

Zacisnęła drżące dłonie na kierownicy. Ból stał się nie do zniesienia. Nikt się nie przejmie jej śmiercią. Liz będzie smutno, ale Liz ma wielu przyjaciół i zaraz o niej zapomni. Chantal popłacze się na pogrzebie, ale Chantal płacze często i z byle powodu; nie opłakiwałaby kuzynki dłużej niż postaci w ulubionym serialu. Kiedy się nie ma prawdziwej rodziny, nikt po tobie nie płacze.

Rodzina.

Tylko tego w życiu pragnęła. Kogoś, kto kochałby ją bezgranicznie. Kogoś, komu mogłaby oddać serce.

Wstrząsnął nią szloch. Tak bardzo za nim tęskni. Był jej kochankiem, ojcem, dzieckiem, był centrum jej świata, jedyną dobrą rzeczą w jej życiu. Brakuje jej jego zapachu i dotyku, jego przekleństw i szorstkiego drapania nieogolonych policzków. Brakuje jej gazet, powyginanych tak, że nigdy nie mogą znaleźć pierwszej strony, i odgłosów meczów piłkarskich z telewizora. Brakuje jej codziennych rytuałów jego kąpieli i golenia, ręczników ciskanych byle gdzie, bielizny, która jakoś nigdy nie trafiła do kosza z brudami. Brakuje jej tego wszystkiego, co składało się na Dasha Coogana.

Przez łzy patrzyła, jak strzałka szybkościomierza mknie w górę. Opony zapiszczały na żwirze pobocza. Jeden ruch kierownicą i będzie po wszystkim.

Nie wiadomo skąd powróciło wspomnienie dziewczyny o wystrzępionych włosach i w niebieskich klapkach. Strzałka szybkościomierza pełzła ku górnej granicy, a Honey zastanawiała się, co się stało z zadziorną szesnastolatką, która miała dość odwagi, by wyruszyć w drogę przez cały kraj tropem marzeń. Nie pamiętała, jak to jest iść przez życie odważnie, bez strachu. Nie wiedziała, co się stało z tamtą dziewczyną.

Poszukaj jej, szepnął głos w jej głowie. Poszukaj tamtej Honey.

Stopniowo zwalniała, nie dlatego, że nagle zapragnęła żyć, tylko bolała ją noga od ciągłego naciskania pedału.

Poszukaj jej, szeptał głos.

Dlaczego nie? Stwierdziła. Albo to, albo ze sobą skończy.

Dziesięć dni później duszny skwar Karoliny Południowej otoczył ją ze wszystkich stron, ledwie wysiadła z klimatyzowanego samochodu. Stała na zapuszczonym parkingu przy Parku Rozrywki Silver Lake. Chwasty sięgały kolan, na miejscu latarni straszyły metalowe obeliski. Zachwiała się niepewnie. Była w drodze od kilku dni, co jakiś czas zatrzymywała się w motelu, spała trochę i ruszała dalej. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Rozejrzała się z rozpaczą, mrużąc oczy od słońca. Od lat była właścicielką parku, ale niczego nie robiła. Początkowo była zbyt zajęta pracą w serialu. Potem, po ślubie z Dashem miała aż nadto czasu, ale na pewno za mało pieniędzy.

Dach nad budką biletową zapadł się zupełnie, różowy tynk z kolumn przy wejściu odchodził wielkimi płatami. Nad główną bramą kołysał się niebezpiecznie ledwie czytelny szyld:

P rk Roz yw i S lverLak
Legendar yCz rny G om
Roz yw kdlca ejrodzi y

Zadarła głowę i jej oczom ukazał się widok, dla którego przemierzyła cały kontynent - Czarny Grom. Potężne drewniane tory i pętle wznosiły się dumnie nad zaniedbanym parkiem, odcinały się od rozpalonego nieba Karoliny. Nie zniszczyły ich czas ani opuszczenie. Czarny Grom jest niezniszczalny; najwspanialsza drewniana kolejka górską na całym Południu. I nic nie pozbawi go majestatu: ani zapuszczone budynki, ani chwasty, ani odrapanie, nieczytelne szyldy. Wagoniki nie mknęły po torach od jedenastu lat, ale Czarny Grom czekał cierpliwie.

Zamknęła oczy, chcąc uciec od bolesnych wspomnień. Dawniej nad drzewami górowałby diabelski młyn i ramiona wielkiej karuzeli, ale dzisiaj na rozpalonym niebie widziała tylko słoneczną kulę i Czarny Grom.

Wilgotne powietrze dławiło, pociła się pod lekką koszulką. Słońce paliło ją w ramiona i uda. Ruszyła wzdłuż ogrodzenia, ale niewiele dało się zobaczyć przez gęste zarośla i wysokie sosny. W końcu doszła do dawnego wejścia gospodarczego. Zamknęto je na kłódkę, co nie miało teraz większego znaczenia, bo łańcuch przecięto dawno temu. Park zapewne przyciągał

włóczęgów i wandalów, gdy było tu jeszcze co niszczyć. Teraz nawet oni zostawili go w spokoju.

Podrapała sobie nogi, idąc wśród kłujących chwastów. Szła pomiędzy drewnianymi stemplami Czarnego Groma, ale nie podnosiła głowy. Bała się, ile szkód zobaczy.

Przeszedł ją zimny dreszcz na widok zniszczeń w całym parku. Wszystkie budynki i wiaty porastały chwasty, popękane chodniki prowadziły donikąd, naga ziemia stanowiła jedyną pamiątkę po sprzedanych karuzelach. Przez drzewa w oddali widziała mętną powierzchnię jeziora, ale „Bobby Lee” już dawno spoczął na dnie.

Do sandałów nasypał się żwir, gdy szła przez umarłe wesołe miasteczko. Jej kroki niosły się głuchym echem. Wśród chwastów poniewierały się zgniłe kłody drewna, niebieska plastikowa plandeka poszarzała od brudu i słońca. W powietrzu, zamiast kandyzowanymi jabłkami i prażoną kuku rydzą, śmierdziało zgnilizną.

Czuła się, jakby była jedynym żyjącym człowiekiem na świecie.

Stała pośrodku martwego parku i uniosła wzrok w górę, na Czarny Grom. Szkielet kolejki oplatał całe wesołe miasteczko. Piekącymi oczami śledziła trasę niezwykłego, mitycznego Czarnego Gromu: oto droga na szczyt i upadek, pęd ku ziemi pod kątem na tyle ostrym, że pozwalał zajrzeć w czeluście piekieł, trzy wzgórza, niosące trzykrotną obietnicę śmierci i zmartwychwstania, mroząca krew w żyłach spirala w dół, ku powierzchni jeziora, i szybki, sprawny powrót do domu, na stację. Kiedyś, dawniej, ocierała się o wieczność.

Naprawdę? Zadrzała. A może pewność, że kiedyś poczuła tam obecność matki, to tylko dziecięce marzenia? Czy Czarny Grom naprawdę zaniósł ją do Boga? Zdawała sobie sprawę, że jej wiara w Boga zrodziła się tam, na górze. I że tę wiarę zmyła krew Dasha Coogana.

Wpatrzona w drewniane żebra kolejki, ciemne na tle jasnego nieba, błagała Boga i złorzeczyła mu jednocześnie: Chcę go odzyskać! On nie jest twój! Jest mój, tylko mój! Oddaj mi go, słyszysz?

Słońce przenikało przez włosy, paliło w głowę. Ze szlochaniem osunęła się na kolana, nie żeby się modlić, lecz by przeklinać. Ty sukinyń! Pieprzony sukinyń!

Zamknęła oczy, ale i tak pod powiekami miała dumny szkielet Czarnego Gromu. Klęła i złorzeczyła, aż stopniowo obelgi przeszły w rytualne słowa modlitwy.

Wyczerpana, umilkła. Uniosła powieki, patrzyła w górę z nadzieją, jaka od tysięcy lat małuje się w oczach zrozpaczonych. Nadzieja. Czarny Grom zawsze dawał nadzieję. Patrząc na trzy drewniane łuki, nabrała nagle pewności, że kolejka zabierze ją gdzieś poza czas i przestrzeń, gdzie na zawsze zostanie z mężem.

Ale Czarny Grom był równie martwy jak Dash Coogan i nie zabierze jej nigdzie. Potężny szkielet czernił się na tle sierpniowego nieba, bezsilny i okaleczony. Nie niósł już obietnicy nadziei i zmartwychwstania, tylko śmierci i rozkładu.

Wracała do samochodu jeszcze bardziej załamana, niż gdy tu jechała. Gdyby Czarny Grom działał... Gdyby...

Wsiadła do nagrzanego wnętrza, opadła na fotel i zasnęła.

Rozdział dwudziesty trzeci

Sheri Poltrain od trzech lat pracowała na stacji benzynowej Gas'n'Carry w okręgu Cumberland w Karolinie Północnej. Dwukrotnie była ofiarą napadu z bronią w rękę, pół tuzina razy grożono jej przemocą. Widząc, jak nieznajomy podchodzi do kasy, zebrała się w sobie. Lepiej niż inne kobiety wyczuwała niebezpieczeństwo, i wiedziała, kiedy się zbliża.

Wyglądał jak harleyowiec, ale nie miał tatuaży na nadgarstkach. I wielkiego piwnego brzucha. O nie, jego brzuch był płaski jak krajobraz Karoliny, widziała to pod rozpiętą skórzaną kurtką. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt, szerokie ramiona, umięśnioną klatkę piersiową, szczupłe, silne uda w spranych obcisłych dżinsach, podkreślających fantastyczne pośladki. Tak, ciało miał wspaniałe. Ale nie twarz.

W życiu nie widziała równie wrednego sukinsyna. Nie żeby był brzydki. Nie, to nie to. Ale wyglądał na okrutnego drania, który bez zmrużenia okiem gasi papierosy na najwrażliwszych częściach kobiecego ciała.

Włosy, wilgotne od listopadowej mżawki, były niestarannie ostrzyżone, niemal sięgały ramion. Miał prosty nos, wystające kości policzkowe i w ogóle rysy, które, jak kiedyś słyszała, ktoś nazwał klasycznymi. Ale nawet najbardziej klasyczne rysy nie zmieniają faktu, że miał okrutne, wąskie usta, które chyba nigdy się nie uśmiechały. I lodowato zimne niebieskie oko.

Upominała się, żeby się nie gapić na czarną przepaskę na drugim oku, ale niełatwo było tego dokonać. Przez czarną opaskę i obojętną minę wyglądał jak współczesny pirat. Nie taki podrabiany, szlachetny, z rozwichrzoną czupryną, jak na okładkach romansów, ale taki prawdziwy, okrutny, który lada moment wpakuje w nią zawartość całego magazynka.

Niepewnie spojrzała na licznik, który wskazywał, ile benzyny zatankował do pochłapanego GMC.

- Równo dwadzieścia dwa dolary. - Zazwyczaj nie dawała po sobie poznać, że się boi, ale ten facet był wyjątkowy. Czuła, że głos jej drży.

- I paczkę aspiryny - poprosił.

Zamruwała ze zdziwienia, słysząc jego akcent. Coś takiego! Nie jest Amerykaninem. Z Bliskiego Wschodu czy coś takiego. Przeszło jej przez myśl, że może to arabski terrorysta, ale czy arabscy terroryści mają niebieskie oczy?

Zdjęła paczkę aspiryny z półki, położyła na ladzie. W niebieskim oku było coś przerażającego, tak absolutny brak woli życia, że przeszedł ją dreszcz. Kiedy jednak nieznajomy wyjął z kieszeni nie broń, tylko portfel, strach ustąpił miejsca ciekawości.

- Zostanie pan u nas na dłużej?

Posłał jej takie spojrzenie, że czym prędzej skupiła się na kasie. Położył na ladzie trzydzieści dolarów, schował aspirynę do kieszeni i wyszedł.

- A reszta? - zawołała za nim.

Nawet się nie odwrócił.

Eric zdjął zakrętkę z flaszeczki z aspiryną. W drodze do samochodu ściągnął opaskę z oka. Było chłodne, deszczowe listopadowe popołudnie. Wilgoć dawała mu się we znaki, bolała go noga złamana w wypadku. Usiadł za kierownicą, zażył trzy pastylki, popił zimną kawą z papierowego kubka.

Po wypadku w maju leżał przez miesiąc w szpitalu, potem czekały go jeszcze miesiące fizykoterapii. We wrześniu zaczął pracę nad nowym filmem. Ze względu na jego wypadek chciano nawet przełożyć termin zdjęć, ale w końcu zaczęto o czasie, tyle że w niektórych scenach, które dawniej zagrałby sam, zastąpił go kaskader.

Zdjęcia skończyły się dzień przed. Miał lecieć do Nowego Jorku i zdecydować, czy chce wystąpić w teatrze, ale w ostatniej chwili postanowił pojechać samochodem. Po kilku dniach samotność okazała się ważniejsza niż praca i nie dotarł do Nowego Jorku, zawrócił w New Jersey.

Zmierzał na południe. Jechał bocznymi drogami, w GMC, bo taki wóz mniej się rzucał w oczy niż jego jaguar. Początkowo zastanawiał się, czy nie odwiedzić ojca i macochy w Hilton Head - zapraszali go wielokrotnie, odkąd stał się sławny - ale szybko doszedł do wniosku, że to ostatni ludzie na ziemi, których chciałby oglądać. Miał sześć tygodni do rozpoczęcia pracy nad nowym filmem i nic do roboty, więc jechał przed siebie.

Gdy wyjeżdżał ze stacji, poczuł na sobie czujny wzrok sprzedawczyni. Nie poznała go. Nikt go nie poznał, odkąd wyruszył z Los Angeles. Nawet przyjaciele mieliby kłopoty z rozpoznaniem go. Obcy akcent, którego nauczył się dla potrzeb ostatniego filmu, i dłuższe niż zazwyczaj włosy skutecznie ukrywały jego tożsamość. Co ważniejsze, pozwalały mu chociaż na trochę uciec od samego siebie.

Skręcił na szosę i automatycznie sięgnął do kieszeni po papierosa. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że już nie pali. W szpitalu mu nie pozwalano, a gdy wyszedł, już się odzwyczaił. Podobnie jak odzwyczaił się od innych zmysłowych przyjemności: nie smakowało mu jedzenie, nie kusily alkohol ani seks. Nawet nie pamiętał, czemu kiedyś przywiązywał do nich

taką wagę. Odkąd utracił córki, miał wrażenie, że jego miejsce jest raczej w świecie umarłych niż żywych.

W ciągu siedmiu miesięcy, które upłynęły, odkąd Lilly zabrała dziewczynki, nauczył się o seksualnym wykorzystaniu dzieci więcej niż niejeden prawnik. W szpitalu czytał przerażające opowieści o ojcach robiących małutkim dziewczynkom okropne, niewyobrażalne rzeczy, o chorych pedofilach czyhających na kolejne córki, kalających najświętsze, najczystsze więzy, jakie łączą dwoje ludzi.

Teraz nie był już naiwnym raptusem, który wpadł do gabinetu Mike'a Longacre'a i zażądał, by adwokat położył kres bezpodstawnym oskarżeniom Lilly. Teraz wiedział, że i prawo może się mylić.

Nieważne, ile go to będzie kosztowało: nie dopuści, by jego dzieci oddano obcym, by straciły matkę po tym, jak odebrano im ojca. Trzymał się więc od córek z daleka, tylko armia detektywów informowała go na bieżąco, co się z nimi dzieje. Z rosnącą rezygnacją wysłuchiwał opowieści o wędrówkach Lilly z dziewczynkami: Paryż, Włochy, sierpień w Wenecji, wrzesień w Londynie, teraz są w Szwajcarii.

Ciągle zatrudniała nowe opiekunki, nowych nauczycieli, nowych specjalistów. Eric pokrywał wszystkie rachunki. Detektywi rozmawiali ze zwalnianym personelem, stąd wiedział, że Becca przechodzi poważny regres, a Rachel staje się coraz bardziej niezdolna. Lilly stała się jedynym stałym elementem w ich życiu. Gdyby się do nich zbliżył, odebrałby im nawet i to.

Mimo tej świadomości brakowało mu ich tak bardzo, że czasami ogarniała go pokusa. W ciągu siedmiu miesięcy ból się zmienił; z otwartej rany przerodził się w coś bardziej pierwotnego, w prymitywną pustkę w duszy, gorszą niż cierpienie fizyczne. Czuł się jak żywy trup. Obdarzył tą rozpaczą bohatera swego filmu, ale po zakończeniu nie miał już gdzie się ukryć.

Stopniowo stracił umiejętność dostrzegania piękna świata, widział tylko koszmar. Ilekroć czytał gazety czy oglądał wiadomości, koncentrował się na najbardziej drastycznych doniesieniach. W końcu przestał czytać, nie słuchał też dzienników; nie wytrzymałby jeszcze jednej relacji o noworodku znalezionym na śmietniku, o obciętej głowie w pudełku po butach, o zbiorowym gwałcie na nastolatce. Morderstwa, zbrodnie, krew. Nie był już w stanie oddzielić swego cierpienia od nieszczęść innych. Ból całego świata spoczywał na jego barkach. Załamie się, jeśli nie znajdzie czegoś, co go uratuje.

Uciekał, ukrywał się w wymyślonej postaci człowieka tak groźnego, że wszyscy się od niego odsuwali. Zamiast słuchać rada, puszczał kasety z jazzem; spał w samochodzie, nie w motelu, bo tam skusiłby go telewizor; unikał dużych miast i kiosków z gazetami. Ratował się, jak umiał. Zdawał sobie sprawę, że lada chwila rozsypie się na kawałki.

Potężna ciężarówka ochlapała jego samochód wodą, gdy skręcał na autostradę. Dopiero po kilku ruchach wycieraczek dojrzał coś przez brudną

przednią szybę. Nawet przy fatalnej widoczności dostrzegł niebieski znak z białym H w środku. Tego właśnie szukał; tym sposobem ratował duszę i jednocześnie się chronił.

Jechał, kierując się niebieskimi znakami, aż dotarł do szpitala. Zaparkował w najdalszym rogu parkingu, zniknął w tyle vana. Nie było tam siedzeń, na podłodze starczyło miejsca na posłanie, teraz schludnie złożone. Leżało obok drogiej skórzanej walizki. Odepchnął ją niedbale, sięgnął po tanią, ze sztucznego tworzywa.

Przez długą, długą chwilę nic nie robił. A potem z pomrukiem, który mógłby być równie dobrze modlitwą, jak i przekleństwem, uniósł wieko.

- Dzieńdoberek!

Siostra Grayson gwałtownie podniosła głowę znad wykresu, który studiowała. Trudno było ją zaskoczyć, ale facetowi stojącemu przy recepcji szpitala udało się to.

Na głowie miał ogniste czerwona perukę, ozdobioną piracką chustą zawadiacko zawiązaną z boku. Koszulę z fioletowej satyny wpuścił w obszernie spodnie w czerwone i fioletowe grochy wielkości latających talerzy. Białą twarz klauna o czerwonych ustach, okrągłym purpurowym nosie przecinała przepaska na oko w kształcie gwiazdy.

Siostra Grayson szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Kim pan jest?

Uśmiechnął się tak, że na chwilę zapomniała, że ma pięćdziesiąt lat i nie ulegnie urokowi czarującego łobuziaka.

Skłonił się szarmancko, dotknął dłonią czoła, piersi i talii.

- Kapitan Łata, do usług, ślicznotko. Nigdy w życiu nie poznasz równie żałosnego wilka morskiego.

Wbrew sobie dała się wciągnąć w zabawę.

- A to czemu?

- Nie znoszę widoku krwi - wzdrygnął się komicznie. - Paskudztwo. Nie wiem, jak ty to znosisz.

Zachichotała i nagle przypominała sobie, że przecież jest tu służbowo. Sztucznie nonszalanckim ruchem poprawiła czepek na siwych lokach i zapytała;

- W czym mogę pomóc?

- To chyba ja mam pomagać, nie? Przyszedłem zabawić dzieciaki. Facet z Klubu Rotariańskiego kazał mi przyjść o trzeciej. Co, znowu coś pochrzaniłem? - Uśmiechnął się łobuzersko. - Nie dość, że nie znoszę widoku krwi, to jeszcze ciągle plączę daty i godziny.

Jedynie widoczne oko miało kolor najczystszy turkus, jak miętowy cukierek.

- Nie wiedziałam, że rotarianie zamówili klauna dla dzieci.
- No coś takiego. A na szóstą muszę być w Fayetteville! Moje szczęście, że oprócz ślicznej buzi masz też dobre serce. Gdyby nie to, straciłbym te pięćdziesiąt dolców, które zaraz zarobię.

Był podstępny, ale nie sposób oprzeć się jego urokowi. Zresztą w takie deszczowe popołudnie niewielu będzie odwiedzających i trochę rozrywki dobrze dzieciakom zrobi.

- No dobrze.
- Wiedziałem!

Wyszła zza lady i poprowadziła go korytarzem.

- Jak pan widzi, to mały szpital. Mamy tylko dwanaście łóżek na oddziale pediatrycznym, z czego obecnie zajętych jest dziewięć.

- Czy komuś powinienem poświęcić szczególną uwagę? - zapytał spokojnie, bez cienia drwiny.

O ile miała jeszcze jakieś wątpliwości i obawy przed wpuszczeniem go na oddział bez niezbędnych dokumentów, wszystkie się rozwiały w tej chwili.

- Paul, sześciolatek. Leży w pokoju sto siedem. - Wskazała drzwi na końcu korytarza. - Przechodził ciężkie zapalenie płuc, a jego mama nie chciała rozstawać się z nowym narzeczoną i rzadko do niego zaglądała.

Klaun skinął głową i ruszył w tamtą stronę. Po chwili siostra Grayson usłyszała jego radosny głos:

- Ahoj, brachu! Jestem kapitan Łata, największa fajtapa wśród wilków morskich...

Siostra Grayson z uśmiechem wróciła na stanowisko i pogratulowała sobie słusznej decyzji. Czasami warto trochę nagiąć regulamin.

Eric przespał się w samochodzie, na poboczu przy małej polance, tuż przed granicą z Karoliną Południową. Następnego ranka było mu niedobrze - za dużo kiepskiego jedzenia, zbyt wiele koszarów.

Strój klauna kupił tydzień temu pod Filadelfią i od tego czasu niemal codziennie odwiedzał w nim szpitale w małych miasteczkach. Czasami telefonicznie uprzedzał o swojej wizycie, podawał się za pracownika organizacji dobroczynnej, ale najczęściej po prostu zjawiał się i czarował pielęgniarki, aż zaprowadziły go do dzieci.

Nie mógł zapomnieć smutnej buzi małego chłopca, którego wczoraj zabawiał. Dzieciak był drobny, chudy, raczej siny niż blady. Najgorszy był niekłamany zachwyt, gdy Eric poświęcał mu uwagę. Siedział z nim całe popołudnie, wrócił wieczorem i zabawiał magicznymi sztuczkami, aż mały zasnął. Niestety, zamiast ulgi czuł tylko żal, że nie może pocieszyć wszystkich cierpiących dzieci.

Wilgotny chłód przenikał cienki podkoszulek. Eric przeciągnął się, żeby rozruszać mięśnie. Spojrzała na ołowiane niebo. Oto słoneczna Karolina Południowa. Może powinien wrócić na autostradę międzystanową dziewięćdziesiąt pięć i od razu pojechać na Florydę. Od kilku dni chodziło mu po głowie, by odnaleźć zimową bazę cyrku Ringling, pokręcić się koło klaunów, może wystąpić. Cóż to byłaby za frajda bawić zdrowe dzieci, nie tylko chore i smutne.

Wrócił do samochodu. Od dwóch dni się nie kapał, musi jak najszybciej znaleźć motel. W przeszłości bardzo dbał o higienę osobistą, ale odkał stracił dzieci, zapuścił się i w tym względzie.

Pół godziny później poczuł charakterystyczne szarpnięcie. Złapał gumę. Zjechał na pobocze dwupasmówki, wysiadł, poszukał lewarka. Znowu padało, dlatego w pierwszej chwili nie dostrzegł szyldu ukrytego wśród drzew. Opona śliska od błota zsunęła się i potoczyła kilka kroków dalej. Zobaczył szyld, gdy ją podnosił. Litery wyblakły, ale dało się odczytać napis:

Park Rozrywki Silver Lake
Legendarna kolejka górską Czarny Grom
zabawa i przygoda dla całej rodziny
20 mil prosto,
potem 3 mile na lewo szosą nr 62

Park Rozrywki Silver Lake. Nazwa brzmiała znajomo, ale nie potrafił jej umiejscowić. Dopiero gdy kończył mocować się z kołem, przypomniał sobie. Czy aby nie o tym Honey ciągle opowiadała? Tak, zabawiała ekipę opowieściami o wesołym miasteczku gdzieś na Południu, o słynnej kolejce górskiej, o zatopionym stateczku. Był pewien, że chodziło o Park Rozrywki Silver Lake.

Wrócił wzrokiem do szyldu. Przemókł do suchej nitki. Potrzebuje prysznic i jedzenia. Ciekawe, czy wesołe miasteczko nadal istnieje? Sądząc po stanie szyldu, to mało prawdopodobne. Z drugiej strony, wszystko jest możliwe.

Może Park Rozrywki Silver Lake nadal jest czynny.

I może potrzebują klauna.

Rozdział dwudziesty czwarty

Honey! Przecież leje! - Chantal zadarła głowę. - Złaż w tej chwili. Honey spojrzała na kuzynkę. Z góry wyglądała jak niewielki czerwony punkcik.

- Zaraz zejdę - odkrzyknęła. - Gdzie jest Gordon? Kazałam mu natychmiast wracać.

- Źle się czuje - odparła Chantal. - Poszedł się zdrzemnąć.
- Może sobie nawet umierać, nic mnie to nie obchodzi. Każ mu natychmiast wrócić.

- Dzisiaj niedziela! Dzień odpoczynku! Nie powinno się pracować w dzień pański.

- Odkąd to ty albo Gordon przejmujecie się dniem pańskim? Przecież nie lubicie pracować w żaden dzień.

Kuzynka odeszła naburmuszona, ale Honey wcale się tym nie przejęła. Skończyło się słodkie życie Chantal i Gordona. Wbiła kolejny gwóźdź w rusztowanie na szczycie wzniesienia. Denerwował ją deszcz, denerwowała niedziela, a wszystko dlatego, że należało zwolnić prace przy Czarnym Gromie. Gdyby sprawy toczyły się po jej myśli, robotnicy pracowaliby siedem dni w tygodniu. Nie byli zrzeszeni w żadnym związku zawodowym, więc mogliby pracować dłużej.

Nie zwracając uwagi na deszcz, zbijała rusztowanie i wąską kładkę. Denerwowało ją, że jest za słaba, by zabrać się do naprawę ważnych prac, jak choćby naprawa trasy. Robotnicy robili to pod kierunkiem eksperta od kolejek górskich, którego zatrudniła. Przez pierwsze dwa miesiące usuwali zbutwiałe deski i reperowali rusztowanie. Na szczęście okazało się, że trasa ucierpiała mniej, niż się wszystkim wydawało.

Mimo wszystko odbudowa Czarnego Gromu to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, a zasoby finansowe Honey kurczyły się w zastraszającym tempie. Nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze na nowy dźwig, silnik i hamulce.

Deszcz przybrał na sile, rusztowanie stało się niebezpiecznie śliskie. Niechętnie wstała i zaczęła powoli, ostrożnie schodzić na dół po prymitywnej drabinie, która zastępowała niegotowe jeszcze rusztowanie. Mięśnie nie protestowały, gdy zwinnie ześlizgiwała się na ziemię. Po dwóch miesiącach była chuda jak patyk, silna i zręczna. Ale i zmęczona. Harowała jak wół siedem dni w tygodniu, czasami po czternaście godzin dziennie. Na dłoniach miała niezliczone pęcherze i ranki, ślady po pierwszych nieudolnych próbach z narzędziami, którymi teraz posługiwała się dosyć sprawnie.

Ledwie dotknęła ziemi, ściągnęła z głowy żółty kask. Nie skierowała się do przyczepy mieszkalnej, tylko w przeciwną stronę, przez park. Początkowo planowała zamieszkać w niebieskiej przyczepie Sophie, ale wystarczył jeden rzut oka, by zmieniła zdanie. Dach się zapadł, włóczędzy wynieśli ze środka wszystko, co się dało. Honey kazała usunąć wrak i sprowadziła na jego miejsce nowoczesną srebrzystą przyczepę.

Zmierzała do Bullpen, budynku, w którym dawniej mieszkali samotni mężczyźni zatrudnieni w parku. Obecnie był to dom Chantal i Gordona. Cieszyła ją, że Bullpen znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie parku.

Przebywanie z ludźmi przez cały dzień było stresujące, przynajmniej nocami potrzebowała samotności. Tylko wtedy mogła nawiązać jakiś kontakt z Dashem. Choć w głębi duszy nie wierzyła, że tak się stanie. Chyba że wsiądzie na Czarny Grom.

Zebrała mokre włosy w kucyk. Gdyby Liz ją teraz zobaczyła, załamałaby ręce z rozpaczy. Ale Liz i Kalifornia to inny wszechświat.

- Kto tam? - zapytała Chantal, gdy Honey zapukała do drzwi.

Honey zacisnęła zęby i weszła, nie czekając na zaproszenie.

- A jak myślisz? Przecież tylko my tu mieszkamy.

Chantal nerwowo poderwała się ze starej pomarańczowej kanapy, aż gazeta, którą czytała, osunęła się na podłogę. Zachowywała się jak sekretarka przyłapaną na nieróbstwie przez wymagającego szefa.

W Bullpen były cztery pomieszczenia: salonik, w którym Gordon i Chantal ustawili różne niedobre meble znalezione na wyprzedazach, sypialnia, w której niegdyś stały piętrowe drewniane prycze, a teraz skrzyżnięte małżeńskie łóżko, kuchnia i łazienka. Dom był stary i zaniedbany, ale Chantal dbała o niego bardziej niż o mieszkania w Kalifornii.

- Gdzie Gordon? Mówiłaś, że jest chory.

Chantal usiłowała nogą wepchnąć gazetę pod kanapę.

- Bo jest. Ale jeszcze poszedł zmienić olej w ciężarówce.

- Pewnie ruszył się dopiero, kiedy mu powiedziałaś, że go szukam.

Chantal szybko zmieniła temat.

- Masz ochotę na zupę? Właśnie ugotowałam.

Honey ściągnęła mokrą bluzę i poszła do kuchni. Na dwóch ścianach wisiały szafki obite jadowicie zieloną tapetą, na blatach łuszczyła się złota okleina, linoleum na podłodze popękało jak ziemia bez deszczu.

Ponieważ Honey i Gordon cały czas pracowali, tylko Chantal miała czas na gotowanie. Przekonała się na własnej skórze, że jeśli ona nie przygotowuje obiadu, nie będą mieli co włożyć do ust. O dziwo, praca zdawała się jej dobrze robić. Schudła trochę i nagle zaczęła przypominać starszą, bardziej dojrzałą wersję osiemnastolatki, która wygrała wybory miss Okręgu Paxawatchie.

- Podgrzanie zupy z puszki to nie gotowanie - warknęła Honey, siadając za starym ogrodowym stolikiem, który wnieśli do środka. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna ciągle krytykować kuzynki, ale nie obchodziły jej uczucia Chantal.

Chantal naburmuszyła się.

- Nie gotuję tak dobrze jak ty, Honey. Dopiero się uczę.

- Masz dwadzieścia osiem lat. Na naukę był czas dawno temu. Przecież przez ostatnie dziewięć lat tylko podgrzewałaś gotowe dania!

Chantal wyjęła miskę z kredensu, podeszła do kuchenki, nałożyła rosółu z makaronem.

- Robię, co mogę. Przykro mi, kiedy ciągle mnie krytykujesz.
- Co za pech. Jeśli ci się nie podoba, możesz się stąd wynosić. - Była na siebie zła o gorzkie słowa, ale nie mogła się powstrzymać. Czuła się jak przed laty, na planie serialu, kiedy wydawało jej się, że wystarczy jedna oznaka słabości i się załamie.

Chantal zacisnęła dłoń na chochli.

- Gordon i ja nie mamy dokąd pójść.

Honey uśmiechnęła się triumfalnie.

- Więc musicie znosić moje humory.

Chantal popatrzyła na nią smutno.

- Zmieniłaś się, Honey. Stałaś się bardzo twarda. Czasami cię nie poznaję.

Honey nabrała zupy. Nie dała po sobie poznać, że słowa Chantal bardzo ją zabolowały. Robotnicy zachowywali się w jej obecności, jakby była jednym z nich, ale powtarzała sobie, że nie zależy jej na sympatii. Zależy jej tylko na odbudowie kolejki, żeby mogła wsiąść do wagonika i, być może, odnaleźć męża.

- Kiedyś byłaś taka miła - Chantal smętnie opuściła ramiona. - A po śmierci Dasha stałaś się zupełnie inna.

- Po prostu uznałam, że nie będę dłużej pozwalała, byście z Gordorem wodzili mnie za nos, i już.

Chantal zagryzła usta.

- Sprzedałaś nasz dom. A tak bardzo go kochaliśmy.

- Były mi potrzebne pieniądze. Sprzedałam też ranczo, więc nie tylko wy ucierpieliście.

Wystawienie rancza na sprzedaż było najtrudniejszą rzeczą, jaką jej przyszło zrobić, ale koniec końców sprzedała wszystko, co się dało, byle zdobyć fundusze na remont Czarnego Gromu. Zostawiła sobie tylko samochód, ubrania i park rozrywki, a i tak pieniędzy wystarczy jej, w najlepszym razie, do stycznia.

Nie chciała o tym myśleć. Nie podda się, dotrzyma obietnicy, którą złożyła tamtego dnia po powrocie, gdy zobaczyła Czarny Grom na tle jasnego nieba. Czasami miała wrażenie, że tylko nadzieja na odbudowę kolejki utrzymuje ją przy życiu. Nie ulegnie głupim sentymentom.

- To szaleństwo! - jęknęła Chantal. - Prędej czy później zabraknie ci pieniędzy, i co? Zostaniesz z do połowy odnowioną kolejką, na którą nikt nie wsiądzie, w wesołym miasteczku, którego nikt nie odwiedza.

- Zdobędę pieniądze. Towarzystwa historyczne interesują się drewnianymi kolejkami górskimi. - Honey starannie unikała wzroku Chantal. Żadne z tych towarzystw nie dysponuje takimi sumami, jakich potrzebowała, ale nie powie tego. Chantal i bez tego miała ją za wariatkę. Niewykluczone zresztą, że się nie myliła.

- Założmy, że nastąpi cud i skończysz remont - drażyla Chantal. - I co ci z tego przyjdzie? Nikt tu nie przyjedzie, bo tu już nie ma wesołego miasteczka. - Jej oczy pociemniały. - Wracajmy do Kalifornii, Honey. Wystarczy, żebyś wykonała jeden telefon i od razu dostaniesz pracę. I dużo pieniędzy.

Honey najchętniej zakryłaby uszy dłońmi. Chantal miała rację, ale nie może tego zrobić. Ledwie widzowie zobaczą ją w roli innej niż Janie Jones, rozumieją, że żadna z niej aktorka. Doskonałe recenzje to jedyne, z czego jest dumna, jedyne, czego nie da sobie odebrać.

- To szaleństwo! - krzyknęła Chantal. - Odrzucasz wszystko, jakbyś chciała wepchnąć nas troje do grobu, w ślad za Dashem Cooganem!

Honey ze złością cisnęła łyżkę do talerza. Rosół rozprysł się po całej kuchni.

- Nie waż się o nim mówić! Zabraniam ci wymieniać jego imię! Mam w nosie Kalifornię i wesołe miasteczko! Mam w nosie ciebie i Gordona. Remontuję Czarny Grom dla siebie, nie dla innych!

W czasie ich rozmowy otworzyły się drzwi, ale Honey zauważyła to, dopiero gdy usłyszała głos Gordona.

- Nie powinnaś krzyknąć na Chantal - zauważył spokojnie.

Odwróciła się do niego.

- Będę na nią krzyczała, kiedy mi się podoba. Jesteście do niczego, oboje! W życiu nie widziałam takich nieudaczników!

Gordon wpatrywał się w jej prawą brew.

- Honey, odkąd tu przyjechaliśmy, pracuję z tobą ramię w ramię, dzień w dzień, po dziesięć, dwanaście godzin.

To prawda. Dzisiejsza nieobecność to wyjątek. Gordon pracował z nią w niedziele i wieczorami, kiedy inni już poszli. Ciężka praca zdawała się sprawiać mu przyjemność. Dopiero teraz dostrzegła, jaki jest blady, i uświadomiła sobie, że zapewne nie kłamał, mówiąc, że się źle czuje. Ale nie została w niej ani kropla współczucia. Nie miała go dla siebie, a co dopiero dla innych.

- Lepiej mnie nie prowokujcie. - Uśmiechnęła się gorzko. - Skończyły się stare dobre czasy, kiedy groziliście odejściem i robiłam wszystko, czego chcieliście. Teraz już mnie to nie obchodzi. Jeśli nie potraficie mi się podporządkować, wynoście się choćby jutro.

Minęła go, zbiegła po popękanych schodkach. Dlaczego w ogóle pozwalała im tu mieszkać? Nie zależy im na niej, tylko na jej pieniądzech. Nie dba już oto. Nie dba o nic.

Zimny podmuch wiatru sprawił, że przypominała sobie o bluzie zostawionej w domku. Na lewo od niej rozciągało się jezioro, szare i ponure w grudniową noc. Nad ruinami strzelnicy kołował sęp. Kraina umarłych. Tak, park to dla niej idealne miejsce.

Zwolniła, gdy weszła między drzewa i otoczyła ją wszechobecna pustka. Wilgotne brązowe igły oblepiały jej buty. Najchętniej pracowałyby przy Czarnym Gromie sama, bez niczyjej pomocy. Może wówczas Dash przemówiłby do niej. Oparła się o jasny pień wiekowej sosny. Była sama jak palec. Dlaczego nie zabrałeś mnie ze sobą? Dlaczego umarłeś beze mnie?

Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że po drugiej stronie polany, koło jej przyczepy, stoi mężczyzna. Chantal twierdziła, że Honey postępuje nierozsądnie, mieszkając tak daleko od nich. Ale Honey puszczała jej uwagi mimo uszu.

Mężczyzna podniósł głowę. Zobaczył ją. Było w nim coś groźnego, niebezpiecznego. Odkał wróciła do wesołego miasteczka, natknęła się na niejednego włóczęgę. Uciekali na jej widok, ale ten nie miał takiego zamiaru.

Nie przypuszczała, że zostało w niej tyle instynktu samozachowawczego, by poczuła strach. A jednak się bała. Nawet z odległości dwudziestu metrów wyczuwała aurę zagrożenia, która go otaczała. Był dużo od niej wyższy, o szerokich, silnych ramionach. Miał długie włosy i czarną przepaskę na oku. Deszcz lśnił na skórzanej kurtce, dżinsy były upaprane błotem.

Nie zbliżył się i przez chwilę miała nadzieję, że zaraz odejdzie. Potem jednak ruszył w jej stronę długimi, posuwistymi krokami.

- Wszedłeś na teren prywatny - warknęła.

Nie odpowiedział. Zatrzymał się w cieniu niecałe trzy metry od niej.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Nie wiem - mówił z dziwnym cudzoziemskim akcentem.

Poczuła lodowate ukłucie strachu. Była boleśnie świadoma otaczającej ją pustki; nawet jeśli zaczniesz krzyczeć, Gordon i Chantal nie usłyszą.

- To teren prywatny.

- Niczego nie kradnę. - Zero intonacji, tylko ten niepokojący, miękki akcent.

- Wynos się! - krzyknęła. - Czy mam zawołać strażnika?

Ciekawe, czy wie, że nie ma żadnego strażnika. W każdym razie nie przejął się jej groźbą.

- A dlaczego miałabyś to zrobić? - zainteresował się.

Chciała rzucić się do ucieczki, ale dogoniłby ją po kilku krokach. Patrzył na nią, a Honey ogarnęła przerażająca pewność, że w tej chwili podejmuje jakąś decyzję. Bujna wyobraźnia błyskawicznie podsunęła, nad czym się waha: zabić ją czy tylko zgwałcić? Było w nim coś znajomego. Pomyślała o wszystkich dokumentalnych programach kryminalnych, które z takim zapałem oglądają Gordon i Chantal; czy to możliwe, że go widziała na ekranie? A jeśli jest zbiegłym więźniem?

- Nie poznajesz mnie, prawda? - zapytał.

- A powinnam? Jej nerwy były napięte jak postronki, chciało jej się wrzeszczeć. Jedno niewłaściwe słowo i będzie po niej. Nie ruszała się, dopóki nieznajomy nie zrobił kroku naprzód. Odruchowo się cofnęła, wyciągnęła ramiona, jakby tym miała go powstrzymać. - Ani kroku dalej!

- Honey, to ja, Eric.

Dopiero po chwili zrozumiała, co powiedział, a i tak nie od razu dotarło to do niej w pełni.

- Nie chciałem cię przestraszyć - rzekł martwym głosem, już bez obcego akcentu.

- Eric?

Minęło sporo czasu, odkąd widzieli się po raz ostatni, a zdjęcia w gazetach w niczym nie przypominały groźnego nieznajomego. Gdzie się podział przystojny, nonszalancki playboy sprzed lat?

- Co tu robisz? - zapytała szorstko. Nie miał prawa tak jej straszyć. I nie miał prawa zakłócać jej prywatności. Co z tego, że w Hollywood jest wielką gwiazdą? Już dawno wyrosła z wieku, gdy jej to imponowało.

- Widziałem sztyl, jakieś dwadzieścia mil stąd, i przypomniałem sobie, jak ciągle opowiadałaś o dzieciństwie tutaj. Byłem po prostu ciekaw.

Patrzyła na przepaskę na oku, na niechlujny strój. Brudne, ubłocone ciuchy, zarost na twarzy, umazane smarem ręce. Nic dziwnego, że go nie poznała. Przypomniała sobie, że miał wypadek, ale nie współczuła już ludziom, którzy z wypadku wychodzą z ranami fizycznymi, ale życiem bez zmian.

Nie podobało jej się, że musi zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Dlaczego nie powiedziałaś od razu, kim jesteś?

Wzruszył ramionami.

- Stary nawyk.

Niepewność powróciła. Eric stał spokojnie, nie robił nic, by wytłumaczyć swą obecność tu, w Karolinie Południowej. Spoglądał na Honey jednym turkusowym okiem. Ogarnęło ją dziwne uczucie, że widzi lustrzane odbicie swojej twarzy. Nie chodziło o podobieństwo fizyczne, nie, to coś ważniejszego; w jego rysach widziała martwość. Znała to aż za dobrze.

- Ukrywasz się, tak? - zapytała. - Stąd długie włosy i fałszywy akcent. I ta przepaska na oku. - Zadrzała na zimnym wietrze.

- Przepaska jest prawdziwa, włączyli ją nawet do scenariusza ostatniego filmu. A jeśli chodzi o resztę, nie chciałem cię przestraszyć. Akcent jest odruchowy, dzięki temu fani mnie nie poznają.

Wydawało się jednak, że gnębi go coś poważniejszego niż zmęczenie wielbicielami. Honey także uciekała, bez trudu więc rozpoznała towarzysza drogi, choć nie miała pojęcia, przed czym Eric mógłby uciekać.

- Bez sąsiadów, bez telewizji satelitarnej... zazdroścę ci - powiedział, patrząc w dal. - Postawił kołnierz kurtki. - Przykro mi z powodu Dasha. Nie lubił mnie, ale zawsze go podziwiałem.

Kondolencje nie brzmiały szczerze. Honey nastroszyła się.

- Zapewne nie jako aktora - mruknęła.

- Nie, nie jako aktora. Jako człowieka. Miał osobowość.

- Zawsze powtarzał, że nikt nie zagra Dasha Coogana równie dobrze jak on. - Zacisnęła zęby. Nikt się nie dowie, jak bardzo cierpi.

- Był wolny. Niewielu może to o sobie powiedzieć. - Odwrócił głowę w stronę srebrzystej powierzchni jeziora.

Przypomniała sobie jego zdjęcie w gazecie na dzień przed ceremonią wręczenia Oscarów: starannie zaczesane włosy, okulary RayBan, garnitur od Armanięgo. Nie pokazano jego nóg, ale gotowa była się założyć, że ma mokasyny od Gucciego. Uświadomiła sobie, że to mężczyzna o tysiącu twarzy; włączyła to tylko kolejne oblicze.

- Sporo tu miejsca - zauważył.

- I mało ludzi - odparła. - Chciałabym, żeby tak zostało.

Nie zrozumiał aluzji, spojrzął na przyczepę.

- Pewnie masz tam termę i prysznic?

- Ale nie mam ochoty na towarzystwo.

- Ja też nie. Zaraz wracam, przyniosę sobie czyste ubranie z wozu.

Miała ochotę wysłać go do wszystkich diabłów, ale już zniknął między drzewami. Weszła do przyczepy. Może zaryglować drzwi? Ale po co? To przecież nie ma sensu. Niech się wykąpie, czemu nie? Potem sobie pójdzie, a ona znowu zostanie sama.

Zadrzała. Nie będzie czekała w mokrych ciuchach, aż wielki gwiazdor zużyje całą ciepłą wodę. Wystarczy mu resztki. Ściągnęła ubranie i weszła pod prysznic. Była ciekawa, co go spotkało, oprócz rozwodu i wypadku, ma się rozumieć. Nie słyszała o żadnych innych traumatycznych przejściach. Należał do wybrańców opatrności, dobre wróżki dały mu w kołtysce sławę i pieniądze. Dlaczego więc zachowuje się jak bohater greckiej tragedii?

Wytała się, włożyła stary szary dres i wyszła z łazienki. Nie odwróciła się, nie zajrzała do małego saloniku, ale zaraz usłyszała szcęk zasuwki i szum wody.

Rozczesała włosy. Przeszła do małej kuchenki. Najchętniej zaparzyła-by dzbanek świeżej kawy, ale nie chciała, by Eric został dłużej, więc zabrała się za zmywanie.

Wyszedł z łazienki w czystych dżinsach i flanelowej koszuli. Ogolił się, długie włosy zaczesał do tyłu. Honey nie zamierzała zadawać żadnych pytań, które mogłyby przedłużyć jego wizytę, ale jej uwagę przykuła przepaska na oku.

- To coś poważnego? - spytała.

- Tak, przynajmniej do operacji. Potem zobaczymy. To nie widok dla mięczaków.

Tym razem współczucie naruszyło twardą skorupę, którą się otoczyła. Utrata oka to straszna rzecz dla każdego, ale zwłaszcza dla aktora, który w ten sposób tracił jedno z najważniejszych narzędzi pracy.

- Przykro mi - powiedziała. - Zabrzmiało to oschle i nieszczerze. Uderzyło ją, jak bardzo nie lubi osoby, którą się stała.

Wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

A jakże, pomyślała. Więc dlatego ucieka. Stracił oko w wypadku i nie może się z tym pogodzić.

Eric podszedł do okna. Honey ponownie zajęła się naczyniami.

- Nie masz telewizora? To dobrze.

- Zazwyczaj nawet nie czytam gazet.

Skinął głową. A potem zapytał:

- Co ty tu robisz?

Czekała na to pytanie. Wszyscy je zadawali. Mieszkańcy miasteczka, robotnicy, Liz. Wszyscy chcieli wiedzieć, dlaczego wyjechała z Los Angeles i czemu wydawała fortunę na remont kolejki górskiej w martwym wesołym miasteczku. Nie mogła odpowiadać, że robi to, aby odnaleźć zmarłego męża, więc wyjaśniała, że drewniane kolejki to ginące zabytki kultury i chce ocalić chociaż Czarny Grom. Nie musi jednak tłumaczyć się przed Erikiem. - Musiałam wyrwać się z Los Angeles, więc remontuję Czarny Grom - odparła. - To kolejka górską.

Czekała na dalsze pytania, on jednak powiedział coś, co ją zaskoczyło.

- Posłuchaj, rozumiem, że nie chcesz tu towarzystwa, ale pozwól mi zatrzymać się na kilka dni. Będę ci schodził z drogi.

- Masz rację. Nie chcę towarzystwa.

- Ja też nie. I dlatego to dla mnie idealne miejsce.

Opłukała kubek z piany.

- Nie mam pokoi gościnnych.

- Będę spał w samochodzie.

Wytarła ręce w ściereczkę.

-Nie.

- Boisz się?

- Ciebie? Skądże.

- Remont kolejki górskiej to ciężka robota. Może przyda ci się dodatkowa para rąk.

Parsknęła śmiechem.

- Praca na budowie to harówka. Szlag trafi manicure za sto dolarów. Nie złapał przynęty; wydawało się, że w ogóle jej nie słucha.

- Mam tylko jedną prośbę. Nie mów nikomu, kim jestem.

- Nie pozwoliłam ci zostać.

- Nawet nie zauważysz, że tu jestem. I jeszcze jedno. Co kilka dni będę się wymykał na parę godzin. To chyba żaden problem, skoro nie będziesz mi płaciła.

- Do fryzjera?

- Mniej więcej.

Nie chciała go tutaj, ale rzeczywiście przydałaby się dodatkowa para rąk, zwłaszcza że nie musiałaby mu płacić.

- Dobrze - burknęła. - Możesz zostać, ale jeżeli mnie wkurzysz, zabierzesz się stąd.

- Nie będziesz mnie oglądała na tyle często, żeby do tego doszło.

- Już prawie do tego doszło, więc nie przeciągaj struny.

Wsunął dłoń do tylnej kieszeni dżinsów i otwarcie lustrował ją wzrokiem: wilgotne włosy, szary dres, stare skarpetki Dasha na nogach. Jedyłą ozdobę stanowiła złota obrączka, porysowana narzędziami. Nie pamiętała, kiedy ostatnio się malowała. Choć za kilka tygodni skończy dopiero dwadzieścia sześć lat, na jej twarzy widniały głębokie bruzdy. Rzadko patrzyła w lustro, ale wiedziała, że po dziewczynie, którą kiedyś była, nie został nawet ślad.

Patrzył na nią beczelnie i nagle poczuła z nim dziwną więź. Może mu powiedzieć wszystko albo nic. Był obojętny; bez względu na to, co powie, nie okaże jej ani współczucia, ani potępienia. Nie dbał o nic.

Dziwne, latami darzyła Erica Dillona niechęcią, a teraz okazał się pierwszym człowiekiem, którego towarzystwo nie działało jej na nerwy.

Następnego ranka Chantal przybiegła do niej zaraz po spotkaniu z Erikiem. Błagała, by Honey nie zatrudniała takiego niebezpiecznego pracownika.

- Ten Dev wymorduje nas we śnie, zobaczysz!

Honey zerknęła na Erica, który układał ciężkie worki z cementem. Dev? Tak się przedstawia? Ciekawe, czy to skrót od devil - diabeł?

Na głowie miał kask, jak wszyscy, ale długie włosy spiał w kucyk. Pod rozpiętą flanelową koszulą dostrzegła biały T-shirt. Podniszczone buty i dżin-sy z dziurą na kolanie upodabniały go do innych robotników. Najdziwniejsze, że pasowały do niego tak samo jak garnitur od Armaniego. Przemknęło jej przez myśl, że to wszystko kostiumy, elementy granej roli.

- On jest w porządku, Chantal. Nie martw się. Był w seminarium.

- Naprawdę?

- Tak mi powiedział. - Honey przełknęła resztkę kawy i wyrzuciła plastikowy kubeczek. Z cynicznym uśmiechem wspinała się na górę. Myśl, że Eric Dillon miałby być księdzem, rozbawiła ją.

Z wierzchołka patrzyła, jak Eric mocuje się z ciężkim workiem. Nie przepadała za mężczyznami z długimi włosami, ale kucyk Erica pasował idealnie do jego regularnych rysów i tajemniczej przepaski na oku. Wyobrażała sobie, co Dash by powiedział, i uśmiechnęła się pod nosem, układając tę rozmowę. Zazwyczaj czerpała z tego słodko-gorzka pociechę.

- Niby dlaczego ktoś, kto pretenduje do miana mężczyzny, miałby nosić taką fryzurę? - zapytałby.

Posłałaby mu rozmarzone spojrzenie, które, jak wiedział, działało mu na nerwy.

- Bo to bardzo pociągające.

- Wygląda jak pedał.

- I tu się mylisz, kowboju. Wygląda bardzo, bardzo męsko.

- W takim razie, skoro tak cholernie ci się podoba, czemu nie weźmiesz go sobie do łóżka, żeby ugasił płomień, który budzi cię po nocach?

Mało brakowało, a walnęłaby się młotkiem w palec, co nie zdarzyło jej się od ponad miesiąca. Cóż to za myśl? Nie ma żadnego płomienia. Nawet iskierki.

Zamachnęła się energicznie, ale rozbudzona wyobraźnia nie dawała spokoju. Usłyszała głos Dasha: - Nie pojmuję, co w tym złego. Już najwyższy czas. Nie wychowałem cię na zakonnice, mała.

- Przestań się zachowywać jakbyś był moim ojcem, do cholery!

- Honey, wiesz przecież, że w pewnym sensie jestem twoim ojcem.

Zaczęła wylizywać na głos, co jeszcze musi kupić, byle zagłuszyć wyimaginowaną rozmowę.

Rozdział dwudziesty piąty

Eric dotrzymał słowa i schodził Honey z drogi. Rzadko ze sobą rozmawiali. Jego samochód stał między dwoma starymi magazynami, niedaleko bocznego wejścia. Wieczorami brał prysznic w przyczepie, gdy jadła kolację z Chantal i Gordonem.

Od samego początku wtopił się w tłum robotników; brak umiejętności nadrabiał siłą i zapałem. Po zaledwie dwóch tygodniach musiała sobie w kółko przypominać, że Eric Dillon nie jest tym, za kogo chce uchodzić: długo-włosym jednookim nieznajomym, znanym jako Dev.

Kilka razy zniknął bez śladu na kilka godzin. Zastanawiała się, co robi w tym czasie. W końcu doszła do wniosku, że pewnie spotykali się, z jakąś kobietą. Eric Dillon nie zrezygnuje z seksu tylko dlatego, że stracił oko.

Z całej siły rąbnęła młotkiem w gwóźdź. Ostatnimi czasy coraz częściej myślała o seksie. W nocy znowu śnił jej się tajemniczy mężczyzna bez twarzy. Wolałaby, żeby ta cząstka jej osobowości umarła razem z Dashedem, ale najwyraźniej tak się nie stało.

Wsunęła młotek za pas z narzędziami. Nie będzie się nad tym zastanawiała. Nawet myślenie o seksie to zdrada pamięci Dasha.

Tego wieczoru podczas kolacji Gordon i Chantal byli dziwnie milczący. Chantal grzebała widelcem w przesolonej zapiekance z tuńczykiem, aż w końcu zadowolili się kubeczkami gotowej galaretki.

- Honey, muszę ci coś powiedzieć - odezwał się Gordon.

Chantal wierciła się niespokojnie.

- Nie, Gordon, nic nie mów. Proszę...

- Jestem na granicy bankructwa, więc jeśli chodzi o pieniądze, darujcie sobie. - Honey odsunęła gąbczaste ciasto w nadziei, że pod spodem znajdzie kawałek tuńczyka.

Gordon odłożył sztucce.

- Nie, nie chodzi o pieniądze, do cholery! Odchodzę. Jutro. Szukają robotników budowlanych w Winston-Salem. Zatrudnię się tam.

- Akurat! - zakpiła Honey.

- Mówię poważnie. Nie będę dłużej u ciebie pracował. Nie chcę twoich pieniędzy.

- Ciekawe, dlaczego nie mogę w to uwierzyć? - Odsunęła od siebie talerz. - A co z karierą malarską? - zapytała złośliwie. - Myślałam, że nie uznajesz kompromisów.

- Nie robiłem niczego innego, odkąd wsiadłem do twojej ciężarówki na szosie w Oklahomie - powiedział spokojnie.

Po raz pierwszy tego wieczoru Honey poczuła się nieswojo. Zrozumiała, że Gordon nie żartuje.

- Skąd ta nagła zmiana frontu? - zapytała.

- Ostatnie miesiące uświadomiły mi, że lubię ciężko pracować.

Chantal nie podnosiła wzroku znad stołu. Chlipnęła. Gordon popatrzył na nią ze smutkiem.

- Chantal nie chce ze mną jechać. Ona... ona chyba tu zostanie.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- On blefuje - rzuciła Honey ostro. - Nie zostawi cię.

- Nie blefuję - rzekł Gordon, patrząc na żonę. Jutro stąd wyjeżdżam, z samego rana. Z tobą albo sam. Musisz zdecydować, czy będziesz ze mną czy nie.

Chantal się rozpłakała.

Gordon wstał, odwrócił się do nich tyłem. Smętnie zwiesił ramiona. Honey widziała, że i on ma ochotę się rozpłakać. Starła się ukryć panikę pod maską gniewu.

- Czemu to robicie? Idźcie sobie, proszę bardzo! Oboje! - Zerwała się na równe nogi. - Nie mogę was dłużej utrzymywać. Nie wiedziałam, jak wam to powiedzieć, ale chyba już nie muszę. Wynoście się stąd, z samego rana!

Chantal także wstała, podeszła do męża.

- Widzisz, Gordon? Jak mogę ją teraz zostawić? Co z nią będzie?

Honey nie wierzyła własnym uszom.

- Ją? Boisz się mnie zostawić? Nie trudź się. Jestem twarda. Nic mi nie będzie.

- Potrzebujesz mnie - bąknęła Chantal. - Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, potrzebujesz mnie. A ja nie mam pojęcia, jak ci pomóc.

- Pomóc mi? To śmieszne! Nie radzisz sobie nawet ze sobą! Jesteś żałosna, Chantal Delaweese. Skoro chciałaś mi pomóc, czemu nie odciążałaś mnie w obowiązkach domowych, kiedy grałam w serialu? Dlaczego wtedy nic nie robiłaś, tylko wylegiwałaś się na kanapie całymi dniami? Skoro chciałaś mi pomóc, czemu zachowywałaś się, jakby na całym świecie liczył się tylko Gordon? Dlaczego, na Boga, nie upiekłaś mi normalnego tortu na urodziny?

Honey była przerażona, czuła łzy pod powiekami. Zapadła cisza, przerywana jedynie jej chrapliwym oddechem. W końcu odezwała się Chantal.

- Nie robiłam nic z tych rzeczy, Honey, bo chyba cię wtedy nienawidziłam. Jak mi wszyscy.

- Jak mogłaś? - krzyknęła Honey. - Spełniałam wszystkie wasze życzenia!

- Pamiętasz, jak kazałaś mi wziąć udział w wyborach miss hrabstwa Paxawatnie, żebyśmy nie musieli korzystać z pomocy społecznej? Widzisz, przez ostatnie lata Gordon i ja praktycznie żyliśmy z jałmużny. Nie dlatego, że potrzebowaliśmy pomocy, jak rodziny wielodzietne. Nie, po prostu łatwiej było brać od ciebie pieniądze, niż pracować. Utraciliśmy godność, Honey, i dlatego cię nienawidziliśmy.

- To nie moja wina!

- Nie, wina jest nasza. Ale bardzo nam to ułatwiłaś.

Gordon patrzył na Chantal wzrokiem zbitego psa.

- Ja też cię potrzebuję, Chantal. Jesteś moja żoną. Kocham cię.

- Och, Gordon. - Jej usta drżały. - Ja także cię kocham. Ale ty dasz sobie radę, w przeciwieństwie do Honey.

Honey poczuła, że coś ścisną ją za gardło. Z coraz większym trudem powstrzymywała łzy.

- W życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego, Chantal Booker Delaweese. Miejsce kobiety jest u boku męża. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o tym, że zostajesz ze mną. Szczerze mówiąc, będę zadowolona, jak was tu nie będzie.

- Honey...
- Ani słowa więcej - powtórzyła i objęła kuzynkę.
- Och, Honey...

Puściła ją, wyciągnęła rękę do szwagra.

- Powodzenia, Gordon.

- Dzięki. - Ujął jej dłoń, a potem przytulił Honey. - Uważaj na siebie, słyszysz?

- Jasne. - Podeszła do drzwi, uśmiechnęła się z trudem i wypadła na dwór.

Biegła przez park. Gumka zsunęła jej się z włosów, tak że rozsypały się po ramionach, smagały policzki. Stopy głucho dudniły na twardej ziemi. Wpadła do przyczepy, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Próbowała się uspokoić.

Miesiącami powtarzała sobie, że chce być sama, a teraz, gdy jej życzenie się spełniło, czuła się jak samotny rozbitek w przestrzeni kosmicznej. Do nikogo nie należy. Nie ma rodziny. Mieszka w krainie umarłych, tylko Czarny Grom trzyma ją przy życiu. Ale Czarny Grom nie ma skóry, krwi, serca.

Usłyszała szum wody w łazience. Początkowo nie wiedziała, co to, dopiero po chwili przypomniała sobie, że Eric bierze u niej kąpiel. Zazwyczaj już go nie było, gdy wracała po kolacji, ale dzisiaj wróciła wcześniej niż zwykle.

Przycisnęła dłonie do skroni. Nie chciała być sama. Nie znieśie tego. Nie wytrzyma dłużej, tak bardzo się boi. Boi się żyć. I boi się umrzeć.

Szczękała zębami. Odeszła od drzwi, złapała się stołu. Strach był coraz silniejszy, przerodził się w panikę. Musi go odpędzić. Musi poczuć druzgiego człowieka. Wszystko jedno kogo.

Niemal bezwiednie skręciła do małego korytarzyka, podeszła do drzwi łazienki.

Klamka ustąpiła.

Ledwie weszła, otoczyły ją kłęby pary. Zamknęła za sobą drzwi, przywarła do nich plecami, z trudem łapała oddech.

Stał do niej tyłem. Był za duży, za potężny do małej kabiny prysznicowej, przy każdym ruchu zawadzał o plastikowe zasłonki. Widziała zarys jego sylwetki przez tani materiał, ale żadnych szczegółów. Równie dobrze mógł tam być ktoś obcy.

Zamknęła oczy. Zdjęła buty. Zdecydowanym ruchem ściągnęła przez głowę bluzę i podkoszulek. Miała na sobie cieniutki stanik z jasnozielonej koronki, ostatni kobiecy element w świecie kasków, butów z cholewkami i pił mechanicznych. Czuła, że to, co się dzieje, jest nieuniknione. Rozpięła pasek i zdjęła dżinsy, została w samych majteczkach, tego samego koloru co stanik.

Nogi się pod nią ugięły, więc złapała się umywalki. Jeśli nie poczuje przy sobie człowieka, załamie się.

Kątem oka dostrzegła swoje odbicie w zamglonym lustrze nad umywalką. Widziała splątane włosy, zamazane rysy.

Szum ucichł. Odwróciła się gwałtownie. Eric stał twarzą do łazienki. Zobaczył ją. Milczał.

Powoli rozsunął drzwi kabiny. Zdjął z wieszaka ręcznik i coś jeszcze. Dostrzegła, że to jego przepaska na oko. Założył ją, chcąc oszczędzić Honey widoku zmasakrowanej twarzy. Potem wyszedł z kabiny i podszedł do niej.

Podniósł ją, owinęła go nogami w biodrach. Przycisnęła ją do ściany łazienki.

- Jesteś gotowa? - zapytał miękko.

Skinęła głową. Zamknęła oczy, gdy w nią wchodził.

Przywarła do niego. Była taka spragniona, tak zdesperowana. Jej łzy spływały wzdłuż jego kręgosłupa. Obejmował ją mocno, czule gładził. Krzyknęła, a po chwili i on osiągnął spełnienie. Przyjęła na siebie jego ciężar, gdy wstrząsały nim spazmy.

Potem delikatnie ułożył ją na podłodze. Oddychał ciężko, chrapliwie. Wyczuła, że chce ją przytulić. Odsunęła się szybko, nie patrząc na niego. Wyszła z łazienki i po chwili zniknęła w sypialni po drugiej stronie przycepy.

Kiedy wróciła po kilku godzinach, już go nie było. Nie został żaden ślad, oprócz kropli wody w kabinie prysznicowej. Wytarła je starannie, za nim wzięła kąpiel.

Eric zacisnął dłonie na kierownicy, aż pobiełały kłykcie. Dlaczego pozwolił, by kolejna nieszczęśliwa istota wdarła się jego życie? Chciał wyzwolić się od cierpienia, a nie pograżać się głębiej. Chciał stąd uciec, ale nie był nawet w stanie wsadzić kluczyka do stacyjki.

Miał ją przed oczyma. Duże, rozświetlone oczy, pełne, drżące usta. Boże, śnił o tych ustach, odkąd ponownie ją zobaczył. Miękkie zmysłowe, pociągały go z magiczną wręcz siłą. A nawet jej nie pocałował. Wątpił, by mu na to pozwoliła, gdyby spróbował.

Wymarłe wesołe miasteczko okazało się nie miejscem zapomnienia, jak na to liczył, tylko piekłem. Co go w niej pociąga? Jest oschła, twarda, ponura i zawzięta, co w dziwny sposób kłóciło się z jej drobną sylwetką. Nawet robotnicy trzymali się od niej z daleka. Zbyt często już padli ofiarami jej ostrego języka. Zachowała się tak samo, jak podczas najgorszych chwil na planie serialu, przy kręceniu drugiej serii.

Wzniesienie roller coastera górowało nad drzewami. Nie wiedział, skąd się bierze jej obsesja na punkcie kolejki. Wiedział tylko, że nienawidzi, gdy trwa przyklejona do drewnianego kolosa, jakby była jego częścią. Przeraziła go jej obsesja.

Kim jest? Nie zagubioną dziewczynką spragnioną miłości, która kiedyś przypominała mu braciszka, ale nie jest też oschłą szefową w żółtym kasku. Czasami, gdy na nią patrzył, wydało mu się, że tuż obok stoi inna kobieta - roześmiana, pogodna, beztraska, z szeroko rozwartymi ramionami. Wmawiał sobie, że to iluzja, ale coraz częściej zastanawiał się, czy nie tak właśnie wyglądała za życia Dasha Coogana.

Dzisiaj jej uroda nie dawała mu spokoju. Siła, cierpienie, wrażliwość. Mimo tego połączyli się jak zwierzęta, nie jak ludzie. Nawet gdy leżeli spleceni w uścisku, nie dali sobie nic, tylko wzajemnie się wykozystali.

Tylko że to się nie udało. Najbardziej przerażały go uczucia, które w nim budziła. Bowiem gdy trzymał w objęciach jej drobne ciało, ciało, które chciało od niego jedynie zaspokojenia seksualnego, czuł, jak jedna po drugiej znikają ochronne warstwy, którymi się otoczył. Był gotów na wszystko, byle ją pocieszyć.

Zapatrzył się w okno niewidzącym wzrokiem. Zdawał sobie sprawę, że powinien stąd odejść, i wiedział jednocześnie, że zostanie. Nigdy więcej jednak nie pozwoli, by zakradła się za jego parawany ochronne - nie ma siły, by znosić czyjeś cierpienie. Podobno jest najlepszym aktorem swego pokolenia; czas to udowodnić. Od tej pory tak szczelnie otoczy się fikcyjnymi postaciami, że już nigdy go nie dotknie.

Następnego ranka Honey jeździła bez celu, usiłowała zapomnieć o wydarzeniach nocy, kiedy jednak omawiała z brygadzystą szczegóły specjalnego odcinka kolejki, wspomnienia powróciły. Jak mogła? Jak mogła zdradzić pamięć męża w tak paskudny sposób? Ogarnęła ją nienawiść do samej siebie, wielkie pretensje pod adresem osoby, którą się stała.

Przez cały dzień pracowała z zapałem i zaciekłością, tak że wieczorem ledwie trzymała się na nogach. Osunęła się na ziemię, zdrętwiałymi palcami odpinała pas z narzędziami, i usłyszała kroki za sobą. Jeszcze zanim się odwróciła wiedziała, kto to i zesztyniała.

Eric patrzył na nią pustym wzrokiem. Zamiast ulgi, że nie zmusza jej do rozmowy o minionej nocy, przeszył ją dreszcz. Gdyby nie ból w najdziwniejszych miejscach, myślałaby, że sobie to wszystko wyobraziła.

' - O ile wiem, twoja kuzynka i jej mąż wyjechali - odezwał się spokojnie, bez obcego akcentu. - Czy przeszkadzałoby ci, gdybym się przeniósł do Bullpen? Mieszkanie jest wygodniejsze niż mój wóz.

Starła się zapomnieć o pustym domku. Przez cały dzień spoglądała w tamtą stronę w nadziei, że jednak zobaczy półciężarówkę Gordona. Na próżno.

- Rób jak chcesz - odpadła sucho.

Skinął głową i odszedł.

Wróciła do przyczepy, odgrzała sobie na kolację gulasz z puszki i usiłowała nie myśleć o samotności, starannie sprawdzając rachunki na kalkulatorze; były bezlitosne. Wystarczy jej pieniędzy na wypłatę za styczeń i koniec.

Porwała z wieszaka niebieski rozpinany sweter i wybiegła na dwór. Noc była bezchmurna, na niebie srebrzyły się niezliczone gwiazdy. Oby tylko u Chantal i Gordona wszystko było dobrze. Za niecałe dwa tygodnie Boże Narodzenie. Rok temu spędzili z Dashem święta pod namiotem, na pustyni. Podarował jej złote kolczyki ręcznej roboty, w kształcie półksiężyców. Po jego śmierci schowała je na samym dnie szkatułki z biżuterią - nie mogła na nie patrzeć.

Przemierzała zarośniętą ścieżkę pewnymi krokami, aż stanęła na brzegu jeziora. W końcu zabroniono Purlex Paint Company wylewać odpadki do Silver, ale trzeba wielu lat, by jezioro ponownie ożyło. Tymczasem ciemność zakrywała zniszczenia, tylko księżyc kładł się srebrnymi smugami na powierzchnię.

Odwróciła się plecami do jeziora, wpatrzona w Black Thunder, ledwie widoczny w świetle księżyca. Uważano ją za wariatkę, bo chce go odbudować. Jak ma wytłumaczyć niesłabnące pragnienie, by odnaleźć jakiś znak, że nie utraciła Dasha na zawsze? W przyпіlywie zdrowego rozsądku tłumaczyła sobie, że Black Thunder to tylko kolejka górська, nie ma żadnych magicznych właściwości, ale głos rozsądku milkł wobec wewnętrznego przekonania, że dopiero wówczas odzyska kontrolę nad swoim życiem, gdy wyruszy na podróż przez koszmary - na Black Thunder.

Opuściła ramiona. Może inni mają rację. Może zwariowała. Poczuli łyzy po powiekami. *Cholerny stary kowboj. Złamałeś mi serce, tak jak mówiłeś.*

Jej uwagę przykuł ruch pośród sosen. Przestraszona, odwróciła głowę i zobaczyła nieruchomego mężczyznę. Wszedł z pomiędzy drzew. To Eric. Wpadła w panikę na myśl, że ma być z nim sama.

Jak zawsze, gdy chciała ukryć strach, wpadła w złość. - Nie lubię, kiedy się mnie szpieguje. Właśnie przekroczyłeś granicę.

Niebieskie oko patrzyło na nią bez wyrazu. Podszedł bliżej. - Dlaczego miałbym cię szpiegować? Dokładnie rzecz biorąc, byłem tu pierwszy.

- To moje jezioro - odparła, zaskoczona swoim dziecinnym zachowaniem.

- Proszę bardzo. O ile wiem, nikt inny się po nie nie pcha.

Choć byli sami, mówił z lekkim cudzoziemskim akcentem. Doszła do wniosku, że jeśli ciągle będzie na niego warczała, dojdzie do wniosku, że ostatnia noc coś dla niej znaczyła. Nabrała tchu i starała się odzyskać godność.

- Jezioro powoli ożywa - odezwała się. - Fabryka farb latami wlewała do niego odpady.

- Nie powinnaś tu mieszkać sama. Wczorajem przegoniłem włóczęgę, który się kręcił koło Bullpen. Skoro twoi krewni wyjechali, może powinnaś poszukać sobie pokoju w miasteczku, a nie mieszkać tu zupełnie sama.

Nie zdawał sobie sprawy, że stanowi dla niej o wiele większe niebezpieczeństwo niż włóczęga. Czuła, jak traci resztki opanowania. - Nie przypominam sobie, bym cię pytała o zdanie.

Twarz, tak pełna wyrazu na ekranie, zamknęła się jak drzwi ze zbyt silnie naciągniętą sprężyną. - Masz rację. Nie pytałaś mnie o zdanie.

Mimo akcentu, który miał stanowić barierę między nimi, powróciły wspomnienia minionej nocy. Honey walczyła z narastającą paniką w jedyny znany sobie sposób. - Ukrywasz się, tak? - rzuciła pogardliwie. - Ukrywasz się nie tylko dlatego, że jesteś sławny. Może już zapomniałeś, kim jesteś, ale ja nie. Wkurza mnie, że zachowujesz się jak jakiś świr.

Zacisnął zęby. - Akcent to odruch. I nie zachowuję się jak świr.

Wstrzymała oddech, czekając, aż jej wypomni, że to ona do niego przyszła. On jednak powiedział tylko: - To nie ja buduję roller coaster na samym końcu świata. Nie ja kręcę się bezustannie jak miniaturowa wersja kapitana Ahaba. Nie ja mam obsesje na punkcie Moby Dicka.

- Lepszy Moby Dick niż nic! - Nie ma obsesji. Nie ma już. To po prostu coś, co musi zrobić, zanim zacznie nowe życie.

- Co to miało znaczyć? - Akcent zniknął, twarz spochmurniała.

Ruszyła do ataku, chcąc dotknąć go tam, gdzie zaboli to najbardziej, chcąc zadać śmiertelny cios. - A co z ciebie za tchórz? Uciekasz, bo straciłeś oko? *Przynajmniej żyjesz, sukinyну!*

- Ty mała dziwko. Nawet nie wiesz, jak to wygląda. - Dotknął palcem czarnej przepaski. - Tu nie ma oka, rozumiesz? Są tylko grube czerwone blizny.

- No i co z tego? Masz jeszcze jedno.

Nie odpowiedział w pierwszej chwili. Honey zrobiło się niedobrze, gdy usłyszała własne słowa, ale nie było sposobu, by je cofnąć.

Uśmiechnął się kpiąco i oznajmił powoli, cicho. - Zawsze się zastanawiałem, co się stało z Janie Jones i teraz wiem. Życie rzuciło jej pod nogi o jedną kłodę za dużo i wróciła do początku, tam gdzie zaczynała - mała wystraszona dziwka, która chowa się za obelgami i wrednymi posunięciami.

- To nieprawda!

- Boże. Co za pech, że Dash nie żyje. Założę się o każdą sumę, że zaraz przełożyłby cię przez kolano i wlepił w skórę, tak samo jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem.

Nie waż się o nim mówić - rzuciła zapalczywie,. - Nie waż się nawet wypowiadać jego imienia. - Miała łzy w oczach, ale na Ericu to chyba nie robiło specjalnego wrażenia.

- Co ty tu robisz, Honey? Dlaczego tak bardzo ci zależy na odbudowie roller coastera?

- Bo tak.

- Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

- Nie zrozumiesz.

- Zdziwiłabyś się, jak wiele potrafię zrozumieć.

- Muszę. - Opuściła wzrok na swoje ręce. Splatała je i rozplatała nerwowo. Gniew minął bez śladu. - Kiedy byłam mała, Black Thunder bardzo wiele dla mnie znaczył.

- Mój scyzoryk również. Ale nie zrezygnowałbym ze wszystkiego, żeby go odzyskać.

- To nie tak! Chodzi o... o nadzieję. - Skrzywiła się, przerażona, że tak wiele mu powiedziała.

- Dash nie wróci - rzucił brutalnie.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz! - krzyknęła. - I dam ci znać, kiedy mi będą potrzebne kazania! Uciekasz, tak samo jak ja, ale z bardziej błahych powodów! Czytałam gazety. Masz dzieci. Dwie córeczki, dobrze pamiętam? Co z ciebie za ojciec, że tak je porzucasz?

Patrzył na nią z ledwie hamowaną wściekłością, aż pożałowała, że się odezwała.

Nie wypowiadaj się na temat spraw, o których nie masz pojęcia. - Z tymi słowami odszedł.

Przez następne dni odzywał się jedynie wówczas, gdy w pobliżu byli inni, i zawsze głosem Deva, robotnika. Ten głos prześladował ją we śnie, budził w niej pragnienia, o których wołałaby zapomnieć. Powtarzała sobie w kółko, że Eric jest doskonałym aktorem i każda postać, w którą się wciela, wydaje się bardzo rzeczywista, ale groźnie wyglądający robotnik stawał się jej przekonaniu osobną postacią, nie mającą z Erikiem nic wspólnego. Robiła, co w jej mocy, by się trzymać od niego z daleka, ale uniemożliwiły jej to problemy natury finansowej.

We wtorkowe popołudnie, cztery dni po kłótni nad jeziorem, podjęła decyzję. Czekwała, aż robotnicy urządzili sobie przerwę obiadową. Eric ładował zbutwiałe deski na ciężarówkę. Gdy się zbliżyła, ściągnął rękawice ochronne.

Podawała mu brązową papierową torbę. - Wydawało mi się, że nic nie jesz, więc ci przyniosłam kanapki.

Po chwili wahania przyjął poczęstunek. Był czujny. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że unikał jej tak samo, jak i ona starała się schodzić mu z drogi.

- Mam tylko jeden termos, musimy się podzielić. - Oddaliła się z nadzieją, że pójdzie za nią. Po kilku sekundach usłyszała kroki.

Skierowała się z dala od innych, na pusty plac, dawne miejsce po karuzeli. Usiadła, postawiła termos na ziemi, rozpakowała kanapki. Po chwili także Eric przycupnął na leżącym pniu i wyjął kanapkę z masłem orzechowym. Zauważyła, że nie rozwinął jej całkowicie z folii, tylko trzymał przez przezroczyste opakowanie, żeby nie dotykać brudnymi rękami. Przypomniała sobie, że pochodzi z bogatej rodziny, gdzie pewnie trzeba było myć ręce przed jedzeniem.

- Pokroiłam po przekątnej, zamiast na pół - odezwała się. - To obecnie szczyt moich osiągnięć kulinarnych.

Kącik jego ust uniósł się, co przy sporej dawce dobrej woli można by uznać za uśmiech. Poczowała bolesne ukłucie, gdy przypomniawszy sobie, jak często śmiała się z Dashem.

Wskazał krąg nagiej ziemi. - Pewnie była tu karuzela?

- Tak. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Erica, jego oczy wydały jej się turkusowe jak siodła drewnianych koników. Wyjęła kanapkę, chcąc ukryć zmieszanie i niepewność. To był kiepski pomysł, zdawała sobie z tego sprawę, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Odgryzła rożek kanapki, żuła powoli, nie czując smaku, odłożyła resztę na kolana. - Chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

Czekał.

- Jeśli w ciągu najbliższych tygodni nie zdobędę pieniędzy, będę musiała przerwać prace.

- Nie dziwię się. To kosztowna impreza.

- Spójrzmy prawdzie w oczy: nie mam złamanego centa. Chciałam cię prosić... - chleb z masłem orzechowym utkwiał jej w gardle. Przełknęła jeszcze raz. - Pomyślałam, że może... Miałam nadzieję, że...

- Chyba nie chcesz mnie prosić o pożyczkę?

Przemowa, którą układała z takim przejęciem, rozwiła się bez śladu. - A co w tym takiego strasznego? Pewnie masz kilka milionów, a potrzebne mi będzie tylko dwieście tysięcy.

- Tylko tyle? Boże, chyba zaraz złapię za książeczkę czekową!

- Oddam ci.

- Pewnie. Black Thunder przyniesie ci majątek. Jak myślisz, ile? Pięć doliczając tygodniowo?

- Nie o to mi chodzi. Nie spłacę cię z dochodów z roller coastera. Wiem, że nie przyniesie żadnych zysków. Ale kiedy go uruchomię... - Urwała,

język odmawiał jej posłuszeństwa. To jeszcze gorsze, niż przypuszczała. Była świadoma, że pozbywa się ostatniej rzeczy, która jej pozostała. - Dzisiaj wieczorem zadzwonię do mojego agenta. Wracam do pracy.

- Nie wierzę.

Było jej niedobrze. - Muszę. Jeśli jedynym sposobem odzyskania Black Thunder jest powrót przed kamerę, zrobię to.

- A więc jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Jak to?

- Honey, popełniłaś błąd, przestając grać. Nawet nie dałaś sobie szansy, nie przekonałaś się, co naprawdę potrafisz.

- Potrafię grać Janie Jones - krzyknęła z rozpaczą. - I nikogo więcej. Jestem osobowością, jak Dash, nie aktorką.

- A skąd to wiesz?

- Po prostu wiem. Pamiętam, jak słuchałam twoich wywodów na temat technik aktorskich, różnych szkół... Nie mam o tym pojęcia.

- To tylko słownictwo. Nie ma nic wspólnego z talentem.

- Nie będę z tobą o tym rozmawiała, Eric. Powiedziałam już, że będę miała dosyć pieniędzy, by zwrócić dług. Mój agent załatwi mi opłaczalną rolę: seriale, filmy fabularne, telewizyjne, reklamy... wszystko, co się opłaca. Zanim ludzie się zorientują, że daleko mi do Meryl Streep i oferty przestaną napływać, zarobię tyle, że starczy na spłatę długów.

Przyglądał się jej uważnie. - Tak tanio sprzedasz talent?

- Nie talent będę sprzedawać, czy ty tego nie rozumiesz? Raczej nieślawę, to chyba lepsze słowo.

Zacisnął usta w wąską kreskę. - Wiesz co? Dlaczego po prostu nie skontaktujesz się z magazynami dla panów? Zapłacą ci majątek za nagą rozkładówkę. Pomyśl tylko, miałybyś dosyć forsy, by skończyć odbudowę, a potłowa facetów w Ameryce waliłaby konia nad nagą Janie Jones.

Uderzył w najczulszy punkt, ale nigdy się o tym nie dowie. - Jak myślisz, ile by mi dali?

Zgniół papierową torebkę, cisnął na ziemię ze złością.

- Żartowałam - odezwała się sucho. - Nie musisz się napuszać.

- Zastanawiam się, czy gdyby rozebrane zdjęcia były jedynym sposobem zdobycia pieniędzy, zrobiłabyś to?

- Poważnie wzięłabym to pod uwagę.

- O, na pewno. - Pokręcił głową. - Wiesz co? Myślę, że byś to zrobiła.

- I co z tego? Ciało nic dla mnie nie znaczy. Już nie.

Ogarnęło go dziwne napięcie. Podejrzewała, że wspomina, jak mu się oddała. Wykorzystała okazję, by w zawołowany sposób dać mu do zrozumienia, że tamta noc nie miała dla niej znaczenia.

- Eric, moje ciało się nie liczy. Teraz, po śmierci Dasha, jest mi obojętne.

- Chybaby się z tym nie zgodził.

Odwróciła głowę.

- Jemu by zależało, prawda? Prawda, Honey?

- Tak, chyba tak. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Ale on nie żyje, a ja muszę odbudować Black Thunder.

- Dlaczego? Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- To... - Przypomniała sobie noc nad jeziorem. - Usiłowałam ci wytłumaczyć, ale nie rozumiesz. Muszę to zrobić i już. - Zapanowała długa cisza. Honey usiłowała odzyskać panowanie nad sobą.

Eric wpatrywał się w zniszczone czubki butów. - Ile ci dokładnie potrzeba?

Powiedziała mu.

Zapatrzył się w dal, w wierzchołki sosen. - Dobrze, Honey. Zawrzemy umowę. Pożyczę ci te pieniądze, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

Popatrzył na nią. Miała wrażenie, że niebieskie oko przenika ją na wskroś. - Oddasz mi się.

- O czym ty mówisz?

- O twoim talencie, Honey. Dopóki nie spłacisz ostatniego centa.

- Co?

- Ja wybieram ci role. Nie, nie twój agent, tylko ja. Do mnie należy decyzja, czy masz w czymś zagrać czy nie.

- To szaleństwo.

- Masz wybór.

- Dlaczego? Ty nikomu nie powierzyłybyś swojej kariery.

- Za żadne skarby świata.

- Ale ja mam to zrobić.

- Nie musisz. O ile pamiętam, zależy ci na pieniądzach.

- Przecież to niewolnictwo. Mógłbyś mnie umieścić w reklamach maści na hemoroidy albo w durnych quizach, sto dolców za występ.

- Teoretycznie tak.

- Nie mam podstaw, żeby ci zaufać. Nawet cię nie lubię.

- Wiem o tym.

Powiedział to tak spokojnie, że się zawstydziała, najwyraźniej nie spodziewał się niczego innego.

Zerwała się na równe nogi, podniosła torebkę z prawie nietkniętym lunchem. Spojrzała na niego wrogo. - No, dobrze! Umowa stoi. Ale jeśli zechcesz mnie wykiwać, pożałujesz tego!

Odprowadzał ją wzrokiem. Ciągłe ten sam niewyparzony język, pomyślał. Ciągłe wymachuje pięściami, grozi całemu światu, jak przed laty. Nie boi się rzucić wyzwania wszystkim dokoła.

Nie mógł dłużej patrzeć, jak walczy z duchami. Najgorszy z nich to cholerny roller coaster. Powiedziała, że Black Thunder to nadzieja, ale Eric

miał dziwne uczucie, że Honey liczy raczej na magiczny powrót męża. Wstał, zebrał resztki lunchu, Nie wyobrażał sobie, jak to jest; być kochanym tak, jak Honey kochała Dasha.

Choć w LA musiał być dopiero za dwa tygodnie, zdrowy rozsądek namawiał, by natychmiast wyruszył w drogę. Musi jak najszybciej pożegnać się z wdową Coogan, pogrążoną w rozpacz. I tak właśnie zrobi. Tylko że zamiast trzymać się na dystans, związał się z nią jeszcze bardziej. Zadawał sobie pytanie: dlaczego? I za każdym razem dochodził do tego samego wniosku.

Nie wiadomo dlaczego miał uczucie, że zrobił pierwszy gigantyczny krok ku zdobyciu szacunku Dasha Coogana.

Rozdział dwudziesty szósty

Wświęteczny ranek ani jedna gałązka ostrokrzewu, ani jedna czerwona kokardka nie ozdabiały przyczepy Honey. Postanowiła, że nie będzie obchodziła Bożego Narodzenia, raczej je przetrzyma. Ale kiedy zwlokła się z łóżka, nie włożyła roboczych ciuchów. Nie zniosłaby kolejnego dnia pracy w samotności.

Wpatrywała się w lustro w łazience i nagle odezwała się w niej dawna próżność, czy raczej to, co z niej zostało. Dash zawsze powtarzał, że jest śliczna, ale z lustra patrzyła na nią chuda, zmęczona twarz. Odwróciła się z niesmakiem, ale zamiast wyjść, uklękła i pod wanną szukała pudełka z wałkami do włosów i przyborami do makijażu. Wepchnęła je tam, gdy tylko tu przyjechała.

Godzinę później skończyła układać fryzurę. Miała na sobie miękki golf i wełniane spodnie w kolorze spopielałego rózu. Włosy spływały jej na ramiona miękką falą, dzięki odżywce lśniły jak płynny miód. Makijaż zakrył cienie pod oczami, niebieskie cienie do oczu podkreślały błękit tęczówek. Musnęła policzki różem, pomalowała usta bladoróżową szminką, a w uszy wpięła półksiężycy - prezent od Dasha. Poczuła łyzy w oczach, gdy niesforny lok zaplątał się w złoty kolczyk, i szybko odwróciła wzrok od lustra.

Weszła do małego saloniku, nalała sobie kawy, usiadła na kanapie i sięgnęła po dużą brązową kopertę, która dostała kilka dni temu. Nie otwierała jej do tej pory, powstrzymywało ją przed tym ostrzeżenie nabażrzone dziecinny pismem Chantal: „Otworzyć dopiero w święta!” Rozzerwała sztywny papier. Z koperty wypadła niekształtna paczuszka w białej bibułce i liścik.

Kochana Honey,

Życzymy Ci wesołych świąt. Bardzo nam się podoba w Winston-Salem. Zamieszkaliśmy na ładnym osiedlu przyczep mieszkalnych. Gordon lubi swoją pracę. Kazał Ci przekazać, że ma dla Ciebie prezent, ale na razie go nie dostaniesz. Mam tu przyjaciółkę. Ma na imię Gloria i nauczyła mnie szydełkować.

Nadal uważam, że powinnaś wrócić do Los Angeles. Moim zdaniem Dash nie byłby zadowolony, gdyby Cię teraz zobaczył. Tęsknię za Tobą. Mam nadzieję, że spodoba Ci się prezent.

*Pozdrawiam serdecznie
Chantal (i Gordon)*

PS Nie martw się. Jeśli wrócisz do Los Angeles, nie pojedziemy z Tobą

Honey rozwinęła paczuszkę i wyjęła pierwszy prawdziwy prezent, jaki dostała Chantal. Był to pokrowiec na papier toaletowy, wydziergany na szydełku. Jadownicie niebieską włóczkę zdobiły nierówne żółte koła, prawdopodobnie kwiaty. Honey zaniósła go do łazienki, nałożyła na zapasową rolkę papieru i ustawiła na honorowym miejscu na toalecie.

Kiedy już to zrobiła, myślała gorączkowo, czym mogłaby się zająć. Pod wpływem impulsu narzuciła szarą wełnianą kurtkę, złapała torebkę i pobiegła do samochodu. Rozkręci radio na cały regulator i wybierze się na długą przejażdżkę.

W lokalnych stacjach grano tylko kolędy, więc wyłączyła radio, jeszcze zanim wjechała do miasteczka. Było ciepło i słonecznie. Postanowiła pojechać do Myrtle Beach i pospacerować nad oceanem. Nagle dostrzegła wóz Erica. Stał na czerwonym świetle kilka przecznic przed nią. Pomyślała o jego tajemniczych wyprawach. Ciekawe, czy wybiera się na randkę? Na tę myśl zrobiło jej się słabo.

Wcale nie miała zamiaru go śledzić, ale gdy skręcił w Palmetto Street, zrobiła to samo. Na drodze był spory ruch, więc bez trudu trzymała się kilka samochodów za nim. Nie posiadała się ze zdziwienia, gdy skręcił na parking przed szpitalem.

Zatrzymała się trochę dalej i czekała. Mijały minuty. Pomyślała o Dashu, ale to było zbyt bolesne, więc skupiła się na pracy, która ją czeka, zanim Czarny Grom pomknie w górę.

Ponownie zerknęła na samochód Erica. Otworzyły się tylne drzwiczki i ze środka wysiadł klaun. Miał na sobie fioletową koszulę i obszerne spodnie w grochy, a na głowie ogniście czerwoną perukę i zawadiacko zawiązaną piracką chustę. W jednej dłoni ścisnął pęk różnokolorowych balonów, w drugiej siatkę wypchaną czymś, co przypominało prezenty gwiazdkowe.

Pomyślała, że się pomyliła i śledziła niewłaściwy samochód, gdy dostrzegła fioletową łatkę na oku. Nie pojmowała, co się dzieje.

Kolejna twarz Erica Dillona. Kim on jest? Ile jeszcze tożsamości w sobie kryje? Najpierw Dev, teraz klaun. Honey wysiadła z samochodu i poszła za nim.

Zniknął, zanim przekroczyła próg szpitala, ale nietrudno było odnaleźć jego ślady. Staruszka w fotelu inwalidzkim trzymała czerwony balonik. Dziecko z ręką w gipsie - zielony. Nad innym pacjentem unosił się balonik pomarańczowy. Za zakrętem jednak ślad się urywał.

Powtarzała sobie, że powinna wyjść, ale podeszła do pielęgniarki.

- Przepraszam bardzo, czy widziała pani klauna? - Pytanie zabrzmiało co najmniej dziwacznie.

Młoda pielęgniarka poprawiła gałązkę sztucznego ostrokrzewu przy plakietce z imieniem.

- Ach, kapitana Łatę?

Honey niepewnie skinęła głową. Najwyraźniej to nie pierwsza wizyta Erica w szpitalu. Czyżby w ten sposób spędzał wolny czas?

- Pewnie znowu zabawia dzieciaki. Proszę chwileczkę poczekać. - Sięgnęła po telefon, szybko wystukała numer, zadała kilka pytań. - Pediatria, trzecie piętro. Właśnie zaczyna.

Honey podziękowała i poszukała windy. Ledwie rozsunęły się drzwi na trzecim piętrze, dobiegły ją wybuchy śmiechu. Poszła ich śladem i dotarła do sali na końcu korytarza. Musiała zebrać resztki odwagi, by do niej zajrzeć.

Dwanaścioro maluchów, w wieku od czterech do ośmiu lat, zebrało się w przestronnym, świątecznie udekorowanym pokoju. Niektórzy mieli na sobie szpitalne piżamy, inni szlafroki. Były wśród nich dzieci białe, czarne i z Azji. Niektóre siedziały na wózkach inwalidzkich, inne ciągnęły za sobą stojaki z kropłówką.

Na tle czerwonej peruki pomalowana twarz Erica wydawała się jeszcze bielsza. Z białą teatralnej farby kontrastowała ciemna brew, czerwone usta, czerwona kropka na nosie i fioletowa przepaska w kształcie gwiazdy. Obserwowała go zafascynowana.

- Nie jesteś Świętym Mikołajem! - zawołał nagle mały chłopczyk w niebieskim szlafroku.

- I tu się mylisz, brachu! - napuszył się Eric. - Przecież mam brodę, może nie? - Pogłaskał się po gładko wygolonym podbródku.

Dzieciaki energicznie kręciły głowami i krzyczały, że nie.

Poklepał się po płaskim brzuchu.

- I mam brzuch jak bęben!

- Nie masz, nie masz!

- I czerwone ubranko, jak Mikołaj. - Pomacał fioletową koszulę.

- Nieee!

Zapadła cisza. Eric rozglądał się zbity z tropu. Zmarszczył czoło, jakby miał się rozpłakać. Dzieci roześmiały się jeszcze głośniej.

- Więc kim jestem? - zapytał jękliwie.

- Jesteś kapitan Łata! - zapiszczały dzieci. - Kapitan Łata, wielki pirat!

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak jest!

Pomajstrował coś przy gumce obszernych spodni i oto w powietrze wzbiło się pół tuzina małych baloników. Potem zaśpiewał piosenkę o marynarzu Popeye, używając przy tym, ma się rozumieć, swojego imienia - kapitan Łata. Co więcej, wykonywał przy tym taniec, od biedy mogący ująć za irlandzki jig.

Honey nie wierzyła własnym oczom. Jakim cudem ktoś, kogo dręczą zmory przeszłości, jest w stanie zachowywać się tak beztrosko? Jego akcent to zabawna mieszanka bohaterów wszystkich znanych filmów o piratach, z domieszką cockneya. Dzieci klaskały do taktu. Magiczny świat, który tworzył z taką łatwością, pochłonał je całkowicie.

Eric wydobył trzy czerwone gumowe piłeczki z kieszeni spodni i zaczął żonglować. Robił to z wyraźnym wysiłkiem, nieudolnie, za to z takim zapałem, że dzieci były zachwycone. I wtedy ją zobaczył.

Zastygła w bezruchu.

Jedna piłeczka wyslizgnęła mu się z dłoni, potoczyła po podłodze. Mięło kilkanaście sekund, zanim ponownie skupił się na dzieciach.

- Zrobiłem to specjalnie - ryknął. Wziął się pod boki, toczył groźnym wzrokiem, czekał, aż mu się sprzeciwią.

- A właśnie że nie! - odezwało się kilku śmiazków. - Upadła ci!

- Myślicie, że takie z was mądrale? - burknął. - Ha! No więc oznajmiam wam, że żonglowania uczył mnie nie kto inny, jak sam Corny Wspaniały!!

- A kto to? - zapytał dziecinny głosik.

- Nie słyszeliście o Cornym Wspaniałym?

Przeczące kręcenie głowami.

-A zatem... - Wdał się w bajeczną, skomplikowaną opowieść o żonglerach i smokach, o pięknej księżniczce, na którą rzucono zaklęcie, tak że nie pamięta, jak się nazywa ani skąd pochodzi i biedulka włóczy się po całym świecie, szukając domu. Gestami i głosem tworzył obrazy tak żywe, jakby istniały naprawdę.

Zobaczyła już, co chciała, ale nie mogła stąd odejść. Opowieść, która pochłonięła dzieci, zainteresowała także ją. Zapomniała, kto się kryje za twarzą klauna. Eric Dillon był mroczny, przeklęty; kapitan Łata emanował radosnym, beztroskim urokiem.

Kapitan żałośnie pokręcił głową.

- Taka śliczna księżniczka i taka smutna. Ciekawe, jak byście się czuli, gdybyście zapomnieli, skąd jesteście i jak się nazywacie?

- Ja wiem! - krzyknął jeden z odważniejszych chłopców. - Nazywam się Jeremy Frederick Cooper trzeci. I pochodzę z Lamar.

Inne dzieci także głośno wykrzykiwały, jak się nazywają, i kapitan Łata każdemu gratulował doskonałej pamięci. Nagle zwiesił ramiona, spochmurniał.

- Biedna księżniczka. Szkoda, że nie możemy jej pomóc. - Pstryknął palcami. - Mam pomysł. Może wszyscy razem zdejmujemy z niej zaklęcie?

Dzieci wyraziły aprobatę zgodnym chórem. Mała dziewczynka w okularach podniosła główkę.

Kapitanie Łata? Jak mamy pomóc księżniczce, skoro jej tu nie ma?

- Nie ma? - Kapitan Łata zdziwił się niepomiernie. - Ejże, brachu, tego nie powiedziałem. Jest tutaj, a jakże.

Dzieci rozglądały się dokoła, a Honey poczuła pierwszy przypływ strachu.

- Pewnie, nie jest ubrana jak księżniczka - podpowiedział pirat.

Poczuła, że ma ręce mokre od potu. Chyba nie chce...

- A to dlatego, że nie pamięta, kim jest. Ale jest piękna, jak wszystkie księżniczki, więc nietrudno ją zauważyć, he?

Poczuła na sobie tuzin dziecięcych par oczu. Czują się jak motyl przykuty szpilką do ściany. Rzuciła się do drzwi.

- Wychodzi! - wrzasnęło jedno z dzieci.

Zanim minęła zbawienny próg, sznur przeleciał jej nad głową, owinał w talii. Przygwoździł ramiona do boków. Zdumiona, spojrzała w dół.

Eric złapał ją na lasso.

Dzieciaki zwijały się ze śmiechu, gdy oszołomiona gapiła się na sznur. Nie mieściło jej się w głowie, że to zrobił. Powoli zwijał lasso. Dzieci go dopingowały. Potknęła się, ze wstydu bardziej niezdarna niż zwykle. Jak on mógł? Wie, że nie jest gotowa na coś takiego.

- Boi się obcych - zauważył kapitan, zdejmując z niej pętlę. Ledwie ją uwolnił, otoczył ramieniem, pozornie, by podtrzymać, w rzeczywistości, by nie pozwolić jej uciec. - Nie obawiaj się, księżniczko. Żaden z tych tutaj wilków morskich nie zrobi ci krzywdy.

Patrzyła to na niego, to na dzieci pustym wzrokiem.

- Biedna księżniczka. Wygląda na to, że straciła także głos.

Czy jej się wydaje, czy z niej kpi? Najchętniej odepchnęłaby go z wściekłością, ale nie mogła tego zrobić na oczach dzieci.

- Gdzie twoja korona? - zapytał najwyraźniej sceptycznie nastawiony chłopczyk z kropłówką.

Czekała, aż Eric za nią odpowie, ale milczał. Mijały sekundy.

Spojrzał na paznokcie na wolnej ręce i z teatralnym skupieniem obserwował je, podczas gdy wszyscy czekali na jej słowa.

- Powiedz nam, księżniczko - poprosiła dziewczynka w okularach.
 - Ja... cóż... nie pamiętam - wykrztusiła w końcu.
 -A nie mówiłem? - kapitan Łata strzelił szelkami spodni. - Pamięć jak szwajcarski ser, dziura na dziurze. - Był bardzo zadowolony z siebie, co ją denerwowało.
 - Zostawiłeś pod łóżkiem? - wypytywała dziewczynka. - Bo ja zostawiłam aparat korekcyjny pod łóżkiem.
 - Chyba... nie, raczej nie.
 - W szafie? - podsunął inny głosik.
 Pokręciła przecząco głową. Klaun zacisnął rękę na jej ramieniu.
 - W łazience? - zasugerował sepleniący malec.
 Zrozumiała, że nie dadzą jej spokoju, więc wyrzuciła z siebie:
 - Chyba zostawiłam ją w McDonald'sie.
 Boże, skąd taka bzdura?
 Kapitan Łata ją puścił, ale zamiast pomóc, bawił się w sceptyka.
 - Zostawiłeś koronę w McDonaldzie?
 Nie ułatwi jej tego, to pewne.
 - Przez nią... przez nią bolała mnie głowa - wyjaśniła. I po chwili do-
 dała bardziej stanowczo: - Tak już jest z koronami.
 - Nie mam o tym pojęcia. Noszę tylko piracką chustę. - Czekała, aż
 Eric wskaże jej drogę ucieczki, on jednak oznajmił: - Doszła mnie plotka
 o księżniczkach i zaklęciach.
 - Naprawdę?
 - I to z dobrego źródła.
 - Czyżby? - Powoli opuszczało ją napięcie.
 - Słyszałem, że można zdjąć zaklęcie z księżniczki, jeżeli rzeczona
 księżniczka... - dramatycznie zawiesił głos, puścił oko do dzieci. - ...poca-
 łuje przystojny mężczyzna.
 Chłopcy jęknęli, dziewczynki zachichotały.
 - Przystojny mężczyzna?
 - To zawsze działa.
 Prężył się w stronę dzieci, poprawiał loki peruki, gładził namalowaną
 brew. Dzieciaki zanosły się śmiechem - wiedziały, co będzie dalej.
 Nie sposób się przy nim nie śmiać, ale Honey starała się zachować
 powagę.
 - Naprawdę?
 - Jako że jestem człowiekiem chętnym do pomocy... - otrzepał spodnie
 z kurzu - postanowiłem, że zaferuję ci swoje usługi w tym względzie.
 Nachylił się ku niej z komicznie wydętymi ustami.
 Mało brakowało, a parsknęłaby śmiechem. Tymczasem z uwagą przy-
 glądała się wydętym wargom. A potem spojrzała na dzieci i przewróciła
 oczami. Zachichotały. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

Zwróciła się do klauna.

- Pocałunek? - Powiedziała to takim tonem, jakby zaproponował jej tran.

Kapitan Łata skinął głową.

- Tak jest, księżniczko. Buziak jak się patrzy. O, tutaj - wskazał swoje usta.

- Od przystojnego mężczyzny? - upewniała się.

W odpowiedzi napiął muskuły.

Jeszcze raz spojrzała na dzieci. Śmiały się na całe gardło.

- Pocałunek przystojnego mężczyzny, tak? No, dobrze.

Minęła go i podeszła do małego chłopczyka o czekoladowej skórce. Miał nogę w gipsie. Przykucnęła przy nim, nadstawiła twarz. Zarumienił się, ale posłusznie cmoknął ją w policzek. Dzieciaki śmiały się z jego zawstydzenia.

Wyprostowała się. Uśmiech kapitana Łaty zdawał się sięgać od ucha do ucha. A potem zapadła cisza. Wszyscy czekali, czy pocałunek zadziała.

Zastygła w bezruchu, jak to mają w zwyczaju księżniczki, z których zdjęto złe zaklęcie. Powoli otwierała oczy coraz szerzej, aż zdawały się wypełniać pół twarzy.

- Pamiętam! Pochodzę z ... - Skąd? Wyobraźnia nagle ją zawiodła. - Z okręgu Paxawatchie, z Karoliny Południowej! - zawołała.

- Czyli stąd - oznajmił sepleniący głosik.

- Naprawdę? Jestem w domu?

Dzieci kiwały głowami.

- Przypomniałeś sobie, jak się nazywasz? - zapytało jedno.

- No pewnie. Nazywam się... Popcorn. - Było to pierwsze, co jej przyszło do głowy, a nie bez znaczenia był tu zapewne zapach prażonej kukurydzy docierający z sąsiedniej małej kuchenki.

- Co za głupie imię zauważył jeden ze starszych chłopców.

Honey się nie dała.

- Jestem księżniczka Popcorn Amaryllis Brown z okręgu Paxawatchie w Karolinie Południowej.

Niebieskie oko klauna błysnęło w białej twarzy.

- No proszę, księżniczka Popcorn. Skoro już wiesz, jak się nazywasz, może byś mi pomogła przy prezentach, co?

Posłusznie rozdawała wraz z nim prezenty, które przyniósł - były to drogie kieszonkowe gry elektroniczne. Mali pacjenci nie posiadali się z radości. Wtórowała im śmiechem i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się beztroska.

W końcu pielęgniarki zabrały dzieci do łóżek. Kapitan obiecał, że zanim pójdzie, zajrzy do każdego do pokoju.

Zostali sami. Pirat odwrócił się do niej plecami, pakował swoje skarby. Czekała, aż się odezwie, ale milczał. Schyliła się po gumową piłeczkę. Po dała mu.

- Od kiedy to robisz? - zapytała cicho.

Spodziewała się, że będzie unikał odpowiedzi, on jednak zamyślił się. Ledwie otworzył usta, wiedziała, nad czym dumiał.

- Cóż, księżniczko... o ile pamiętam, Corky nauczył mnie żonglować zaraz po tym, jak zatonął nasz „Jolly Roger”.

Po pierwsze, udał, że nie zrozumiał pytania. Po drugie, nie przestał być kapitanem Łata. Właściwie nie powinno jej to dziwić. Eric zawsze trzymał się roli. Wolała nie zastanawiać się nad nagłym uczuciem ulgi. Wiedziała tylko, że w towarzystwie pirata jest bezpieczna, a nigdy tak się nie czuła przy Ericu Dillonie.

- Mówiłeś, że miał na imię Corny - poprawiła.

- Było ich dwóch. Bracia. Bliźniacy.

Uśmiechnęła się.

- W porządku, kapitanie. Niech będzie jak chcesz.

Spakował już wszystko. Podszedł do drzwi.

- Idę teraz do starszych dzieciaków. Masz ochotę mi towarzyszyć?

Zawahała się i twierdząco skinęła głową.

I tak kapitan Łata i księżniczka Popcorn Amaryllis Brown spędzili pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia na trzecim piętrze szpitala okręgowego okręgu Paxawatchie, rozdając uśmiechy, otuchę, żarty i gry elektroniczne. Kapitan Łata opowiadał starszym chłopcom, że księżniczka jest jego dziewczyną, na co Popcorn Amaryllis Brown oburzyła się i oznajmiła, że wcale nią nie jest. Księżniczki nie mają chłopaków, najwyżej wielbiciele. A w żadnym wypadku nie są to klauni.

Kapitan Łata zachnął się, że uwielbiać to on może beczułkę rumu, a jeżeli Popcorn będzie miła i da się pocałować, należy jej kapkę. I tak dalej, i tak dalej.

Tego popołudnia Honey doświadczyła czegoś, czego nie zaznała od śmierci Dasha; usłyszała własny śmiech. Kapitan Łata roztaczał magiczną aurę i ciepło, które przyciągały dzieci. Bez obaw wspinały mu się na kolana, szarpały za nogawki spodni. Łobuzerski urok sprawiał, że i ona marzyła, by mu usiąść na kolanach, choćby na kilka godzin. Nie miała przy tym wyrzutów sumienia, nie czuła, że zdradza pamięć Dasha. Przecież nie ma nic złego w tym, że chcesz się przytulić do klauna.

Zmierzchało już, gdy wyszli ze szpitala. Nawet wtedy Eric nie rozstał się z kapitanem Łapą. Flirtował z nią bezwstydnie podczas drogi przez parking. Nagle powiedział:

- Księżniczko, przyjedziesz ze mną do dzieciaków w tygodniu? Wypróbujemy nową sztuczkę ze sztyletami.

- Czy przypadkiem nie mam ci służyć jako cel?

- Skąd wiesz?

- Och, intuicja.

- To bezpieczna sztuczka, nie ma obawy. Rzadko kiedy kogoś nie trafiam.

Parsknęła śmiechem.

- O nie. Dziękuję, ty draniu.

Jednak gdy doszli do jego wozu, spoważniała. Zaraz Eric wsiądzie i klaun zniknie, a wraz z nim - księżniczka. Poczowała się nagle jak wszystkie chore dzieci, które błagały, by jeszcze zostali. Pomyślała o pustej przyczepie i posępnym mężczyźnie, jej najbliższym, jedynym sąsiedzie.

- Szkoda, że nie mogę cię zabrać do domu - słowa wymknęły się, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Przykro mi, księżniczko. Obiecałem kamratom, że razem się wyprawimy. Zrobiło jej się strasznie głupio. W desperackiej próbie ratowania twarzy, powiedziała:

- Będiesz balował w świąteczny wieczór, kapitanie Łata? Co za bezwstydnik! A już miałam ugotować prawdziwą domową kolację.

Zapadła cisza. Po raz pierwszy wydawało się, że klaun stracił część pewności siebie.

- Może... może podeślę jednego z moich kamratów. Wiesz, żeby ci się nie nudziło.

Te słowa były jak kubeł zimnej wody. Dotknęły ją. Opuściła wzrok na czubki butów.

- Jeśli ma na imię Eric, nie chcę go widzieć.

- Nie dziwię ci się - odparł swobodnie. - To nieudany egzemplarz.

Znowu milczenie. Na parkingu panował spokój, wieczór był chłodny. Podniosła głowę, spojrzała w twarz klauna. Wiedziała, kto się kryje pod teatralną farbą ale to Boże Narodzenie, noc jest jeszcze długa... Serce nie słuchało podszeptów rozumu.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła cicho.

Wsunął ręce do kieszeni i oznajmił lekceważąco:

- To nie są opowieści dla delikatnych uszu księżniczek.

- Moje uszy nie są takie znowu delikatne.

- Uważaj na niego, i tyle.

- A dlaczego?

- Jesteś za ładna, nie rozumiesz? Wpada w panikę, kiedy pomyśli, że kobieta mogłaby być równie ładna jak on. Nie znam bardziej próżnego mężczyzny. Nie cierpi, kiedy ktoś inny używa jego lustra. Ani się spostrzeżesz, a będzie ci podkradał wałki do włosów i szminki.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że Eric nie mówi poważnie. Nagle jednak zmarszczył czoło i wyczuła, że ogarnęło go napięcie.

- Prawda jest taka, księżniczko... - Wyjął klucz z kieszeni, wsadził go do tylnych drzwiczek. - Moim zdaniem powinnaś się trzymać od niego z daleka. Wygląda na to, że miałas w życiu wystarczająco dużo kłopotów - wiesz, z tym złym zakłębieniem i w ogóle. - Więcej ci już nie trzeba. Ten facet ma sople lodu zamiast serca, a jakże.

Pomyślała o dzieciach, o tym, jak je tulił i pocieszał. Ładny mi sople lodu.
- Kiedyś tak myślałam - odparła sztywno. - Teraz już nie.
- Ejże, księżniczko, niech ci się nie wydaje, że znasz go lepiej ode mnie. Zaraz ci wszystko wyłuszczę.

- No, mów.

Oparł się plecami o samochód. Patrzył jej prosto w oczy.

- Dobrze. Mądrze zrobiłaś, biorąc od niego pieniądze, to po pierwsze. Jest tak bogaty, że nawet tego nie poczuje. I nie martw się o karierę, nie robi ci krzywdy, w tym względzie możesz na nim polegać. - Wsunął rękę do kieszeni obszernych spodni. - Ale nie dostaniesz od niego niczego więcej. Księżniczko, on nie jest odpowiedni dla wrażliwych ludzi. Nie chce ich krzywdzić, ale zawsze jakoś tak wychodzi.

Opuściła wzrok.

- Nie powinnam była... Wtedy, w łazience... Byłam zmęczona, i tyle.

- To było bardzo niemądre, księżniczko. - Ochrypł, nie wiadomo dlaczego. - Nie należysz do kobiet, które się nie przejmują czymś takim.

- A właśnie że tak! - krzyknęła. - Właśnie że tak. To nic dla mnie nie znaczyło, bo bardzo kocham mojego męża. A on by zrozumiał!

- Naprawdę?

- Oczywiście. Wiedział, co to seks. A to był tylko i wyłącznie seks, nic więcej.

- To dobrze, księżniczko. Więc niczego nie żałujesz?

Teoretycznie tak właśnie było, ale w rzeczywistości czuła coś zupełnie innego. Nie pojmowała tylko dlaczego.

Uśmiechnął się i wszedł do wozu.

- Do zobaczenia, księżniczko.

- Do zobaczenia, kapitanie.

Odjechał. Odprowadzała go wzrokiem. W oddali rozdzwoniły się kościelne dzwony. Nad jej głową rozbłyskiwały gwiazdy, jedna po drugiej.

Smutek ogarnął ją szarą chmurą.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wieczorem Eric zapukał do drzwi przyczepy. Miał na sobie czarne dżinsy, grafitową marynarkę i ciemnoszary sweter. Długie włosy rozwiewał wiatr, niebieskie oko było równie tajemnicze i groźne jak czarna przepaska na drugim.

Odkąd wprowadził się do Bullpen, nie przychodził do przyczepy. Teraz stał na progu i gapił się na Honey gniewnie, jakby to ona zakłóciła mu spokój.

Już miała ostrą uwagę na końcu języka, ale pomyślała, że pirat miałby jej za złe, gdyby okazała się niegościnna wobec jego przyjaciela. Była to szalona myśl, a jednak Honey cofnęła się o krok i wpuściła Erica. Tej jesieni wszystko jest szalone, przekonywała się. Mieszka w martwym wesołym miasteczku, buduje nikomu niepotrzebną kolejkę górską, a jedyną osobą, w której towarzystwie dobrze się czuje, jest jednooki klaun-pirat, zabawiający chore dzieci.

- Wejdz - powiedziała szorstko. - Właśnie siadałam do stołu.
- Niczego nie chcę - warknął, ale posłusznie przekroczył próg.
- I tak zjesz.

Wyjęła dodatkowy talerz z szafki, nałożyła mu pierś kurczaka, sporo ryżu i bułeczkę, którą niedawno rozmroziła. Postawiła talerz na stole i usiadła na swoim miejscu. Eric usiadł naprzeciwko niej.

Jedli w milczeniu, Eric szybko, niemal zachłannie, jakby nie miał nic w ustach od wielu godzin, a Honey powoli, bez apetytu. Raz po raz podniosła wzrok znad talerza i przyglądała się jego twarzy. Miała nadzieję, że dostrzeże choćby mikroskopijną plamkę białej farby, cień makijażu gdzieś przy uchu, jakikolwiek ślad łączący go z rozbawionym klaunem. Ale widziała tylko posępne rysy i surowe usta.

Eric skończył jeść. Odsunął od siebie talerz. - Skontaktowałem się z twoim agentem - powiedział - i poprosiłem, żeby mi przysłał kilka scenariuszy. Niedługo zdecyduję, od czego zaczniesz. - Mówił szorstko, rzeczowo, bez cienia uśmiechu.

- Chciałabym mieć na to jakiś wpływ - odparła.
- Wiem, ale nie tak się umawialiśmy.
- Nie marnujesz czasu.
- Jesteś mi winna mnóstwo pieniędzy. Uprzedzam cię z góry, że nie wybiorę komedii. I twoja rola nie będzie w najmniejszym stopniu przypominała Janie Jones.

Poderwała się na równe nogi.

- To jedyna rola, która potrafię zagrać, wiesz o tym.
- Doskonale sobie poradziłaś z rolą księżniczki.

Podeszła do zlewu, odkręciła kran. Nie chciała rozmawiać o księżniczce ani o tym, co się dzisiaj stało. Popołudnie było zbyt piękne, by pozwoliła mu je zepsuć.

- Na jedno wychodzi - powiedziała z nadzieją, że to zakończy dyskusję.
- Skądże.

Podał jej swój talerz. Wsunęła go pod kran.

- A właśnie że tak. Janie to ja. Księżniczka tak samo.
- Na tym właśnie polega dobre aktorstwo. Nie wymyślasz całej nowej postaci, ale tworzysz ją z poszczególnych aspektów własnej osobowości. Tak postępowałaś z Janie, to samo zrobiłaś dzisiaj.

- Mylisz się. Janie nie była częścią mnie; Janie była mną.
- Gdyby tak było, nie wyszłabyś za Dasha.
- Zacisnęła zęby. Nie da się wciągnąć w kłótnię. Eric podszedł do stołu.
- Pomyśl o awanturach, jakie urządzałaś reżyserom. Wciąż narzekałaś na dialogi, mówiłaś, że Janie nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.
- Ale bardzo rzadko zwyciężałam.
- Właśnie o to mi chodzi. Grałaś tak, jak ci kazano. Robiłaś to, czego chciał reżyser. Chociaż to nie byłaś ty.
- Nie rozumiesz. - Odwróciła się na pięcie. - Próbowałam. Czytałam na głos różne role. I zawsze wypadało to tragicznie.
- Wcale mnie to nie dziwi. Pewnie grałaś zamiast po prostu być. Weź jeszcze raz którąś z tych ról, ale nie graj. Bądź. - Przesiadł na krześle, wyprostował długie nogi. Nie patrzył na nią. - Właściwie już zdecydowałem, w czym najpierw zagrasz - w miniseriale telewizyjnym. Akcja dzieje się podczas drugiej wojny światowej.
- Nie interesuje mnie to, jeśli nie zagram rezolutnej kobietki z Południa, którą wychowywał spłukany jeździec rodeo.
- Zagrasz kobietę z Dakoty Północnej. Wdaje się romans z więźniem wojennym, który przebywał w obozie graniczącym z jej posiadłością. To młody lekarz, pół-Japończyk. Mąż kobiety walczy na południowym Pacyfiku, jej dziecko cierpi na śmiertelną chorobę. To dobry melodramat.
- Patrzyła na niego przerażona.
- Nie mogę! Kobieta z Dakoty Północnej? Chyba żartujesz?
- O ile wiem, możesz zagrać wszystko. - Wyrzwał przez okno, na ciemną sylwetkę Czarnego Gromu.
- Niczego mi nie ułatwisz, co?
- Jeszcze się nie zorientowałaś? Jestem sukinsynem w każdym calu.
- Po południu nie byłeś - zauważyła, zanim się zorientowała, co mówi.
- Znieruchomiał, jakby poważnie naruszyła zasady gry. Kiedy się odezwał, jego głos ociekał cynizmem:
- Nabrałaś się na ten numer z klaunem, prawda?
- Wydawało jej się, że w przyczepie powiało mrozem.
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Najlepsze było, kiedy stałaś na parkingu i udawałaś, że to wszystko prawda. - Rozparł się wygodniej i popatrzył na nią kpiąco. - Jezu, Honey, ależ zrobiłaś z siebie idiotkę.
- Zabolało. Odbierał jej coś pięknego, niszczył to, bezczecił.
- Nie rób tego, Eric.
- Ale on przyczał się do ataku. Nie zawahał się ani na moment. Tym razem to on zada śmiertelny cios.
- Masz... ile? Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Jestem aktorem, skarbie. Jednym z najlepszych. Czasami mi się nudzi, wtedy ćwiczę

na dzieciakach. Ale to tylko gra. Nie spodziewałem się, że dasz się nabrać.

Rozbolała ją głowa, zbierało się na mdłości. Jak to możliwe, że ktoś o tak pięknej powierzchowności ma tak paskudny charakter?

- Kłamiesz. Wcale tak nie było.

- Może cię zaskoczę, skarbie, ale Święty Mikołaj to bajka, podobnie jak Królowa Śnieżka, siedmiu krasnoludków i zaczarowani klauni. - Non-szalancko huśtał się na krześle. - Najlepsze, na co możesz w życiu liczyć, to pełny brzuch i sprawny facet w łóżku.

Głośno zaczerpnęła tchu. Skrzywił się w kpiącym uśmiechu, taksował ją wzrokiem jak klient wybierający prostytutkę. Nagle przed oczyma stanęli jej wszyscy filmowi dranie, wszystkie czarne charaktery. Siedzieli przed nią, ucieleśnieni w jednej postaci: pochmurni, nieprzejednani, okrutni, ze skrzyżowanymi rękami i niedbale wyprostowanymi nogami.

Wszystkie czarne charaktery.

Dopiero teraz zrozumiała, że to tylko przebranie, zasłona dymna, którą tworzył dzięki aktorskim sztuczkom. Odgrywał kolejną rolę. Z nieoczekiwana ostrością dostrzegła jego cierpienie - do tego stopnia przypominało jej uczucia, że gniew minął bez śladu.

- Powinieneś umyć usta mydłem - stwierdziła miękko.

- Dopiero zaczynam - warknął.

- Daj spokój, Eric - odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

Widząc jej współczucie, poderwał się na równe nogi. Nie potrafił dłużej ukrywać, że cierpi. - Czego ty ode mnie chcesz?! - krzyknął.

Nie odpowiedziała, a już złapał ją za rękę i ciągnął na tył przyczepy, do sypialni.

- Nie wysilaj się, i tak wiem. - Popchnął ją lekko. - Idziemy.

Zrozumiała, o co mu chodzi. Odwróciła się do niego, spojrzała w twarz wykrzywioną cynicznym uśmiechem. Nie czuła gniewu, bo już wiedziała, że to wszystko złudzenie.

Czekał, aż wyśle go do wszystkich diabłów, wyrzuci na zbity pysk z przyczepy, z wesołego miasteczka, z jej życia; czekał, aż obrzuci go stekiem przekleństw. Liczył, że jej uda się coś, przy czym on poniósł całkowitą klęskę - że zapanuje nad tajemniczą siłą, która ich pchała ku sobie. Jednak grudniowa noc wydawała się zimna i pusta i Honey nie miała serca go wyprosić.

Zaklął pod nosem.

- Pozwolisz mi na to, tak? Pozwolisz mi zaciągnąć się do sypialni i zerznąć. Zacisnęła powieki, nie chciała się rozplakać.

- Milcz - szepnęła.

- Proszę, milcz.

Nie miał siły, by się dłużej opierać. Z jękiem przyciągnął ją do siebie.

- Przepraszam... Boże, bardzo przepraszam.

Poczuła jego usta na czole, na włosach. Jej dłonie odnalazły miękką wełnę jego swetra i silne, napięte mięśnie. Pieścił ją przez ubranie, a jego dotyk wzbudzał w niej ogień.

Podniósł jej podbródek, chciał pocałować. Odwróciła głowę niemal instynktownie. Nie może się całować, nie, tego nie robi.

Byli nadzy, zanim dotarli do łóżka. Poślanie było wąskie, niewygodne, przeznaczone dla jednej osoby, im jednak to nie przeszkadzało.

Namiętność zdawała się niezależnym, nieznanym tworem; oddawali się sobie całkowicie, bez opamiętania, poznawali się dłońmi i ustami.

Nie знаła tego, którego w siebie przyjęła. Nie był ani gwiazdorem filmowym, ani robotnikiem budowlanym, ani klaunem-piratem. Mówił szorstko, miał ponurą minę, a mimo to pieścił ją delikatnymi, czułymi dłońmi najdelikatniejszego z kochanków.

W krótkiej chwili, gdy było po wszystkim, ale gdy jeszcze nie wrócili na ziemię, gładziła go po twarzy. Jej palce muskały wystające kości policzkowe, machinalnie zawędrowały pod czarną przepaskę. Podświadomie spodziewała się, że poczuje szorstkie, niekształtne blizny.

Poczuła tylko długie, gęste rzęsy.

Wstrzymała oddech. Jeszcze raz przejechała palcem - pod czarną opaską było normalne, zdrowe oko.

Odsunął się od niej. Usiadł na krawędzi wąskiego łóżka.

- Szkoda, że już nie palę - mruknął.

Odrzuciła kołdrę, patrzyła na jego silne, umięśnione plecy.

- Z twoim okiem wszystko w porządku.

Gwałtownie podniósł głowę, wstał, pozbierał swoje rzeczy i zniknął w łazience.

Otuliła się szczelniej kołdrą, podciągnęła kolana. Wstrząsały nią dreszcze.

Wyszedł z łazienki w dzinsach i swetrze. Czarna przepaska tkwiła na zwykłym miejscu. Stał w korytarzu, obcy i groźny.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Szczękała zębami.

- Dlaczego mnie okłamałeś?

- Nie chciałem, by ktokolwiek mnie rozpoznał.

- I tak wiedziałam, kim jesteś. - Głos jej się załamał. - Nie oszukuj mnie, Eric. Powiedz, dlaczego.

Oparł się o framugę drzwi i odpowiedział ledwie słyszalnie:

- Zrobiłem to, bo nie mogłem żyć dłużej w swojej skórze.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Honey została sama.

Eric zjechał z autostrady na niewielki parking. Był w północnej Georgii. Dochodziła trzecia nad ranem, trzymał się na nogach dzięki kawie i staremu

batonikowi, który znalazł w schowku przy kierownicy. Nie zdecydował jeszcze, czy zostawi samochód w Atlancie i wsiądzie w najbliższy samolot do Los Angeles, czy będzie jeździł dalej.

Na postoju było niemal pusto, w końcu to Boże Narodzenie. Wysiadł z wozu, minął szklaną gablotę z mapą stanu. W niewysokim podłużnym budynku siedziała młodziutka dziewczyna z dzieckiem na rękę. Wyglądała na głodną, zmęczoną i zdesperowaną.

Współczucie wyrwało go z odrętwienia. Jest za młoda, by samotnie użerać się ze światem. Gorączkowo przeszukiwał kieszenie w nadziei, że wystarczy mu na jedzenie dla niej. W tej chwili dziewczyna podniosła na niego wzrok; strach dołączył do innych gnębiących ją trosk.

Przycisnęła dziecko do piersi i przywarła do niewygodnej ławki, jakby mogła ją ochronić przed potężnym mężczyzną. Oddychała coraz szybciej, nerwowo. Było mu przykro, że ją wystraszył. Oddalił się pospiesznie w kierunku automatów z kanapkami i słodyczami. Dziewczyna była młodziutka, właściwie jeszcze dziecko; kolejna niewinna. Chciał się nią opiekować: kupić jej dom, wysłać na studia, podarować pluszowego niedźwiadka. Chciał kupować zabawne mebelki dla jej dziecka, ciepłe ubranka, prezenty gwiazdkowe, serdecznych nauczycieli.

Po raz kolejny uświadomił sobie, jak niesprawiedliwy i okrutny jest ten świat. Nawet on, choć ma i pieniądze, i władzę, nie może nic na to poradzić. Nie jest w stanie chronić nawet tych, których kocha najbardziej.

Jak opętany wrzucał monety do automatów. Zamiast domu i wykształcenia da tej kobiecie tandetne, szkodliwe jedzenie: chipsy, czekoladki, ciastka nafaszerowane konserwantami - amerykańskie zdobycze. Zebrał wszystko i wrócił do budynku. Położył słodycze na ławce i wyszedł bez słowa.

Wiedział, że musi wracać. Uciekał przed wszelkim złem, którego nie był w stan naprawić ani mu zapobiec. Ale nawet nad Silver Lake nie znalazł schronienia. To królestwo śmierci, a rządzi tam księżniczka, która umiera z tęsknoty. Ostatnia niewinna, którą ma szansę ocalić.

Za niecały tydzień musi być w Los Angeles. Ma tylko kilka dni i w ciągu tych kilku dni powinien jej pomóc. Tylko jak? Pamiętał, jaka była w szpitalu, w towarzystwie dzieci: radosna, wolna. A przywrócił ją do życia klaun-pirat, żartowniś, który nie boi się dawać, który bez obaw ofiaruje siebie całego.

On, Eric, jej nie pomoże, ale może kapitan Łata - tak.

Gdy w środę, dwa dni po Bożym Narodzeniu, Honey wróciła wieczorem do przyczepy, znalazła na progu pudełko. Zaniosła je na stół i otworzyła ostrożnie. Wewnątrz znajdowała się lekka jak mgiełka suknia z białego tiulu, wyszywana srebrnymi półksiężycami i gwiazdami. Wyjęła ją ostrożnie.

Pod spodem znalazła diadem ze sztucznych brylancików i fioletowe adidasy. I bilecik z napisem: „Czwartek, 14.00”. Podpis zastępowała malutka fioletowa gwiazdka.

Honey starała się nie myśleć o Ericu, tylko o klaunie. Eric zjawił się dziś w pracy, ale patrzył na nią cynicznym wzrokiem Deva.

Następnego dnia weszła do szpitala zdenerwowana i podekscytowana zarazem. Nie wiedziała, czy to dlatego, że zaraz ponownie zobaczy klauna, czy po prostu dlatego, że miała na sobie białą suknię księżniczki. Mimo wszystko pamiętała, że musi zachować ostrożność. Nie może ponownie ulec urokowi klauna. Tym razem nie zapomni, kto się kryje pod białą farbą i śmieszoną peruką.

Na oddziale pediatrii pielęgniarzka wskazała pokój na końcu korytarza. Stały tam dwa puste łóżka, a małe pacjentki siedziały na kolanach klauna, który czytał im bajkę. Słuchały z szeroko otwartymi buziami.

Najwyraźniej nie po raz pierwszy czytał tę książeczkę. Nie zaglądał do tekstu, raczej opowiadał z pamięci, bawił młodą publiczność minami i wspaniale odgrywanymi dialogami.

Z wahaniem weszła do pokoju. Bajka do tego stopnia pochłoneła dziewczynki, że nie zauważyły jej aż do tej chwili, akurat gdy skończył czytać. Otworzyły szeroko oczka, ich buzie przypominały idealne „o”, gdy zobaczyły jej strój.

Klaun obejrzał ją od stóp do głów, nie ukrywając zadowolenia.

- No proszę, proszę. Księżniczka Popcorn we własnej osobie.

Młodsza z dziewczynek, poważna czekoladowa siedmiolatka z bandażem na policzku, zapytała go z niedowierzaniem;

- Czy to prawdziwa księżniczka?

- Jak najbardziej - odparła księżniczka Popcorn i podeszła o krok.

Dziewczynki pochłaniały ją wzrokiem.

- Jest piękna - stwierdziła starsza.

Z zachwytem patrzyły na błyszczący diadem, który tkwił w burzy miodowych loczków, na białą suknię mieniającą się gwiazdkami i półksiężycami, na fioletowe adidasy. Honey gratulowała sobie przezorności - tego ranka nałożyła szczególnie staranny makijaż.

- Zgadzam się w zupełności - stwierdził kapitan Łata. - To najładniejsza księżniczka w Ameryce.

Czuła, że wbrew wcześniejszym postanowieniom ulega jego urokowi, więc wyduła pogardliwie usta:

- Piękny jest ten, kto pięknie postępuje - oznajmiła. - Ważniejsze jest to, jaki człowiek jest w środku, niż to nie jak wygląda.

Kapitan Łata drwiąco przewrócił jednym okiem:

- Kto ci pisze takie teksty, księżniczko? Mary Poppins?

Spojrzała na niego z góry.

- Co masz pod okiem? - zainteresowała się jedna z dziewczynek.

Honey zapomniała o fioletowej gwiazdce, którą sobie namalowała na policzku. Nie patrząc klaunowi w oczy, sięgnęła do torebki po fioletowy cień do oczu.

- To gwiazdka, taka sama jak u kapitana Łaty. Chcecie taką?

- A możemy? - Małe nie wierzyły własnym uszom.

- No pewnie.

Wizyta minęła niepostrzeżenie. Kapitan Łata opowiadał kawały i prezentował magiczne sztuczki, a księżniczka ozdabiała dziecięce buzie fioletowymi gwiazdkami. Niektóre dzieci przebywały w szpitalu od świąt, ale było także sporo nowych pacjentów. Chłopcy zachwycali się magicznymi sztuczkami kapitana, dziewczynki nie mogły się nadziwić księżniczce, która wyglądała, jakby wyszła prosto z bajki. Cesała je, pożyczła diadem i powtarzała sobie, że koniecznie musi kupić nowy fioletowy cień do oczu.

Kapitan Łata flirtował z dziewczynkami, pielęgniarkami i przede wszystkim z nią. Nie była w stanie mu się oprzeć, zupełnie jak dziecko.

W końcu nadszedł czas pożegnania. Gdy zjeżdżali windą na dół, powtarzała sobie, że musi zachować ostrożność. Ale klaun i tak zaraz zniknie, więc nic złego się nie stanie, jeśli podtrzyma iluzję jeszcze przez chwilę.

- Następnym razem nie złapiesz mnie na laso - oznajmiła.

- Nie znasz się na zabawie, księżniczko.

- Zrobimy sztuczkę z nożami.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Naprawdę?

- Tak. Ja rzucam.

Roześmiał się. Wyszli na zewnątrz, na parking. Zapadł już wczesny grudniowy zmierzch. Podeszli do samochodu Honey. Eric zawahał się, jakby nie chciał się jeszcze z nią rozstawać.

- Przyjdiesz tu ze mną w Nowy Rok? - zapytał. - To już ostatnia wizyta, potem czeka mnie podróż za siedem oceanów.

Nowy Rok będzie za cztery dni. Dlaczego Eric nie może wyjechać sam, a kapitan Łata zostać z nią?

- Pewnie - odparła i wyjęła kluczyki z torebki. Wcale nie miała ochoty wracać sama.

Eric odebrał jej kluczyki.

- Dużo myślałem o twojej kolejce - powiedział. - I martwię się o ciebie.

- Nie musisz.

Otworzył drzwiczki, oddał jej kluczyki.

- Kolejka nie przywróci ci męża, księżniczko.

Zeszytniała. Rozsądek podpowiadał, że jeśli teraz wszystko mu wytłumaczy, będzie z niej później niemiłosiernie kpił. Ale w głębi serca nie wierzyła, by klaun mógł ją skrzywdzić. On zrozumie to, czego nie pojmie Eric.

- Muszę. - Zagryzła usta. - Świat jest niewiele wart, kiedy się nie ma nadziei.

- Jakiej nadziei? O czym ty mówisz?

- Nadziei, że istnieje jakiś inny, lepszy świat, że wyższa istota nad nami czuwa. Że nie zetknął nas ze sobą ślepy los.

- Księżniczko, jeśli na tej starej kolejce chcesz szukać Boga, chyba pomyliłaś adresy.

- Nie wierzysz w Boga?

- Nie mogę wierzyć w kogoś, kto dopuszcza tyle zła. Małe dzieci cierpią, ludzie umierają z głodu, giną zamordowani. Jak można kochać Boga, który jest w stanie położyć temu kres, ale tego nie robi?

- A jeśli nie jest w stanie?

- To nie jest Bogiem.

- Nie byłabym taka pewna. Ja także nie mogłabym kochać takiego Boga, o jakim mówisz, Boga, który uznał, że na mojego męża przyszedł czas, i zesłał ćpuna, który go zamordował. - Zaczerpnęła tchu. - Ale może Bóg wcale nie jest tak potężny, jak nam się wydaje. Pokochałabym Boga, który nie władaby ślepyimi siłami natury, tak jak my nimi nie władamy. Nie Bóg zemsty i kary... - zniżyła głos do szeptu - ale Bóg miłości, który cierpi wraz z nami.

- Nie przypuszczam, żeby cię o tym przekonała górská kolejka.

- Już to zrobiła. Kiedy byłam mała. Utraciłam wszystko, co kochałam, a Czarny Grom przywrócił mi nadzieję.

- Chyba nie o nadzieję ci chodzi. I nie o Boga. Chodzi o twojego męża. - Przyciągnął ją do siebie. - Dash nie wróci, księżniczko. Pękłoby mu serce, gdyby cię zobaczył w takim stanie. Pozwól mu odejść.

Poczuła jego podbródek na włosach, przyjemne ciepło jego ramion otaczało ją ze wszystkich stron. Ale zabawny klaun znaczył zbyt wiele dla kobiety, która dopiero co straciła męża. Odsunęła się i krzyknęła z rozpaczą:

- Nie pozwolę mu odejść! On był tylko mój!

Wskoczyła do samochodu. Zerknęła w lusterko, dopiero gdy wyjeżdżała z parkingu. Klaun zniknął.

Rozdział dwudziesty ósmy

Był Nowy Rok. Honey stała na werandzie Bullpen w świetle zachodzącego słońca. Zastanawiała się, co właściwie tu robi. Tego dnia w szpitalu unikała klauna. Ba, wymknęła się przed nim, żeby nie doszło do żadnych prywatnych rozmów na parkingu. Jutro Eric wyjeżdża i będzie po wszystkim.

Nacisnęła klamkę, weszła do środka. Towarzyszył jej cichy szelest białej tiulowej sukni. Zdawała sobie sprawę, że musi się pospieszyć. Kiedy wychodziła, Eric był pochłonięty zabawą z dziećmi, ale nie wiedziała, jak długo jeszcze zamierzał zostać. Umarłaby ze wstydu, gdyby nakrył ją na buszowaniu w jego rzeczach.

Zagryzła usta, wchodząc do ciemnego pokoju, zawstydzona, ale niezdolna odejść. Jego tożsamości wirowały jej w głowie, rozdzielały się i łączyły ponownie: diaboliczny, groźny Dev, ciepły, serdeczny klaun i sam Eric, mroczna tajemnica. Może w jego rzeczach znajdzie coś, co pomoże jej zrozumieć, kim jest naprawdę. Inaczej zostanie sama, z jeszcze jednym duchem.

Jego wiatrówka leżała na pomarańczowej kanapie, dzinsy poniewierały się na starym małżeńskim łożu. Stara flanelowa koszula Deva wisiała na oparciu krzesła. Gdy tak błądziła wzrokiem po jego ubraniach, poczuła nowy smutek, zupełnie inny od tego, który ją gnębił od śmierci Dasha.

Jutro Eric wyjedzie i prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczy, nawet kiedy sama wróci do Los Angeles. Eric obraca się zamkniętym światku największych gwiazd, więc ich drogi nie skrzyżują się przypadkowo. Wszelkie decyzje dotyczące jej kariery będzie ustalał z jej agentem. Jeśli chce rozwiązać zagadkę, może to zrobić tylko teraz. Musi sobie udowodnić, przekonąć swoje serce, że Eric i klaun to naprawdę jedna i ta sama osoba.

Poszła do łazienki. Na półeczce pod umywalką stała otwarta skryniczka, a w niej - tubka białej farby do twarzy, tusz do rzęs, różnej grubości pędzle... Ciężko oparła się o framugę. A więc to prawda.

Roześmiała się gorzko. Pewnie, że to prawda. Wiedziała, że to jedna i ta sama osoba. W każdym razie wiedział jej rozum. Nie wiadomo dlaczego, serce nie chciało przyjąć tego do wiadomości. Po raz kolejny zapragnęła, żeby Eric zostawił klauna nad Silver. Wszyscy kochają klaunów. To nie zdrada.

- Proszę, proszę. A któż to przyszedł? Księżniczka Popcorn we własnej osobie!

Odwróciła się gwałtownie.

Stał zaledwie kilka kroków za nią. Namalowany uśmiech klauna wygiął się zabawnie, gdy uśmiechnął się naprawdę. Próbowwała się tłumaczyć, ale chyba go to nie obchodziło. Zachowywał się, jakby się spodziewał, że ją tu zastanie.

- Przekrzywiła ci się korona - stwierdził z uśmiechem.

- To nie korona, tylko diadem. - Była zdenerwowana, więc gdy próbowała go zdjąć, tylko bardziej zaplątała we włosy.

- Spokojnie, księżniczko. Pomogę ci.

Ostrożnie wyplątywał poszczególne pasma. Jego dotyk budził w niej ciepłe uczucia.

- Chyba masz w tym niemałą praktykę.
- Przyjaźnię się z dwiema dziewczynkami, które też noszą długie włosy. Zniknęło beztrioskie zachowanie. Odwrócił się do niej plecami, przeszedł do salonu. Poszła za nim.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła.

Stał przy oknie, przy tandetnej bawełnianej zasłonce, bawił się jej diademem. Długie, silne palce na filigranowej opasce. Dłonie Erica, dłonie, które znały każdy zakątek jej ciała.

- Rachel i Rebecca. Rachel jest podobna do ciebie, księżniczko. Jest twarda i uparta i lubi postawić na swoim. Becca jest... jest słodka i delikatna, jej uśmiech roztopi najtwardsze serce.

- Ile mają lat?

- Pięć. W kwietniu skończą sześć.

- Czy są takie brzydkie jak ty?

Zachichotał.

- To najładniejsze dziewczynki na świecie. Rachel ma ciemne włosy, jak ja, a Becca jaśniejsze. Obie są wysokie jak na swój wiek. Becca ma zespół Downa, ale to w niczym nie przeszkadza. - Bawił się diademem, uderzał paznokciem w metal. - Becca jest bardzo uparta, zawsze taka była, od samego początku, a Rachel jeszcze ją w tym umacnia. - Kolejny nerwowy ruch dłoni. - Przynajmniej kiedyś tak było.

Popatrzył na nią, odchrząknął.

- Księżniczko, zwariowałyby na twoim punkcie, gdyby cię zobaczyły w tym stroju. Obie mają hople na punkcie rodziny królewskiej.

Miał taką minę, jakby żałował, że powiedział aż tyle. A przecież znacznie więcej przemilczał. Dlaczego nie przebywa z córkami, które tak bardzo kocha?

Podszedł do niej, oddał diadem.

- Jutro wyjeżdżam, wiesz o tym.

- Tak, wiem.

- Będę za tobą tęsknił, księżniczko.

Czekała na żart, ale ani klaun, ani człowiek pod farbą się nie uśmiechali.

- Nawet nie wiesz, jak jesteś piękna, prawda, księżniczko? Nie wiesz, że wystarczy, bym na ciebie spojrzął, a serce mi wali jak szalone.

Nie chciała tego słuchać, nie z ust klauna. W jego obecności jest zbyt wrażliwa, zbyt łatwo ją zranić. Ale jeśli nie z ust klauna, to z czyich? Zdołała się na uśmiech.

- Założę się, że powtarzasz to każdej księżniczce.

Dotknął jej włosów.

- Nigdy. Tylko tobie.

Ogarnęła ją słabość. Podniosła na niego błagalny wzrok.

- Nie...

- Jesteś najśodsza księżniczką na świecie - powiedział ochryple.

Nie wiedziała już, z kim rozmawia. Wpadła w panikę.

- Muszę iść. - Odwróciła się do niego plecami, podeszła do drzwi, ale tam się zatrzymała. Nie patrząc na niego, wyszeptwała: - Jesteś cudowny.

Po omacku szukała klamki, nacisnęła mocno.

- Honey!

To był głos Erica, nie klauna. Odwróciła się szybko.

- Mam dosyć bycia więźniem - powiedział.

A potem ściągnął perukę i przepaskę na oko jednym powolnym ruchem, jak w zwolnionym tempie.

Ciemne włosy wydawały się kruczoczarne w porównaniu z białą twarzą. Turkusowe oczy przepełniało cierpienie. Uciekaj!, nakazywał rozum. Stała jednak jak sparaliżowana, gdy wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął ścierać makijaż.

- Eric, nie...

Czerwień szminki zlewała się z bielą, szeroka brew straciła ostre kontury. Bezradnie obserwowała, jak usuwał warstwy makijażu.

To było jak morderstwo.

Oczy ją piekły, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Powoli, krok po kroku, klaun zniknął. Powtarzała sobie, że nie ulegnie rozpaczce. Wystarczy, że opłakuje jednego bohatera, nie może tęsknić za drugim. A łzy wzbierały.

Dążył do samozagłady. Kiedy skończył, cisnął brudną chusteczkę na ziemię i spojrzał Honey prosto w oczy.

Na twarzy nadal miał resztki makijażu, ale spod białej farby wyłoniła się znajoma twarz: przystojna, męska i bardzo nieszczęśliwa. Honey zdawała sobie sprawę, że odsłonił się przed nią jak przed nikim innym. Ta świadomość napawała ją strachem.

- Dlaczego to robisz? - szepnęła.

- Chciałem, żebyś mnie zobaczyła.

W jego oczach był głód, jakiego nigdy tam nie widziała, i w tej sekundzie pojęła, że Eric złamie jej serce, tak jak Dash. Mimo to nie była w stanie się odwrócić. Wszelkie jej przypuszczenia na jego temat okazały się fałszywe. Jeśli nie pozna jego tajemnic, nigdy się od niego nie uwolni.

- Przed czym uciekasz? - zapytała.

Patrzył na nią udręczonym wzrokiem.

- Przed samym sobą.

- Nie rozumiem.

- Niszczę ludzi. - Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - Ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Niewinnych.

- Nie wierzę. Nie znam nikogo lepszego od ciebie, przynajmniej wobec dzieci. Przecież ma się wrażenie, że czytasz w ich myślach!

- Muszą być bezpieczne! - krzyknął.

- Co to znaczy?
- Dzieci to bezcenne skarby, muszą być bezpieczne.

Nerwowo krążył po pokoju. Miała wrażenie, że salonik jest dla niego za mały. Słowa wylewały się z niego, jakby tłumiał je zbyt długo.

- Chciałbym móc uchronić wszystkie dzieci przed złem tego świata. Chciałbym zabrać je tam, gdzie nie ma wypadków drogowych ani chorób, ani szaleńców. Gdzie nie ma ostrych kantów ani nawet plastrów opatrunkowych, bo do niczego się nie nadają. Chciałbym dać wszystkim dzieciom dom ich marzeń. - Zatrzymał się, zapatrzył w przestrzeń. - A ja zabawiłbym je w przebraniu klauna, słońce świeciłoby wiecznie, trawa byłaby zawsze zielona. - Zniżył głos do szeptu. - Jeśli padałby deszcz, to tylko wiosenna mżawka, nigdy burza. Chroniłbym je wszystkie i nic by im nie groziło.

Honey miała łzy w oczach.

- Eric...

- I byłyby tam moje córeczki. W samym środku, gdzie nic by się im nie stało.

Więc chodzi o jego dzieci. Odślonił się całkowicie. Zrozumiała, że cokolwiek go trapi, ma związek z jego dziećmi.

- Dlaczego nie są z tobą?

- Ich matka na to nie pozwala.

- Dlaczego?

- Bo jest przekonana... - Skrzywił się. - Nie dopuszcza mnie do nich, bo jest przekonana, że je molestowałem.

- Molestowałeś?

- Uważa, że je wykorzystałem seksualnie. - Mówił przez zęby, każda sylaba zadawała się sprawiać mu ból.

Zdumiona patrzyła, jak odsuwa się od niej, wybiega z domku. Słyszała odgłos jego kroków na drewnianych stopniach, a potem zapanowała cisza.

Wpatrywała się w puste drzwi. Starła się zrozumieć, co powiedział. Umysł wygrzebywał z pamięci dawno przeczytane reportaże o drużynowych, nauczycielach, księżach - o mężczyznach, którzy pozornie kochali dzieci, a w rzeczywistości je napastowali. W głębi serca od razu odrzuciła możliwość, że Eric się do nich zalicza. Niewielu rzeczy była równie pewna jak tego, że Eric Dillon nie skrzywdziłby dziecka, w jakimkolwiek wcieleniu.

Wybiegła za nim. Zmierzchało, na niebie rozkwitły barwne wstęgi szkarłatu, lawendy i złota. Zniknął. Pobiegła nad jezioro, ale na zbutwiałym mołu nie było nikogo. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jeszcze mogłaby go szukać, ale wewnętrzny głos podpowiedział jej dokąd iść.

Ledwie wyszła na polanę, zobaczyła go, jak się wspina na najwyższe wzniesienie Czarnego Gromu. Podświadomie skierował się właśnie tutaj. Ludzie od wieków wspinają się na szczyty, gdy odczuwają potrzebę obcowania z wiecznością.

Fioletowa koszula i spodnie w grochy zlewały się z kiczowatym niebem w tle. Wiedziała, dlaczego rwie się na szczyt, sama nieraz odbyła tę wspinaczkę, jednak coś jej mówiło, że nie może mu pozwolić wspinać się samotnie.

Zebrała zwiewną spódnice, zatknęła fałdy za pasek i zaczęła się wspinać. Pokonywała tę trasę setki razy, ale nigdy w pięciu metrach białego tiulu, który bynajmniej nie ułatwiał ruchów. W połowie drogi potknęła się i mało brakowało, a straciłaby równowagę. Zakłęła cicho.

To wystarczyło, by zwrócić uwagę Erica. Zawołał do niej zdenerwowany:

- Co ty wyrabiasz? Złaż. Zaraz spadniesz.

Zignorowała go, poprawiła fałdy sukienki jedną ręką. Eric zaczął schodzić

- Ani kroku dalej. Spadniesz - powiedział.

- Jestem zwinna jak kot - poinformowała go, podejmując przerwana wspinaczkę.

- Honey!

- Przestań mnie rozpraszać.

-Jezu...

Najpierw w jej polu widzenia pojawiły się lśniące czarne buty, potem nogawki jego spodni.

- Jestem tuż pod tobą- ostrzegła. - Nie schodź niżej.

- Trzymaj się. Będę szedł koło ciebie, zejdziemy razem.

- Nie ma mowy - wysapała. - Stąd jest znacznie bliżej na górę niż na dół, a w tej chwili nie mam siły na schodzenie.

Nie spierał się dłużej. Bez słowa towarzyszył jej w drodze na szczyt. Podał jej rękę, pomógł się podciągnąć.

- Jesteś szalona - stwierdził, gdy usiedli na torach.

- Wiem. - Wiatr wydymał poły spódnicy, tiul pozaciągał się od nierównego drewna, gwiazdki i półksiężycy lśniły w świetle zachodzącego słońca.

Stanowili dwie ciemne sylwetki na tle bajkowego nieba, a pod nimi rozciągał się świat w miniaturze: drzewa malutkie jak krzaczki, jezioro jak srebrne lustro, samotny palec wieży kościelnej w oddali. Tu, wysoko, przypomnieli sobie, że istnieje jeszcze inny świat, bardziej niebezpieczny niż umarłe wesołe miasteczko.

Śledziła wzrokiem tor, spojrzała na miejsce, gdzie wagoniki opadały pod ostrym kątem.

- Wiesz, co się dzieje, kiedy jesteś na samym dole?

- Co?

- Wracasz na górę.

- Zawsze na górę. Na kolejce górskiej piekło to kwestia chwili.

- Kiedy ci zarzucają molestowanie dwóch najdroższych istot na świecie, piekło to sposób życia - odparł szorstko. - Ojcowie robią to bezustannie, wiesz? Nieludzy zbrodniecy, gwałcą najświętszą więź międzyludzką.

- Ale nie ty.

- Nie, nie ja. Prędeż bym się zabił, niż skrzywdził moje córki. Mówię poważnie, Honey. Kocham je nad życie.

- Dlaczego ich matka cię oskarża?

- Nie wiem! - krzyknął. - Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest o tym święcie przekonana. Naprawdę wierzy, że... że robiłem im straszne rzeczy. - Przeczesał włosy palcami. Zbyt długo dusił wszystko w sobie, słowa pojawiały się same. I tak siedząc wysoko, pod niebem, w zachodzącym świetle nowego roku, opowiadał o śmierci przyrodniego brata, Jasona, o tym, jak poczucie winy gnębiło go od wielu lat. Opowiadał o małżeństwie z Lilly, o narodzinach córeczek, o radości, jaką mu dały, i o przerażeniu, z jakim przyjął zarzuty Lilly.

Słuchała go i nawet przez chwilę nie wątpiła, że mówi prawdę. Nie zapomniała, jak ją traktował; ostre słowa, aura zagrożenia, to wszystko iluzja. Prawdziwa była tylko dobroć klauna.

Słyszała także to, czego nie mówił, wyczuła przerażające poczucie odpowiedzialności za zło całego świata, które zdawał się dźwigać. W końcu zrozumiała także, na czym polega jego tragedia. Wydawało mu się, że sam jeden musi wszystko naprawić.

Nie potrafiła ukoić tego bólu, ale wiedziała, co mu poradzić.

- Być może krzywdzisz córki bardziej, nie walcząc o nie - powiedziała miękko. - Utrata ojca lub matki w młodym wieku to straszna rzecz. Śmierć mojej mamy odbiła się piętnem na wszystkim, co robiłam, nawet na tym, jak się zakochałam. Przez całe życie szukałam rodziny. Dash najpierw był moim ojcem, dopiero potem mężem. Nie chcesz, żeby je spotkało to samo, prawda, Eric? Nie chcesz, żeby przez całe życie szukały ciebie w każdym napotkanym mężczyźnie.

Był tak nieszczęśliwy, że pragnęła dodać mu otuchy, dotknąć pocieszająco, ale bała się. Bała się, że to źle zrozumie. Poszła z nim do łóżka, lecz przyjacielski gest byłby gestem zbyt intymnym.

- Mam związane ręce - powiedział. - Lilly umieści je u obcych, jeśli tylko spróbuję się do nich zbliżyć. Wtedy nie będą już miały nikogo.

Honey zbierało się na mdłości. Nie przypuszczała, że kobiety mogą być aż tak mściwe. Dlaczego Lilly tak bardzo nienawidzi Erica? Dopiero teraz dotarło do niej, jak tragiczna jest jego sytuacja.

- Przykro mi - powiedziała tylko.

Wstał, lekceważąc jej współczucie.

- Chodźmy na dół. Trzymaj się mnie.

Droga w dół była łatwiejsza niż wcześniejsza wspinaczka. Mimo to był u jej boku, łąpał ją za ramię, ilekroć się zachwiała. Zanim znaleźli się na ziemi, zapadł zmrok.

Przez chwilę stali w milczeniu. Jego twarz nikła w cieniu. Pod wszystkimi maskami, przebraniami wyczuwała dobroć jak żyłą złotą.

- Wolę nie myśleć, co czują twoje córeczki, odkąd cię utraciły.

Ku jej zdumieniu, podniósł rękę, dotknął jej włosów. Bawił się jasnym kosmykiem, nawijał go na palec. Nagle odezwał się ochryple:

- A co ty poczujesz, kiedy mnie utracisz?

Powróciła panika. Nie powinien jej dotykać. Nie w ten sposób. Nie wolno mu.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Owszem, wiesz. Jutro wyjeżdżam. Czy to ci sprawi jakąś różnicę?

- Oczywiście że tak. - Odsunęła się od niego, podeszła do sterty desek.

- Jedna para rąk do pracy mniej?

- Nie to miałam na myśli.

- Więc co?

- Ja... - Popatrzyła na niego. - Nie zadawaj mi takich pytań.

Jedź ze mną, Honey - poprosił. - Zostaw Czarny Grom i wracaj do Los Angeles. Teraz, nie za trzy miesiące, kiedy skończysz odbudowę.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Muszę to skończyć.

Poprzednia miękkość ustąpiła szorstkim nutom.

- Jakże mógłbym zapomnieć? Musisz wybudować pomnik ku pamięci

Dasha Coogana. Jakże mogłem być na tyle głupi i liczyć, że mogę się z nim równać?

- To nie jest pomnik! Chcę tylko...

- Odnaleźć Boga? Moim zdaniem popłatałaś Dasha z Bogiem. Bo to Dasha chcesz odnaleźć.

- Kocham go! - krzyknęła.

- On nie żyje. Żadna kolejka górską nie przywróci go do życia.

- Nieprawda, że nie żyje! Dla mnie - tak! Zawsze będę go kochała!

Było zbyt ciemno, by widziała dokładnie, dlatego nie była pewna, czy naprawdę się skrzywił.

- O ile pamiętam, twoje ciało nie jest równie wierne jak serce.

- To był tylko seks! - krzyknęła, chcąc przekonać zarówno jego, jak i siebie. - Dash wcale by się tym nie przejął. On by zrozumiał.

- Co zrozumiał? - spytał.

- Że czasami... że czasami seks nic nie znaczy.

-Aha.

- Oboje byliśmy samotni i... Nie budź we mnie poczucia winy. Nawet się nie całowaliśmy, Eric.

- Rzeczywiście. Robiłaś inne rzeczy tą śliczną buźką, ale mnie nie całowałaś.

Podszedł o krok, żeby, jak się domyślała, to zmienić. Powtarzała sobie, że powinna się cofnąć, ale nie ruszała się z miejsca. W tej chwili oddałaby

wszystko, byleby założył jedną ze swoich masek, wszystko jedno którą. Dopiero teraz pojęła, że chronił nie tylko siebie, lecz także ją. Teraz nie dzieliły ich żadne przeszkody. Czuła jego ból i pragnienie, tak samo jak czuła własne.

- Wiesz, że marzyłem o twoich ustach? - Jego oczy pociemniały, głos ochrypł.

- Zimno mi - stwierdziła. - Wracam do przyczepy.

- Chciałem wiedzieć, jakie są w dotyku, jak smakują.

Złapał ją za ramiona. Nie była w stanie się poruszyć, gdy delikatnie obrysował jej usta kciukiem. Rozchyliła je odruchowo. Tak dawno nikt jej nie całował. Eric pochylił głowę, zmrużył oczy, aż ciemne rzęsy rzucały cień na policzki.

Czuła już ciepło jego ust. Nagle przeszło ją pragnienie. Zrozumiała, że jeśli mu ulegnie, popełni okropną, niewybaczalną zdradę i nie będzie w stanie spojrzeć w lustro.

Już miał ją pocałować, ale wyrwała się w ostatniej chwili.

- Nie! Nie zgodzę się! Nie zdradzę męża!

Nigdy nie widziała równie smutnej twarzy. Rozpacz w jego oczach tylko potęgowała jej cierpienie.

- Idę o zakład, że pocałowałabyś klauna - szepnął.

Wtedy uciekła, od niego i od pokusy, której tak bardzo chciała ulec.

Eric jeszcze długo stał u podnóża Czarnego Gromu. Piekły go oczy. Przekonywał się, że żył z bólem tak długo, iż jeszcze odrobina nie robi mu różnicy. Ale logika nie może wygrać z emocjami. Wiatr smagał sosny nagłymi podmuchami, a on wspominał Honey, jaką znał kiedyś; dziewczynę, która wodziła za nim rozmarzonymi oczami. Nawet wtedy coś go w niej pociągało.

Teraz Honey jest kobietą. A on ją kocha. Rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny. Sama nie ma dzieci, a od razu wyczuła, jak bardzo on kocha córeczki. A jej szaleńcza determinacja, żeby skończyć odbudowę kolejki górskiej, bez względu na koszty, przypominała do złudzenia jego dążenie do perfekcji w pracy. Wydawało się nawet, że wie, dlaczego on musi chować się cudzej skórze. Mimo różnic w pochodzeniu, mimo kłamstw i oszustw czuł, że znalazł swoją drugą połowę.

A ona go nie chce. Woli nieżyjącego.

Czuł, że nadchodzi nowa fala bólu, tym razem nie do zniesienia. W ostatniej chwili schronił się za pancerz cynizmu.

Jest królem ogierów. Kobiety o niego zabiegają, nie odwrotnie. Wystarczy, że pstryknie palcami i już stoją w kolejce. Może mieć wszystkie: brunetki, blondynki, młode, stare, z dużymi cyckami, nogami do nieba. Kobiety tego świata leżą u jego stóp.

A Honey nie zna zasad. Nie pojmuje podstawowej reguły zakichanego wszechświata! Nie rozumie, że gwiazdorzy mogą mieć każdą kobietę, której zapragną!

Honey nie dba o to, że Eric jest być może najlepszym aktorem swego pokolenia. Dla niej równie dobrze mógłby być murarzem. Nie obchodzi jej, że jest multimilionerem, ani że tylko jej jednej się zwierzył. Pewnie nie czyta zakichanego magazynu „People”, więc skąd mogłaby wiedzieć, że on jest najseksowniejszym mężczyzną świata?

Eric zawrócił do Bullpen. Musi się spakować. Musi stąd odejść, popełnił w życiu wiele głupstw, ale to przerastało wszystkie poprzednie - zakochał się we wdowie Coogan.

Powrót do domu
1990

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tatusiu! - Lilly zerwała się z kanapy w salonie, gdzie odpoczywała po rozpakowaniu bagaży. Pobiegła po marmurowej posadzce na spotkanie ojca.

- Witaj, skarbie.

Lilly utonęła w jego ramionach. Guy Isabella wyglądał równie dobrze jak zazwyczaj. Jego gęste, srebrzystoblond włosy lśniły w styczniowym świetle wpadającym przez okno. Sweter barwy dojrzałego melona pasował do białej koszuli z egipskiej bawełny. Obszerne lniane spodnie były modnie pogniecione. Kiedy się ostatnio widzieli, cztery miesiące temu w Londynie, Lilly zauważyła, że zrobił sobie lifting twarzy.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała. - Nawet nie wiesz, jak mi było ciężko. - Odsunęła się, by na niego spojrzeć. - Masz kolczyk w uchu! - Patrzyła na małe złote kółeczko.

W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, gdy się uśmiechnął.

- Zauważyłaś? Przyjaciółka mnie namówiła podczas pobytu w Londynie. Co ty na to?

Lilly nie była zachwycona. Miała dosyć zmian, chciałyby, żeby chociaż ojciec pozostał taki sam. Nie zepsuje jednak pierwszego spotkania głupią krytyką.

- Fajny - odparła.

Unióśł brwi, przyglądając się jej badawczo. Zauważył za luźny czerwony sweter i czarne legginsy.

- Wyglądasz okropnie. Czy nie mówiłaś, że spędzisz Nowy Rok w St. Moritz, z Andre i Mimi? Myślałem, że trochę odpocznesz.

- Nic z tego - rzuciła gorzko. - Nowa niania odeszła, więc dziewczynki były na mojej głowie. Becca nie sprawiała kłopotów; ostatnio prawie się

nie odzywa. Za to Rachel jest nieznośna. Po pierwszym dniu widziałam, że Andre i Mimi czekają, aż wyjadę, ale są zbyt uprzejmi, by to zaproponować. Mimi pocieszała się, kpiąc z moich talentów wychowawczych. A potem Rachel celowo rozlała sok winogronowy na beczenny perski dywan i Mimi dała popis godny przekupki z bazaru. To było okropne. Dwa dni później poleciałyśmy do Waszyngtonu.

- A wizyta u twojej matki?

- A jak myślisz? Rachel zawsze ją męczyła, a Becca... znasz mamę, wiesz, że nie toleruje braku doskonałości.

- Wyobrażam sobie. - Rozejrzał się dookoła, zacierając przy tym ręce. - Gdzie moje wnuczki? Nie mogę się doczekać, kiedy ponownie zobaczę Rachel. Beccę oczywiście też. Pewnie urosły?

- O tak - syknęła Lilly. Guy spojrział na nią ze zdziwieniem. - Zadzwońłam do agencji, żeby przysłali opiekunkę na dzisiejsze popołudnie. Zabrała dziewczynki na pizzę i do parku. Kazałam jej zostać tam przez kilka godzin, ale pewnie wróci wcześniej. Rachel znowu pobije się z jakimś dzieckiem albo Becca zsiusia się w majtki, albo wydarzy się inna katastrofa i będą musiały wracać.

- Lilly, musisz trzymać Rachel silniejszą ręką.

- Przynajmniej ty mnie nie pouczaj. - Odwróciła się, podeszła do okna. - Jak mam ją trzymać silną ręką? Jest nieposłuszna i uparta, kiedy chcę ją ukarać, ucieka. Kiedyś nie było jej przez trzy godziny. Ledwie ją znaleźliśmy; zakradła się do mojej garderoby z nożyczkami i pocięła nową wieczorową suknię.

- Myślałem, że to się zmieni.

- Jakim cudem? Ona mnie nie znosi, tato. - Lilly skrzyżowała ramiona na piersi i mruknęła pod nosem: - A czasami ja jej.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Nie, oczywiście że nie - zapewniła. - Ale czasem wyprowadza mnie z równowagi. Przez nią czuję, że zawiodłam na całej linii. - Sięgnęła po papierosy leżące na parapecie.

- Ty palisz!

Zawahała się. Nie miała zamiaru palić w obecności ojca, który, choć sam zbyt często zaglądał do kieliszka, był fanatycznym przeciwnikiem nikotyny.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakim ostatnio żyję napięciu - usprawiedliwiła się.

Patrzył na nią z taką dezaprobatą, że odłożyła paczkę. Podeszedł do karnapy, ostrożnie podciągnął spodnie, usiadł.

- Nie pojmuję, czemu się tak zamęczasz. Wiem, że uwielbiasz podróże, ale ostatnio tak często zmieniałaś adresy, że nie mogłem się połąpać. Widać, że ledwo się trzymasz na nogach. Nie będę cię jednak pouczał,

skarbie. Dobrze, że miałaś chociaż tyle rozumu w głowie, aby w końcu przyjechać do domu.

- Tylko na kilka dni. Muszę załatwić pewne sprawy i zaraz wracamy do Paryża.

- To śmieszne, Lilly. Nie możesz tak postępować. Dlaczego chcesz zaraz wyjechać?

- Eric jest w mieście.

- Tym bardziej powinnaś zostać. Nie rozumiem, dlaczego zwalniasz go od odpowiedzialności za dziewczynki. Wiesz, że nigdy za nim nie przepadałem, ale nie pojmuję, jak mógł zostawić córki.

Lilly odwróciła głowę, żeby nie patrzeć ojcu w oczy. Nigdy mu nie powiedziała o Ericu, za bardzo się wstydziła.

- Ojcostwo było dla niego kolejną rolą. Gdy już ją opanował do perfekcji, znudziło mu się.

- Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Wydawało się, że bardzo mu zależy na dziewczynkach...

- Jest aktorem, tatusiu.

- Mimo to...

- Nie chcę rozmawiać na ten temat.

Wstał, podszedł do niej.

- Ależ Lilly, nie możesz ciągle uciekać. To nie jest dobre ani dla dziewczynki, ani dla ciebie. Zawsze byłaś nerwowa, a teraz napięcie związane z wychowaniem dzieci daje ci się we znaki. Jesteś chuda jak szczapa, słaniaś się na nogach. Musisz odpocząć, skarbie. - Uśmiechnął się lekko. - Co powiesz na kilka tygodni na farmie piękności? Podobno koło Mendocino dokonują wręcz cudów. Wyślę cię tam jak najszybciej. Potraktuj to jako spóźniony prezent gwiazdkowy.

- Przecież już mi dałeś prezenty.

- Dla mojej córeczki nigdy za dużo.

Przyciągnął ją do siebie, przycisnęła policzek do gładko wygolonej twarzy. Nagle zebrało jej się na mdłości. Głęboko zaczerpnęła tchu, czekała, aż jego bliskość napełni ją spokojem, jak zawsze, ale jego woda po goleniu tylko pogarszała jej stan. Odsunęła się gwałtownie.

- Coś nie tak?

- Chyba zmęczenie po podróży. Ale już wszystko w porządku. Mam czasem kłopoty z żołądkiem.

- A więc załatwione. Zabieram dziewczynki do siebie.

- Nie, naprawdę...

- Ani słowa więcej. Ilekroć chcę je zabrać na trochę, nie pozwalasz. Czy zdajesz sobie sprawę, że moje wnuczki jeszcze ani razu u mnie nie nocowały? Ani razu, odkąd przyszły na świat! A nie pamiętam już, ile razy w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy proponowałem, żebyś na

jakiś czas przysłała je do mnie do Kalifornii. Zawsze coś wymyślałaś. Ale koniec z tym, moja droga. Jeśli nie wypoczniesz, rozchorujesz się poważnie.

- Są bardzo męczące, tato.

- Zawsze tak mówisz.

- Becca ostatnio znowu moczy się w nocy i mówi tak niewyraźnie, że trudno ją zrozumieć. Rachel zachowuje się coraz gorzej, nie słucha poleceń. Najchętniej umieściłabym ją w szkole z internatem, ale nie chcę, żeby Eric... - urwała. - W każdym razie nie jesteś przyzwyczajony do małych dzieci. Za bardzo cię zmęcza.

- Przez kilka dni? Nie przesadzaj. To żaden kłopot. Nie zapominaj, że wychowałem cię, księżniczko. Zabieram je i już.

Lilly chciała zaprotestować, ale zanim zdążyła się odezwać, dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi.

- Wcale nie jest mi przykro! - krzyczała Rachel charakterystycznym, piskliwym głosem, na którego dźwięk Lilly miała ochotę zakryć uszy rękoma. - To była moja huśtawka, a ten chłopiec chciał mi ją odebrać!

Lilly przycisnęła dłonie do obolałych skroni. Kłótnia Rachel z opiekunką przybierała na sile.

Dziewczynka wpadła do pokoju.

- Jesteś głupia! - krzyczała. - Nie nadajesz się na opiekunkę! Nie będę cię słuchała!

Weszła opiekunka z Beccą. Była to starsza kobieta, zdenerwowana i zła.

- Pani córka uderzyła chłopca - oznajmiła. - A kiedy ją skarciłam, odezwała się niecenzuralnie.

Rachel była naburmuszona, w niebieskich oczach błysnęła złość.

- Powiedziałam tylko „cholera”, a on zajął moją huśtawkę.

Guy podszedł do wnuczki.

- Cześć, skarbie. Nie pocałujesz dziadka?

- Dziadek Guy! - Rachel zapomniała, że jest zła, rzuciła się ku niemu entuzjastycznie.

Wziął ją na ręce. Na widok córki w ramionach ojca Lilly poczuła palącą zazdrość.

Ojciec gawędził z Rachel, ona tymczasem odprawiła opiekunkę i wyciągnęła Beccę zza fotela, gdzie dziewczynka się schowała. Z niesmakiem patrzyła na moką plamę na różowych sztruksach.

- Becca, znowu zsiusiałaś się w majtki.

Becca ssała kciuk i obserwowała siostrę i dziadka tępym wzrokiem.

- Tatusiu - zaczęła Lilly nerwowo - nie przywitasz się z Beccą?

Guy z ociąganiem postawił Rachel na ziemi i podszedł do drugiej wnuczki.

- Jest mokra - ostrzegła Lilly.

- Mama właśnie powiedziała dziadkowi, że się zsiusiałaś w maitki - poinformowała Rachel siostrzyczkę. - Mówiłam ci, żebyś nie zachowywała się jak dzieciak.

- No cóż, każdemu może się zdarzyć, prawda, Becca? - Guy poklepał ją po głowie, ale nie wziął na ręce.

W towarzystwie upośledzonej wnuczki czuł się równie nieswojo jak Helen, matka Lilly, tyle że lepiej to ukrywał. Wyjął z kieszeni spodni cynamonowe cukierki i wręczył je obu dziewczynkom, podobnie jak wręczał Lilly, gdy była mała. Znajomy widok wzbudził nową falę mdłości. Zaczęła się obawiać, że bierze ją grypa.

- Rozwiń, o tak, Becca. - Rachel demonstrowała siostrze, jak pozbyć się papierka.

- Daj, pomogę - zaoferował się Guy.

- Nie, dziadku. Becca musi robić wszystko sama, inaczej się nie nauczy. Tatuś mówi, że wszyscy chcą za nią wszystko robić i dlatego się leni. - Wzięła się pod boki, łypnęła groźnie na siostrę. - Rozwiń sama, Becca, albo nie dostaniesz cukierka.

Guy wyjął cukierek z rączki Rachel.

- Kochanie, niepotrzebnie to robisz. - Rozwinął go i podał Becce. - Proszę, skarbie.

Rachel obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Tatuś mówi...

- Nieważne, co mówi tatuś - wtrąciła się Lilly. - Jego tu nie ma.

Guy zaczął pocieszać zdenerwowaną Lilly. Becca się rozpłakała. Czerwone nadzienie cukierka ściekało jej po brodzie. Rachel posłała matce wrogie spojrzenie i zajęła się siostrą.

- Tylko maluchy płaczą, Becca. Niedługo tatuś będzie mniej zajęty i się nami zajmie. Mówię ci, naprawdę! Ile razy ci to powtarzałam?

- Sukinsyn - mruknął Guy tak cicho, że tylko Lilly go usłyszała. - Jak on może? Chociaż, z drugiej strony, może to i lepiej. Sąjeszcze na tyle małe, że się przyzwyczajają. Gdyby zostawił je później, byłoby o wiele gorzej.

Lilly nie wyobrażała sobie, by mogło być gorzej niż teraz. Rujnowała sobie życie, chroniąc dzieci, które nie okazują nawet elementarnej wdzięczności. Jednak ona nie zrezygnuje. Nawet jeśli córki ją znieawidzą, ochroni je przed zbroczeniem ojca.

Guy ponownie zajął się dziewczynkami.

- Naprawdę? - wykrzyknęła Rachel radośnie. - Zjemy pizzę? I będziemy oglądały telewizję przed snem?

- Oczywiście. - Guy zmierzwił jej włosy.

Lilly czuła, jak serce szamoce jej się w piersi.

- Tatusiu...

- Ani słowa, Lilly. - Popatrzyl na nią surowo. - Potrzebujesz odpoczynku i dlatego zabieram dziewczynki na kilka dni do siebie.

- Nie, tatusiu, nie...

- Rachel, pomóż siostrze się przebrać i jedziemy.

Lilly usiłowała jeszcze protestować, ale ojciec jej nie słuchał. Kręciło jej się w głowie, żołądek fikał koziółki. Nie podobało jej się, że ojciec zabierze dziewczynki, a świadomość, że jej się to nie podoba, jeszcze bardziej ją przygnębiała. Musi być wyrodną matką, skoro jest zazdrosna o dobre układy między kochającym dziadkiem a wnuczkami.

Zmusiła się, by zapakować ich ubrania do dopiero co opróżnionych walizek. Czuła się coraz gorzej. Gdy ojciec bawił się z dziewczynkami, pobiegła do ubikacji i zwymiotowała. Przyniosło to pewną ulgę, ale nadal miała zawroty głowy. Połknęła trzy aspiryny i wróciła do sypialni.

Rachel biegała po domu i darła się na całe gardło, tak bardzo była podekscytowana wyjazdem do dziadka. Wydawało się, że tylko Guy jest w stanie ją uspokoić.

Gdy byli gotowi do wyjścia, okazało się, że Becca zniknęła. Lilly znalazła ją w swojej szafie - znowu w mokrych spodniach. Musiała przebrać ją ponownie.

- Mamusiu, pamiętaj - Rachel odwróciła się przy drzwiach. - Jeśli tatusz zadzwoni, gdy nas nie będzie, powiedz, żeby po nas przyjechał.

Przed każdym wyjściem z domu Rachel mówiła to samo. Lilly zacięła zęby; wiedziała, że córka nie wyjdzie, zanim nie usłyszy odpowiedzi.

- Zrobię to na pewno - wycodziła.

- Dziewczynki, pocałujcie mamusię na do widzenia - polecił Guy.

Rachel posłusznie cmoknęła matkę w policzek. Becca nie reagowała.

Guy ucałował córkę.

- O nic się nie martw, skarbie - powiedział. - Zadzwoń do znajomych, zabaw się. Damy sobie radę.

- Sama nie wiem. One są takie...

- Nie martw się, skarbie. Idziemy, dziewczynki. Co powiecie na lody po drodze?

Rachel wydała mrozący krew w żyłach okrzyk radości i złapała dziadka za rękę. Guy otworzył drzwi jaguara. Jego włosy lśniły w słońcu, zęby błysnęły, gdy się uśmiechnął. Jest taki przystojny. Wręcz, nieprzyzwoicie przystojny.

- Pasy! - przypomniała Lilly. - Niech zapną...

Guy dopilnował, by dziewczynki zapięły pasy. Potem pomachał do Lilly na znak, że wszystko jest w porządku. Po chwili samochód ruszył.

Lilly pobiegła za nimi.

- Bądźcie grzeczne! - zawołała. - Nie słuchajcie dziadka! - Ugryzła się w język. Co ona wygaduje? - To znaczy...

Było jej zimno i gorąco jednocześnie, potykała się, wracając do domu. Choć jeszcze nie zapadł zmrok, zażyła dwie tabletki nasenne. Ojciec ma rację. Musi odpocząć. Położyła się w ubraniu.

Ledwie zasnęła, zaczęły dręczyć ją koszmary. Biegła. Goniła ją kobieta bez twarzy, o drapieźnych, czerwonych paznokciach. Te paznokcie odłamywały się od jej palców i uderzały Lilly w plecy, jeden po drugim. Lilly zwróciła się po pomoc do ojca, ale z przerażeniem stwierdziła, że trzyma on w ręku wielki nóż i mierzy nim w Rachel. Wpadła w panikę. A potem zobaczyła, że do Rachel zbliża się Eric. Zbliży się, ciężko dysząc z pożądania. Zebrała wszystkie siły i krzyknęła.

Obudził ją własny krzyk. W pokoju było ciemno i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Kurczowo ścisnęła kołdrę, bała się usiąść; bała się, że pochłonie ją straszliwy, niewypowiedziany koszmar. W uszach słyszała straszne dudnienie.

A przed oczyma miała twarz Erica, potworną twarz, w stanie rozkładu. Walczyła z mgłą spowijającą jej umysł. Doszła do przerażającego wniosku, że popełniła błąd, nie mówiąc ojcu o Ericu. A jeśli Eric pójdzie do domu Guya i odbierze Rachel? Ojciec nie wie o jego chorych upodobaniach. Nie wie, że nie wolno powierzyć mu córki. Co będzie, jeśli Guy mu ją odda?

Otumaniona proszkami, zmęczona koszmarami, nabrała nagle pewności, że właśnie to się stało. Eric zabrał Rachel i córeczka jest w straszliwym niebezpieczeństwie.

Zrobiło jej się słabo na myśl, że i Becca jest u Guya. Ale nie, Eric nigdy by jej nie skrzywdził. Na pewno się jej brzydzi. Interesuje go tylko Rachel. Silniejsza.

Szlochając głośno, zwlokła się z łóżka, po omacku szukała butów. Powoli wyszła z sypialni, ciągle zamroczona proszkami. Wzięła torebkę ze stolika w holu, grzebała w niej, aż znalazła kluczyki do samochodu. Wyjęła je i z torebką pod pachą powlokła się przez kuchnię do garażu. Dopadnie Erica, zanim on skrzywdzi Rachel.

Dostrzegła zestaw noży w drewnianej ramie. Ukryła jeden z nich w torebce. Zamknęła oczy. Nie jest dobrą matką, wie o tym. Jest niecierpliwa, skupiona na sobie, wciąż dokonuje niewłaściwych wyborów. Ale kocha córkę i robi, co w jej mocy, by ją chronić.

Guy Isabella objął wnuczkę jedną ręką. W drugiej trzymał szklanke whisky.

- Dziadku, dlaczego nie mogę spać z Beccą? - Rachel nerwowo zerknęła na sufit i w wysokie okna. Dziadek powiedział, że to był kiedyś pokój mamy, ale jej się nie podobał. Wydawał się taki ciemny i straszny.

- Rebecca śpi już od godziny - wyjaśnił Guy. Kostki lodu zabrzączyły w szklance. - Nie chciałem, żebyś ją obudziła.
- Będę cichutka jak myszka. Boję się spać sama.
- Bzdura. Nie ma się czego bać. - Musnął jej usta palcami. - Dziadek Guy zajrzy do ciebie przed snem.
- Chcę spać z Beccą.
- Nie bój się, skarbie. Dziadek Guy czuwa. - Pochylił się i lekko pocałował ją w usta.

Eric przetarł oczy i utkwiał wzrok w telefonie przy łożku. Ile razy podczas minionych trzech tygodni chciał zadzwonić do Honey? Sto? Tysiąc? To dobrze, że jedyny telefon jest w Bullpen. Honey i tak go nie usłyszy. Na wszelkie możliwe sposoby dała mu do zrozumienia, że nie ma szans z duchem.

Dochodziła północ, a on wstał o piątej rano. Był bardzo męczony, ale wiedział, że prześpi najwyżej kilka godzin. Nowa rola była bardzo wyczerpująca, a on nie dawał z siebie wszystkiego. Nie potrafił uporać się z odkrywaniem poszczególnych warstw, które tworzą gotową postać. Jeszcze nie doszedł do siebie po tym, jak obnażył się przed Honey. Jak może grać, wejść w czyjąś duszę, skoro czuje się nagi i bezbronny? Miał wrażenie, że jakaś jego część została z Honey, i dopóki jej nie odzyska, nic nie będzie także jak przedtem.

Musi zapomnieć o Honey, wyrzucić z pamięci jej śmiech w szpitalu, nie pamiętać, jak się kochali. A przede wszystkim musi zapomnieć o współczuciu, które mu ofiarowała tamtej nocy, gdy zrzucił maskę klauna.

Dzwonek do drzwi wyrwał go z zadumy. Zmarszczył brwi. Dom w kantonie Nichols leżał na uboczu. Raczej nie można trafić tu przypadkiem. Eric podszedł do drzwi. Wyrzął przez wizjer i szybko otworzył.

- Lilly?

Szczękała zębami, była blada i zmęczona. Odkąd ją ostatnio widział, obcięła włosy, które teraz wisały w nierównych strąkach, przez co jej oczy wydawały się jeszcze większe.

Patrzyła na niego z najwyższym obrzydzeniem. Zauważyła rozpiętą koszulę, poluzniony pasek w dżinsach. Skrzywiła się.

- Gdzie ona jest? - zapytała.

Przeczesał włosy zmęczonym gestem.

- O co ci chodzi, Lilly?

- Co jej zrobiłeś?

Złapała się framugi, żeby nie upaść. Podtrzymał ją odruchowo, coraz bardziej niespokojny.

- Co się stało?

Chciała mu się wyrwać, ale wciągnął ją do środka. Zaprowadził do salonu, posadził na sofie. Oddychała szybko i płytko, tuliła torebkę do piersi. Wziął z barku butelkę brandy, nalał sporą porcję.

- Wypij - powiedział, podając Lilly szklanekę.

Wzięła szklanekę i podniosła do ust.

- Powiedz, co się dzieje? - dopytywał się. - Coś z dziewczynkami?

Wstała z trudem. Chciał jej pomóc, ale cofnęła się szybko.

- Gdzie ona jest? - powtórzyła.

- Kto?

- Rachel! Wiem, że ją masz.

- Nie mam. Na Boga, co się dzieje?

- Nie wierzę ci. Zabrałeś ją z domu mojego ojca. Gdzie ona jest?

- Nawet nie wiedziałem, że wróciłaś do LA. Jakże mógłbym ją zabrać? Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie ona jest?

- Kłamca! - wrzasnęła. Wyminęła go, pobiegła w głąb domu.

Poszedł za nią. Obserwował, jak otwiera drzwi do pokoju gościnnego, potem do następnego. W ten sposób doszli do jego sypialni. Stała na środku. Przerazenie zasnuło jej oczy mgłą.

- Co zrobiłeś z Rachel? - zapytała ochryple.

Starał się zachować spokój. Lilly balansuje na granicy obłądki, wystarczy jeden fałszywy krok i straci resztki rozumu. Powoli wszedł do pokoju.

- Kiedy ją ostatnio widziałas?

- Tatuś zabrał ją na noc - mówiła, urywanymi słowami, nerwowo zwijając pasek torebki. - Beckę też. Beckę też zabrał. Wiedziałam, że nie powinnam mu pozwolić, ale byłam bardzo zmęczona.

- Wszystko w porządku, Lilly - uspokajał ją. - Nie popełniłaś błędu.

- A właśnie że tak! - Zaniósła się płaczem. - Nie rozumiesz! Nigdy mu o tobie nie mówiłam. Nie wie, że możesz ją skrzywdzić.

- Nie skrzywdziłem Rachel - oznajmił spokojnie. - Widzisz sama, jej tu nie ma. Kocham ją. Nie mógłbym jej skrzywdzić.

- Kłamiesz! - wrzasnęła. - Mój tatuś mnie kocha! Kochał mnie, ale mnie krzywdził!

- Lilly, o czym ty mówisz? - Wykonał zbyt gwałtowny ruch i odskoczyła w tył.

- Nie dotykaj mnie! - Zrobisz mi krzywdę, tak samo jak Rachel.

Znieruchomiał.

Lilly rozplakała się.

- Ona nie lubi, kiedy sprawiasz jej ból... ale nie potrafi powiedzieć, żebyś przestał. - Mówiła głosem, bardziej dziecięcym. - Każesz jej... siedzieć cicho... kiedy ją dotykasz. Cichutko, kochanie. Nie zrobię ci krzywdy. Zamknij oczka, dobrze? Ale ona nie może... zamknąć oczek. A ty... śmierdzisz whisky.

- Lilly, ja nigdy nie piję whisky.

- Ona nie lubi... nie lubi tego zapachu - szlochała Lilly. - I nie lubi, kiedy... włączasz radio. - Nabrała powietrza. - A ty powtarzasz. „Zamknij oczka i słuchaj muzyki, Lilly”

Oblał go zimny pot, gdy wreszcie rozumiał.

- O Boże szepnął.

-A czasami... -jej głos się załamał, przeszedł w szept - czasami, gdy gra muzyka... i pachniesz whisky... i te ręce...

- Och, kochanie...

- To taki straszny sen, ale czasami te ręce sprawiają przyjemność. I to jest najgorsze ze wszystkiego.

Z płaczem osunęła się na ziemię jak zepsuta zabawka. Rzucił się ku niej; chciał pocieszyć, utulić. Gwałtownie złapała torebkę.

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy więcej!

Eric poczuł ostry ból w boku. Cofnął się, zobaczył nóż w jej dłoni. Po chwili Lilly upuściła nóż i przerażona patrzyła na Erica. Dostrzegła powiększającą się plamę krwi na jego koszuli. Zbladła.

- O Boże... - szepnęła. - O Boże, nie... Co ja zrobiłam?

Eric przycisnął dłoń do rany. Podejrzewał, że to nic poważnego, ale nie miał czasu, by się upewnić. Teraz liczy się tylko Rachel.

- Czy dziewczynki są teraz u twojego ojca? - zapytał.

Lilly była przerażona, ale przytomna.

- O Boże, Eric - szepnęła. - To wcale nie byłeś ty. To on. Molestował mnie, kiedy byłam mała, a ja starałam się o tym zapomnieć. Tak, dziewczynki są u niego.

Pomógł jej wstać.

- Idziemy.

- Ty krwawisz. Zraniłam cię.

- Później się tym zajmę. - Porwał podkoszulkę z poręczy krzesła, przycisnął do rany.

- Och, Eric. Przepraszam. Co ja narobiłam? Boże, przepraszam.

- Nie mamy na to czasu. Musimy je odebrać. Gdy prowadził Lilly do samochodu, zastanawiał się, czy nie jest już za późno. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Wepchnął ją na siedzenie pasażera, sam usiadł za kierownicą. Opony zapiszczały, gdy naciskał pedał gazu. Zegar wskazywał 11.48. Prawie północ. Idealna pora dla potworów.

Lilly szlochała wtulona w fotel.

- Nie Becca. Nie tknie Becki. Ale Rachel... - Płakała coraz głośniejsze. - Jak on mógł? Tak bardzo go kochałam. Błagam, Eric, nie pozwól, by wyrządził jej krzywdę. Nie masz pojęcia, jakie to straszne. Błagam.

Zacisnął mocno zęby, starał się nie słyszeć jej prośb. Wciskając gaz do deski, myślał tylko o niebezpiecznej, krętej drodze i dwóch małych dziewczynkach, które będą bardzo nieszczęśliwe, jeśli ich tatuś nie zdąży na czas.

Rozdział trzydziesty

Rachel obudził dziwny zapach. W pewnej chwili nie wiedziała, z czym jej się kojarzy. W końcu sobie przypomniała: alkohol na przyjęciach mamusi. Wtuliła się w poduszkę, przewróciła na bok. Długa koszula nocna podwinęła się do pasa.

Materac się ugiął. Już miała szturchnąć Beccę i powiedzieć, żeby się nie wierciła, kiedy przypomniała sobie, że jest w domu dziadka Guya i Becca z nią nie śpi. Usłyszała muzykę i z trudem otworzyła oczy. Na stoliku przy łóżku świeciło się czerwone światełko.

Materac poruszył się ponownie. Chyba ktoś siedzi w nogach łóżka. Przestraszyła się. Może jakiś potwór wyszedł z szafy i skrada się po nią? Chciała zawołać tatusia, ale za bardzo się bała. Wtedy materac poruszył się jeszcze raz i przekonała się, że to tylko jej dziadek Guy.

- Bałam się - oznajmiła.

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył.

Przetarła oczy.

- Czy mój tatuś zadzwonił?

- Nie.

- Śmierdzisz, dziadku. Alkoholem.

- To tylko kropelka starej dobrej whisky. Starej dobrej whisky. - Mówił śmiesznie, nie tak jak zawsze. Starannie wymawiał każde słowo, jak logopeda Becki. I miał potargane włosy. Dziadek Guy był zawsze schludny, a tu potargane włosy?

- Chce mi się pić. Poproszę wody.

- Pozwól... pozwól, że ci pomasuję plecy.

- Wody! - nie dawała za wygraną. - Poproszę wody!

Przełknął resztkę whisky, wstał powoli i wyszedł z pokoju.

Rachel poczekała, aż w korytarzu ucichną jego kroki, zanim wygramoliła się z łóżeczka. Bose nóżki głucho uderzały o deski podłogi. Korytarz był długi i ponury, jak w zamku. Stały tam drewniane komody, wielkie, brzydkie wazony i drewniane krzesło, podobne do tronu. Na ścianach wisiały miecze, którymi dziadek Guy walczył w swoich filmach. Ciemność rozświetlały małe lampki podobne do świec. W ich świetle jej cień był nie-naturalnie długi.

Bała się, bo dom dziadka Guya był taki wielki i ciemny, ale dzielnie przemierzała korytarz, aż doszła do pokoju siostry. Ostrożnie nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi i wślizgnęła się do środka.

Becca skuliła się w kłębek na środku pościania i posapywała zabawnie, jak zawsze podczas snu. Czasami to sapanie budziło Rachel w środku nocy -

wtedy wymierzała siostrze kuksańca - ale teraz znajomy dźwięk uspokajał. Rachel była spokojniejsza, wiedząc, że siostra się nie boi. Wcale niełatwo jest być siostrą Becki. Tatuś co prawda uważa, że czasami Rachel za bardzo ją męczy, ale jego tu nie ma, a mama chyba się boi Becki. Rachel czuła się za siostrę odpowiedzialna.

Zmarszczyła brwi, patrząc na łóżko. Becca stopniowo zapomina tatuś, ale ona nie. Mama twierdzi, że tatuś jest bardzo zajęty, nie ma dla nich czasu, ale Rachel podejrzewała co innego; pewnie się obraził, bo była niegrzeczna. Jeśli będzie grzeczna i posłuszna jak Becca, może zabierze je do siebie? A gdy to zrobi, walnie go w brzuch, z całej siły. Brzydko postąpił, tak długo zostawiając je u mamy.

Becca jęknęła przez sen i wygięła usta w podkówkę, jakby miała się zaraz rozpłakać. Rachel podeszła do łóżka, pogłaskała siostrę po głowie.

- Nie bój się, Becca - szepnęła. - Zajmę się tobą.

Rebecca uspokoiła się. Rachel już miała wyjść, gdy zobaczyła ciemną postać w drzwiach. Nogi się pod nią ugięły ze strachu. A potem zrozumiała, że jest strasznym tchórzem, bo to tylko dziadek Guy.

Podniosła na niego wzrok. Przyniósł szklanekę wody dla niej, a dla siebie - nową porcję alkoholu.

- Wracaj do swojego pokoju - polecił tym samym dziwnym powolnym głosem.

Ogarnęła ją senność. Poszła za nim. Szedł dziwnie pochylony, rozlał trochę wody na podłogę. Gdy byli już w jej pokoju, podszedł do łóżka i poprawił kołdrę. Rachel ułożyła się wygodnie, wzięta od dziadka szklanekę z wodą. Upiła mały łyk i oddała mu.

- Tylko tyle? - zapytał, jakby był na nią zły.

Skinęła głową.

- No, dobrze. A teraz już śpij.

Mówił szeptem. Pewnie dlatego, że nie chce obudzić Becki. Ale przecież Becca jest daleko i niczego nie usłyszy.

- Pomasuję ci plecy - oznajmił. - Troszeczkę.

Nie podobał jej się ani jego sposób mówienia, ani jego zapach. Za to podobał jej się pomysł masażu pleców, więc posłusznie przewróciła się na brzuch i zamknęła oczy.

Dziadek Guy uniósł jej nocną koszulkę i zadarł wysoko, aż na plecy. Masował powoli, delikatnie. Ziewnęła. Muzyka w radio jest taka cicha i przyjemna. Zamknęła oczy. Pomyślała o tatusiu, o tym, jak czytał im bajki. Może jutro dziadek Guy też im poczyta. Może jutro...

Powoli zasypiała.

Aż nagle coś strasznego wyrwało ją ze snu.

Ozdobna brama ze złoceniami, jedna z bardziej wyszukanych w całym Bel Air, pojawiła się w polu widzenia. Eric wcisnął hamulce. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Zegarek wskazywał dwunastą siedem. Jazda zajęła im dziewiętnaście minut. Zdażyli?

Pamiętał, że Guy nie ma żadnej służby na stałe. Wszyscy zjawiali się rano i wychodzili po kolacji. Guy spał w wielkim domu sam. Ale tej nocy były tu dwie małe dziewczynki.

Lilly wpatrywał się w bramę.

- Boże, Eric, zapomniałam. Nie dostaniemy się na teren posiadłości.

- Ależ tak.

Wyskoczył z samochodu. Nie zwracał uwagi na ból w rannym boku. Uda mi się, powtarzał. Może wszystko: jeździ superszybkimi samochodami, pokonuje bariery nie do przebycia, włamuje się do zamkniętych domów, ratuje niewinnych. Robił to setki razy. Gołymi rękami i z karabinem uzi. Robił to, krwawiąc z rany postrzałowej i ślepy na jedno oko. Tylko że wtedy robił to na niby, a teraz działa na jawie.

Znalazł podpórkę dla stopy na ogrodzeniu. Wspinaczka nie była trudna, ale ból w boku dawał mu się we znaki. Miał nadzieję, że Lilly nie uszkodziła żadnego organu wewnętrznego. Koszula przesiąkła krwią.

Gdy przerzuciał nogę na drugą stronę ogrodzenia, miał nadzieję, że alarm rozdzwonił się wszędzie: w domu, w agencji ochrony, u samego Pana Boga. Zeskoczył na ziemię i syknął z bólu, bo przeszył go ostry ból. Biegł do domu, trzymając się za bok, mokry i śliski od krwi. Dopadł do drzwi, walił pięścią w drewnianą powierzchnię, jak szalony naciskał dzwonek.

- Otwieraj! Natychmiast otwieraj, ty sukinsynie! - Błagał opatrność, by córeczki spały smacznie w łóżeczkach, nietknięte i niewinne, ale sam w to nie wierzył.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Guy nie otwierał. Eric zrozumiał, że nie może już dłużej czekać. Pobiegł wzdłuż domu. Wpadł do ogrodu na tyłach budynku i przypomniał sobie tamtą noc w małym domku, pierwszą noc z Lilly. Jego fascynacja Lilly tak bardzo różniła się od wspólnoty dusz, której doświadczył z Honey, że nie wierzył, iż przydarzyło się to temu samemu człowiekowi. Odsunął myśl o Honey. Teraz nie może sobie na nie pozwolić.

Podbiegł do drzwi kuchennych, cofnął się, silnym kopniakiem rozwalił zamek.

Wbiegł do środka. Ranny bok bolał tak bardzo, że przez kilka sekund nic do niego nie docierało. Dopiero po chwili usłyszał monotonne zawalenie alarmu. I dźwięk, który sprawił, że jego krew zamieniła się w lód. Rachel wołała o pomoc.

Rachel kuliła się w kącie dawnego pokoju mamy. Miała na sobie tylko majteczki. Wrzeszczała, bo nie wiadomo kiedy dziadek Guy okazał się takim strasznym potworem.

- Przestań! - krzyknął do niej! - Zamknij się!

W całym domu wył alarm, ale dziadek Guy chyba tego nie słyszał. Odepchnął krzesło, które stało mu na drodze, podszedł bliżej. Już nie mówił tak spokojnie i wolno. Bełkotał i ciągle wpadał na meble. Miał rozpięty rozporek. Zobaczyła, co tam jest, i wcale jej się to nie spodobało.

- Nie! - krzyknęła! - Boję się!

Na początku, kiedy masował jej plecy, wszystko było w porządku, ale potem wsadził jej rękę w majtki. Rachel wiedziała, że są różne rodzaje dotyku, dobre i złe, a ten był na pewno zły. Zaczęła wrzeszczeć, a kiedy dziadek po raz drugi zrobił tę złą rzecz, kopnęła go i wyskoczyła z łóżka. A teraz dziadek ją goni.

- Chodź tutaj, Rachel! - polecił dziadek Guy. - Przestań wrzeszczeć i chodź tutaj! Jeśli nie będziesz grzeczna, ukarzę cię!

Rzucił się w jej stronę. Wrzasnęła. Uchyliła się, chciała go wyminąć, ale ją złapał.

- Nie! - krzyknęła, czując jego rękę na ramieniu. - Nie! Boję się!

- Cicho! - Śmierdziało mu z ust. Wziął ją na ręce, przyciskał tak mocno, aż bolało. - Cicho! Nie zrobię ci krzywdy. Tylko cię pomasuję.

- Powiem! - wrzasnęła. Usiłowała go kopnąć. - Powiem tatusiowi, że mnie brzydko dotykałeś!

- Nie powiesz. - Zaniósł ją do łóżka, cisnął na poślanie. - Nie powiesz, bo inaczej nigdy więcej nie zobaczysz mamusi.

Zaczęła szlochać.

Odrzucił kołdrę, którą się otuliła, znów sięgnął do jej majteczek.

- Nie! Nie, nie wolno! - Rachel szarpała się ze wszystkich sił.

Dziadek Guy stęknął boleśnie, gdy jeden z jej kopniaków trafił w czułe miejsce, zaraz jednak ponownie się nad nią pochylił. Była obolała, wyczerpana szamotaniną, ale nie poddawała się. Nie zapomniała o tatusiu, o kapitanie Łacie, o tym, że dziewczynki potrafią walczyć tak samo jak prawdziwi piraci. Kopała go i wrzeszczała, w kółko powtarzała to samo słowo: - Tatusiu! Tatusiu!

Eric przeskakiwał po dwa stopnie, niemal frunął w górę schodów. Serce waliło mu jak oszalałe. Krzyki Rachel dochodziły zza zamkniętych drzwi na końcu korytarza. Z drugiego końca dobiegało ciche łkanie Becki. Jak pocisk wpadł do pokoju.

Guy leżał na Rachel. Podniósł głowę, obrzucił Erica nieprzytomnym spojrzeniem alkoholika. Po dawnej urodzie nie było nawet śladu: rozczochrane włosy, zmarszczki, obwisła skóra. W całym pokoju śmierdziało alkoholem.

Eric doskoczył do niego jednym susem, ściągnął z małego ciałka.

- Ty draniu!

- Nie... - jęknął Guy.

- Zabiję cię, sukinsynu!

Eric pchnął go na ścianę, złapał za kołnierz koszuli, dźwignął na nogi i uderzył w twarz. Ogarnęła go żądza krwi, ukoić ją mógł tylko trzask łamanych kości. Wymierzał cios za ciosem, gruchotał twarz. Guy stracił przytomność, ale to nie powstrzymało Erica. Musi pomścić dwie niewinne dziewczynki: Rachel i jej mamę. Głowa Guya opadła bezwładnie po kolejnym ciosie.

- Tatusiu!

Stopniowo szum w uszach cichł, świat przestawał wirować. Eric spojrział na Guya. Isabela miał złamany nos i strzaskaną kość policzkową, z łuków brwiowych płynęła krew. Nikt nigdy już nie nazwie go przystojnym. Eric puścił go i nieprzytomny mężczyzna osunął się na ziemię.

Rachel pobiegła do ojca. Wciąż płakała. Porwał ją na ręce.

- Tatusiu! Tatusiu! - zawołał, przytulając się do niego.

Uderzyła go kolanem w ranny bok, ale prawie tego nie poczuł. Czuł tylko wielką miłość do córki i miał nadzieję, że zdążył, zanim wydarzyło się najgorsze.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - zapewniał. - Wszystko będzie dobrze. Tatuś jest przy tobie.

- Dziadek Guy... On chciał... chciał... mnie skrzywdzić.

- Wiem, kochanie, wiem. - Całował jej policzki, czuł słone łzy na wargach. Gdzieś daleko wyły syreny policyjne, ale w tej chwili obchodziło go jedynie dziecko, które trzymał w ramionach.

- Chciał mnie skrzywdzić - szlochała Rachel.

- Tatuś mu na to nie pozwoli. Nigdy więcej.

Becca płakała coraz głośniej, więc poszedł do jej pokoju, cały czas z Rachel na rękach.

- Nie chcę... Nie chcę... - łkała Rachel, kurczowo zaciskając mu ramiona na szyi.

Zatrzymał się, przytulił ją mocniej.

- Czego, skarbie? Czego nie chcesz?

- Nie chcę, żebyś...

- Tak, kochanie?

- Nie chcę, żebyś... - przerwała na chwilę. - Żebyś oglądał mnie w majtkach.

Ostrożnie postawił ją na ziemi.

- Dobrze, skarbie - szepnął. - Oczywiście.

Nie wypuszczając córki z objęć, sięgnął po miękki żółty szlafrok w tańczące misie. Otulił ją ciepłą tkaniną.

Z Rachel w ramionach wszedł do pokoju Becki.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Honey właśnie skończyła rozmowę z jednym ze sprzedawców hamburgerów, gdy rozległo się pukanie do drzwi.
- Proszę!

Drzwi się otworzyły. Arthur Lockwood nawet w środku Karoliny Południowej wygląda jak agent z Hollywood, przemknęło jej przez głowę. Może dlatego, że wciąż wymachuje dokumentami.

- Przyjechali ludzie od huštawek - oznajmił. - I musisz pokwitować odbiór karuzeli.

- Karuzela miała przyjechać dopiero jutro. - Wzięła dokumenty, podpisała się.

Arthur wzruszył ramionami.

- Ja tu nie pracuję, jestem tylko chłopcem na posyłki. Obiecuj mi, błagam, że nie powiesz nikomu w Los Angeles, że prowadziłem negocjacje z klaunami i sprzedawcami hot dogów. Zniszczyłabyś moją reputację.

- Masz moje słowo. I dzięki, Arthurze.

Arthur zawitał do wesołego miasteczka dwa tygodnie temu, żeby przedstawić jej kontrakt na serial telewizyjny, który wybrał Eric. Zdjęcia rozpoczną się za miesiąc.

Scenariusz, ten sam, o którym rozmawiali podczas świąt, był świetny, ale Honey obawiała się, że rola kobiety z Dakoty Północnej znacznie przekracza jej umiejętności aktorskie. Dziękowała Bogu, że jest zbyt zmęczona, by się tym martwić.

Arthur równie dobrze mógłby omówić wszelkie szczegóły przez telefon. Fakt, że się osobiście do niej pofatygował, świadczył, iż do samego końca nie był pewien, czy Honey podpisze umowę. Dała jednak słowo i nie wycofa się bez względu na konsekwencje.

O dziwo, Arthur nawet się nie zająknął na temat jej umowy z Erikiem, ba, nawet pochwalił. Najwyraźniej mężczyźni rozmawiali na ten temat, ale Arthur nic jej nie mówił, a nie chciała pytać. Wmawiała sobie, że to lepiej, iż Arthur będzie się kontaktował z Erikiem, nie ona.

Miała wiele pytań dotyczących Erica, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Trzy miesiące temu, pod koniec stycznia, Lilly zwołała konferencję prasową i zdradziła, że jako dziecko była molestowana seksualnie. Jak podawały media, zarówno Eric, jak i matka Lilly przez cały czas byli u jej boku. Ani słowem nie wspomniano o oskarżeniach Lilly pod adresem byłego męża. Honey wywnioskowała, że te zarzuty były tylko efektem strasznych wspomnień Lilly z dziecka. I że Eric odzyskał dziewczynki.

Poczuła łyzy pod powiekami, więc czym prędzej pochyliła się nad stertą dokumentów.

- Mam nadzieję, że Eric nie szykuje dla mnie kolejnej roli?

- Eeee... rozmawiamy o tym. - Arthur nagle zainteresował się swoim roleksem. - Czas na mnie, muszę zdążyć na samolot.

- Czy on... mówiłeś, że jest ranny.

- Mówiłem także, że to nic poważnego, Honey. - Pomachał dokumentami, pocałował ją w policzek. - Załatwię karuzelę, zanim wyjadę. Uważaj na siebie, nie szalej za bardzo podczas festynu.

Skrzywił się. Domyślała się, że niepokoił go jej wygląd. Znowu nie mogła spać. Była wiecznie spięta, zdenerwowana, ukojenie przynosiły tylko wizyty w szpitalu, u dzieci. Jednego dnia padała z nóg, drugiego pracowała za trzech, do skrajnego wyczerpania. Tylko w ten sposób mogła zapomnieć o Ericu.

- Nic mi nie będzie. - Odprowadziła Arthura do drzwi, wykonała jeszcze jeden telefon i wyszła z Bullpen.

Postanowiła, że w tę sobotę Czarny Grom powróci do życia. Skoro i tak tkwi po uszy w długach, kilka tysięcy w jedną czy drugą stronę jej nie uratuje. Dostała od organizacji charytatywnej adresy siedemdziesięciu pięciu najbiedniejszych rodzin w okolicy i zaprosiła je na festyn. Nie będzie to nic wielkiego: karuzele dla dzieci, strzelnice, różne gry, jedzenie i, ma się rozumieć, Czarny Grom.

Dziś środa. Po południu Czarny Grom wyruszy w próbną podróż. Gdyby coś było nie tak, będą mieli trzy dni na poprawki, zanim goście zjawią się sobotę, na oficjalne otwarcie. A za dwa tygodnie Honey wyruszy do Kalifornii.

Spojrzała na kolejkę. Pod daszkiem przycupnęła odnowiony skład czarno-czerwonych wagoników. Elektrycy podłączyli już konsolę kontrolną, teraz inżynierowie dokładnie sprawdzali całą maszynię.

Na placu budowy pozostało już tylko kilku pracowników; bez wycia pił mechanicznych, stukania młotków panowała tu nienaturalna cisza. Honey zadarła głowę, by popatrzeć na malowidło zawieszzone nad wejściem na stację.

Było wspaniałe, lepsze niż pamiętny fresk przed Domem Strachów. Rząd wagoników na tle nieba powleczonego ciemnymi chmurami. Obraz emanował energią, jak prawdziwy Czarny Grom. Przyjechał z Winston-Salem w Karolinie Północnej, na platformie olbrzymiej ciężarówki. W prawym dolnym rogu widniało nazwisko artysty - Gordon T. Delaweese. Uzdolnienia Gordona to kolejna rzecz, co do której nie miała racji.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Chantal; właściwie był to nieustający monolog kuzynki, pełen zachwytów nad szkołą fryzjerską. Honey przetarła oczy zmęczonym gestem. Ileż razy Dash tłumaczył jej, że powinna przestać starać się urządzić wszystkim życie.

Sandy Compton, kierownik budowy, podszedł nie wiadomo kiedy.

Honey, jesteśmy gotowi - powiedział. - Zaraz ładujemy worki i wysłemy pierwszy skład.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie i strach. A więc w końcu to się stanie.

- Nie zdziw się, jeśli wagoniki nie pokonają całej trasy za pierwszym razem - uprzedził Sandy. - Pamiętaj, trasa się jeszcze nie dotarła, musimy wprowadzić pewne poprawki. Przypuszczam, że będziemy mieli kłopoty przy pierwszym wzniesieniu, nie wiadomo, co będzie ze spiralą.

Skinęła głową.

- Rozumiem.

Przez następne trzy godziny obserwowała, jak Czarny Grom powoli budzi się do życia. Wagoniki załadowane workami piasku mozolnie pięły się pod górę. Skład zatrzymał się, szarpnął, ruszył znowu. Gdy pokonał pierwsze wzniesienie i runął w dół, miała wrażenie, jakby sama oderwała się od ziemi. Wagoniki pokonały całą trasę bez kłopotów, nawet spiralę. Gdy skład wrócił na stację, powitał go aplauz.

Czarny Grom znowu działa.

Następne dni minęły jak z bicza strzelił. W czwartek Czarny Grom był gotów dla pasażerów. Inżynierowie wpadli w euforię po pierwszej przejażdżce. Czarny Grom okazał się dokładnie tym, czego chcieli: szaleńczą, niebezpieczną atrakcją, nad którą niełatwo sprawować kontrolę.

W czwartkowe popołudnie kierownik budowy oświadczył Honey, że Czarny Grom Thunder otrzymał wszelkie zezwolenia i certyfikaty bezpieczeństwa. I zapytał ją, czy wsiądzie do wagonika.

Pokręciła głową.

- Jeszcze nie.

W piątek także nie. Choć przez cały dzień uwijała się jak w ukropie, przygotowując sobotni festyn, to nie nawał pracy nie pozwalał jej udać się na przejażdżkę. Nie, przeszkadzała jej obecność zbyt wielu ludzi. Operator kolejki zgodził się przyjść w sobotę bardzo wcześnie, zanim zjawią się pierwsi goście. Wtedy Honey wyruszy w podróż.

Rozejrzała się. Ponad połowa parku była odgradzona, ze względów bezpieczeństwa, ale pozostała część błyskawicznie obudziła się do życia. Budki sprzedawców hot dogów stanęły niedaleko Czarne Gromu, wynajęta karuzela zajęła miejsce starej.

Odbudowa kolejki górskiej kosztowała ją milion dolarów. Ale choć była bez centa przy duszy, po uszy w długach, nie żałowała niczego. Jutro o świcie wsiądzie do pierwszego wagonika i przekona się, czy może sięgnąć wieczności, która pomoże jej uporać się ze śmiercią Dasha.

Niedaleko niej mała dziewczynka, pewnie córeczka jednego z robotników, patrzyła na Czarny Grom. Zadarła głowę do góry, miała bardzo poważną, skupioną minę. Honey uśmiechnęła się na ten widok i podeszła do niej.

- Cześć. Czekasz na kogoś?

- Na tatusia.

Dziewczynka była ubrana w dzinsy, koszulkę w czerwono-żółte łódki i zniszczone adidasy. Stroju dopełniała jaskrawo różowa bransoletka w srebrne kropki.

- Strasznie duża ta kolejka - stwierdziła mała.

- Tak.

Mała przyjrzała się Honey badawczo.

- Jest straszna?

- Dosyć.

- Ja bym się nie bała - przechwalała się dziewczynka. - Niczego się nie boję. - Nagle spochmurniała. - Tylko złych snów.

- Jechałaś kiedyś kolejką górską? - zainteresowała się Honey.

- Tylko taką małą, dla dziecka.

- Fatalnie.

Dziewczynka prychnęła pogardliwie.

- Kiedy byliśmy w Disneylandzie, chciałam tam iść na kolejkę górską, ale tatuś mi nie pozwolił, przez złe sny. I powiedział, że marudzę.

Honey starała się ukryć rozbawienie.

- A marudziłaś?

- No, rzuciłam w niego lodami, ale wcale nie chciałam trafić w koszulkę. Honey nie mogła opanować śmiechu. Mała miała w sobie coś, co przypominało jej inną dziewczynkę, nieustraszenie kroczącą przez życie.

Dziewczynka spojrzała na nią z wyrzutem.

- To wcale nie było śmieszne.

Honey błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą.

- Przepraszam. Masz rację. Z całą pewnością nie było to śmieszne.

- Tatuś powiedział, że nie mogę wsiąść na Czarny Grom. Płakałam, ale nie zmienił zdania. Jest naprawdę okropny.

Ledwie skończyła mówić, a już rozpromieniła się jak słońce. Zobaczyła kogoś za plecami Honey.

- Tatuś! - pisnęła. Pomknęła ku niemu jak strzała.

Honey uśmiechnęła się, słysząc głośne westchnienie. Ciekawe, który z robotników spłodził tę małą spryციułę? Już miała się odwrócić, gdy usłyszała znajomy głos:

- Jezu, Rachel, to tylko pięć minut. Uważaj na łokieć. Kazałem ci poczekać, kiedy poszliśmy z Becka do łazienki.

Dokoła Honey świat zawirował. Jej uczucia wahały się pomiędzy szaloną radością a paraliżującym strachem. Była boleśnie świadoma brudnych dzinsów i nieuczesanych włosów. Co on tu robi? Dlaczego nie trzyma się z daleka, tak żeby była bezpieczna? Odwróciła się powoli.

- Cześć, Honey.

Nie znała go. To bogaty nieznajomy, gwiazdor ze statuetką Oscara na kominku, ze światem u stóp. Znikła opaska na oko. Długie włosy, które tak dobrze pamiętała, padły ofiarą nożyc fryzjera i teraz nie sięgały kołnierzyka koszuli. Ubranie świadczyło o zamożności i dobrym guście: koszula od znanego projektanta zamiast flanelowej tandety, doskonale skrojone spodnie z grafitowego płótna zamiast dżinsów. Zdjął eleganckie okulary słoneczne, wsunął do kieszeni na piersi. Turkusowe oczy nie zdradzały żadnych uczuć.

Usiłowała znaleźć coś, co łączyłoby eleganckiego nieznajomego z klaunem, robotnikiem i przede wszystkim z Erikiem, który wyjawiał jej najskrytsze sekrety. Na próżno.

Dopóki nie spojrział na córki. Wtedy zapomniała o wszystkich rolach i zrozumiała, że jest tym samym człowiekiem, który otworzył się przed nią cztery miesiące temu na szczycie Czarnego Gromu.

- Wygląda na to, że Rachel już znasz - stwierdził. - A to jest Becca.

Spojrzała na dziewczynkę, której drobna rączka całkowicie nikła w jej dłoni, ale zanim dążyła cokolwiek powiedzieć, podbiegła Rachel.

- Becca ma zespół Downa - oznajmiła scenicznym szeptem, słyszalnym chyba w całym wesołym miasteczku. - Nie mów jej nic złego. To, że nie wygląda jak inni, nie znaczy, że jest głupia.

Honey z trudem odzyskała mowę. Nie ma sensu tłumaczyć Rachel, że przyczyną jej milczenia jest jej tatuś, nie siostra.

- Cześć, Becca - wykrztusiła. - Cieszę się, że cię poznałam.

- Cześć - odparła Becca nieśmiało.

Najwyraźniej Honey przeszła pozytywnie test Rachel, bo dziewczynka skinęła głową z aprobatą i wróciła do boku ojca.

Honey wsunęła palce za szlufki dżinsów i po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do Erica:

- Myślałam... myślałam, że kręcisz film.

- Właśnie skończyłem. Uznałem, że nie mogę sobie darować takiego wydarzenia. - Spojrział na Czarny Grom pustym wzrokiem.

- Nie spodziewałam się ciebie - stwierdziła bezradnie.

- Tak myślałem. - Uśmiechnął się cynicznie, jak zawsze, gdy cierpiał. -

Jak tam magiczna podróż?

- Jeszcze nie.

Uniósł brwi.

- Czekamy na pełnię księżyca?

- Eric, przestań.

Rachel przerwała im, oznajmiając krytycznym tonem:

- Myślałam, że Honey jest dorosła. A ona jest malutka.

- Dostyc tego, Rach.

- Założę się, że w trzeciej klasie będę od niej wyższa. Jak na dorosłą jest maciupięka.

- Rachel... - zaczął Eric ostrzegawczo.
- W porządku, Eric przerwała mu Honey i zwróciła się do Rachel: - Może jestem mała, ale za to twarda.
- Ja też - obruszyła się Rachel.
- Widzę, ale daleko ci do mnie. - Honey zatknęła palce za tylne kieszenie džinsów. - Byłam niewiele starsza od ciebie, kiedy zaczęłam kierować tym wesołym miasteczkiem. Liczy się to, jaki człowiek jest w środku, a nie na wierzchu. Nikt rozsądny nie ważyłby się ze mną zadzierać.
- O mój Boże - mruknął Eric. - Wiedziałem, że tak będzie.
- Rachel popatrzyła na Honey z zainteresowaniem.
- Potrafiłabyś się bić?
- Nawet z tuzinem bandytów! - Honey nawet nie mrugnęła okiem.
- Ja się biłam z dziadkiem Guyem. Dotykał mnie.
- Honey domyśliła się, że za historią Lilly kryje się więcej, niż podano do wiadomości publicznej. Ukryła współczucie, okazała tylko respekt.
- Idę o zakład, że pożałował, że z tobą zadarł.
- Rachel energicznie kiwała głową.
- Wzruszałam bardzo, bardzo głośno, i przyszedł tatuś, i go zbił. Dziadek Guy poszedł do takiego specjalnego szpitala dla... - niepewnie zerknęła na ojca.
- Alkoholików - odpowiedział.
- Do takiego szpitala dla alkoholików - kontynuowała Rachel. - Becca i ja już nigdy nie będziemy z nim same. A tatuś obiecał, że nie muszę nikomu pokazywać majtek.
- To dobrze - stwierdziła Honey. - Niektóre rzeczy nie są do pokazywania, prawda?
- Ale Rachel już straciła zainteresowanie przeszłością. Wróciła wzrokiem do Czarnego Gromu.
- Nie jestem dzieckiem. Nie rozumiem, tatusiu, dlaczego mi nie chcesz pozwolić.
- Nie ma mowy, skarbie - Eric uciał dyskusję.
- Honey starała się nie dopuścić do kłótni.
- Gdzie się zatrzymaliście? - zapytała.
- W hotelu w miasteczku.
- Nie rozumiem, czemu nie możemy zamieszkać tutaj, jak ty, tatusiu. - Rachel zwróciła się do Honey. - Tatuś nam opowiadał, jak pomagał przy budowie Czarnego Gromu. Prawda, tatusiu? I jak mieszkał w samym środku wesołego miasteczka.
- To nie jest duże miasteczko, Rachel - ostrzegła Honey. - Jeśli myślisz, że będzie takie jak Disneyland, to się bardzo rozczarujesz. Jest tylko Czarny Grom, karuzela i kilka gier.
- Nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego nie możemy zamieszkać tutaj, tak jak ty, tatusiu? Becca bardzo by chciała, prawda, Becca?

Becca posłusznie skinęła głową.

- Becca chce tu zostać.

- Przykro mi, dziewczęta.

Rachel nie dawała za wygraną.

- W hotelu wszyscy będą cię prosili o autografy, tak samo jak w samolocie. Chciałabym tu zostać. I Becca też. Honey, ona już nie siusia do łóżka, więc nie musisz się tym martwić.

Becca spojrzała na Honey tak przyjaźnie, że ta mogła się tylko uśmiechnąć.

- Wcale się nie martwiłam.

Eric nie patrzył na Honey, całą jego uwagę pochłaniała córeczka.

- Przykro mi, Rachel, ale to nie jest dobry pomysł.

- Pamiętasz, jak ostatnio spaliśmy w hotelu? Miałam zły sen, krzyczałam, nie mogłam się uspokoić. I tamten facet walił w nasze drzwi i groził, że wezwie policję.

Honey widziała, że Eric się waha, i choć nie chciała pytać się o szczegóły, domyślała się, na czym polega jego dylemat.

- Nie mam nic przeciwko temu, Eric - oznajmiła sztywno. - To zależy od ciebie.

- Proszę, tatusiu! Bardzo, bardzo proszę!

Eric wzruszył ramionami.

- Chyba nie mam wyboru.

Rachel zapiszczała z radości i wykonała szalony triumfalny taniec. Becca zawtórowała jej, także zaczęła płaszać.

- Rozejrzyjmy się. - Rachel złapała siostrę za rękę i pociągnęła w kierunku wypożyczonej karuzeli.

- Nie oddalajcie się zbyt daleko! - zawołał za nimi Eric.

- Dobrze! - krzyknęła Rachel.

- I tak nie posłuchają - mruknął. Popatrzył na Honey. - Mogłaś odmówić.

- I wdać się w kolejną próbę sił z twoją córką? O nie, dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Jest okropna, prawda?

- Jest cudowna i doskonale o tym wiesz.

Zapadła niezręczna cisza. Eric wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Chciałem przyjechać tu sam, ale Rachel dostała histerii, kiedy to powiedziałem.

- Pewnie obawia się, że nie wrócisz.

Spochmurniał.

- Jak się zapewne domyśliłaś, ojciec Lilly się do niej dobierał. Od tego czasu praktycznie co noc dręczą ją koszmary.

Honey zbierało się na mdłości, gdy opowiadał jej wszystko ze szczegółami.

- Wystarczająco trudno jest przekonać ją, by pozwoliła mi gdzieś odejść w ciągu dnia. Psycholog dziecięcy, który się nią zajmuje, twierdzi, że powinienem dać jej czas. Zgadzam się z nim. Rachel musi znowu poczuć się bezpieczna.

-Tak.

- Żadne dziecko nie powinno przechodzić przez to co ona - stwierdził gorzko.

Honey miała ochotę go objąć, ale tylko spojrzała na Czarny Grom.

- Będzie ci wierciła dziurę w brzuchu, żebyś jutro pozwolił jej się przejechać.

- Wiem. To jeden z powodów, dla których nie powinienem być jej tu przywozić. Ale myślałem tylko o sobie i nie rozważyłem tej decyzji dokładnie. Bała się pytać, dlaczego przyjechał, a Eric nie wydawał się skory do wyjawienia celu wizyty.

- Muszę wybrać się na poszukiwania - rzucił.

Honey zerknęła na karuzelę. Jak przewidział, dziewczynkę nigdzie nie było widać.

- Dlaczego przyjechałeś, Eric?

Odnalazł jej wzrok.

- Muszę uporządkować moje życie, Honey. Chcę się przekonać, czy mamy przed sobą przyszłość, ty i ja, czy tylko to sobie wmawiam.

Jego szczerość zaskoczyła ją i przeraziła. Zdała sobie nagle sprawę, że prawdziwy Eric jest jej właściwie obcy i nie wie, jak się przed nim bronić.

- Eric, ja...

Przerwał im głosik Rachel, gdzieś z drugiej strony drzew.

- Tatusiu! Chodź! Zobacz, co znalazłyśmy!

- Muszę iść. Przyjdziemy po ciebie o szóstej, wybierzemy się na kolację.

-To chyba nie...

- Włóż coś ładnego.

Otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale już go nie było.

Honey założyła jedyną sukienkę, jaką ze sobą przywiozła, prostą, ciemnozieloną przed kolana. Stroju dopełniały pończochy, zielone szpilki i ciężki złoty naszyjnik.

- Ładnie! - Rachel zaglądała do każdego zakamarka przyczepty. - Tu jest tak ładnie, tatusiu! Dlaczego nie mieszkamy w takiej przyczepty?

- Zaraz jutro sprzedam dom.

- On jest sar-kra-stycz-ny, Becko!

- Sarkastyczny - poprawił automatycznie, upajając się widokiem Honey Jane Moon Coogan. Pochyliła się, żeby Becca mogła obejrzeć naszyjnik, a on marzył, by jak córeczka dotknąć jej miodowych włosów.

- Ja będę siedziała koło Honey - zdecydowała Rachel w drodze do samochodu. - A ty, Becca, usiądziesz z tatusiem z przodu.

Ku jego zdumieniu, Becca tupnęła nogą.

- Ja chcę z Honey!

- Nie, głuptasie. Ja pierwsza ją poznałam.

Honey weszła między dziewczynki, wzięła je za ręce.

- Wszystkie trzy usiądziemy z tyłu, a tatuś będzie naszym szoferem.

- Bomba - mruknął. Żałował, że nie przywiózł niani dla dziewczynek, wtedy przynajmniej miałby Honey dla siebie.

Kiedy podano deser, zdążył powtórzyć to sobie tysiąc razy. Jego córki pochłonięły Honey całkowicie. Ale nawet bez nich mógłby sobie pozwolić na dłuższą rozmowę. Ilekroć sięgał po widelec, zjawiał się fan z prośbą o autograf.

Usłyszał, że Honey gwizdnęła z podziwem, gdy Becca policzyła cztery szklanki na stole.

- Doskonale, Becca. Świetnie liczysz.

Becca rozkwitła, odkąd wróciła do Erica. Przestała moczyć się w nocy, robiła kolosalne postępy w mówieniu. Zazwyczaj nieśmiała wobec obcych, trajkotała z Honey jak katarynka.

Przesunął wzrok na jej siostrę. Podczas kolacji doszło do kilku spięć między Honey i Rachel, przy czym Honey z każdego wychodziła zwycięsko. Spodziewał się, że Rachel lada chwila wpadnie w histerię, wydawało się jednak, że istnieje między nimi niewypowiedziane porozumienie. Właściwie nie dziwiło go to. Rachel pod każdym względem, z wyjątkiem urody, wydawała się bardziej córką Honey niż Lilly. Obie kobiety, które kochał, były twarde, szorstkie na zewnątrz, a w głębi duszy miękkie jak wosk. Były wrażliwe, wierne, opiekuńcze. Miały także wiele wspólnych wad, o których nie chciał nawet myśleć, choćby ten koszmarny upór.

Rachel, niezadowolona, że Honey zajmuje się Becką, polizała łyżeczkę i przykleiła sobie do nosa. Honey poczekała, aż łyżeczka odpadnie, po czym skomplementowała sukienkę Rachel.

Eric wrócił myślami do Lilly. Rozmawiali zaledwie w zeszłym tygodniu. Chodziła do doskonałego terapeuty, tego samego, który pomagał Ericowi pracować z Rachel, i była spokojniejsza niż kiedykolwiek. Przekazała mu pełne prawo opieki nad dziewczynkami, przekonana, że w jego obecności prędzej dojdą do siebie. Chciała jakoś wynagrodzić im wszystkim koszmar, na który i ich skazała.

Pamiętał rozmowę, jaką odbyli po jednej z jej pierwszych wizyt u terapeuty.

- Bardzo kocham dziewczynki - wyznała. - Ale zdałam sobie sprawę, że naprawdę dobrze czuję się w ich obecności tylko wtedy, gdy jesteś w pobliżu i masz na wszystko oko. Chciałabym być ciocią-mamą.

- Jak to?
- No wiesz, wpaść jak burza, obsypać prezentami, wyściskać, wyczoławać, rozpieszczać i zniknąć, a ty byś je wychowywał. Uważasz, że jestem okropna?

- Ani trochę.

Wiedział, że Lilly robi, co może, by się uporać ze zmartwieniami przeszłości. Jak na razie dziewczynki doskonale znosiły rozstania z matką. Co innego, jeśli to on miał je zostawić. Dlatego zabrał je ze sobą do Karoliny Południowej.

- Czy miewasz złe sny? - zapytała Rachel.

- Czasami - odparła Honey.

- Straszne?

Honey zerknęła na Erica.

- Bardzo.

Rachel przyglądała się jej uważnie.

- Czy wyjdiesz za mojego tatusia?

- Dostyc tych pytań, Rach - wtrącił Eric i poprosił o rachunek.

Czekając na kelnera, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku - najlepszy dowód na to, że nie chce słyszeć odpowiedzi Honey.

Rozdział trzydziesty drugi

Honey pocałowała obie dziewczynki.

- Dobranoc.

- Dobranoc - mruknęła Becca i wtuliła się w kołdrę.

- Dobranoc, Honey! - Rachel posłała jej trzy całusy.

Honey wymknęła się z pokoju, zostawiając Erica z córkami. Pochlebiało jej, że dziewczynki nalegały, by też pocałowała je na dobranoc, ale teraz, po wszystkim, poczuła się samotna i niepotrzebna. Dash popełnił błąd, nie zgadzając się na dziecko.

- Honey i ja idziemy na spacer - poinformował Eric córeczki. - Nie pójdziemy daleko, więc usłyszysz was przez okno, gdyby coś się działo.

- Ale wróć na pewno, tatusiu - poprosiła Rachel.

- Oczywiście, Rach. Przysięgam. Zawsze wracam.

Jego poważny ton uświadomił Honey, że to pewnie rytualna rozmowa. Nie miała ochoty na spacer, ale już wzięła ją pod rękę, prowadził do drzwi. Dotknął jej po raz pierwszy.

Noc była ciepła, księżyc wisiał nisko nad drzewami, jak dziwaczna latarnia. Eric wyszedł bez marynarki, biała koszula jaśniała w mdłym świetle.

- Doskonale sobie poradziłaś z dziewczynkami. Rachel jest tak absorbująca, że mało kto zwraca uwagę na Beckę.

-Ależ to była prawdziwa przyjemność. Cudownie je wychowałeś, Eric.

- Ostatnie miesiące nie były łatwe, ale chyba już wychodzimy na prostą. Lilly przekazała mi pełne prawo opieki.

- To wspaniale, choć wielu mężczyzn uznałoby to raczej za ciężar niż powód do radości.

- Kocham moje dzieci.

- Wiem o tym. - Po raz kolejny pomyślała, jak bardzo chciałyby mieć rodzinę. Chciałyby stworzyć komuś takie dzieciństwo, o jakim zawsze marzyła. Odkąd sięga pamięcią motorem jej działania było pragnienie stania się częścią grupy kochających się ludzi. Ale nadal była równie daleka od tego celu jak na początku. Tylko podczas lat spędzonych z Dashem wiedziała, jak to jest należeć do kogoś. Miłość okazała się tak cennym darem, że po jej utracie nie chciała dłużej żyć.

Szli w milczeniu, aż dotarli do polanki nad jeziorem. Eric zerknął na Bullpen. - Honey, nie jedź jutro na Czarnym Gromie - poprosił.

Okrały księżyc wisiał tuż za nim, sprawiał, że wydawał się wyższy niż w rzeczywistości, zupełnie jak na ekranie. Ale tu, nad Silver Lake, stał nie aktor, lecz mężczyzna. W sercu Honey wybuchła wojna: z jednej strony chciała rzucić mu się na szyję, z drugiej dręczyły ją wyrzuty sumienia, że w ogóle o czymś takim myśli.

- Eric, poświęciłam wszystko. Nie mam nic oprócz Czarnego Gromu.

- Czeka na ciebie kariera.

- Wiesz, że to mnie przeraża bardziej niż cokolwiek innego.

- Ale zawarłaś ze mną umowę - stwierdził gorzko. - Sprzedałaś duszę diabłu, byle się udać na magiczną przejażdżkę.

Sprzedałam duszę aniołowi, poprawiła w myślach, ale nie była w stanie powiedzieć tego na głos, więc milczała.

Prychnął pogardliwie.

- Nigdy nie zajmę miejsca Dasha, prawda?

- Tu nie chodzi o porównywanie. Nie mogłabym was porównywać.

- No to mam szczęście, bo nietrudno sobie wyobrazić, kto by przegrał. - Nie użalał się nad sobą po prostu stwierdzał fakty. - Dash na zawsze pozostanie bohaterem w białym kapeluszu, z gwiazdą szeryfa na piersi. Reprezentował dobro, szlachetność, bohaterstwo. A ja? Wiecznie balansuję na granicy ciemności.

- To tylko role. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

- Kogo pani chce oszukać, pani Coogan? Mnie? Czy może siebie samą?

Wszystko się sprowadza do podstawowego faktu - miałaś już męża doskonałego i nie zadowolisz się kimś gorszym.

- Nawet nie waż się tak o sobie myśleć - zaperzyła się. - Nie jesteś od nikogo gorszy.

- Jeśli tak, dlaczego chcesz jutro wsiąść do Czarnego Gromu?

Nie miała siły tłumaczyć, nie mogła znaleźć właściwych słów. W obliczu jego wrogości jej wiara w moc kolejki górskiej wyda się śmieszna. Usiłowała wyobrazić sobie, jak mu tłumaczy, że chce odzyskać utraconą wiarę w Boga, w to, że miłość jest we wszechświecie mocą potężniejszą niż zło. I nie mogła. Eric nigdy nie zrozumie, że ona musi jeszcze raz odnaleźć nadzieję i dzięki temu pożegnać się z Dashem. Zdenerwowana, wypowiedziała słowa, które niszczyły, zamiast przekonywać:

- Muszę go odnaleźć! Tylko jeden raz!

Jego oczy pociemniały. - Nie jestem w stanie z tym konkurować - powiedział ochrypłym głosem.

- Nie rozumiesz.

- Wiem tylko, że cię kocham i chcę się z tobą ożenić. I że ty nie odwzajemniasz moich uczuć.

Przeszył ją strumień emocji tak silnych, że zrobiło jej się słabo. Eric wznosił wokół siebie setki barier ochronnych, i oto wszystkie runęły. Dzięki temu kochała go jeszcze bardziej; pięknego, udręczonego mężczyznę obdarzonego wrażliwością zbyt wielką, by bezboleśnie kroczyć przez życie. Tyle że jej nie wolno go kochać. Jej serce ciągle tkwiło w okowach dawnej miłości, miłości, której nie może pozwolić odejść. Podniosła ku niemu głowę.

- Eric, przykro mi. Może jutro będę w stanie myśleć o przyszłości, ale...

- Nie! - krzyknął. - Nie będę dłużej walczył z duchem! Chcę czegoś więcej!

- Proszę cię, Eric, tu nie chodzi o ciebie.

- Ależ tak! - sprzeciwił się gorączkowo. - Nie mogę budować życia z kimś, kto ciągle patrzy za siebie. - Wcisnął ręce do kieszeni. - Popełniłem błąd, przywołując tu dziewczynki. Miały wystarczająco dużo zmian w życiu. Wiedziałem, że cię polubią, i nie powinienem był ryzykować, zabierając je ze sobą. Gdyby chodziło tylko o mnie, niewykluczone, że przez następne dziesięć albo dwadzieścia lat czekałbym z założonymi rękami, aż się zdecydujesz: zostajesz w grobie czy łaskawie z niego wychodzisz. Ale dziewczynki oszukano zbyt wiele razy i nie pozwolę, by nasze życie dzieliła osoba, która może nam zaoferować tylko okruchy miłości.

Zrobiłaby wszystko, byle uciszyć jego ból, ale aż za dobrze wiedziała, co czuje. - Nie rozumiesz, że chcę ofiarować ci o wiele więcej?! - krzyknęła. - Nie rozumiesz, że chcę odwzajemnić twoją miłość?!

Uśmiechnął się gorzko.

- Trudna sprawa, co?

- Eric...

- Nie wsiadaj jutro do Czarnego Gromu - poprosił cicho. - Wybierz mnie. Tym razem wybierz mnie, nie jego.

Zdawała sobie sprawę, ile go kosztowały te słowa, i nienawidziła się za cierpienie, które mu sprawia.

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz - zapewniła. - Wszystko, tylko nie to. Z tego nie mogę zrezygnować.

- A ja tylko tego chcę.

- Muszę to zrobić, żeby się uwolnić.

- Wcale nie myślę, że chcesz się uwolnić. Myślę, że chcesz zatrzymać Dasha na zawsze.

- Był całym moim życiem.

W jego pięknej twarzy nie zostały nawet resztki nadziei.

- Obyś jutro odnalazła tam w górze to, czego szukasz, bo jeśli nie, okaże się, że zapłącałaś drogę za nic.

- Eric, proszę...

- Nie chcę twojej litości. I nie chcę resztek. Miłość trzeba dawać, a jeśli nie mogę dostać uczucia, nie chcę nic innego. - Miał smutek w oczach. - Honey, mam dosyć życia na krawędzi mroku. Pragnę światła.

Odwrócił się i odszedł do dzieci. A ona została sama w martwym wośłym miasteczku.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Ubrała się i poszła pod Czarny Grom. W kłębach mgły wyglądała niesamowicie. Geometryczny szkielet lśnił w mlecznym świetle latarni, a górna część nikła we mgle.

Wahała się tylko chwilę, zaczęła wspinaczkę. Otaczała ją mgła, wkrótce straciła ziemię z oczu. Była sama we wszechświecie, tylko z Czarnym Gromem, dla którego poświęciła wszystko.

Na szczycie usiadła wygodnie, podciągnęła kolana. Noc była cicha jak śmierć. Zamknęła oczy, skupiła się na tym dziwnym świetle z drewna i mgły. Wspominała małą dziewczynkę, którą niegdyś była, dziewczynkę, która w pierwszym wagoniku kolejki mknęła przez dolinę śmierci. Tylko że ona już nie jest dzieckiem. Jest dorosła. I nie może dłużej przed sobą ukrywać, że kocha Erica. Nie groźnego nieznajomego z przepaską na oku, nie klauna, którego, jak sobie wmawiała, może kochać bezkarnie, nie bogatego gwiazdora. To wszystko maski. Zrzucił je, nie może się już za nimi chować. I ona nie może już zaprzeczać, co do niego czuje.

Oparła policzek na kolanie. Z jej oczu popłynęły łzy. Miał rację. Nie dawała mu miłości tak jak powinna, z własnej woli, szczerze. Nie, jej miłość nikła w cieniu innej miłości, której nie mogła zapomnieć, w cieniu mężczyzny, z którym nie mogła się rozstać. Eric zasługuje na coś lepszego.

Ale jedynym sposobem na wyzwolenie się z przeszłości jest przejażdżka Czarnym Gromem, a jeśli to zrobi, utraci również Erica.

Dash, potrzebuję twojej rady. Nie będę mogła żyć, jeśli się nie rozstaniemy. Jak to zrobić, nie zdradzając naszego małżeństwa? - powtarzała w myślach.

Ale granica między życiem i śmiercią jest szczelna. Nie odezwał się.

Honey siedziała na szczycie najwyższego wzniesienia do świtu. Zanim pojawiły się pierwsze promienie słońca, ciszę przerwały krzyki dziecka. Dochodziły z daleka, z drugiej strony parku. Rachel Dillon raz po raz wykrzykiwała paniczny strach.

Niebo było perłście szare, jak zawsze, nim wstanie dzień. Tony Wyatt, który tego dnia miał sterować kolejką, szedł ku Honey przez mokrą trawę. Nocna mgła opadła, ranek był chłodny. Tony skinał głową, najwyraźniej bardzo śpiący.

- Dzień dobry, pani Coogan.

Zeszła z ostatniego stopnia drabiny. Bolało ją całe ciało, było jej zimno, chciała spać.

Sprawdziłam tor - powiedziała. - Wszystko porządku.

- To dobrze. Słuchałem prognozy pogody. Będzie ładnie. - Zniknął w budynku.

Honey patrzyła na kolejkę. Jeśli wsiądzie do wagonika, straci Erica. Jeśli nie, nigdy nie upora się z przeszłością.

- Honey!

Zaskoczona, odwróciła się na pięcie i zobaczyła Rachel Dillon biegnącą ku niej między drzewami. Miała na sobie różową bluzę założoną na lewą stronę i dzinsy. Jej twarz wykrzywił grymas złości.

- Nienawidzę go! - wrzasnęła, zatrzymując się tuż przed Honey. Jej oczy lśniły od niewypłakanych łez, usteczka wygięły się w podkówkę. - Nie pojedę do domu! Ucieknę! Może umrę i wtedy pożałuje!

- Nie mów tak, Rachel.

- Mieliśmy zostać na festyn, ale tatuś nas obudził i powiedział, że jedziemy na lotnisko. Przecież dopiero co przyjechaliśmy! A to oznacza, że nie przejadę się na Czarnym Gromie!

Honey starała się nie myśleć o tym, że Eric naprawdę wyjeżdża. Skupiła się na dziewczynce.

- I tak by ci nie pozwolił - powiedziała spokojnie.

- A właśnie że by pozwolił! - upierała się Rachel. - Zmusiłabym go. - Podniosła wzrok na kolejkę. - Honey, ja muszę się przejechać, po prostu muszę.

Honey miała wrażenie, że pragnienia Rachel to jej odczucia. Nie starała się nawet zrozumieć więzi, która łączyła ją z małą; po prostu przyjęła to do wiadomości. Poglaskała dziewczynkę po plecach, sama bliska łez.

- Bardzo mi przykro, kochanie, naprawdę - powiedziała.
Rachel nie chciała współczucia.
- To przez ciebie, prawda? Pokłóciliście się wczoraj wieczorem.
- Nie, nie pokłóciliśmy się. To skomplikowane.
- Nie pojedź! Obiecał, że nam wynagrodzi, że wyjeżdżamy przed czasem, ale ja niczego nie chcę, tylko przejażdżki na Czarnym Gromie.
- Rachel, to twój tata i musisz go słuchać!
- Tak jest, do cholery! - wrzasnął Eric za ich plecami. - Chodź no tutaj, młoda damo!

Szedł od strony Bullpen, z Becką w ramionach. Postawił córkę na ziemi, gniewnie spojrzął na Rachel.

Odwzajemniła jego spojrzenie, stanęła jak on, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach.

- Nie! - krzyknęła. - Nie pojedę z tobą na lotnisko! Nie znoszę cię!
- Trudno. Chodź tutaj.

Honey czuła, jak jej serce ściska się w piersi. Widziała, że Eric osiągnął granicę wytrzymałości. Chciała go błagać, by został. Dlaczego jest taki uparty? Dlaczego chce poddać jej testowi? Nie zadała tych pytań. Wiedziała, że Eric ma prawo domagać się rzeczy, których ona jeszcze nie może mu dać.

- I to już! - ryknął.

Rachel rozplakała się, ale nie drgnęła.

Honey zrobiła mały krok w przód. Nagle nabrała pewności, że Eric popełnia błąd, nie pozwalając córeczce wsiąść na Czarny Grom. Zapomniała, że nic ją z Rachel nie łączy. Dziewczynka wydawała się jej ciałem i krwią.

I już wiedziała, co musi zrobić.

Wzięła Rachel za rękę i spojrzała na Erica.

- Musi pierwsza wsiąść na Czarny Grom.

- Akurat!

- Pozwól jej - obniżyła głos do szeptu. - Niech pojedzie za mnie. I za samą siebie.

Całe napięcie Erica ustąpiło. Wydawał się stary i zmęczony, jak człowiek, który stoczył o jedną bitwę za dużo.

- Ona jest za mała, Honey. To tylko dziecko.

Rachel już otworzyła usta, by zaprotestować, ale Honey ostrzegawczo ścisnęła ją za rękę.

- Ona musi.

- Nie chcę, żeby się bała.

- Już się bała. Jej dziadek o to zadbał. - Odwróciła się do niego tyłem, uklękła przed Rachel. - Miałam tyle lat co ty, gdy po raz pierwszy wsiadłam na Czarny Grom, i bałam się tak, jak nigdy przedtem. To nie jest zwykła przyjemna przejażdżka. Tej kolejki nie zaprojektowano dla dzieci,

kochanie. Pierwszy spadek jest gorszy, niż możesz sobie wyobrazić. Jesteś taka malutka, że pewnie zsuniesz się z siedzenia i uderzysz nogami o zabezpieczenie. A na spirali pomyślisz, że zaraz wylądujesz na samym dnie jeziora. Przerazisz się jak nigdy.

- Nie ja - napuszyła się Rachel. - Ja się niczego nie boję.

Honey delikatnie pogłaskała ją po policzku.

- Tego się przestraszysz.

- Ty pojechałaś.

- Wujek mnie zmusił.

- Był niedobry, jak dziadek Guy?

- Nie, nie w taki sposób. Po prostu nie lubił małych dzieci.

- Płakałaś?

- Za bardzo się bałam, żeby płakać. Wjechałam na sam szczyt wzniesienia, a kiedy zobaczyłam, jak to wysoko, myślałam, że zaraz umrę.

- Tak samo ja, kiedy dziadek Guy na mnie leżał.

Honey pokiwała głową.

- Zupełnie tak samo.

- Chcę się przejechać - powtórzyła Rachel uparcie.

- Na pewno?

Rachel potwierdziła zapatrzona w kolejkę z zachłannością, którą Honey знаła aż za dobrze. I ona, i Rachel wiedziały, co to znaczy być bezsilną wobec świata. Wiedziały, że kobiety szukają odwagi gdzie indziej niż mężczyźni. Rachel nie spojrzała ani na ojca, ani na Honey i pobiegła do stacji.

- Rachel! - Eric rzucił się za nią, ale Honey go powstrzymała.

- Proszę cię, Eric! Ona musi to zrobić!

Spojrzał na nią oczyma przepełnionymi bólem.

- Nie rozumiem.

- Wiem - szepnęła, po raz pierwszy ulegając fali miłości do niego. - Jesteś duży i silny i widzisz świat z innej perspektywy.

- Pojadę z nią.

- Nie, Eric. Nie wolno ci. Musi zrobić to sama. - Zajrzała mu głęboko w oczy, błagała, by jej zaufała. - Proszę cię.

W końcu skinął twierdząco głową. Zrobił to z takim wahaniem, że domyśliła się, ile go to kosztowało i za to kochała go jeszcze bardziej.

- No dobrze - powiedział. - No dobrze.

Zaprowadziła go do budynku stacji. Po drodze minęli dzieło Gordona Delawese. Rachel wgramoliła się do pierwszego wagonika. Sądząc po jej minie, była tyle podekscytowana, co przerażona. W pustym składzie wydała się malutka i bezbronna.

Honey drżącymi rękami sprawdzała, czy jest dobrze zabezpieczona.

- Rachel, jeszcze możesz zrezygnować.

Przeczący ruch głową.

Pocałowała ją w czubek głowy.

- Po wszystkim - szepnęła - złe sny odejdą na zawsze.

Nie wiedziała, czy Rachel w ogóle ją słyszała. Dziewczynka zaciskała małe rączki na poręcz, aż pobieleały. Podniecenie przeszło w strach. Dokładnie tak, jak powinno.

Honey cofnęła się, stanęła u boku Erica. Wyczuwała jego napięcie, widziała, jak bardzo się stara opanować panikę. Rachel jest jego najcenniejszym skarbem. Kochała go jeszcze bardziej za zaufanie, jakim ją obdarzył.

Odrzuciła się do Tony'ego, który czekał przy konsoli, nieświadom dramatu, jaki rozgrywał się na jego oczach. Dała mu znak. Wyszli z budynku, by patrzeć, jak skład wagoników wspina się na najwyższe wzniesienie. Becca usiadła na trawie po turecku i obserwowała siostrę. Rachel była doskonale widoczna wśród pustych siedzeń.

Jedź za mnie. Uwolnij i mnie - powtarzała sobie Honey w myślach. Eric wziął ją za rękę. Miał zimne palce, starała się je ogrzać swoją dłońią. Czuła strach Rachel, gdy wagonik mknął coraz wyżej. Jej serce waliło jak oszalałe, ciało pokryło się potem. Kiedy Rachel znajdzie się na szczycie i spojrzy w dół, będzie musiała po raz drugi stawić czoła dziadkowi.

Wagonik zawisł na najwyższym punkcie wzniesienia. Honey zeszywniała ze strachu. I wtedy wagonik pomknął w dół i na drugie wzniesienie, i nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiała, że ona jest Rachel, a Dash jest nią. Ci, którzy się kochają, zawsze stanowią część siebie. Miłość do Dasha nie przeszkadza jej kochać Erica. Przeciwnie - umożliwia to.

Poczuła w sobie radosną eksplozję. Zwróciła się do Erica. Z napięciem śledził wzrokiem mknący różowy punkcik, swoją córeczkę, przerażony, że zechce wstać, że wypadnie, że kolejka, którą budował własnym rękami, nie odda mu jej całej i zdrowej. Ale Czarny Grom, tak jak Bóg, nie opuszcza tych, którymi się opiekuje, nawet w najczarniejszej godzinie.

Honey przestała się bać. Zrozumiała, jak prosta jest jej miłość do Erica. Nie kryją się w niej żadne mroczne zakątki, żadne psychologiczne podteksty. Nie jest dla niej ojcem. Nie jest mentorem. Nie jest starszy o całe pokolenie. Eric to po prostu Eric. Mężczyzna wrażliwy jak ona i jak ona spragniony miłości.

Miała ochotę śmiać się i śpiewać, otoczyć go oceanem miłości. Nagle zaczęła biec; skład pokonał spiralę nad jeziorem i mknął ku stacji. Ruszyła za nim.

Kolejka zatrzymała się gwałtownie. Rachel była blada jak ściana, kurczowo ścisnęła poręcz.

Eric wyciągał ku niej rękę.

- Skarbie...

- Jeszcze raz - szepnęła.

- Tak! - krzyknęła Honey, zarzucając Ericowi rękę na szyję. - Tak, najdroższy, tak, tak, tak!

Kolejka odjechała z Rachel Dillon na przednim siedzeniu, a Eric przytulił Honey do siebie i poczuł jej miękkie usta na swoich.

W tej chwili nie starał się już pojąć dramatów, z którymi zmagają się jego ukochane kobiety. Najwyraźniej kobiety różnią się od mężczyzn jeszcze bardziej, niż przypuszczał. Szukają odwagi nie tam, gdzie oni.

Honey przywarła do niego, rozchyliła usta pod naporem jego warg. Zrozumiał, że oddaje mu siebie całą, swoją miłość, lojalność, zapał, z którym mierzyła się z życiem.

- Kocham cię - powiedziała. - Och, Eric, tak bardzo cię kocham!

Wyszeptał jej imię i utonął w jej ustach. Całowali się, a Rachel rozstawała się z koszmarami sennymi na najwyższym wzniesieniu Czarnego Gromu.

- Czekałem na ciebie całe życie - powiedział.

- Nadal chcesz się z mną ożenić? - zapytała.

- O, tak.

- Chcę mieć dziecko.

- Naprawdę? To dobrze.

- Och, Eric... Tak jest dobrze. Wreszcie wiem, że tak jest dobrze.

Nie mógł się nasycić jej ustami. Były słodkie i kuszące, niosły obietnicę miłości i oddania. Unosiły go poza czas i przestrzeń, tam, gdzie istnieje tylko miłość. A gdy już się tam znalazł, usłyszał szorstki, zmęczony głos, tak głęboki, jakby sam Pan Bóg bawił się w brzuchomówcę: Najwyższy czas, żebyś wziął, co twoje, piękniśiu. Już zaczynałem tracić cierpliwość.

Zaskoczony, odsunął się od niej. Otworzyła zamglone oczy, spojrzała na niego pytająco. Zrobiło mu się głupio, więc ponownie ją pocałował.

Wagoniki przemknęły obok i przez krótką chwilę wszyscy troje dotknęli wieczności.

Epilog

1993

Honey wypatrzyła Erica i dziewczynki przez gąszcz świateł. Gdy umilkły oklaski, weszła na podium. Spojrzała na statuetkę Emmy, którą trzymała w dłoniach.

- Dziękuję bardzo - głos jej się załamał i publiczność zachichotała. Zawtórowała im i podeszła bliżej do mikrofonu. - Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że wieśniaczka z Karoliny Południowej dostanie taką nagrodę, uznałabym, że łąził po dworze bez kapelusza i słońce dało mu w głowę.

Głośniejszy śmiech widowni.

- Jest wiele osób, którym chciałabym podziękować, więc mam nadzieję, że dacie mi minutkę.

Zaczęła od Arthura Lockwooda, po czym wymieniła współpracowników z planu *Emily*, serialu o życiu i twórczości Emily Dickinson, który przyniósł jej nagrodę.

- Przede wszystkim jednak chciałabym podziękować mojej rodzinie. Rodzina to coś dziwnego. Ci, którzy ją mają, nie zawsze umieją to docenić. Ale jeśli dorasta się bez nikogo, niełatwo znaleźć swoje miejsce na ziemi. Dzisiaj chciałabym złożyć hołd mojej rodzinie. Długo trwało, zanim ich znalazłam, ale teraz nie pozwolę im odejść. Dziękuję moim pasierbicom, Rachel i Rebecce Dillon, i Lilly, ich mamie, która się ze mną nimi dzieli. Dziękuję Zachary'emu Jasonowi Dashwellowi Dillonowi, który jutro skończy dwa lata i jest najśladszym bobasem na świecie. I jego braciszkwowi Andrew, który już czeka za kulisami, aż mu podam następny posiłek.

Śmiechy.

- Dziękuję także Chantal i Gordonowi Delaweese. Oraz dwóm kobietom, które z dumą nazywam przyjaciółkami, choć niełatwo nam przyszło

osiągnąć ten stopień zażyłości - Meredith Coogan Blackman i Liz Castleberry, najbardziej upartej osobie na świecie.

- Kogoś, kogo bardzo kocham, nie ma tu dziś z nami, przynajmniej nie ma fizycznie. - Przerwała. Widownia uciszyła się. - Dash Coogan był ostatnim amerykańskim bohaterem, był także moim bohaterem. Wiele mnie nauczył. Czasami go słuchałam, a czasami nie, czego zresztą najczęściej żałowałam.

Widziała, jak wiele osób na widowni ociera łzy. Ale ona pogodziła się ze śmiercią Dasha trzy lata temu, tamtego dnia, gdy Rachel wsiadła na Czarnego Groma i nie chciało jej się płakać. Przeciwnie, nawet uśmiechnęła się.

- Kochałam tego kowboja i będę mu wdzięczna do końca życia. - Odchrząknęła. - Teraz będzie najtrudniejsze. Małżeństwo nigdy nie jest łatwe, niedobrze jest zwłaszcza, gdy jedno z małżonków stanie się zbyt- nio zarozumiałe, a tego się właśnie obawiam po tym, co zaraz powiem. Bardzo dużo się pisze o talencie Erica Dillona. Ale nikt nie pisze tym, co jest naprawdę ważne. O tym, że jest najwspanialszym ojcem i mężem, jakiego można sobie wymarzyć. Tak bardzo dba o innych, że czasami mnie to przeraża. To jednak nie znaczy, że jest mężczyzną idealnym, broń Boże. Niełatwo mieszka się z facetem ładniejszym niż wszystkie znane ci kobiety.

Eric skrzywił się zabawnie, gdy widownia wybuchła śmiechem. Honey patrzyła mu prosto w oczy przez oślepiające światła reflektorów.

- Gdyby nie Eric Dillon, nie byłoby mnie tutaj. Kochał mnie, kiedy na to nie zasługiwałam, i chyba koniec końców do tego sprowadza się znacznie rodziny. Dziękuję, najdroższy.

Eric patrzył na nią z drugiego rzędu. Puchł z dumy i z miłości. Dziwiło go tylko, że Honey mu dziękuje, skoro to ona dała mu cały świat.

Skończyła przy ogłuszającym akompaniamencie oklasków, zeszła z podium. Wiedział, że pierwsze kroki skieruje do ich dwumiesięcznego synka, dopiero kiedy go nakarmi, wyjdzie do dziennikarzy.

Podejrzewał, że oprócz pytań o plany zawodowe będą chcieli się także dowiedzieć czegoś o obozie dla dzieci z rozbitych rodzin, który założyli na miejscu dawnego Parku Rozrywki Silver Lake. Według teorii Honey Czarny Grom może pomóc przynajmniej części dzieciaków. W ciągu minionych lat jeździł na nim kilkanaście razy i nigdy nie doświadczył nic innego poza przypływem adrenaliny. Kiedy jednak jak głupiec zwierzył się z tego Honey i Rachel, obrzuciły go takim wzrokiem, że obiecał sobie trzymać buzię na kłódkę.

Ceremonia zbliżała się do końca, gdy w jego głowie rozległ się znajomy głos: Uszczęśliwiłeś ją synu. Jestem z Ciebie dumny. Eric poruszył się niespokojnie. Nie teraz. Odkąd Rachel wsiadła na cholerną kolejkę górską...

Rozum podpowiadał mu, że wcale nie słyszy Dasha Coogana. Skoro nigdy nie zdarzało się to Honey, dlaczego miałyby się zdarzyć jemu? Ale irracjonalna część jego osobowości? To zupełnie inna sprawa.

Rachel pochyliła się nad Becką i szepnęła do ojca:

- Honey była dobra, prawda, tatusiu?

Spojrzał na córeczki.

- Bardzo dobra, skarbie. Bardzo dobra.

Tak jest. Cholernie dobra, zawtórował głos.

Eric usiał wygodniej. Właściwie nie ma nic przeciwko temu, że nad jego rodziną czuwa anioł stróż pod postacią kowboja.

Trzy godziny później Eric i Honey szli przez uśpione pokoje ręką w rękę. Honey zdjęła pantofle, Eric pozbył się muchy i rozpiął kołnierzyk koszuli. Podchodzili do każdego dziecka, poprawiali kołdry, podnosili pluszowe misie, wyjmowali kciuki z małych ust. Ostrożnie mijali książki i zabawki, włączali nocne lampki, wyjęli nawet przeciekający pistolet na wodę spod różowej poduszki.

Dopiero gdy się upewnili, że każde dziecko smacznie śpi, poszli do swojej sypialni i zajęli się sobą.

W końcu trafili do domu.